



Na tle okna, wyraźnie  
podświetlona słabym  
blaskiem latarni uli-  
cznych, ostro.

nięzym w teatrze cieni, rysow-  
wała się sylwetka człowieka.  
Mawet nie zdążyłem się prze-  
straszyć – widocznie  
poruchy leżą  
bardziej niż myśli –

OSTYTELNIK

*Żyła u Minotaura*

*Arkadij Wajner  
Georgij Wajner*

Arkadij  
**Wajner**  
Georgij  
**Wajner**  
wizyta  
u Minotaura

tłumaczył  
Tadeusz Gosk

Czytelnik  
Warszawa  
1983

tytuł oryginału rosyjskiego  
ИЗИТ К МИНОТАВРУ

okładkę i kartę tytułową projektował  
BIGNIEW CZARNECKI

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1983

„Czytelnik”. Warszawa 1983. Wydanie I.  
Nakład 100 320 egz. Ark. wyd. 17,8; ark. druk. 25.  
Papier offset. kl. VII, 60 g, 93 cm.  
Oddano do składania 20 X 1981 r.  
Podpisano do druku 5 VII 1982 r.  
Druk ukończono w lutym 1983 r.  
Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego” w W-wie.  
Zam. wyd. 317; druk. 202/K. Z-103. Cena zł 100.  
Printed in Poland

ISBN 83-07-00700-3

## Księga pierwsza

### Wejście do labiryntu

Rozdział pierwszy

#### Uśmiech królowej

Czasami to nie wychodziło. Powinno być wysokie, wręcz krzyczące pizzicato, a zamiast tego był tępy, ciężki, nieruchomy dźwięk. Z tyłu, tam gdzie jarzyły się lampiony, rozległ się śmiech. Trwała duszna i gorąca wenecka noc. Damy wachlowały się, a kawalerowie szeptali im do ucha najwidoczniej coś miłego i frywolnego, gdyż uśmiechały się miło i coś im odpowiadały... Antonio wciąż słyszał szner rozmów dobiegający z sali i dlatego przekłete skrzypce brzmiały jeszcze gorzej. Wreszcie ktoś głośno i wyraźnie powiedział: „A taki był z niego przyzwoity snycerz!” Wówczas Antonio zrzucił smyczek ze strun, a skrzypce wstrętnie zaskrzypiały, widzowie zaś leniwie i obojętnie zaklaskali, sądząc, że utwór na szczęście się już skończył...

Stradivari dowlókl się na sztywnych nogach do swojej izdebki i tam długo pił wodę z dzbana, dopóki nie wysączył go do ostatniej kropli. Woda była ciepła, jakby lepka i nie gasiła pragnienia. Antonio ściągnął z głowy perukę i wytarł nią rozgorączkowaną, spoconą twarz. Potem długo siedział całkowicie bezmyślny i opustoszały, zmęczony i jakby nieżywy. Ktoś zapukał do drzwi, ale on się nawet nie odezwał, gdyż kolacja u hrabiego Monziego byłaby dla niego teraz nieznośną torturą, a zresztą teraz nie miało już najmniejszego znaczenia, czy hrabia zechce mu nadal

okazywać łaskawą pomoc – wszak życie się już skończyło.

Ciemność i samotność nieco go uspokoiły, a jednocześnie sprawiły, że Antonio poczuł się jeszcze bardziej samotny i nieszczęśliwy. Zapalił łojówkę, po czym wyjął z torby podróżnej skrzypce i długie cienkie dętko. Wziął skrzypce do rąk i ten gest wyzwolił w nim nowy przypływ nienawiści. Pękaty, krótki instrument z zadartym do góry gryfem przypominał zażywnego genueńskiego kupca. Antonio oparł skrzypce o stół i wbił metalowe żądło dętki pod dekę. Skrzypce zaskrzypiały i ten trzask, przerażony i ochrypły, też wzbudził w nim obrzydzenie. Zwolnił kołki, zdjął sflaczałe, miękkie struny i uniósł dekę. Zajrzał do środka.

Ze zdumieniem, jakby widział to po raz pierwszy, przyglądał się Antonio grubym boczkom, bez sensu ustawionej duszy i teraz wiedział już na pewno, że jest to do niczego nieprzydatny śmieć. Boże, oświeć i naucz, jak powinno być, jak będzie dobrze? Sygnaturka na dzwonnicy wybiła północ, gdzieś daleko na redzie strzelił z działa neapolitański bryg pocztowy, czas płynął, przesuwając się wolno i miarowo, jak woda w kanale za oknem, a olśnienie nie przychodziło. Od okna ciągnęło wilgocią, rybą, północną bryzą. Antonio wstał, zebrał ze stołu części znieawidzonych skrzypiec, podszedł do okna i rzucił w zieloną wodę głuche i nieme drewnianki. Potem, nie zdejmując kaftana i butów, rzucił się na wąskie łóżko, oparł głowę na twardej poduszce z owczej wełny i gorzko zapłakał, wiedząc już na pewno, że jego życie dobiegło kresu. Płakał długo, a łzy rozmywały gorzyc, unosiły jak rzeka dzisiejszą hańbę, ogrzewały poduszkę. Wietrzyk wpadający przez okno poruszał krótkie włosy na karku, chłodził rozgrzaną głowę, kołki i wreszcie Antonio usnął.

A kiedy się obudził, słońce stało już wysoko i horyzont był niewidoczny, gdyż błyszczące lustro wody stapiało się

z błękitnym niebem, po którym wiatr pędził kędzierzawe chmurki. Jedynie cienkie dętko i oksydowane szczypce na stole przypominały mu, iż życie skończyło się już wczoraj. Przypomniawszy to sobie i roześmiał się.

Tego dnia Antonio Stradivarius skończył dziewiętnaście lat.

Królowa uśmiechała się dobrotliwym, starczym uśmiechem, a popękane szkło nakładało na jej twarz zmarszczki lekkiego smutku. Portret poniewierał się na podłodze i z miejsca, w którym stałem, wydawało się, że królowa odrzuciła głowę do tyłu i uważnie wpatrywała się w czerwone jesienne słońce, wiszące nieruchomo we wschodnim oknie salonu.

- Dziewiętnaście – powiedział ekspert Chalecki.
- Słucham? – zapytałem.
- Powiadam, że dojechaliśmy w ciągu ośmiu minut.
- Chwała Bogu! – uśmiechnąłem się. – Gdybyśmy tak jechali jeszcze ze dwie minuty, byłoby po sprawie...

Ekspert zerknął na mnie z ukosa, chciał coś powiedzieć, ale na wszelki wypadek dał spokój. Staliśmy w obszernym przedpokoju przy drzwiach prowadzących do salonu i bez pośpiechu przypatrywaliśmy się rozgardiaszowi panującemu w pokoju, bowiem ów chaos był teraz dla nas święty i nietykalny, jako irracjonalny porządek, tworzony przez człowieka, który tu był przed nami. Przez złodzieja.

– Nie uważa pan, że wykrywalność przestępstw wzrosłaby niepomniernie, gdyby można było zakonserwować miejsce ich popełnienia?

– Nie rozumiem – powiedział ostrożnie Chalecki, spodziewając się jakiegoś podstępu.

– Co w tym niezrozumiałego? Niedługo zakończymy oględziny, wszystko sfotografujemy i opiszemy, a potem

przyjdą tu ludzie. Wielu różnych ludzi. I na zawsze zniknie mnóstwo śladów i szczegółów, na które za pierwszym razem po prostu nie mogliśmy zwrócić należytej uwagi...

– I cóż pan proponuje?

– Nic. Po prostu fantazuję. Gdyby można było po skończeniu oględzin opieczętować mieszkanie i przyjść tu jutro, pojutrze, to zobaczylibyśmy tak wiele nowego...

– Wspaniały przykład pracy śledczej – powiedział kłótliwie Chalecki. – Lepiej niech pan się postara wszystko to zobaczyć już teraz. Poza tym nie jestem przekonany, czy właściciele tego mieszkania zgodzą się pomieszkać u pana... kiedy będzie pan szukał nie zauważonych od razu poszlak.

Roześmiałem się.

– Tak, w moich apartamentach trudno będzie zmieścić te fortepiany. Bo chociaż się na tym nie znam, to jednak gospodarzowi z pewnością potrzebne są oba.

Za nami szczęknęły drzwi na klatkę schodową i weszła inspektor Ławrowa, a za nią przewodnik psa służbowego Kaczanow z Marcellem. Ogromny ciemnopopielaty podpalany pies spokojnie usiadł na podłodze i popatrzył na mnie życzliwie, śmiesznie poruszając czarnym nosem.

– No i jak, Marcyś, popracujemy? – zapytałem i pogładziłem psa po głowie.

– Stanisławie Pałyczu, nie powinien pan z nim teraz rozmawiać – powiedział niezadowolonym tonem Kaczanow. – Pies służbowy w trakcie pracy powinien myśleć tylko o śladach.

Ławrowa pstryknęła zapalniczką, zaciągnęła się i powiedziała rozbawionym głosem:

– Po co to wszystko? I tak potem dowiemy się, że „na postoju taksówek pies stracił ślad...”

– Proszę tak nie mówić! – definitywnie obraził się Kaczanow. – Pani fotografii w naszym muzeum jakoś

jeszcze nie widziałem... A mój Marcel jest tam już od trzech lat. Za frajer portretu na ścianie nie powieszają i to w dodatku w ramie...

– Stanisławie Pawłowiczu, proszę podziękować Kaczanowowi za komplement – roześmiała się Ławrowa. – Pański portret też tam widziałam.

Ławrowa rozglądała się po przedpokoju szukając popielniczki. Wreszcie ruszyła w stronę stolika, na którym stała duża egzotyczna muszla. Uprzedziłem ją, podstawiając rozłożoną gazetę.

– Jeśli pani nie widzi jakichś zasadniczych przeszkód, popiół będziemy strząsać tutaj. Bo ja tym różnię się teraz od Marcela, że zanim zacznę szukać, muszę pilnować porządku, jaki tu zastaliśmy.

Ławrowa popatrzyła na mnie z krzywym uśmiechem.

– I znów ma pan rację. Z ogromnym współczuciem myślę o losie kobiety, która stanie się pańską żoną.

– Ja również. A teraz, jak mawiali pojedynkowicze, zaczynamy, panowie. Kaczanow, wejdiesz pierwszy: weźcie ślad, a my przystąpimy do spisywania naszej smutnej kroniki.

Kaczanow odpiął Marcelowi smycz, coś szepnął mu na ucho i wpuścił do pokoju. Przyglądałem się temu oparty o framugę drzwi.

Pies najwidoczniej chwycił ślad. Zjeżył sierść na karku, gwałtownie wciągał powietrze przez czarny, wilgotny nos. Przebiegł przez pokój i zniknął w sypialni, potem wrócił i biegając wkoło, krążąc, wybiegł do przedpokoju, gdzie zrobił stójkę przy drzwiach. Wtedy Kaczanow zręcznie i szybko zapiął mu karabińczyk smyczy. Marcel zaczął drapać pazurami drzwi i nieoczekiwanie cienko zawył. Kaczanow otworzył drzwi i wyskoczył za owczarkiem na schody.

– Proszę – zrobiłem szeroki gest, zapraszając do salonu,

i dodałem, zwracając się do Chaleckiego, chociaż Ławrowa doskonale zrozumiała, że mówię do niej, a i Chalecki to rozumiał. – Wszystkie nasze śmiecie, niedopałki, papierki i tak dalej, i tak dalej będziemy kłaść wyłącznie na gazecie w przedpokoju...

Ponieważ wszyscy troje wiedzieliśmy, do kogo adresowałem tę uwagę, pozostała ona bez odpowiedzi, niczym obojętne: „Ładną dziś mamy pogodę”. Podeszedłem do portretów, bo nie wiedzieć czemu właśnie portret przyciągał przede wszystkim moją uwagę. To była bardzo dobra fotografia, oprawiona w drogą, wytworną ramkę. Część szkła jeszcze się w niej trzymała, a dokoła poniewierały się długie, szablaste odłamki. Tuż obok na parkiecie zaschły zbrązowiałe już plamy krwi. Tam, gdzie krew kapnęła na szkło, plamy były znacznie jaśniejsze. Jedna duża kropla spadła bezpośrednio na zdjęcie i spłynęła na koniec dedykacji, jak idiotyczny wykrzyknik.

– Królowa belgijska Elżbieta – powiedział Chalecki, który przykucnął obok mnie.

– Tak jest napisane, czy też tak się panu wydaje? – zapytałem dla pewności.

– Wiem – odpowiedział krótko ekspert. – Szkoda, że nie znam francuskiego. Ciekawe, co ten napis znaczy?

– Pewnie coś w rodzaju: „Kochaj mnie, jak ja ciebie” – uśmiechnąłem się.

Ławrowa zajrzała mi przez ramię.

– „Przed geniuszami chylą czoła damy i monarchowie, bowiem dłonie ich są darem Boga”.

– Naprawdę tak pani myśli? – obróciłem się do Ławrowej.

– To nie ja, tylko królowa belgijska tak myśli – powiedziała Ławrowa.

– Szkoda, że nie jestem geniuszem – pokiwałem głową.

– A po co panu geniusz? – zapytała Ławrowa. – Przy-

chylnosć monarchów pana nie interesuje, a na brak wielbicielek i tak chyba się pan nie uskarża.

Spojrzałem na nią uważnie, bo wydało mi się, że w jej tonie było nieco więcej irytacji niż ironii.

– A jednak szkoda, że nie jestem geniuszem.

– Nad czym się pan tak zastanawia, niegeniuszu? – zapytał Chalecki.

– Nad niczym. Teraz myślenie, zastanawianie się jest dla mnie szkodliwe. Teraz usiłuję stać się maszyną do zapamiętywania. Kiedy wszystko odnotuję w pamięci, dopiero wtedy zacznę myśleć.

– Czy pan ciągle musi przybierać pozę oryginała? – zapytała ze złością Ławrowa.

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem i roześmiałem się.

– Lenoczko, to nie jest żadna poza i wcale nie ja to wymyśliłem. Już wiele lat temu uczył mnie tego nasz wspaniały szef, podpułkownik milicji Szarapow.

– Czego? Bezmyślności?

– Nie, przede wszystkim zapamiętywania. Muszę teraz od razu i na zawsze zapamiętać to, co na razie jest, ale może zniknąć lub się zmienić...

– Na przykład?

– Nie na przykład, tylko konkretnie, istnieje kilka bezspornych, raz na zawsze ustalonych zasad. Zapamiętać czas wedle zegarka własnego i znajdującego się na miejscu przestępstwa, jeśli nawet ten zegar stoi. To po pierwsze. Następnie oględziny drzwi: czy są całe, zamknięte na zamek lub kłamkę, czy są klucze. To samo z oknami. Później światło. Zasłony. Zapachy: tytoniu, gazu, prochu, spalenizny, perfum, benzyny, czosnku i tak dalej. Ustalić pogodę, to niemal zawsze jest ważne. Przy tym wszystkim pod żadnym pozorem nie wolno wysnuwać pochopnych wniosków, gdyż odpowiedź zawsze znajdujemy przy koń-

cu, a nie na początku dochodzenia. No i naturalnie nie wolno dać się wciągnąć w dyskusję z gapiami...

Ławrowa długo patrzyła mi w oczy, a potem półgłosem zapytała:

– Ostatnie z tych milicyjnych przykazań przeznaczone jest dla mnie, prawda?

Przeniosłem wzrok na uśmiechającą się królową i znów uniosłem głowę.

– Leno, niech pani da spokój. Jestem od pani starszy nie tylko stopniem. Jestem w ogóle starszy. I o wiele bardziej doświadczony. A jednak jeszcze wielu rzeczy nie wiem i kiedy ktoś wytyka mi błędy, nie obrażam się, tylko się uczę. Przynajmniej staram się nie obrażać. Według mnie jest to jedynie rozsądna postawa...

– Ponieważ pan jest starszy ode mnie nie tylko w ogóle, ale również starszy stopniem, uznajmy, że zostałam przekonana – wzruszyła ramionami Ławrowa.

– Uznajemy – powiedziałem powstrzymując złość. – Tym bardziej, że wiem dokładnie, iż moje argumenty są nie do odparcia.

– Niewątpliwie – zgodziła się Ławrowa. – Inna rzecz, że w naszej sytuacji te argumenty noszą zupełnie inną nazwę...

– Świetnie – ucieszyłem się. – Proszę zatem zacząć wykonywanie mojego rozkazu od ogólnych oględzin i sporządzenia szkicu miejsca przestępstwa...

Ławrowa popatrzyła z nienawiścią na usmiechniętą królową i poszła do gabinetu. Powiedziałem jej na odchodne:

– I proszę nie zapominać o przykazaniach...

Chalecki odezwał się półgłosem:

– Jeśli wolno mi będzie coś zauważyć, to pragnąłbym zwrócić pańską uwagę na fakt, że z kolei ja jestem od pana starszy i bardziej doświadczony.

– Wolno będzie. I co z tego?

– Co? To, że nie ma pan racji.

– Niby dlaczego?

– Dlatego, że w swej złości, będącej wynikiem bardzo jeszcze młodego wieku, zakłada pan mylnie, że za parę lat, kiedy Lena stanie się doświadczonym, dojrzałym zawodowo funkcjonariuszem, będzie serdecznie wspominać surowego, lecz sprawiedliwego i mądrego nauczyciela śledczego fachu, Stanisława Tichonowa...

– Nie wiem, możliwe. Jakoś się nad tym nie zastanawiałem.

– A więc nie. Lena nie będzie pana serdecznie wspominać. Będzie wspominać pana z najwyższym obrzydzeniem, jako faceta nudnego i w dodatku okrutnego.

– Noe Markowiczu, czyżbym naprawdę był facetem nudnym i okrutnym?

– Przecież pana nie interesuje, co ja o panu pomyślę za parę lat. A teraz, będąc znacznie starszym i doświadczonym, jak pan powiada, w ogóle, uważam, że przez zapórę pańskiego umysłu regularnie przelewają się fale młodzieńczej irytacji i nietolerancji. Niech pan postara się być nieco sympatyczniejszy. To panu nie zaszkodzi.

– Możliwe, możliwe – powiedziałem.

– Cóż więc pan myśli o portrecie? – zapytał Chalecki.

– Myślę, że gdzieś niedaleko powinien leżeć gwoździak, na którym wisiał.

– Ja też tak myślę – przytaknął Chalecki. – Złodziej nie zrzucił umyślnie portretu. Widocznie go tylko dotknął, a wtedy gwoździak wysunął się ze ściany i portret spadł...

– Może pan pozbierać odłamki? – zapytałem.

– Postaram się...

Chalecki zaczął rozpakowywać swą walizeczkę, którą z powodu jej nieograniczonej pojemności nazywaliśmy „arką Noego”. Przypomniałem mu:

– Najpierw proszę wziąć próbki krwi z podłogi.

Chalecki zerknął na mnie znad okularów.

– Nie omieszkam. Słyszałem już przy jakiejś okazji, że tego rodzaju materiał może być ważny w dochodzeniu...

– Niech pani tak nie stoi, proszę usiąść na tym krześle – powiedziałem do sąsiadki Polakowa.

Kobieta, oszołomiona całym wydarzeniem czy też niewłaściwym wyobrażeniem o mojej ważności, zachowywała się jak nieprzytomna. Nieustannie gładziła drżącą ręką swoje szare rzadkie włosy i bez przerwy powtarzała:

– Nie szkodzi, nie szkodzi, postoiemy... To żadna robota, a ja nie jestem wielką figurą...

– To ja nie jestem wielką figurą, roboty zaś mam dużo – powiedziałem do niej. – Niechaj więc pani siada, bo musimy sobie porozmawiać.

Kobieta usiadła na brzeżku krzesła, otulając się szczelniej wypłowiałym bawełnianym szlafrokiem. Spostrzegłem, że cała się trzęsie. Była bez pończoch i wbrew swojej woli gapilem się na jej opuchnięte nogi, pokryte węzłami niebieskich żył.

– Ma pani chore nogi? – zapytałem.

– Nie, nie, skąd! – odpowiedziała z przest్రachem. – To znaczy tak. Żyłki mi dokuczają, zupełnie nie mogę chodzić.

– Powinna pani brać cocarboxylazę. To jest na serce, ale pomaga i na nogi. Takie nowe lekarstwo, pomaga też na nerwy.

Popatrzyła na mnie przerażonymi wodnistymi oczami i powiedziała:

– Najlepsze lekarstwo dla mnie to okład z piasku. Na cmentarzu żadnych nerwów już nie będzie...

Machnąłem ręką.

– To lekarstwo nikogo nie minie. Ale dlaczego pani się tak denerwuje?

Patrzyła w okno, bezdźwięcznie poruszając wargami, a potem ledwie słyszalnie, z westchnieniem powiedziała:

– A jak mam się nie denerwować, kiedy klucze od mieszkania tylko ja miałam?...

– Dlaczego właśnie pani?

– Nadieżda Aleksandrowna, małżonka Lwa Osipycza, zawsze mi zostawiała klucze. On jest bardzo roztargniony i ciągle je zostawiał albo na dacy, albo w robocie, a potem stał pod drzwiami. Poza tym pomagam Nadieżdzie Aleksandrownie przy gospodarstwie...

– Gdzie są teraz te klucze?

Kobieta wyjęła z kieszonki trzy klucze zawieszane na breloczku w kształcie koła samochodowego.

– Nikomu pani kluczy nie dawała?

Kobieta zbladła jeszcze bardziej.

– Pytam panią, czy nie dawała pani komuś kluczy, choćby na krótko.

– Nie, nie dawałam – odpowiedziała i ciężkie szare łzy popłynęły po jej gąbczastej twarzy.

– Nie chce mi pani powiedzieć, kto miał w rękach klucze? – zapytałem, a ona gwałtownie pokręciła głową i powiedziała ochryple, patrząc na mnie ślepymi oczami:

– Jestem uczciwym człowiekiem! Pracowałam przez całe życie i przez całe życie nie wzięłam cudzego grosza... Niech pan spojrzysz na moje ręce, na moje nogi... A przecież mam dopiero czterdzieści siedem lat!

– Ani mi w głowie panią podejrzewać, ale zamki są nienaruszone, więc mieszkanie musiało być otwarte kluczem. Dlatego chcę wyjaśnić, kto mógł mieć do nich dostęp...

– Ja tam nic nie wiem. Klucze były u mnie w domu.

– Nie chce pani mówić, to nie będę zmuszał. Jewdokio Pietrowna, pani mieszka piętro niżej?

– Tak.



– Z kim?  
– Z mężem. Syn dwa miesiące temu poszedł do wojska, a córka wyszła za mąż i wyprowadziła się.  
– W jaki sposób spostrzegła pani kradzież?  
Z sypialni wyszła Ławrowa.  
– Lenoczko, mogę panią prosić na moment?  
Szybko nagryzmołem na kawałku papieru: „Sprawdzić w komisariacie, kto to jest Sergiusz Siemionowicz Obolnikow”. Ławrowa kiwnęła głową i poszła do gabinetu.  
– No więc, jak to było, Jewdokio Pietrowna?  
– Weszłam na górę i zobaczyłam, że drzwi są otwarte.  
– Przepraszam, a po co tu pani wchodziła?  
Kobieta nerwowo szarpała pasek szlafroka.  
– No... jak to po co... sprawdzić... czy wszystko tu w porządku...  
– Gospodarze panią o to prosili?  
– Nie... To znaczy tak, czasem mnie o to proszą. Kiedy wyjeżdżają...  
– I teraz też prosili?  
– Tak... Nie pamiętam, ale chyba prosili...  
– A czym zajmuje się pani mąż, Sergiusz Siemionowicz?  
– Jeździ na taksówce.  
– Gdzie on teraz jest?  
– W szpitalu.  
– A co mu się przydarzyło?  
Krew uderzyła jej do twarzy i szare policzki pokryły się jaskrawymi niezdrowymi plamami.  
– On jest alkoholikiem. Wzięli go do kliniki odwykowej – powiedziała wolno kobieta i każde słowo padało z jej ust jak brukowiec.  
– Kiedy go wzięli?  
– Wczoraj. Miał atak.  
Odłożyłem długopis i spróbowałem pochwycić jej

wzrok, ale chociaż niby na mnie patrzyła, to wydawało się, że zupełnie mnie nie widzi.

– Atak? – zapytałem powoli. – W tej chorobie to się inaczej nazywa. Kiedy on zaczął pić?

– W piątek, przedwczoraj. – Kobieta już nie płakała, mówiła wolno, zmęczonym obojętnym głosem.

Weszła Ławrowa, położyła przede mną kartkę, na której jej pensjonarskim pismem było napisane: „Zdecydowanie negatywna charakterystyka. Pijak. Bije żonę, a dawniej również dzieci, dwukrotnie karany za chuligaństwo, ma podejrzanę znajomości. Jest kierowcą taksówki, a przedtem był ślusarzem narzędziowym”.

– Jewdokio Pietrowna, a czy przypadkiem klucze nie dostały się do rąk pani męża? – zapytałem.

Drgnęła, jak koń smagnięty batem, a jej ślepe oczy ożyły, zaczęły biegać po pokoju.

– On leży w szpitalu, przecież mówię, że w szpitalu – wymamrotała szybko i bezradnie i znów się rozplakała.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że Sergiusz Siemionowicz, drobny pijaczek i czuły tatuś, wiedział o kluczach, a nawet trzymał je w swoich trzęsących się rączkach...

– Jewdokio Pietrowna, wierzę, że jest pani uczciwą kobietą. Niech pani teraz wróci do domu i pomyśli o wszystkich moich pytaniach. I o Sergiuszu Siemionowiczu też niech pani pomyśli. Ja rozumiem, że to pani mąż, człowiek bliski, ale wszystko ma przecież swoje granice. Niech się pani zastanowi, czy on jest wart, żeby pani tak teraz przez niego cierpiała? A ja do pani później zejdę. Nie ma pani w domu telefonu?

– Nie – pokręciła obojętnie głową.

– No i bardzo dobrze, nikt nie będzie pani przeszkadzał w myśleniu. Wpadnę za jakieś dwie godziny.

Bezwolnym lunatycznym krokiem, przestawiając z trudem swoje opuchnięte, pokryte żyłakami nogi, kobieta

ruszyła ku drzwiom i już wychodząc z pokoju wyszeptała:

– Boże, co za wstyd!...

...Chalecki zdejmował na folię odciski palców z szafy. Odwrócił się do mnie.

– No i co?

– Trudno powiedzieć. W każdym razie klucze na pewno trzymał w ręku. Dawniej był ślusarzem...

– Myśli pan, że nadał robotę?

– Nie wiem. Ma stuprocentowe alibi. W tym sympatycznym szpitaliku reżim jest taki, że pacjentowi nie uda się wyskoczyć na noc do domu. Ale zająć się nim trzeba będzie poważnie. Liczę przy tym na żonę, ona mi dziś jeszcze z pewnością coś o nim opowie.

– Nie byłbym tego wcale taki pewien. Jeśli taka kobieta postanowi milczeć, to nie da się z niej wyciągnąć nawet słowa.

– Zobaczymy – powiedziałem i zawołałem Ławrową.

– Słucham? – rozległ się jej głos z gabinetu.

– Proszę przyjść tutaj, zajmiemy się protokołem.

Znów usiadłem przy stole, rozłożywszy przed sobą arkusze protokołu oględzin.

– Zechce pani dyktować, a ja będę pisał – powiedziałem.

– Proszę bardzo – zgodziła się Ławrowa, jakby nie było w tym nic dziwnego.

Chalecki w cienkich gumowych rękawiczkach klęczał na podłodze, starannie zbierał z podłogi odłamki szkła i układał je, jak mozaikę, w jedną całość. Na wyfroterowanym parkiecie widać było świeże ślady po zdrapanej krwi.

– Wypełnił pan nagłówek? – zapytała Ławrowa.

– Wypełniłem,

– Proszę pisać: „Mieszkanie znajduje się na czwartym piętrze i zajmuje całą kondygnację. Drzwi wejściowe obite są od wewnątrz białą blachą. Zamki nie mają uszkodzeń

zewnątrznych, rygle i zasuwki również nie noszą śladów uszkodzeń, ościeżnica na wysokości zamka jest lekko wgnieciona. Prawdopodobnie złodziej dostał się do mieszkania na pasówkę...”

– Tak, tego nie będziemy pisać.

– Dlaczego? – zdziwiła się Ławrowa.

– Do protokołu wpisuje się tylko fakty – powiedziałem.

– A wniosek o dopasowaniu kluczy jest na razie tylko naszym pobożnym życzeniem... Proszę dalej.

– „... Na podłodze w przedpokoju znaleziono trzy spalone zapalki... Tam również leży adapter, a obok niego, z lewej strony, nowe czarne męskie półbuty... Na dolnej półce serwantki leżą w bezładzie duże medale z napisami po angielsku, francusku, niemiecku i japońsku – razem jedenaste sztuk – wszystkie opatrzone nazwiskiem artysty ludowego ZSRR Lwa Osipowicza Polakowa. Okna są w porządku, futryny i ramy bez uszkodzeń, lufciki zamknięte i zabezpieczone ryglami... Z lewej strony na szafce odbiornik radiowy, na którym stoi popiersie Polakowa dłuta Manizera...”

– Zapomina pani o tacy na kółkach – powiedziałem nie unosząc głowy.

– To się nazywa stolik barowy.

– Tym bardziej trzeba go odnotować w protokole – uśmiechnąłem się.

– Jeszcze nie przyszła jego kolej...

– Chwileczkę. Noe Markowiczu, kiedy u pana przyjdzie kolej na stolik barowy, zechce pan dokładnie sprawdzić, czy nie ma na nim odcisków palców.

– „... W sypialni ścienna szafa ubraniowa, otwarta. Odzież leży w bezładzie na podłodze. Tam również poniewierają się na podłodze buty, damskie torebki, miękka zagraniczna walizka z rozciętym wiekiem... Na fotelu leży trójramienny świecznik ze świecami wypalonymi więcej

niż do połowy... Na podłodze znajduje się osiem arkuszy spalonego papieru, popiół mocno uszkodzony. Obok poniewierają się przybory do instrumentów smyczkowych... W sypialni rozrzucona jest odzież i bielizna, a na podłodze leży dwanaście pudełek po wyrobach jubilerskich..."

Ławrowa położyła na stole złoty metalowy krążek.

– To jest złota płyta z najlepszymi wykonaniami Polakowa, nagrana w Paryżu...

– Doskonale – powiedziałem. – Zrobimy przerwę? Odpocznijmy teraz trochę, potem zakończymy protokół ogólny i wtedy sporządzimy odrębne protokoły dla każdego pokoju.

– Po co to?

– Czysta asekuracja. Jeśli nie poradzimy sobie z tą sprawą, to przynajmniej musimy sporządzić taki protokół, że nawet po dziesięciu latach ktoś, kto weźmie to do ręki, będzie mógł wyobrazić sobie to mieszkanie równie wyraźnie, jak my je teraz widzimy.

– Skąd ten pesymizm, Stanisławie Pawłowiczu?

– To nie pesymizm, Lenoczko, tylko rozumna ostrożność. W naszej robocie wszystko może się zdarzyć.

– A co z pańską ukochaną sentencją, że nie ma zbrodni doskonałej?

– Nadal obowiązuje. Jeśli my nie wykryjemy sprawcy, na nasze miejsce przyjdzie inny człowiek: zdolniejszy, pracowitszy albo w końcu mający więcej szczęścia, co też nie jest bez znaczenia.

– A jeśli i jemu się nie uda?

– Wtedy pewnie polecą nasze głowy.

– A to niby dlaczego? Wobec prawa wszyscy poszkodowani są równi, niezależnie od ich pozycji służbowej lub społecznej. Wydaje mi się, że to właśnie od pana to sły-  
szałam.

Roześmiałem się.

– Wcale nie zamierzam wypierać się swoich słów. Byłoby jednak niedobrze, gdybyśmy pozwolili bandziornom bezkarnie grzebać w mieszkaniach naszych geniuszy muzycznych.

– Rozumiem. A w mieszkaniu zwyczajnego inżyniera można?

Przyjrzałem jej się z zainteresowaniem, a potem powiedziałem:

– Ech, Lenoczko, gdybym to ja był taki beztroski!

– Tego rodzaju złośliwość nie może być argumentem w dyskusji – odparowała spokojnie Ławrowa.

– Ma pani rację, nie może. Proszę mi powiedzieć, czy pani nigdy nie przychodziło do głowy, że nasza praca w jakiś sposób przypomina grę w szachy?

– Bo co?

– A to mianowicie, że nie można grać w szachy, jeśli widzi się tylko następny ruch. W szachach zwycięża ten, kto potrafi zaplanować wiele ruchów naprzód i z żelazną logiką narzucić przeciwnikowi własną koncepcję gry...

– Jaka jest ta pańska koncepcja?

– Niestety, w naszych partiach przeciwnik zawsze gra białymi i pierwszy ruch należy do niego. W dodatku, wbrew regułom, udaje mu się wykonać kilka ruchów naraz.

– A jaki to ma związek z naszą dyskusją?

Zamyśliłem się, jakbym zupełnie o niej zapomniał, a potem zapytałem:

– Nie rozumie pani? Zaraz przyjdzie tu właściciel mieszkania, artysta ludowy ZSRR, laureat wszystkich istniejących nagród, profesor konserwatorium, Lew Osipowicz Polakow. Jest on, jak pani wiadomo, genialnym skrzypkiem. Teraz w dodatku stał się poszkodowanym. Przyjdzie

i złoży nam oświadczenie, które stanie się dokumentem zwanym kartą numer dwa naszej sprawy. Wtedy właśnie możemy się dowiedzieć, że istnieje jeszcze jeden uszkodzony... Tego obawiam się najbardziej...

– Kim jest ten uszkodzony?

Trzasnęły drzwi wejściowe. Odwróciłem się. W pokoju stał Polakow.

## Rozdział drugi

### Geniusz

Jaskrawe słońce kłuło w oczy, więc cała Cremona, odgrodziwszy się od palących promieni rzeźbionymi żaluzjami, zapadła w południową drzemkę. Gorący oddech dnia przenikał nawet tutaj, na osłonięty pędami winorośli wewnętrzny dziedziniec, kamienne płyty posadzki nagrzały się i tchnęły zarem. Odrobinę chłodu dawała jedynie perlająca się kropelkami wody mała fontanna pośrodku dziedzińca, Antonio jednak nie ośmielił się poprosić o kubek. Wielki mistrz, senny i syty, siedział przed nim w drewnianym fotelu, bosy, ubrany w jedwabny turecki szlafrok, przewiązany złotym sznurem – i cierpiał. Męczyła go zgaga.

– Nie wolno jeść przed snem takiej ostrej pizzy – powiedział ze smutkiem mistrz Niccolo.

– Tak, oczywiście, to szkodzi na trawienie – zgodził się skwapliwie Antonio, który od rana nie miał nic w ustach.

Mistrz Niccolo milczał tak długo, że Antonio nie wiedział w końcu, czy gospodarz nie usnął – i tylko niecierpliwie dreptał w miejscu na swoich długich i chudych nogach.

Na dziedzińcu rozlegał się jedynie cichy szelest wody w fontannie i skrzypienie jego ciężkich kozłowych buciorów. Na różowej łysinie mistrza błyszczały okrągłe kropelki potu.

– Czego ty chcesz, bogactwa czy sławy? – zapytał wreszcie mistrz.

– Pragnę wiedzy. Chcę poznać mądrość twoich rąk, panie, bystrość oka, wrażliwość ucha, pragnę poznać tajemnicę dźwięku.

– Myślisz, że można poznać i podporządkować sobie dźwięk? I na życzenie wydobywać go z instrumentu, jak tresowanego świstaka?

Antonio oblizwał suche wargi.

– Jestem tego pewien. I ty, panie, potrafisz to robić.

Mistrz roześmiał się.

– Głupcze! Od stu lat my wszyscy: mój dziad Andrea, wuj Antonio, mój ojciec Girolamo i ja sam, Niccolo Amati, usiłujemy się tego nauczyć. Ale potrafi to jedynie chyba tylko sam Pan Bóg, który każdego, kto zbliży się do tej umiejętności, pokarze swą boską ręką, jak wygnał z raju Adama za zjedzenie owocu z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Jeśli przewyższysz mnie w swej umiejętności, to przybliżysz ku sobie karę bożą. Nie przeraża cię to?

Antonio pomyślał chwilę, a potem pokręcił głową.

– Szukajcie, a znajdziecie, powiedziane jest w Piśmie Świętym. Gdybym wiedział, że jesteś, panie, diabłem, który wcielił się w wielkiego mistrza, również bym się nie cofnął.

Starzec ożywił się.

– A więc i ty już słyszałeś, że Niccolo Amati ma konszachty z nieczystą siłą? Nie lękasz się wiecznego potępienia?

– Nie ma piekła gorszego nad ogień nie zaspokojonych żądz i niewiedzy...

– Jesteś chciwy i odważny. To dobrze. Chcesz jed-

nak mojej mądrości i mojego kunsztu. Co dasz mi w zamian?

– Czyż drzewo oliwne pyta o to swą młodą gałąź, na której jeszcze nie dojrzały owoce?

– Ale ty nie jesteś gałęzią drzewa mojego żywota – zmarszczył surowo swoje siwe brwi Amati.

– Jesteś bogaty i sławny, wielki mistrzu. Bogactwo i sława szczodrze napoiły konary drzewa twojego żywota, panie. Ale gałęzie nie dały owoców. Ród Amatich od stu lat szuka tajemnicy dźwięku...

– Mój syn Girolamo będzie kontynuował moje dzieło. Ja sam jeszcze ręce mam sprawne i oczy bystre.

– Girolamo, jestem tego pewien, umocni chwałę twojego domu, panie. Ale to jeszcze dziecko. Takiego bogactwa nie wolno zresztą przechowywać w jednym miejscu. Rozsądniej byłoby je rozdzielić...

– Byłeś już snycerzem i muzykantem. Dlaczego mam wierzyć, że i tym razem się nie rozmyślisz, że nie znudzi cię zawód lutnika?

– To były nieodzowne szczeble do ogrodu twojej wiedzy, panie. Nie mam większego i silniejszego pragnienia, niż praca u ciebie.

– A co ty umiesz?

– Uczyć się...

Antonio Stradivarius został uczniem Niccola Amatego bez zapłaty, za wikt i mieszkanie..

Polakowa poznałem od razu. Tysiące razy widziałem go w telewizji, na kronikach filmowych, jego portrety spotykałem w gazetach i na afiszach, poza tym wiedziałem, że powinien zjawić się łađa chwila, wiedziałem też doskonale, kim on jest. A my byliśmy dla niego nieznanymi przybyszami, postronnymi, obcymi ludźmi. którzy nie wiadomo

czemu rządzą się w jego domu, gdzie wszystko jest przewrócone do góry nogami, rozrzucone i zaśmiecone aż do samych drzwi, przy których, jak zwiastun nieszczęścia, stoi milicjant w mundurze.

Od tego wszystkiego na twarzy Polakowa zastygło pełne irytacji zdziwienie, chociaż w oczach tliła się jeszcze nadzieja, że to tylko czyjś idiotyczny żart, że nie było żadnej kradzieży, nie było telefonu z milicji na dachę z prośbą o natychmiastowe zjawienie się w mieszkaniu, albo że na odwrót, był telefon, ale że to jakiś kretyn postanowił zrobić mu dowcip, zepsuć niedzielny ranek wyrwany wreszcie z obłądnego potoku codziennej krzątaniny i wyczerpującej pracy, nie pozwalającej na chwilę samotności, na niespieszny spacer po mroźnym, rozświetlonym lesie.

I tak staliśmy w milczeniu, twarzą w twarz, nie wiedząc, co należy w takiej sytuacji powiedzieć, a Polakow uśmiechał się krzywym, żalonym uśmiechem, który był dla mnie torturą. Bo tylko my dwaj znaleźliśmy teraz ogrom nieszczęścia, jakie go dotknęło. Dopóki rozmawiałem z Ławrową, starannie odpędzałem od siebie tę myśl. A teraz, patrząc na jego żalony uśmiech, zrozumiałem, że stało się właśnie to. Tak bezmyślnie i strasznie uśmiechają się ludzie, którzy przed chwilą dowiedzieli się o stracie kogoś bliskiego. Polakow obliznął zeschnięte wargi i zapytał ochryple:

– Skrzypce?! Z szafy?...

– ... Niech pan spróbuje sobie przypomnieć, co jeszcze zginęło z mieszkania...

Siedział w głębokim fotelu z wysoko uniesionymi kolanami, które rysowały się wyraźnie pod szarą tkaniną spodni i trzymał się rękami za głowę, co sprawiało wraże-

nie, jakby zdobiły ją dwie białe gałązki. Nie słyszał mnie. Potem uniósł głowę i powiedział:

– Tak, tak, oczywiście... Przepraszam, co pan powiedział?

– Chcę, aby pan wyliczył przedmioty, które zginęły z domu.

Polakow wzruszył ramionami.

– Trudno mi tak od razu... Żona przyjedzie później i pewnie będzie umiała wszystko panu dokładnie powiedzieć. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Zginęły skrzypce...

Moje skrzypce zginęły!... – powiedział zdławionym głosem. Przypominał teraz smętnie nastroszonego, chorego ptaka.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc zapytałem niepewnie:

– Pewnie pan przyzwyczał się do tego instrumentu?

Uniósł głowę i popatrzył na mnie z takim zdumieniem, jakbym powiedział coś nieprzyzwoitego.

– Przyzwyczailem się? – powtórzył. – Przyzwyczailem się? Czy człowiek może przyzwycząć się do swoich rąk, oczu lub uszu? Czy ludzie przyzwyczajają się do swoich dzieci albo rodziców?...

Chcąc wybrnąć z niezręcznej sytuacji, palnąłem następne głupstwo:

– Tak, to widocznie jest rzadki instrument...

Polakow wstał tak gwałtownie, jakby z fotela wystrzeliła go sprężyna. Szybko przeciął pokój, z szuflady biurka wyjął kopertę i otworzył ją.

– To jest certyfikat moich skrzypiec. Młody człowieku, pozwoli pan, że zadam mu jedno pytanie?...

Kiwnąłem głową.

– Jest pan oficerem dyżurnym, czy też poprowadzi pan tę sprawę do końca?

– Jestem starszym inspektorem wydziału kryminalnego

i będę prowadził dochodzenie w sprawie kradzieży popełnionej w pańskim mieszkaniu. Nazywam się Tichonow.

Polakow spacerował chwilę w zadumie, a potem gwałtownie odwrócił się w moją stronę.

– Zanim rozpocznie pan śledztwo, chciałbym z panem porozmawiać. Jestem pewien, że powiem mnóstwo banałów, jak każdy laik w mojej/sytuacji. Chciałbym pana mimo wszystko prosić o jedno: proszę zrobić wszystko, co w pańskiej mocy, by odnaleźć skrzypce. Widzę już, że skradziono dużą kwotę pieniędzy i wiele rzeczy, ale przysięgam, że gdyby zażądano ode mnie całego dobytku w zamian za instrument, byłbym szczęśliwy...

Przycisnął do piersi kartę identyfikacyjną skrzypiec i powiedział:

– Wiem, że mogę wydać się śmieszny, ale dla mnie jest bardzo ważne, żeby zrozumiał pan ogrom nieszczęścia. Chodzi o to, że skrzypce są w tym domu jedynym przedmiotem, który nie należy do mnie...

– To znaczy? – zapytała Ławrowa, która niezauważalnie pojawiła się w pokoju.

– Moje skrzypce są własnością całego narodu. Posiadanie ich przez jednego człowieka jest tak samo nie do pomyślenia, jak posiadanie na własność kremlowskiej Car Puszki. Skrzypce, na których gram... – zająknął się i boleśnie wykrzywił wargi – na których grałem, należą do całego narodu, są własnością państwa...

Polakow wyjął z kieszeni metalową fiolkę, trzęsącymi się rękami zdjął zakrętkę i wyjął białą tabletkę. Wsunął ją pod język. Zapachniało miętą. To był validol.

– Te skrzypce – powiedział z ciężkim westchnieniem – liczą sobie dwieście czterdzieści osiem lat. Przez ostatnie trzydzieści sześć lat ja na nich grałem. Proszę spojrzeć – podał mi certyfikat instrumentu.

Nie mógł się jednak doczekać, kiedy go przeczytam, więc zaczął znów gorączkowo mówić:

– To stradivarius z najlepszego okresu. Jedno z najwspanialszych dzieł mistrza. Stworzył je w roku tysiąc siedemset dwudziestym drugim i ochrzcił „Santa Maria”. Wewnątrz jest jego znak – rok, krzyż maltański i podpis „Antonius Stradivarius”. Skrzypce są ciemnoczerwone i mają rzeźbiony gryf. Instrument do celów ubezpieczeniowych został formalnie wyceniony, ale to tylko wartość symboliczna, bo skrzypce są bezcenne. Mają zupełnie unikalny, po prostu niepowtarzalny dźwięk...

Polakow opadł na fotel i znów stał się podobny do chorego ptaka.

Zapadło długie, przykre milczenie. Potem z przedpokoju wszedł Chalecki, trzymając w rękach wymontowane zamki od drzwi wejściowych.

– Będzie pan musiał dzisiaj nocować przy drzwiach zamkniętych na łańcuch – powiedział do Polakowa. – Zamki musimy zabrać do zbadania. Zwrócimy je jutro.

Polakow kiwnął głową.

Zwróciłem się do niego suchym tonem, żeby w ten sposób wyprowadzić go z transu:

– Zrobimy wszystko, żeby odnaleźć przestępcę, ale pan musi nam w tym pomóc...

Polakow rozłożył ręce.

– A w czym ja mogę pomóc?

Siedział w fotelu, zupełnie zmiażdżony swoim nieszczęściem, i przez chwilę wydało mi się, że ten chory ptak to nie żaden geniusz i wielki maestro, tylko zwyczajny, najzwyczajniejszy w świecie uszkodzony. Powiedziałem surowo:

– Lwie Osipowiczu, proszę wziąć się w garść! Nie wolno tak! Bez pańskiej pomocy nie zdołam odnaleźć złodzieja.

Polakow popatrzył na mnie bardzo smutnym wzrokiem,

a ja pomyślałem, że nie wolno mi patrzeć mu w oczy, oczy cierpiącego geniusza. Ten geniusz jest silniejszy ode mnie i jeśli pozwolę mu na przejęcie inicjatywy emocjonalnej, to nie zdołam zmusić go do udzielenia mi pomocy. Powiedziałem więc:

– To jest s z c z e g ó l n a kradzież, dlatego musi mój pan pomagać. A pańska pomoc winna teraz polegać na myśleniu. Musi pan odrzucić wszelkie emocje i zmobilizować pamięć, zdolność do spokojnej i metodycznej analizy. Wtedy uczynimy pierwszy krok ku odzyskaniu skrzypiec...

– Sądzi pan, że uda się schwytać złodzieja? – zapytał Polakow.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko niego.

– Mam mówić szczerze?

– Naturalnie.

– Wobec tego proszę posłuchać. Wszyscy wiemy, że nie istnieją prawdziwe tajemnice, że nie ma takiej tajemnicy, która kiedyś nie stałaby się jawną. Ale gdy przyjeżdżam na miejsce przestępstwa, często ogarnia mnie dojmujące uczucie bezsilności. Dokoła tłoczą się gapie, poszkodowani, świadkowie – i wszyscy spodziewają się, że rozejrzę się dokoła swoim fachowym okiem i jak magik wyciągnę złodzieja z rękawa. A ja przecież w owej chwili wiem tyle samo, co i oni, mnie tak samo trudno wyobrazić sobie nieznaną, jak i tym wszystkim, którzy stoją dokoła i czekają na cud, ale cudów też nie ma. Dlatego zaczynam wolno, metodycznie myśleć i szukać, zapamiętywać wszystko, co mi mówią, porównywać, oceniać, aż wreszcie zaczyna wyłaniać się prawda. Do wykrycia tej prawdy niepotrzebne są żadne cuda, tylko spokój, cierpliwość i praca. Właśnie tak zamierzam szukać pańskiego stradivariusa i chcę, żeby pan przypomniał sobie możliwie dokładnie, co zginęło z mieszkania.

– Przecież już panu powiedziałem. Że teraz nie ma to żadnego znaczenia...

– Ma – przerwałem mu. – Pańskiego stradivariusa nie da się zanieść na bazar, a na przykład złoty zegarek jakiś przyjezdny sprzedawca mimozy chętnie od złodzieja kupi...

Polakow przespacerował się po pokoju. Moje wywnętrzanie się nie tyle go uspokoiło, ile pozwoliło na moment oderwać się od czarnych myśli.

– Skradziono pieniądze – powiedział odchrząknawszy, jakby zamierzał deklamować.

I w ogóle teraz, kiedy trochę zapomniał o kradzieży skrzypiec i zaczął wyliczać, jakie osobiste rzeczy zginęły mu z mieszkania, wyczuwało się w nim pewne skrepowanie, jak gdyby wstydził się tego, że został okradziony. Już dawno zauważyłem tę reakcję okradzionych ludzi, którzy na domiar złego stają się przedmiotem plotek i współczucia.

Polakow wyliczał skradzione rzeczy, a Ławrowa wpisywała je do protokołu:

– „Ordery... złoty klucz do bram Strasburga... odbiornik tranzystorowy, łańcuch honorowy Tokijskiej Orkiestry Filharmonicznej... magnetofon marki Philips... dwie walizki...”

Potem siedliśmy przy biurku i zaczęliśmy wypełniać długi, poliniowany przeze mnie arkusz papieru, listę ludzi bywających w domu Polakowa. Przy każdym kolejnym nazwisku Polakow zrywał się z krzesła, chwycił się chudymi rękami za pierś i wykrzykiwał z oburzeniem:

– Jak pan w ogóle może posądzać tego człowieka?

– Ja na razie nikogo nie posądzam – odpowiadałem melancholijnie. – Ja na razie tylko zapisuję, a potem się zobaczy...

– A teraz wróćmy znów do ślusarza – powiedziałem do Polakowa. – Mówił pan, że zepsuł się górny zamek od drzwi wejściowych...

– Tak. Było to około dwóch tygodni temu. Powiedziałem żonie przy śniadaniu, że trzeba sprowadzić ślusarza, bo nie można domknąć drzwi. Wtedy akurat przyszedł hydraulik z administracji, żeby sprawdzić krany w kuchni i łazience. Sam mu otwierałem drzwi. Kiedy skończył pracę, zapytałem go, czy zna się na zamkach. Zgodził się je obejrzeć. Coś tam robił z piętnaście minut, wszystko naprawił i wyszedł.

– Dawał mu pan klucze?

– Naturalnie. Przecież musiał sprawdzić, czy zamek już dobrze działa. – Polakowa irytowała moja tępota.

Ale ja nie dawałem zbić się z tropu.

– Dał mu pan tylko klucz od zepsutego zamka?

– Ależ skąd! Po co miałbym go zdejmować z kółka? Dałem mu wszystkie... A poza tym on przecież nigdzie nie wychodził.

– Ślusarz naprawiał zamek przy panu?

Polakow wzruszył z irytacją ramionami.

– Nie pamiętam! Ale z pewnością nie stałem człowiekowi nad głową! – Zamyślił się na chwilę i dodał: – Nawet jestem pewien, że nie stałem, bo zadzwonili do mnie ze szkoły dla dzieci chorych na gruźlicę i prosili, żebym u nich zagrał...

Zapisałem parę słów w notesie i zapytałem:

– I co im pan odpowiedział?

Prawdopodobnie Polakow wciąż nie mógł się zdecydować, z kim w mojej osobie ma do czynienia: z idiotą czy też z facetem bardzo źle wychowanym, bo odburknął:

– Wytłumaczyłem, że jestem bardzo zajęty, ale dla nich postaram się wykroić godzinę, bo bardzo mnie prosili.



– No dobrze – powiedziałem i pokazałem mu krótki oksydowany łom, który Chalecki znalazł w szczelinie między oparciem a siedzeniem fotela. – Jest pan pewien, że tego przedmiotu poprzednio w pańskim domu nie było?

– Czy ja wiem... A jednak wydaje mi się, że nie było – powiedział.

Pomyślałem, że nie ma w tym nic dziwnego: po co skrzypkowi złodziejska „łyżka”? „Łyżka” była znakomitej jakości, poręczna i wygodna w użyciu. Na czarnym metalu wyraźnie wybity był znak firmowy – dwie krótkie błyskawice. Widocznie złodziej w ciemności położył łom na fotelu i zgubił.

– To nie pan zapalał świece w świeczniku, prawda?

Polakow pokręcił głową.

– Nie, traktowaliśmy je jako miłą pamiątkę. Te świece ofiarowano mi... – Machnął ręką.

Złodziej „pracował” najpierw przy jednej świecy, a potem widocznie chciał spalić papiery i zapalił dwie pozostałe, które dlatego były wypalone znacznie mniej niż pierwsza.

Weszła Ławrowa z telegramem w ręku.

– Lwie Osipowiczu, w skrzynce pocztowej leżał telegram do pana.

Polakow zerwał naklejkę, szybko przebiegł oczami tekst, jeszcze raz przeczytał i podał mi blankiet.

– Nic nie rozumiem!... Jakiś Taratuta...

Telegram brzmiał: „Nagrania pańskich utworów wysyłam przesyłką wartościową. Taratuta”. Uwaga dla doręczyciela: „W razie nieobecności adresata zostawić w skrzynce pocztowej”. Telegram został wysłany wczoraj o 9.15, doręczony o 17.45.

– Nie zna pan tego Taratuty?

– Nie mam pojęcia, kto to taki, pierwszy raz słyszę. Nie

oczekuję też na żadne nagrania, bo już dawno nie nagrywałem.

– Lwie Osipowiczu, proszę mi powiedzieć, w jakich jest pan stosunkach z sąsiadami, Obolnikowami?

– Z Obolnikowami? Chyba w dobrych. Nie wiem. Trzeba zapytać żonę. Wydaje mi się, że Jewdokia Pietrowna pomaga jej w gospodarstwie. Tak, pewnie w dobrych, bo żona zostawia u nich klucze dla mnie.

– Czy pod pańską nieobecność nie przychodzą do tego mieszkania?

– A po co? Chyba nie. Sądzę, że nie przychodzą.

– Dobrze, będziemy kończyć. Proszę mi powiedzieć, czy ten ślusarz był z tutejszej administracji?

– Tak, wydaje mi się, że coś takiego mówił. Ale na wszelki wypadek zapisałem chyba w książce numer jego telefonu. Bardzo mi się spodobało, jak on pracował. Zaraz przyniosę z przedpokoju książkę telefoniczną...

Wyszedł z pokoju i po chwili usłyszałem jego zdumiony okrzyk:

– Proszę pana, tu nie wiadomo czemu brakuje kartek!

Wstałem, ale on już szedł do mnie, podając podartą książkę. Zerknąłem na kartki, spalone, rozdeptane, które pieczołowicie zbierał z podłogi Chalecki, i dostrzegłem wyraźnie liniaturę rysującą się na popiele.

– Tutaj są brakujące kartki z notatnika – pokazałem. – Na jaką literę pan go zapisał?

– Na „S”. Ślusarz, wujaszek Pasza – powiedział Polakow. Cała ta historia wydawała mu się nieznośnie zawikłana.

Przerzuciłem notatnik: kartki od „P” do „U” były wyrwane. Chalecki wyprostował się, potarł zdrętwiałe plecy i nieoczekiwanie powiedział:

– Siła moja tkwi w niemocy mojej...

- Taaak? – zapytał niepewnie Polakow.
- Prawdopodobnie – uśmiechnął się Chalecki. – Tak przynajmniej utrzymuje Biblia, a my to spróbujemy sprawdzić. W tym celu będę musiał wziąć od pana odciski palców...
- Po co? – zapytał ze zdziwieniem i przestraszeniem Polakow.
- Po pierwsze, będę jedynym posiadaczem takiego pańskiego faksymile, a po wtóre i najważniejsze, muszę odróżnić je od innych odcisków, zdjętych tu przeze mnie i należących, być może, do złodzieja.

Komisarz wziął do ręki raport i zaczął czytać go na głos, daleko odsuwając od oczu, jak to robią wszyscy dalekowidze bez okularów.

- „... Pies służbowy Marcel zaczął pracę o godzinie 9.21, wziął ślad, wyszedł z gabinetu na korytarz, zszedł na dół, przeciął podwórko, wyszedł na ulicę i około pięćdziesięciu metrów w prawo stracił ślad na jezdni...” – odłożył raport na biurko i powiedział: – Niewiele tego. Pamiętam, że jakieś dwadzieścia lat temu milicjanci nosili jeszcze idiotyczne szable i akselbanty. Zaczynam się też obawiać, czy nasze pieski nie stają się taką samą bezużyteczną ozdobą munduru? A ty, Kaczanow, co o tym sądzisz?

Kaczanow poczerwieniał ze złości i powiedział:

- Pozwolę sobie zameldować, towarzyszu komisarzu, że mój Marcel nie jest żadną ozdobą. Bądź co bądź zatrzymał dwunastu przestępców. A różne tam szable i akselbanty to nie na jego psią głowę...

Szef wydziału kryminalnego roześmiał się.

- Kaczanow, nie złość się. Przecież to nie tobie i twojemu Marcelowi robię wyrzuty. Mam pretensję raczej do naszych funkcjonariuszy.

Kaczanow, czując, że burza już minęła, postanowił dorzucić jeszcze parę słów:

- O tym właśnie mówię, towarzyszu komisarzu. Na psa, jak na każde bydłatko, najłatwiej wszystko zwalić. A przez taki szmat czasu ulicą przeszło tylu ludzi, jak na jakim pochodzie...

– ... Pomysły, idee, plany? – powiedział komisarz. – Miałem już w tej sprawie telefony z naszego ministerstwa, z Ministerstwa Kultury i z Kolekcji Unikatowych Instrumentów Muzycznych. Do wieczora, jak sądzę, poziom telefonów znacznie się podniesie.

Doskonale go rozumiałem, będzie musiał tłumaczyć się na wszystkie strony. Otwierałem już usta, żeby wyrazić mu swoje współczucie, kiedy rozległ się dzwonek telefonu i komisarz podniósł słuchawkę.

- Tak, to ja. Dzień dobry. Tak jest, naturalnie. Akurat w tej chwili mamy naradę w tej sprawie. Rozkaz. Sprawa będzie nadzorowana? Rozkaz. Przecież wszystkie nasze sprawy są szczególnie ważne. Doskonale wszystko rozumiem. Nie trzeba mi tego tłumaczyć, czasami i ja chodzę na koncerty. Rozkaz! Wieczorem zamelduję...

Ostrożnie odłożył słuchawkę, pomilczał chwilę, potem spojrzał na mnie.

- No wal, Tichonow. W twoich żelaznych dłoniach spoczywa los mojego zawału. – Uśmiechnął się, ale oczy miał niewesołe.

– Po oględzinach miejsca przestępstwa oraz przesłuchaniu poszkodowanego i jego sąsiadki doszedłem do następujących wniosków. Kradzież została dokonana między dwudziestą czwartą a drugą w nocy przez jednego człowieka. Złodziej bywał w domu Polakowa, doskonale orientuje się w rozkładzie mieszkania...

– Proszę to wyjaśnić bardziej szczegółowo – rzucił szef, notując coś na kartce papieru.

– Z trzech szaf znajdujących się w mieszkaniu sforsowana została jedynie ta, w której przechowywano skrzypce. Jeśli to nie przypadek, musiał zrobić to ktoś, kto dobrze zna mieszkanie albo też złodziej posługiwał się dokładnym planem. Myślę, że włamania dokonał jeden człowiek...

– Dlaczego?

– Przed bramą po zakończeniu robót drogowych, jak zawsze, został nie zaasfaltowany fragment chodnika, w którym zebrało się rzadkie błoto. Wejście do bramy suchą nogą jest praktycznie niemożliwe. Sześć śladów zabłoconych butów na parkiecie należy do tego samego człowieka. Z tego wnoszę, że w mieszkaniu był tylko jeden człowiek. Poza tym zadzwoniłem do Instytutu Hydrometeorologicznego, gdzie uzyskałem oficjalną informację. Około północy w Moskwie zaczęło się gwałtowne ochłodzenie w związku z szybkim przesuwaniem się zimnego frontu atmosferycznego. W ciągu dwóch godzin temperatura spadła do minus jedenastu stopni.

– Co z tego wynika? – zainteresował się komisarz.

– Meteorolodzy utrzymują kategorycznie, że o drugiej w nocy wszystkie kałuże z pewnością już zamarły. To znaczy, że można założyć, iż złodziej wszedł do mieszkania Polakowa przed drugą...

– Można – zgodził się komisarz. – A dlaczego po dwudziestej czwartej?...

– To już moja dedukcja. Sądząc z zacieków stearyny i śladów popiołu, złodziej palił w gabinecie Polakowa świece i palił nad nimi kartki z notatnika telefonicznego. Okna gabinetu wychodzą na Sadową, a naprzeciwko nich stoi latarnia uliczna z dwiema potężnymi rtęciówkami. Polakow mówił mi, że wieczorem oświetlają one gabinet

niczym reflektor przeciwlotniczy. Sądząc jednak z tego, że złodziej zapalił świece, musiał potrzebować światła, chociaż bał się włączyć żyrandol, aby nie zwrócić czyjejs uwagi. Sprzeczność między słowami Polakowa a postępowaniem złodzieja tłumaczy się bardzo prosto: o północy na lewej stronie Sadowej pali się co druga latarnia, przy czym rtęciówki naprzeciw okien Polakowa są akurat gaszone.

– Przyjmiemy to jako hipotezę roboczą – powiedział komisarz. – A pan, Noe Markowiczu, co może do tego dodać?

– Niewiele. – Chalecki zajrzał do swych notatek, jakby miał do wygłoszenia obszerny referat. – Przestępca nie chcący zrzucił ze ściany portret królowej belgijskiej i chciał widocznie złapać go w locie. Szkło jednak rozbiło się i złodziej bardzo się skaleczył, czego dowodzą liczne krople krwi na podłodze. Krew należy do stosunkowo rzadkiej grupy. Z odłamków udało mi się częściowo zrekonstruować szybkę i zdjąć z niej odcisk dłoni. Nie zdołałem wprawdzie sporządzić pełnej formuły daktyloskopijnej, ale uzyskany materiał może się nam przydać w przyszłości. Poza tym zjąłem jeszcze cały szereg pojedynczych odcisków, ale na ich temat na razie nie potrafię powiedzieć nic konkretnego. I wreszcie – popiół ze zwęglonych kartek notatnika telefonicznego Polakowa. Na jednej z nich był zapisany telefon ślusarza. Może z tego popiołu uda się coś wyciągnąć. To wszystko.

– Nie mam pytań – kiwnął głową komisarz. – Tichonow co ze ślusarzem?

– Dziś ma dzień wolny. Byłem już u niego w domu, ale zastałem tylko matkę. Sędziwa staruszka. Powiedziała, że jeszcze wczoraj pojechał z żoną do ciotki na wieś i powinien wrócić jutro rano...

– Adres ciotki na wsi? – zapytał sucho komisarz.

– To ciotka jego żony, więc matka nie zna adresu. A żona w Moskwie nie ma żadnych krewnych.

– Starannie przebadaj tę linię – zadysponował komisarz. – To wszystko?

– Nie. Jest tam jeszcze pewien sąsiad, który wzbudza moje podejrzenia. Alkoholik, poszedł na odwykówkę w przeddzień kradzieży. Miał jednak dostęp do kluczy od mieszkania, więc zamierzam się nim poważnie zająć. Mam też jeszcze jeden punkt zaczepienia: z mieszkania skradziono magnetofon marki Philips, ale zachowała się jego metryczka z numerem HB-182-974. Niedawno magnetofon został uszkodzony – włączono go do wysokiego napięcia i spalono uzwojenia silnika. Złodziej nie kupi nowego silnika w sklepie, bo Polakow utrzymuje, że nasze silniki do tego modelu nie pasują. Jedynym wyjściem z sytuacji jest przewinięcie silnika w odpowiednim warsztacie...

– Rozumiem – powiedział komisarz, zapisując coś w notesie – jutro zajmiemy się warsztatami. To wszystko?

– Na razie wszystko – odparłem rozkładając ręce.

– Generalne koncepcje? – zapytał szef wydziału kryminalnego.

Popatrzyliśmy na niego w milczeniu.

– Nie ma koncepcji – podsumował komisarz. – Albo są, tylko ze skromności je przemilczacie. Niedobrze. Bardzo niedobrze. – Komisarz nerwowo zabębnił palcami w biurko. – Toporna robota. Wszystko zostało zrobione prawidłowo, starannie i nawet jakby z polotem. Ale to zwyczajna partanina. Przecież wszystko, co mi tu powiedzieliście, jest pełne niesłychanych sprzeczności. A wy ich nie zauważacie lub też nie mówicie o nich, aby nie znaleźć się w głupiej sytuacji. To oburzające! Co za obrzydliwa tępota! Zastanówcie się, po co złodziej włamał się do mieszkania? Żeby je obrobić. Gdyby wywiózł z niego wszystko, łącznie z lo-

dówką, wcale by mnie to nie zdziwiło. Ale on wziął skrzypce! Ile skrzypiec było w domu Polakowa?

– Trzy instrumenty. Stradivarius, vuillaume i skrzypce anonimowej włoskiej roboty.

– Gdzie były?

– Vuillaume i anonimowe w szafie bibliotecznej, a stradivarius, oddzielnie, w zamkniętej na klucz szafie ściennej.

– Szafa biblioteczna była zamknięta?

– Nie.

– Dlaczego więc złodziej nie wziął skrzypiec leżących na widoku, tylko wyłamał drzwi szafy ściennej? Czemu nie mówisz, Tichonow? Bo nie masz nic do powiedzenia. A rzecz polega na tym, że złodziej wiedział, jakie skrzypce kradnie! Jaki stąd wniosek? Że złodziej przyszedł właśnie po te skrzypce, bowiem człowiek, który kradnie tylko stradivarius, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że wartość reszty zagrabionego dobytku stanowi minimalny ułamek wartości tego instrumentu. Przy tym, ryzykując zatrzymanie, ładuje dwie walizki i idzie z nimi przez nocne miasto, gdzie w każdej chwili może zatrzymać go milicjant i zainteresować się, co on po nocy dźwiga w tych walizkach. Czy to nie jest zdumiewająca sprzeczność? No i jak, Tichonow, nadal utrzymujesz, że był tam tylko jeden człowiek?

– Jeden – odpowiedziałem z uporem. – Moja hipoteza nie wyklucza możliwości istnienia grupy przestępczej, która zorganizowała kradzież, ale moim zdaniem w mieszkaniu był tylko jeden człowiek.

Komisarz pomyślał chwilę i powiedział ironicznie:

– Na sprawdzenie swej hipotezy masz trzy dni. Zobaczmy, który z nas miał rację. Jestem przekonany, że kradzież innych przedmiotów to tylko kamuflaż.

– Ładny mi kamuflaż! Tyle pieniędzy, tyle cennych przedmiotów!

– To jeszcze raz dowodzi, że złodzieje znają się na

rzadkich i cennych przedmiotach. A więc, Tichonow, nie zapominaj, czego szukasz, my po dwudziestu pięciu latach służby przechodzimy na emeryturę, a te skrzypce, ile mają lat, powiadasz?...

- Dwieście czterdzieści osiem...
- Właśnie. I powinny jeszcze długo służyć ludziom...

## Rozdział trzeci

### Kwaśna woda kłamstwa

Antonio drgnął i uniósł głowę: w drzwiach stał mistrz Niccolo. Żółty płomień świecy oświetlał jego tłąstą, czerwoną twarz. Amati był groźny i spokojny.

- Wy tłumacz mi, mój chłopcze, co robisz nocą w pracowni? Czyżbyś nie wiedział, że uczniowi wolno tu wchodzić jedynie wraz ze mną?

Antonio patrzył mu z przerażeniem w oczy i widział, jak w źrenicach migocą zimne błyskawice. Słaby powiew wiatru poruszał leżącą na stole kartkę z notatkami i cyframi, przyciśniętą drewnianym cyrklem.

- Dlaczego milczysz? - zapytał Niccolo. - Twoje milczenie świadczy o przestרחu, a przestרחach o złych zamysłach. Uczciwy człowiek nie musi się niczego obawiać...

- Człowiek zawsze ma się czego bać - powiedział cicho Antonio. - A przede wszystkim siebie samego...

Niccolo Amati roześmiał się gromko.

- Widzę, chłopcze, że postanowiłeś w ciągu jednej nocy nauczyć się tego, czego ród Amatic szuka od stulecia? Daj mi kartkę!

Trzęsącą się ręką Antonio podał kartkę, a Niccolo,

odsunąwszy ją daleko od oczu, zerknął pobieżnie, zgmiotł i przypalił od świecy.

- Zapisywałeś kształt deki...

Kartka dopaliła się w stwardniałej dłoni Amatego.

- A teraz powtórz z pamięci przebieg krzywej.

Antonio milczał.

- No! - krzyknął Amati.

- Trzy - zero, trzy - jeden, trzy - jeden, trzy - trzy - zaczął szybko wyliczać Antonio szereg cyfr. - Trzy - siedemnaście... Trzy - dwadzieścia jeden...

Amati otworzył szafkę, nalał do cynowego kubka purpurowego wina z Palermo i wypił je jednym haustem. Antonio zobaczył, że kilka kropel trunku czarnymi kropkami splamiło koronki jego koszuli.

- Gdyby nie szkoda mi było drewna, kazałbym ci zrobić skrzypce wedle tego pomiaru. Może kupiłby je od ciebie za parę miedziaków jakiś wędrowny grajek...

- Dlaczego, maestro? Przecież wziąłem na wzór twoją „Angele”, panie!

Stary Niccolo znów zatrzęsł się ze śmiechu.

- Dlatego, że w czterdziestu trzech punktach pomiarowych raz się pomyliłeś i poza mną nikt by tego nie zauważył. Ale przez to skrzypki nadawałyby się tylko na jarmark.

- Jeden raz? - zapytał oszołomiony Antonio.

- Tak, tylko raz, ale to wystarczy, żeby skrzypce nie brzmiały jak należy. Nie o to jednak chodzi. Mogłeś się nawet nie omylić, a po paru latach pewnie przynajmniej nauczysz się porządnie mierzyć. I wtedy, jak bezmyślna małpa, potrafisz skopiować moje skrzypce. Jesteś zadowolony?

- Byłbym szczęśliwy, gdyby udało mi się zrobić coś podobnego - powiedział z przestרחem Antonio.

- Przynies mi zimnej wody i pomarańcze, bałwanie. Do niczego innego i tak się nie nadajesz.

Antonio podał mistrzowi gliniany dzban zimnej wody i płaski koszyk z pomarańczami. Niccolo znów nalał do kubka wina, trochę wody i zaczął wyciskać aromatyczne owoce. Pomarańcze pękały w jego grubych silnych palcach i w migotliwym świetle świecy wydawało się, że nad ich skórkami unosi się para. Maestro zapomniał o swoim uczniu. Potem uniósł głowę i zerknął ironicznie na Antonia.

– Byłbyś szczęśliwy, powiadasz? A nie przychodziło ci do głowy, dlaczego to inni mistrzowie nie złożą się na moje skrzypce, a musieliby się złożyć, bo moje skrzypce są drogie – zachichotał radośnie Niccolo. – Dlaczego nie rozbiorą, skopiują i nie nauczą się robić takich samych? Nie zastanawiałeś się nad tym?

Antonio milczał.

– Pomiary skrzypiec można ukraść – powiedział Niccolo. – Można rozebrać je i zmierzyć. A jak ukradniesz lakier? Lakier, który warzymy od stu lat, a jednak za każdym razem wychodzi nam inny? Jak go ukradniesz? Przecież mam go tutaj – popukał się w czerwone czoło. – A bez lakieru skrzypce nie zabrzmia tak, żeby po samym dźwięku można je było rozpoznać z daleka i powiedzieć: „To Amati!...” Gatunek drewna, jego wiek, sposób i miejsce wyřębu, sposób przemywania, potem suszenia, nasycania lakierem i jego nakładania... To wszystko też ukradniesz?

Mistrz pociągnął dwa duże łyki, popatrzył w zadumie na świecę i ciągnął bez pośpiechu:

– Ale czyż tylko o lakier chodzi? To tylko durnie myślą, że bogactwo domu Amatic tkwi w sekrecie lakieru. Chcesz, żebym podał ci skład lakieru, którym pokryta jest „Angela”?

Antonio pokręcił głową. Niccolo wycisnął do kubka jeszcze jedną pomarańczę i uniósł oczy.

– Masz szczęście, że odmówiłeś. Inaczej bym cię wypędził.

– Ja to rozumiem – skinął głową Antonio.

– Nic nie rozumiesz – powiedział Niccolo. – Mam jednak nadzieję, że kiedyś zrozumiesz. Masz w sobie pasję i szkoda byłoby, gdyby się ona zmarnowała. Przecież nie tylko sekretu mi żal...

– A czego jeszcze?

– Ciebie. Jesteś małym fanatykiem. Są ludzie cisi i posłuszni, którzy do niczego nigdy nie dochodzą, umierają zrozpaczeni i rozczarowani. Tacy kłamią nawet na świętej spowiedzi i zawsze są nieszczęśliwi. A ty możesz umrzeć szczęśliwy...

– Jak tego dokonać?

– Poszukiwać, uczyć się, a potem tworzyć. Ja swoje czterdzieści trzy punkty pomiarowe znam na pamięć, bo każdego z nich szukałem przez długie lata. Jeśli ty nie znajdziesz s w o i c h punktów, to znaczy, że na darmo się z tobą męczę...

– I umrę w skrusze i rozpaczy... – powiedział cicho Antonio.

– Tak. I dopóki będziesz się uczył, nie odstąpią cię męki poszukiwania, cierpienie niezadowolenia i wstyd z powodu twojej bezsily. Prawda, jak i człowiek, rodzi się w bólu, w strasliwym wysiłku całego naszego śmiertelnego ciała i podniebnym wzlocie ducha. A skrzypce podobne są do człowieka...

– A jednak mogę tego nie osiąść – powiedział ze smutkiem Stradivarius. – Przecież może się zdarzyć, że nie zdołam nauczyć się robić skrzypiec...

Niccolo Amati siedział na stołku, wypinając gruby brzuch i z ciekawością patrząc na swego ucznia spod siwych krzaczastych brwi.

– Skrzypiec się nie robi. Robi się beczki i stoły.

A skrzypce, jak chleb, winorośl i dzieci, rodzi się i wychowuje. Nie sieje się zboża w styczniu, nie tłoczy się wina w maju, a i człowiek winien dojrzeć, aby zrodzić podobnych sobie. Swoje skrzypce musisz dopiero począć i długo w sobie nosić. Upłynie wiele czasu i będzie ci się wydawać, że nic się nie zmienia. Ale niezauważalnie dla ciebie samego twoje palce nabiorą giętkości i siły, oko stanie się jasne i bystre jak promień słońca, a słuch czuły i subtelny. Wówczas wyobraźnia przedstawi ci, jak w młodzieńczym śnie, słodkim, nieuchwytnym i przelotnym, to, czego szukasz. Te skrzypce będą takie, jak pierwsza kobieta w twoim życiu, która odezwie się do ciebie czułym, śpiewnym głosem. I nie będzie chwili pełniejszego szczęścia w twym najdłuższym nawet życiu niż ten moment rozkosznego posiadania! I będzie ci się wydawać, że nie może być na całym świecie niczego piękniejszego i że trwać to będzie wiecznie. Ale geniuszem staje się tylko ten, który całego siebie bez reszty oddał swojemu dziełu i w chwili największego szczęścia czuje zimne ukłucie niezadowolenia, bo tylko on ponownie odrodzi się dla mąk i cierpień, w poszukiwaniu doskonałości...

– A czy znasz, nauczycielu, kogoś, kto osiągnął doskonałość?

Amati uśmiechnął się i wstał.

– Doskonałość to nieustająca błogość. Błogostan właściwy jedynie świętym i idiotom.

– A zatem dążenie do doskonałości nie ma sensu? – zapytał z rozpaczą w głosie Stradivarius.

– Tak. Jeśli uznać, że całe nasze życie nie ma sensu. Bowiem życie to dążenie do doskonałości.

– Osiągnąć doskonałość, żeby zostać idiotą?

– Albo świętym – powiedział Niccolò ziewając. – Chodźmy, czas już spać. Mam już bardzo dużo lat i do śmierci

zostało mi niewiele czasu. Jutro chcę uczynić jeszcze jeden krok ku wiedzy...

Mistrz nie dokończył zdania i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

... Koło świątyni Piotra i Pawła mieściła się niewielka stołówka, a że czasu miałem jeszcze pod dostatkiem, postanowiłem tam zjeść śniadanie. W stołówce – dawnym klasztornym refektarzu – było dość tłoczno, więc przysiadłem się do dwóch emerytów, spożywających z namaszczeniem jarskie sznycle, które popijali kefirem. Jeden z nich ze złością w głosie mówił do drugiego:

– Ciągłe tylko szukają dziury w całym!... Wczoraj napisali w gazecie, że jakieś mądrale tak długo gotowały wodę, aż wyszła im woda zupełnie do wody niepodobna – kleista, ciągliwa, nie zamarzająca i kwaśna w smaku. No i powiedz, na cholere mi taka woda, co to ani napić się, ani umyć! Czysta głupota i szastanie państwowymi pieniędzmi...

Dojadłem swoją jajecznicę, wyszedłem i ruszyłem w stronę kliniki, wciąż myśląc po drodze, że dobrze by było zobaczyć wodę, która nie zamarza, ciągnie się, klei i jest kwaśna w smaku.

Doktor Konstantinowa weszła do izby przyjęć i patrzyła na mnie przez dobre parę minut, jakby zastanawiała się, kim jestem i co tu właściwie robię. Potem wyjęła z kieszeni fartucha paczkę papierosów i zapaliła trzęsącymi się rękami.

– No i jak, podoba się? – zapytała, jakbyśmy przerwali rozmowę tylko po to, żeby mogła zapalić. Potem dodała: – Drań, nieszczęsne bydlę. Ile on mnie zdrowia kosztował!...

Tego chłopaka przywieźli przy mnie. Wtoczyli go na

wózku z odrzuconą do tyłu, ziemistoczną, opuchniętą twarzą, twarzą nieboszczyka, w której żyły tylko oczy, nalane krwią i łzami, wypełnione nieludzkim cierpieniem. Biała kleista piana sączyła mu się z ust, ciało kurczyło się w konwulsjach. Chłopak straszliwie krzyczał, ochryple i bezsilnie. Konstantinowa rozkazała:

– Przygotować zespół reanimacyjny... Kordialinę domięśniowo, pantopon... Antyhistaminę... Neutralizatory kwasowe... Ogólne płukanie roztworem nadmanganianu... Transfuzja krwi...

Przez półtorej godziny stałem w izbie przyjęć i przyglądałem się zasypiającemu jesiennemu parkowi, ogrodzone-  
mu wysokim parkanem z kilkoma rzędami drutów kolczastych na górze, i spokojnym pacjentom w mysich szlafrokach, snującym się po alejkach. Szpital, gdzie chorzy nie wywołują współczucia, gdzie cierpienia nie zostały spowodowane przez los, tylko przez własne ich świństwo, gdzie leczy się przymusowo...

– ... Ile on mnie zdrowia kosztował! – powtórzyła Konstantinowa. – Ma dwadzieścia pięć lat, od sześciu lat jest alkoholikiem, dziecko urodziło mu się niedorozwinięte, żona od niego odeszła. Przez siedem miesięcy leczyłam go metodą kompleksową i wypisałam jako zupełnie zdrowego człowieka. A widział pan, co mi przywieźli...

– A dlaczego on miał takie konwulsje? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie ze złością.

– Myśli pan, że ja ich tu leczę miętówkami? W celu przywrócenia właściwego działania organizmu alkoholika stosuje się wyjątkowo silne preparaty chemiczne, które jednocześnie są barierą nietolerancji wobec wszelkich alkoholi. A on dzisiaj wypił szklanekę wódki.

– I co teraz będzie?

– Nie wiem. Może umrzeć...

Zapaliła jeszcze jednego papierosa i powiedziała:

twarzą, jakby mnie nie zrozumiał albo był przygotowany na to pytanie. Tylko nos mu się zaostrzył i oczy zrobiły się takie, jakimi niedawno patrzył na Konstantinową.

– Jak mam niby to rozumieć, panie ładny? – zapytał wolno.

– Dosłownie! Dawaliście komuś klucze od mieszkania Polakowa? – zapytałem zimno i spostrzegłem, że Obolnikow sprężył się, aby runąć do ataku.

– A wam się wydaje, że wystarczy pokazać czerwoną książeczkę i każde bezprawie będzie dozwolone? Nie ma tak dobrze! Przychodźcie do szpitala i szarpiecie chorego człowieka, który pewnie już długo nie pożyje, zaczynacie urządzać mu obraźliwe przesłuchania.

W tym momencie zrozumiałem, że Obolnikow ma coś wspólnego z tą całą sprawą. Istnieją określone prawidłowości, zasady w rozmowie przesłuchującego i przesłuchiwanego, które Obolnikow od razu naruszył. Nie czekając na moje dalsze pytania, wyraził oburzenie z powodu faktu, którego jeszcze nie omawialiśmy i którego w związku z tym nie mógł znać. Zrozumiawszy to, natychmiast się uspokoiłem. Usiadłem na ławce i powiedziałem:

– Proszę dalej! Słucham uważnie.

Obolnikow przycisnął dłonie do twarzy i powiedział smętnym szeptem:

– Czy zdajecie sobie sprawę, co z wami zrobią, jeśli dowiedzą się, co wy tu z chorym człowiekiem wyprawiacie?

Popatrzyłem na zegarek.

– Obolnikow, słuchajcie mnie uważnie. Teraz jest dwunasta trzydzieści. O drugiej muszę być w pracy. Nie mam już czasu na wysłuchiwanie waszych groszowych dowcipów. Umówmy się więc od razu, że albo będziecie rozmawiać ze mną jak poważny człowiek, albo zabiorę was ze sobą i wsadzę do aresztu. Natrysków Charcota nie obiecuję.



ję, ale całą antyalkoholową kurację z pewnością potrafię zapewnić.

– Mnie? – zapytał piskliwie. – Chorego człowieka? Rozsiadłem się wygodniej na ławce.

– A niby kogo? Pewnie, że was. Jesteście, moim zdaniem, ofiarą humanitaryzmu i nadmiernej tolerancji naszego społeczeństwa. Podkreślam, że to jest wyłącznie mój prywatny punkt widzenia, ale najchętniej zabrałbym was z tego uroczego parku i popędził do wyrębu lasu, a natrysk Charcota zastąpił dodatkowo robotami ziemnymi.

– Jak to? – zapytał z przestrawieniem.

– A tak. Chcecie, żeby was traktowano jako człowieka chorego. A z mego punktu widzenia przez swoje istnienie już od wielu lat zatruwacie życie wszystkim ludziom dookoła: unieszczęśliwiacie krewnych, a i w pracy nie wiedzą, jak się was pozbyć. Dlatego radzę przestać się wygłupiać, bo inaczej z wami pogadam... Pytam: po co braliście od żony klucze od mieszkania Polakowa?

– A widzieliście, że brałem? – zapytał biorąc się pod boki. – Widzieliście, jak ja te klucze brałem? Musicie jeszcze dowieść, że brałem...

– Dowiodę. Ale chcę rozstrzygnąć tę sprawę po dobru. Mieszkanie Polakowa zostało ograbione. Wiecie o tym?

– Nie, nie, nie – powiedział szybko. – Ja nic o tym nie wiem... Nie wiem o żadnej kradzieży... Nie było mnie nawet w domu... Byłem tutaj, w szpitalu... Ja nic nie wiem...

Widziałem, że tym razem był naprawdę przerażony. To już nie było zdenerwowanie i napięcie, jakie czuł od początku naszej rozmowy, to był prawdziwy przestrawienie, który go po prostu znokautował. Teraz już nie miałem najmniejszych wątpliwości, że klucze były w jego rękach.

– Wiem, że tej nocy nie było was w domu. Dlatego chcę się dowiedzieć, komu dawaliście klucze.

Obolnikow zaczął mówić gorączkowo, pospiesznie, dławiąc się słowami i połykając zakończenia zdań:

– Nie widziałem kluczy... Nie wiem... Mówiłem żonie, żeby tam nie chodziła... Niech oni sami tam sobie mieszczą... My ludzie prości... Nam nie trzeba... Oni tam sobie porzępolą na skrzypkach i już mają tysiąc rubli... A mnie nic nie trzeba... Zginie co, to oczywiście mnie się będą czepiać... A mnie wystarczy musztardówka czegoś i wszystko w porządku... i wszystko w porządku... i wszystko w porządku... Mnie te ich symfonie wiszą... I w życiu tych kluczy nie widziałem...

– Posłuchajcie, Obolnikow, przestańcie udawać głupiego. Mówił mi Polakow, że w zeszłym tygodniu waszej żony nie było w domu, no to wy sami oddawaliście mu klucze.

– Lew Osipowicz to człowiek okropnie mądry, roztargniony. Wszystko pomylił, żona mu oddawała. Jak on wraca z przedstawienia, to wszystko mu się jeszcze w głowie kręci i dlatego pomylił się... Żona mu oddawała kluczyki, ja wtedy jadłem kolację, a ona dała mu kluczyki z kółkiem...

– Przy całym swym roztargnieniu Polakow raczej nie pomyliłby was z Jewdokią Pietrowną. Ale przypuśćmy. To znaczy, że klucze z kółkiem jednak widzieliście?

– No, niech będzie, że widziałem. I co z tego, że widziałem? A brać ich nie brałem! Czego tam, pianinów będę szukał?

– A więc byliście w mieszkaniu Polakowa? – zapytałem wolno.

– Tam i beze mnie gości zawsze było pod dostatkiem. I jak grać na skrzypkach on wie lepiej ode mnie, to nie musi mnie o to pytać.

Posiedziałem, pomilczałem, a potem powiedziałem:

– Mówicie nieprawdę, Obolnikow. Byliście w mieszkaniu Polakowa. Zeszłą wiosną...

– Pewnie, pijanego człowieka oskarżyć nic nie kosztuje... Może i wpadłem tam kiedy po pijaku, ale nie pamiętam, a wy mi tu zaraz...

– Przestańcie, Obolnikow, zastaniać się swoim pijaństwem, bo aż przykro tego słuchać: nie pamiętam, nie jestem winien, nie mogłem, nie wiem. Ale żona Polakowa, Nadieżda Aleksandrowna, w ogóle nie pije i może dlatego ma znacznie lepszą pamięć. Wiosną robiliście im pawlacze na książki. I Nadieżda Aleksandrowna pamięta, że oprowadzała was po całym mieszkaniu, bo wybieraliście razem miejsce na ten pawlacz. Nie pamiętacie?

– Może i tak było. Pamięć mi od choroby mocno osłabła.

– No dobrze, zostawmy to na razie. Mam do was takie pytanie: czy gdybyście mieli klucze, potrafilibyście według nich zrobić duplikaty?

Obolnikow odskoczył jak oparzony i zaczął z przestraszonym wymachiwać rękami.

– Po co mi to? Pewnie, że bym nie umiał. Nigdy czegoś takiego nie robiłem.

– Przecież dawniej byliście ślusarzem narzędziowym, wzorciarzem? I nie potrafilibyście zrobić takiego drobiazgu? To pewnie nawet ja umiałbym zmajstrować po małym treningu...

– No to się trenujcie! A ja nie próbowałem i nie chcę próbować! Nie jest mi to do niczego potrzebne...

Wyjąłem z kieszeni klucz od zamka typu yale, zwyczajny niklowany klucz, już trochę odrapany, klucz jak klucz na zielonej jedwabnej tasiemce – i pokazałem go Obolnikowowi.

– Znacie ten klucz?

– Klucz jak klucz – powiedział, wzruszając ramionami.

– One wszystkie są takie same.

– Nie sędzę – odpowiedziałem. – Każdy klucz jest inny. Tyle tylko, że różnymi kluczami można czasami otwierać te same zamki. A więc nie poznajecie tego klucza?

– Nie – pokręcił gwałtownie głową.

– Tak, z waszą pamięcią rzeczywiście jest bardzo niedobrze. Ten klucz zakwestionowaliśmy dzisiaj u waszej córki, Anny Siergiejewny Miedwiediewej, która wyjaśniła, że ten klucz od waszego mieszkania został zrobiony na jej prośbę przez was, Sergiuszu Siemionowiczu. To było wtedy, kiedy wasza córka wyszła za mąż i wyprowadziła się do mieszkania swojego męża.

Obolnikow wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, a ja dodałem:

– I niech wam nie przyjdzie do głowy opowiadać bajeczki o tym, że jako kochający ojciec pobiegniecie do warsztatu ślusarskiego, żeby zamówić klucz. Zrozumiano?

– A to niby dlaczego? – zapytał tępo.

– A to dlatego, że w trakcie przesłuchania Miedwiediewa zeznała: surówkę klucza kupiła na bazarze, przyniosła ją do domu, a wy wzięliście narzędzia i zrobiliście klucz w ciągu dziesięciu minut. Potem zabraliście córce czterdzieści kopiejek i dwie puste butelki, wyszliście z domu i wróciliście już mocno pijani. A więc możemy uznać, że zapomnieliście o tym, że w ciągu dziesięciu minut potraficie zrobić duplikat klucza. Zgadza się?

Obolnikow kiwnął głową.

– Co wobec tego możecie mi powiedzieć o kluczach od mieszkania Polakowa?

– Nic. Nie byłem tam. Niczego nie kradłem.

– Ja też myślę, że niczego tam nie ukradliście.

– Czego wy wszyscy ode mnie chcecie?! – rozdarł się na

cały głos. – Wszyscy walą na mnie: żona, podła gadzina, sprzedaje mnie milicji, kochana córeczka, szlag by ją trafił, robi ze mnie złodzieja! Dlaczego nie wierzycie? Czego chcecie?

– Żebyście powiedzieli prawdę. Na wszystkie moje pytania udzielacie kłamliwych odpowiedzi, zaprzeczacie oczywistym faktom, no to jak ja wam mogę wierzyć?

– A ja nic nie powiem, bo żeby wsadzić do ciupy, musicie dowieść, że ukradłem. Zresztą wsadzajcie, bo mnie tam wszystko jedno gdzie siedzieć: czy tutaj za drutami, czy tyrać przy wyrębie lasu!

– Teraz też kłamiecie, bo wiecie doskonale, że w więzieniu ani wysokokalorycznych posiłków, ani natrysków Charcota wam nie dadzą...

Wtedy się rozplakał. Nie wiem, czy udawał, czy nie, ale jego łzy to była zwyczajna mętna woda, spływająca po zaostrzonym nosie.

Kiedy wszedłem do gabinetu, Ławrowa mówiła do zarośniętego mężczyzny w waciaku:

– Proszę podpisać tutaj, tutaj... i tutaj...

Mężczyzna trzymał w lewej ręce wyszmelcowaną pancerniacką czapkę, tuląc ją do piersi czule, lecz mocno, niczym huzarskie czako. Prawą ręką chwycił pióro i wodził nim po papierze ostrożnie, z wyraźnym lękiem, jakby dotykał starego, wykopanego z ziemi granatu.

– Stanisławie Pawłowiczu, to jest hydraulik z administracji, Siłkin – powiedziała Ławrowa. – Mówi, że nigdy nie był w mieszkaniu Polakowa.

Hydraulik Siłkin odłożył pióro na miejsce, spojrzał na mnie i powiedział:

– Tak jest, w mieszkaniu pod piętnastym nigdy nie

byłem. I, jasna sprawa, zamków tam nie mogłem naprawiać. Na co mi zresztą ich zamki! Mam teraz konserwację w węźle cieplnym pod siódemką i pół etatu w sklepie spożywczym. W dodatku ciotka żony chce nam przekazać dom, a na co mi on, kiedy remont będzie więcej kosztował niż postawienie nowego domu. Tyle tylko, że działka jest niezła, można chociażby kozy na niej wypasać...

– A jak to się stało, że pan ani razu nie był w mieszkaniu numer piętnaście? – zapytałem.

– Przecież ja dopiero od trzech miesięcy tam pracuję i dlatego ich nie znam. Zresztą możecie ich sami zapytać, oni w życiu mnie nie zidentyfikują...

Zerknąłem na Ławrową, która pokręciła głową i powiedziała:

– Polakowowie nie rozpoznali go na fotografii. Twierdzą kategorycznie, że to nie ten.

– No i bardzo dobrze, towarzyszu Siłkin. Dajcie mi waszą przepustkę, bo woda na węźle ostygnie, kiedy my tu na próżno gadamy. I dowiedzcie się przy okazji, czy i dla mnie nie znalazłby się jakiś póletat. Bo mi zawsze do wypłaty brakuje akurat połowy pensji...

Siłkin zapytał poważnie:

– A pan zna się trochę na ślusarce?

– Nie, niestety nie – roześmiałem się. – Ale zacznę ćwiczyć, a potem może ciotka przepisze na mnie dom z działką. Inna rzecz, że nie mam żony...

– Nic straconego – powiedział protekcyjnie Siłkin. – Ja też...

– Ja też – przerwałem mu – chciałem zapytać, czy książka zamówień i kontroli wykonanych napraw jest prowadzona?

Hydraulik spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Jest taka książka. Bo co?

– Hydraulik był u Polakowa uszczelniać krany i przy

okazji naprawić zamki szesnastego października. Czym pan się tego dnia zajmował? Proszę sobie przypomnieć.

Siłkin, nie wiadomo po co, założył swoją czapkę i zmarszczył z wysiłkiem czoło.

– Szesnastego? Tak... szesnastego... szesnastego. Przepraszam, jaki to był dzień?

– Wtorek – powiedziała Ławrowa.

– Wtorek? – zdziwił się Siłkin tak, jakby wtorek wypadł trzydziestego trzeciego października. – Wtorek? Szesnastego, we wtorek?

– Tak, szesnastego, we wtorek – powtórzyła cierpliwie Ławrowa.

– Zaraz, zaraz, zaraz sobie przypomnę, co tam było szesnastego we wtorek – męczył się hydraulik. Nareszcie jego twarz rozpromieniła się: – Przypomniałem sobie, wtorek, szesnastego! Że też o tym zapomniałem!

– I co? – zapytała Ławrowa.

– Nic nie robiłem – oświadczył z wielką ulgą Siłkin. – Jeszcze chorowałem, byłem na zwolnieniu. Akurat dostałem list od ciotki, chciałem w sobotę pojechać na wieś, ale trzeba było odpracować dwie zmiany, bo zmiennikowi dali od piątku wolne, a ja akurat w piątek przyszedłem po raz pierwszy do roboty po chorobie...

Posiedzieliśmy chwilę w milczeniu, a potem Ławrowa powiedziała:

– Myślę, że trzeba pojechać na wieś i przesłuchać ciotkę, a jeśli ona wszystko potwierdzi, ostatecznie zamknąć ten kierunek dochodzenia. Tutaj nie ma żadnych widoków na sukces.

– Tak, po prostu nie trzeba zostawiać dziur w dochodzeniu. A co z telegramem?

– Nic. Telegram został nadany z urzędu pocztowego

numer 245. Urzędniczka zapamiętała, że ten Taratuta był mężczyzną w średnim wieku, znaków szczególnych nie zauważyła. Nie jest pewna, czy potrafiłaby go rozpoznać.

– A gdzie jest ten urząd?

– Na Biegowej, naprzeciwko sklepu włókienniczego – powiedziała Ławrowa, popatrzyła na mnie i zapytała: – Czemu się pan uśmiecha?

– Tak sobie. Po prostu pomyślałem, że rozmaici ludzie miewają różne skojarzenia. Jeśli potrzebny jest punkt orientacyjny, kobieta wybierze sklep włókienniczy, starszy człowiek powie, że to obok szpitala, chłopak, że na ukos od stadionu, a co powie hazardzista?

Ławrowa roześmiała się.

– Pewnie powie, że niedaleko toru wyścigowego.

– Właśnie. Ale to tylko tak, przy okazji. Co zrobimy z biletem trolejbusowym, znalezionym w przedpokoju mieszkania Polakowa? Są jakieś idee, jak powiada nasz szef?

Ławrowa wzruszyła ramionami.

– Mam jakieś tam pomysły, ale w porównaniu z pańskimi ideami, to pewnie...

– Znakomicie. Proszę się tym zająć, a tymczasem zastanówmy się razem nad określeniem kręgu znajomych Polakowa. Nie bardzo wiem, jak przesiać taką masę ludzi.

– Jeśli zajmiemy się nimi pojedynczo – powiedziała Ławrowa – to nie skończymy tej roboty za sto lat. Trzeba ich rozbić na grupy.

– Nie rozumiem?

– Trzeba podzielić tych ludzi wedle jakichś cech grupowych: osobiści znajomi i przyjaciele, koledzy z konserwatorium, uczniowie i tak dalej...

– Brawo! To jest myśl. Gratuluję!...

## Każdy ma swego Minotaura

- Mogę spróbować? – zapytał Antonio.
- Spróbuj – uśmiechnął się Amati. W pytaniu Antonia kryła się nadzieja na pomoc, życzliwe poparcie, radę. Ale mistrz Niccolo tylko się uśmiechnął chytrze i złośliwie, może nawet podstępnie.

Ogień rozgorzał błękitnymi jezorami pod dnem brązowego tygla, w którym bulgoce bursztynowy mastyks i od ostrego aromatu drzewa fistaszowego, z którego spływa on ciężkimi kroplami, lepкими i gorzkimi jak pot i łzy, zaczyna drapać w gardle, a po policzkach spływa pot, spada do kotła i miesza się z żywicą. W stojącej obok retorce zaczyna wrzeć sandarak, buchając pionowo brudnoszarym dymem. W klepsydrze przesypuje się miarki oceaniczny piasek. W dolnym szkiełku wyrósł już okazały wzgórek, ale wydaje się, jakby czas płynął wstecz, wyrzucając ku górze białą strużkę piasku.

Antonio naciąga skórzane rękawice, chwytając kleszczami rozpaloną retortę i zaczyna bełtać jej zawartość coraz szybszymi kolistymi ruchami. Osad opadł już na dno, więc teraz jeszcze szybciej! Zrzuca przykrywkę z tygla i w nozdrza bucha mu ostry i czysty aromat mastyksu. Plusk! Brunatna fala sandaraku popłynęła przez mastyks, spiralnymi falami zawirowała w żółtej głębi, aż żywica zaczęła pochłaniać światło, gęstnieć, uspokajać się.

– Terpentynę! Lej terpentynę! – wrzasnął nad uchem Amati. – Szybciej! Boże, co za idiota, przecież ostygnie, zgęstnieje, zmarnuje się! Więcej ognia! Jeszcze więcej!

Antonio ze wszystkich sił przyciska nogą dźwignię miechów, płomień ryczy i odrywa się od węgla czerwonymi wstęgami, a tymczasem drżące palce usiłują rozwiązać woreczek z przezroczystymi kryształkami kalafonii, zwa-

nej wówczas terpentyną. Sznurek nie puszcza, więc Antonio rwie tkaninę zębami i sypie do diabelskiego tygla garść kryształków...

Kryształki topią się, żółkną, zapadają i znowu w tyglu wre żywica, czarne zgęstki unoszą się z pianą do góry, niebieskawy dym jadowicie ściele się nad wzburzonym płynem. Srebrną łopatką, peruwiańską, rzeźbioną, opatrzoną w uchwyt i siateczkę, zbiera Antonio pianę i żużel, zrzuca na glinianą polepę i zerka na klepsydrę. Stradivarius ogląda się: maestro Niccolo siedzi na stołku z rękami przyciśniętymi do serca, a w twarzy ma cierpienie.

– Już czas? – pyta Antonio i dziwi się swojemu głosowi: ochryplemu, cienkiemu, koguciemu.

Amati przytakuje bez słowa, więc Stradivarius nalewa do kolby siedem granów olejku różanego, spirytus pędzony z trzciny cukrowej, wyciąg z czerwonego drewna saphirus, potrząsa szklanym naczyniem i znów obraca się ku nauczycielowi. Amati milczy.

– Boże Przenajświętszy i Ty, Święta Panienko Mario, pobłogosławcie! – wykrzykuje Stradivarius i żegna się przed poczerniałym krucyfiksem wiszącym na ścianie pracowni.

Zanurza kolbę w tyglu i szkło najpierw mętnieje, a potem zaczyna żarzyć się wiśniowym blaskiem. Antonio chwytając kolbę za wąskie gardło i ostrożnie przelewa roztwór do kociołka stojącego na palenisku. Żłocista błonka, niczym czarodziejski amalgamat, zalewa powierzchnię żywicy, opada w dół i stopniowo zabarwia całą zawartość kociołka swym zjawiskowym, migotliwym światłem.

Antonio lekko unosi grubościenny kocioł i biegnie z nim do kąta, po czym płynnie, niemal czule zanurza go w dębowym szafliku z zimną igliwiową wodą. W twarz tryskają mu gęste kłęby fioletowej pary. Syczy woda w szafliku, kocioł wolno stygnie, przez otwarte okna ulatują ostatnie

strzępki pary, z wolna gaśnie ogień w palenisku, a błękitne iskierki coraz rzadziej rozbłyskują na ściankach tygla. Cicho, zupełnie cicho robi się w pracowni.

Antonio ostrożnie wyjmując kocioł z wody i wolno niesie go na warsztat. Od pękatego brzucha kotła odrywają się ciężkie krople wody i z głuchym pluskiem padają na polepę. Kocioł stoi już na warsztacie, a Antonio czuje, jak dopada go zmęczenie, jak zaczynają boleć poparzone, zżarte przez rozpuszczalniki ręce...

Zapadło długie milczenie, a potem stary Niccolo powiedział:

– Szukajcie, a znajdziecie, proście, a będzie wam dane...  
– i znów zamilkł.

Antonio uniósł głowę i zapytał cicho:

– Mistrzu, czy to jest właśnie ten czarodziejski lakier?

Niccolo milczał i Antoniowi wydało się, że nauczyciel nie wie, jak mu odpowiedzieć.

– Ile masz teraz lat, chłopcze? – zapytał Amati.

– Dwadzieścia jeden.

– Ja taki lakier uwarzyłem po raz pierwszy, kiedy miałem czterdzieści trzy lata. Ale to nie jest ten lakier. Ten może tylko utrwalić skrzypce na wieki i podarować im niezwykle piękno. Prawdziwy lakier da im niepowtarzalny dźwięk. Ten nie może.

W pracowni znów zrobiło się bardzo cicho i w tej ciszy zaszeleściły słowa Antonia:

– Jaki jest sekret?

Oczy Amatego zniknęły pod grubymi powiekami.

– Znam jeszcze dwa składniki. Musisz sam je znaleźć. Wówczas może odkryjesz jeszcze jakieś inne, których ja nie znam. I wtedy twoje skrzypce będą lepsze od moich...

– Ale...

– Żadnych „ale”. Możesz zostać geniuszem, jeśli oczywiście zechcesz. Nie zamierzam ci w tym przeszkadzać...

Zapamiętaj tylko, że na drodze geniusza zawsze stoją trzej jego najwięksi wrogowie...

– Jacy? – zapytał obojętnie Antonio.

– Lenistwo, bogactwo i sława. Niczym syreny czyhają one na geniusza i za każdym razem rzucają się na jego największą cnotę, na pracowitość.

– Ale przecież ty, panie, jesteś bogaty i sławny? – zapytał gniewnie Stradivarius.

Amati wstał, otarł twarz jedwabną chustką i smutno się uśmiechnął.

– Te syreny są szczególnie kuszące w młodości. Do mnie przyszły one zbyt późno...

„Według mnie prowadzenie śledztwa w tym kierunku zupełnie nie ma sensu, gdyż my wszyscy – studenci i dyplomanci Lwa Osipowicza Polakowa – po prostu go ubóstwiamy...”

Odłożyłem długopis i przyjrzałem się uważnie swej rozmówczyni. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Doskonale rozumiem, że takie określenia w protokole mogą się panu wydać śmieszne. Zostałam jednak uprzedzona, że powinnam mówić jedynie prawdę. A my go naprawdę ubóstwiamy...

– Wyklucza więc pani możliwość, że którykolwiek z jego studentów może mieć coś wspólnego z przestępstwem? – zapytałem ostrożnie.

– Kategorycznie!...

Ławrowa narysowała na kartce kółeczko oznaczone napisem „Polakow”. Z kółka wychodziły promieniście cztery spirale: linia jego krewnych i znajomych, linia kolegów po fachu i studentów, następnie linia ludzi niegdyś blisko z nim związanych lub nawet zaprzyjaźnionych, którzy jednak ostatnio oddalili się od niego albo

nawet zupełnie zerwali wszelkie kontakty, i wreszcie linia ludzi, z których usług, nazwijmy to czysto technicznych, korzystano w domu skrzypka. Na pierwszej krzywej widniało jedenaście punktów, na drugiej – sześćdziesiąt trzy. Na trzeciej na razie widniały trzydzieści dwie kropki, ale ich liczba w miarę rozwoju dochodzenia szybko rosła. Na czwartej – siedemnaście.

Dyplomantka z klasy Lwa Osipowicza Polakowa, Marina Kolesnikowa, zanotowana była na naszej liście podejrzanych z grupy drugiej pod numerem dwudziestym siódmym. Ta przystojna białoskóra dziewczyna o kocich ruchach, wesołych brązowych oczach, krągła i pulchna, wydawała się jakoś dziwnie nie na miejscu w moim gabinecie. Jej cały wygląd, skąpo cedzone słowa, jasnokasztanowe włosy spięte w niedbały węzeł na karku sprawiały, że trudno byłoby ją wziąć za artystkę ciężko pracującą nad doskonaleniem swego warsztatu, gdyby nie brązowy, podbiegły czerwienią odcisk z lewej strony mlecznobiałej szyi...

– ...Kategorycznie! – powiedziała. – Nasz stosunek do Lwa Osipowicza, nasz podziw i szacunek dla niego to nie historyczne zachwyty smarkatych melomanek, lecz oczywiste następstwo wieloletniego obcowania z nim.

– To znaczy?

– Czy pamięta pan mit o Tezeuszu?

– Tak, przerabiałem go w szkole – odparłem z uśmiechem.

– Doskonale. Jeśli więc przetransponujemy ten mit na język kompozycji muzycznej, to zawierać ona będzie trzy części: allegro, moderato, presto, odpowiadające trzem równoważnym składnikom bohaterskiego czynu Tezeusza. Po pierwsze, ten heros odważył się wejść do labiryntu, z którego nikt dotąd nie powrócił; po wtóre, pokonał w walce potwornego Minotaura; a po trzecie wreszcie

i najważniejsze, bo to właśnie decydowało o sensie jego wyprawy, uratował życie tym, których oddawano na pożarcie Minotaurowi. Otóż nasz szczuplutki Lew Osipowicz często przypomina mi Tezeusza w labiryncie...

Zasłoniłem dłonią oczy i udałem, że pocieram w zadumie czoło, aby nie zauważyła, jak bardzo mnie to wszystko śmieszy.

– Ale Tezeusz, jak pani oczywiście pamięta, miał pewien atrybut śledczy. Nitkę, którą dała mu ta starożytna dama, jak jej tam było?

– Ariadna... Niektórzy sądzą, że nicią przewodnią w wędrówce Polakowa przez nieznane są jego skrzypce, ale ja w to nie wierzę...

– Proszę mi zatem wytłumaczyć, na czym polega trójjedyna formuła bohaterstwa Lwa Osipowicza – powiedziałem.

– Naprawdę pan tego nie rozumie? – zdziwiła się Marina. – A to takie oczywiste! Lew Osipowicz wiedział, że nie wszystkie możliwości kryjące się w partyturach skrzypcowych zostały wykorzystane i odnalazł drogę, która na to pozwoliła. Aby jednak w pełni spożytkować te możliwości, musiał najpierw pokonać Minotaura, który zawsze siedzi głęboko w nas...

– Taak? – tym razem ja się zdziwiłem.

– Oczywiście! Każdy człowiek ma swojego, mniejszego lub większego, Minotaura. Potwora leniwego, tradycyjnego, żarłocznego i chciwego, który tylko czeka na chwilę słabości właściciela, żeby go bezlitośnie pożreć.

– Więc powiada pani, że wy wszyscy ubóstwiacie Polakowa jako Tezeusza w labiryncie muzyki? – zapytałem, robiąc wszystko, aby nie parsknąć śmiechem.

– Nie – pokręciła głową Marina. – Kochamy go nieco egoistycznie, gdyż jest naszym nauczycielem.

– I co z tego?

Dziewczyna zajrzała mi w oczy i uśmiechnęła się po-  
błaźliwie.

– Sądząc z tego pytania, pan, podobnie jak większość  
ludzi, uważa, iż nauczyciel to po prostu zawód. Ja nato-  
miast uważam, że jest to powołanie, dar boży, rodzaj  
permanentnego olśnienia. Słuchacze, zwyczajna publicz-  
ność koncertowa, melomani mają niezachwianą pewność,  
że Polakow jest genialnym wirtuozem. Natomiast fachow-  
cy do dziś nie wiedzą, w czym najpełniej wyraża się talent  
Polakowa, kto w nim przeważa: odtwórca czy pedagog.  
A ja wiem, że bez uczenia innych Lew Osipowicz zwyczaj-  
nie nie potrafiłby żyć...

– Nie przesadzajmy – rzuciłem lekkim tonem. – Kon-  
certowałby sobie na zdrowie, miałby więcej czasu na  
ćwiczenia.

Powiedziałem to umyślnie, bo ciekaw byłem jej reakcji.  
Ale dziewczyna nie dała się podpuścić. Popatrzyła na mnie  
spokojnie, pokręciła głową i powiedziała:

– Nie. Był kiedyś taki skrzypek, Ikonnikow. Nigdy go  
wprawdzie nie słyszałam, ale znawcy utrzymują, że pod  
względem skali talentu przewyższał nawet Polakowa,  
z którym razem studiował. Jego gwiazda bardzo szybko  
wzeszła i niemal równie błyskawicznie spłonęła. Ten Ikon-  
nikow rzeczywiście nie lubił uczniów i nigdy ich nie miał.

– Gwiazda spłonęła chyba nie z braku uczniów? –  
zapytałem i pomyślałem przy tym, że nazwisko Ikonniko-  
wa jest dla mnie nowe, gdyż nie figuruje na żadnej z na-  
szych list.

– Naturalnie. Mówiąc obrazowo zniweczyła ją sława,  
która przyszła zbyt szybko i gwałtownie. Ale uczniowie  
dla pedagoga są jak dzieci, uczą go pokory i wielkiej  
odpowiedzialności.

– A co się z nim stało?

– Nie mam pojęcia. Ikonnikow jest bardzo wrogo uspo-

sobiony do Polakowa. Nie wiem zresztą dlaczego. W każ-  
dym razie wszelkie próby Lwa Osipowicza, aby mu jakoś  
pomóc, spotykają się z jego brutalnymi, złośliwymi reak-  
cjami. Polakow nie lubi o tym mówić...

A więc jednak mamy coś zupełnie nowego. No, no,  
zobaczymy!

– Jak wyglądają te reakcje?

– Niby głupstwa, ale okropnie nieprzyjemne. Na przy-  
kład Ikonnikow demonstracyjnie nie wita się z Polako-  
wem. Pamiętam, że jakieś cztery lata temu Lew Osipowicz  
dowiedział się, że Ikonnikow wyprowadził się z domu,  
włóczy się gdzieś, pije. Odszukał wtedy Ikonnikowa i za-  
proponował pieniądze na mieszkanie spółdzielcze, żeby  
przynajmniej miał jakiś własny kąt, a Ikonnikow obrzydli-  
wie go za to zwymyślał. Jednym słowem, zerwali wówczas  
znajomość.

– A nie wie pani przypadkiem, czym teraz Ikonnikow  
się zajmuje?

– Nie pamiętam dokładnie, ale Polakow mówił mi kie-  
dyś z wielkim zdumieniem i oburzeniem, że Ikonnikow  
został bodajże treserem czy pogromcą zwierząt...

Ja też się zdziwiłem – pierwszy raz słyszę, aby były  
wirtuoz gry na skrzypcach został treserem. Zresztą nie ma  
się tu czemu dziwić, bo rozmaite rzeczy w życiu się zdarza-  
ją. Po prostu trzeba sprawdzić, jakie to rzeczy w życiu się  
nie zdarzają.

– Nie rozumiem tego – powiedziałem.

– Tak – zgodziła się Marina. – Zupełnie jak w sztukach  
Becketa...

Wstałem, odprowadziłem ją do drzwi, a potem zacząłem  
spacerować po pokoju, mrużąc pod nosem: „Jak w sztu-  
kach Becketa, jak w sztukach Becketa, jak w ...” A jak  
właściwie jest w tych sztukach Becketa? Nie mam naj-  
mniejszego pojęcia.



Wiem za to, że Ławrowa na pewno nie ubóstwia mnie jako swego nauczyciela. Jakoś to wprawdzie przeżyję, ale jednak przyjemnie jest, jeśli ktoś uwielbia człowieka jako pedagoga, jako bohatera, który nie zawahał się zstąpić do jaskini Minotaura. No dobra, bierzmy się do roboty!

Usiadłem przy biurku i wykręciłem numer.

– Przygotujcie informację o obywatelu nazwiskiem Ikonnikow. Jest to były skrzypek wirtuoz. Ma około sześćdziesięciu lat... Nie, imienia nie znam. Dziękuję, sam później zadzwonię.

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast zadzwonił telefon. Zgłosił się Chalecki. Ekspertyza wykazała, że do zamka naprawianego w mieszkaniu Polakowa ktoś wsunął uprzednio kawałek metalu, który pozostawił wyraźne ślady na mechanizmie.

– I co pan teraz myśli? – zapytał Chalecki.

– Myślę, że tam był taki sam ślusarz, jak ze mnie śpiewak operowy.

Chalecki roześmiał się.

– Wcale nie. To mógł być całkiem przyzwoity ślusarz. Trzeba tylko ustalić, czym zajmuje się w czasie wolnym od ślusarzenia. Jestem pewien, że to właśnie on uszkodził zamek, a następnego dnia zjawił się jako hydraulik przysłany przez administrację.

– Ja też tak myślę. Co z odciskami palców?

– Są w badaniu. Wynik będzie jutro...

„...Odciski palców zdjęte z kryształowego kieliszka są identyczne z odciskami kciuka oraz palca wskazującego i środkowego lewej ręki ob. Obolnikowa S.S., ur. w 1914 roku, zam. w Moskwie, kar. za chuligaństwo.”

– Ale przecież wedle naszych danych Obolnikow nie

mógł być tej nocy w mieszkaniu Polakowa! – wykrzyknąłem. – Przecież on chyba ma żelazne alibi?

– Stoimy przed alternatywą – powiedział spokojnie Chalecki – że albo uznamy wyższość faktów nad naszymi spekulacjami, a daktyloskopia się nie myli, albo...

– Co: albo? – zapytałem ze złością.

– Albo Obolnikow był tam w przeddzień kradzieży – wzruszył ramionami Chalecki. – Ślady są świeżutkie...

– Po co? – zapytała Ławrowa. – Jeśli przekazał złodziejowi klucze, to nie miał tam nic do roboty!

– Niby tak – zgodził się Chalecki. – Mógł jednak przecież uprzednio wprowadzić złodzieja do mieszkania, żeby ten mógł się rozejrzeć, zobaczyć gdzie co leży, zorientować się w rozkładzie mieszkania. Na wojnie dobry wywiad to połowa sukcesu.

– Nie – zaoponowałem. – O ile znam złodziejską psychologię, to takie działanie jest dla nich zbyt skomplikowane. Jakiś tam wywiad, staranne przygotowania... Gdyby znaleźli się we dwóch w pustym mieszkaniu, na pewno rąbnęliby, co się da, i prysnęli.

– Podrzucając nam Obolnikowa z kluczami od mieszkania i bez żadnego alibi? – zapytał sarkastycznie Chalecki.

– No więc dobrze. Proszę mi wobec tego wyjaśnić, czego tam szukał ślusarz? Przecież Obolnikow miał klucze?... – zapytała Ławrowa. – Wątpię, aby rola tego pijaczka wykraczała poza nadanie roboty!

Chalecki poprawił okulary na nosie i powiedział:

– Moja droga, rzuca się pani na mnie tak, jakbym brał udział w ich naradzie, słyszał wszystko co do słowa, i tylko przez roztargnienie zapomniał o tym opowiedzieć... A ja po prostu staram się razem z wami zanalizować wszelkie możliwe warianty.

– Jeśli oni poprzedniego dnia dokładnie obejrzelі mieszkanie, to co za sens miało wysyłanie depeszy? – pomyślałem głośno.

Chalecki obrócił się żywo w moją stronę.

– Pan też uważa, że to był próbny dzwonek?

– Nie wiem – rozłożyłem ręce – ale nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia. Polakow z niczym nie potrafi sobie skojarzyć nazwiska Taratuty.

– Pojedźmy razem do Obolnikowa – zaproponowała mi Ławrowa.

Obolnikow jadł śniadanie. Staliśmy przy drzwiach szpitalnej stołówki i patrzyliśmy na niego, a on, nie zwracając na nic uwagi, w skupieniu się pożywał.

Ławrowa odezwała się półgłosem:

– Stary doktor Cesare Lombroso od ręki zafasowałby mu dożywotni areszt prewencyjny...

Uśmiechnąłem się.

– Na szczęście nasze prawo nie przewiduje instytucji aresztu prewencyjnego, a poglądy doktora Lombroso nie cieszą się popularnością.

– A może w odniesieniu do Obolnikowa nie byłoby to takie znów złe?

– Nie – potrząsnąłem zdecydowanie głową. – Jak ognia boję się wszelkich tego rodzaju teorii. Wyznam zresztą w tajemnicy, że kiedyś chłopaki z wydziału naukowo-technicznego dowiodły mi jak dwa a dwa cztery, że sam jestem klasycznym lombrosowskim typem rabusia ze skłonnościami sadystycznymi.

Obolnikow wytarł talerz skórką od chleba, przełknął ją i powiedział do salowej:

– Na obiad nie zapomnijcie dać mi zupy mięsnej, a nie rybę jak dotąd. Muszę sobie wzmocnić organizm, dopóki

mogę jeść. A dzięki Bogu apetyt na razie mam... – Po czym obrócił się w stronę drzwi i zobaczył nas.

Obciągnął szary szlafrok, poprawił przewiązujący go sznurek i ruszył drobnymi kroczkami w naszą stronę, wyciągając ku mnie ręce, jakby witał syna przyjeżdżającego na parodniową przepustkę z wojska.

Tak mnie tym zaskoczył, że również podałem mu rękę i z boku musieliśmy wyglądać dość rozczulająco. Na szczęście obyło się bez pocałunku z dubeltówki. Wyszarpnąłem rękę z jego wilgotnej, gorącej łapki i pomyślałem ze zdziwieniem, że nie wyobrażam sobie, jak on tymi małymi rączkami potrafił przez lata tłuc całą rodzinę. A Obolnikow tymczasem trajkotał:

– No, dzięki Bogu! Nareszcie zobaczyłem jakąś znajomą twarz, bo nikt mnie tutaj przecież nie odwiedza, a człowiek to istota towarzyska, nie może żyć sam, potrzebuje od czasu do czasu porozmawiać z krewnym lub znajomym o wspólnych sprawach, ucieszyć radosną wieścią swoją skołataną duszę. A moi domownicy, ukochana żonusha i ta cholera, córeczka, oszczerczyni swojego rodziciela, ani razu do mnie nie zajrzą, niczego nie przyniosą... Ale ja tu o swoich żalach, a wy, towarzyszu inspektorze, pewnie nie macie na to czasu. Ciągłe tylko o tym skrzypku myślicie. Okradli go, a wy macie kłopot. Tutaj siedzą ludzie cisi, spokojni, ich można okradać, ostatni kęs od ust im odejmować, a oni się nawet nie poskarżą... A ten skrzypek to pewnie narobił wrzasku, że w niebie go było słyhać. Dla takich to tylko ciuchy i pieniądze się liczą! A o żywym człowieku nawet nie pomyślą... A ta dama, przepraszam, to wasza żona?

Ławrowa patrzyła na niego ze zdumieniem. Odniosłem wrażenie, że po prostu straciła dar mowy. Ja do numerów Obolnikowa zdołałem się już nieco przyzwyczaić. Patrzyłem w wodniste, wściekłe oczka Obolnikowa, potem opuś-

ciłem wzrok, zobaczyłem wąskie wargi ze śladami jajecz-  
nicy, ruchliwy nos i powiedziałem miękko:

– Tak, to moja żona. Poprzednim razem, Sergiuszu  
Siemionowiczu, wzbudził pan we mnie takie współczucie,  
że postanowiłem od tej chwili składać wizyty wraz z żoną.  
Obiecała mi nawet, że jeśli pan jej się spodoba, zabierze  
pana stąd i usynowi. Przywróci, że tak powiem, niezastu-  
żenie odebrane ciepło ogniska domowego...

Obróciłem się ku Lenie i zapytałem:

– No i jak, podoba ci się? Nada się nam taki wychowa-  
nek? Weźmiemy go, czy na razie zostawimy jeszcze tu-  
taj?

Wciąż jeszcze staliśmy w korytarzu i obok nas przesu-  
wali się bezszelestnie, niczym wielkie bezzębne myszy,  
cisi pacjenci w szarych szlafrokach. Ławrowa powiedzia-  
ła:

– Uważam, że koniecznie trzeba go stąd zabrać. Chodź-  
my do kancelarii.

Obolnikow jakby ocknął się z chwilowej drzemki i za-  
trajkotał szybkim, przerywanym szeptem:

– Nie trzeba... Nie trzeba mnie stąd zabierać... Nic nie  
zrobiłem... Nie kradłem... Nie trzeba mnie do więzienia...  
Nic nie wzięłem, bo nic mi przecież nie potrzeba... – I nagle  
wrzasnął cienkim, przenikliwym głosem: – Nie ryszajcie  
mnie!... Nie jestem złodziejem!... Nic nie zrobiłem! Ja nie  
chcę do więzienia!...

Padł na kolana, a ze wszystkich stron biegli już ku nam  
chorzy i pielęgniarze. Obolnikow tymczasem darł się,  
szybko odpędzając od nas na kolanach:

– Zmiłujcie się!... Nie chcę do więzienia!... Ja tam nie  
mam nic do roboty...

Zdębiałem i nagle usłyszałem głos Ławrowej. Głos był  
cichy i spokojny, ale brzmiał tak, że cały harmider na  
korytarzu ucichł jak nożem uciął.

– Wstać! Wstać, powiedziałam!

I wszyscy dokoła znieruchomieli, jak w niemej scenie  
z „Rewizora”.

Ławrowa podeszła do Obolnikowa i powiedziała zupeł-  
nie cicho:

– Jeśli pan się natychmiast nie uspokoi, to rzeczywiście  
pana aresztuję. Wstać!

Minotaur Obolnikowa przypominał teraz brudnego,  
zbitego psa. Dygocąc i pociągając nosem, Obolnikow wy-  
mamrotał:

– Daję słowo honoru, że niczego nie ukradłem...

Ciężkie żelazne drzwi zatrzasnęły się za nami i wyszliśmy  
na ulicę. Jesień chyba zapomniała, że jej czas dobiega  
końca, bo dzień był ciepły, cichy i słoneczny. Ławrowa  
nabiła opadły liść na czubek swojej eleganckiej parasolki  
i powiedziała:

– Niedługo zaczną się deszcze...

– Chyba tak.

– Nie lubię jesieni...

– A mnie tam jesień nie przeszkadza.

– W ogóle mamy sprzeczne gusty.

– To nic groźnego – odparłem – ponieważ nie są to  
sprzeczności antagonistyczne. Powiedziałbym nawet, że  
dzięki temu możemy we dwójkę ogarnąć większy wycinek  
rzeczywistości.

Ławrowa uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Pomijając sprzeczności gustów, jesteśmy jak ta klasy-  
czna para detektywów: młody, zapalczywy funkcjonariusz  
mówi „trzeba brać”. A starszy, doświadczony i rozsądny,  
odpowiada „jeszcze na to za wcześnie”.

– To analogia czysto formalna. Przecież ów klasyczny  
starszy kieruje się zawsze przesłankami natury humani-

tarnej: nie wolno wsadzać człowieka do więzienia, zanim nie dowiodło mu się winy...

– A czym pan się kieruje? – zapytała z ciekawością Ławrowa.

– Suchym egoistycznym racjonalizmem. Ja bym tego faceta z przyjemnością zapuszkowałam, ale od chwili, kiedy w sprawie zjawia się aresztowany, zaczynają się prawdziwe kłopoty. Poza bieżącym dochodzeniem trzeba się ciągle opędzać od zwierzchności i prokuratury, bo przecież termin sankcji jest bardzo krótki...

– A tak?

– A tak, to on sam skazał się na izolację. Uciec stąd nie może, a zresztą dokąd ma uciekać? Niechaj łyka sobie antabus i dojrzewa...

Doszliśmy do rogu i wtedy przypomniałem sobie, jak znakomicie Ławrowa poradziła sobie z Obolnikowem.

– Słuchaj, Leno, świetnie uspokoiłaś tego łobuza. Znakomicie, a ja straciłem na moment głowę...

Nic mi nie odpowiedziała i przez dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu, aż wreszcie Lena rzuciła, jakby mimochodem:

– Znam tych drani. Napatrzyłam się. Matka sama mnie wychowywała.

Z automatu telefonicznego zadzwoniłem na Pietrowkę. Dyżurny powiedział, że przysłano dla mnie informację.

– Przeczytajcie – poprosiłem.

– „Ikonnikow Paweł Piotrowicz, urodzony w roku 1911 w Charkowie, zamieszkały... – monotonnie czytał dyżurny.

– Zatrudniony w charakterze laboranta-herpetologa w serpentarium Instytutu Toksykologii”...

Odłożyłem słuchawkę i zapytałem Ławrową:

– Nie wie pani przypadkiem, co to znaczy herpetolog?

– Chyba coś związanego ze żmijami... Jeśli się nie mylę, herpetologia jest nauką o żmijach.

– O żmijach? – zapytałem z powątpiewaniem. – A co to jest serpentarium?

– Żmijarnia. Coś w rodzaju terrarium, w którym trzyma się żmije.

– Coś takiego! – wykrzyknąłem. – Pierwszy raz słyszę...

Ławrowa powiedziała:

– Może pana zmartwie, ale na świecie jest jeszcze wiele innych rzeczy, o których pan nie słyszał.

-- Nie widzę powodu do zmartwienia! Pewien mój znajomy regularnie czytał do poduszki encyklopedię. I co najgorsze, wszystko drań zapamiętywał. Nie dało się z nim rozmawiać. Wszystko wiedział, aż obrzydzenie brało. Proszę sobie wyobrazić, że ja czytałbym wieczorem encyklopedię, a rano recytowałbym ją z pamięci...

– My i tak mamy o czym pogadać. Rozumiem, że udaje się pan do serpentarium?

– Tak. To jest w Sokolnikach.

– Znakomicie. Ja natomiast pobiegnę do zajezdni kolejbusowej, zbadać sprawę biletu.

– Gdyby pani była ubrana nie w mini, tylko w długą krynolinę, nalegałbym, abyśmy pojechali razem – powiedziałem.

– A to dlaczego? – zapytała podejrzliwie Ławrowa.

– Parasolkę pani ma, więc znakomicie komponowalibyśmy się w jesiennym pejzażu parku, jak na obrazie Lewitana.

Ławrowa roześmiała się.

– Niewiele panu brakuje do tego kumpla-encyklopedysty...

Nie wiem czemu, ale tak się jakoś złożyło, że od wielu lat nie byłem w Parku Sokołnickim. Kiedyś bardzo go lubiłem i często z chłopakami jeździłem do tamtejszego miasteczka zabaw. Najbardziej pociągał nas stojący tam zestrzelony zdobyczny Messerschmitt-109. Na karuzelę z małutkimi samolocikami pieniędzy naturalnie nie mieliśmy, a w messerschmitcie można było bawić się ile dusza zapragnie, a w dodatku był to prawdziwy zdobyczny samolot, chociaż trochę pokiereszowany. Najwidoczniej wszyscy o nim zapomnieli, więc powoli rozkręcaliśmy go do najdrobniejszej śrubki. Pod koniec samolot wyglądał tak, jakby nadział się na bezpośrednie trafienie z wielkokalibrowej zenitówki. Wcale nam to nie przeszkadzało, bo i tak każdy z nas w jego kabinie czuł się jak Czkałow, Kożedub albo Mariesjew. Potem samolot gdzieś zabrali, pewnie na złom, a my, porozpaczawszy trochę, zaczęliśmy kąpać się w Jelenich Stawach. Park był wtedy jeszcze zupełnie dziki, prawdziwy las. Nie było asfaltowych alejek, nowoczesnych pawilonów wystawowych, szklanych pudełek kawiarni i szaszłykarni. Tylko przy samym wejściu stała nieprawdopodobna drewniana budowla przypominająca pogańską świątynię. To było kino, do którego ze zmiennym szczęściem, lecz z niezmiennym uporem chodziliśmy na gape. Właśnie w tym kinie widziałem „Łódź podwodną T-9”, „Trzech muszkieterów”, „Aleksandra Matrosowa” i „Robin Hooda”. Pamiętam, że kiedy wyświetlali „Wyspę skarbów”, jeden z jej bohaterów mówił, że jest człowiekiem prostym, któremu do szczęścia potrzeba tylko bekonu, jajek i rumu, my – głodne dzieci wojny – zaczynaliśmy się śmiać jak szaleni, sądząc, że to tylko taki beczelny kawał. Kino było częścią mojego dzieciństwa, czarodziejskim okienkiem, przez które patrzyłem na wielki świat wokół siebie. Potem, wiele lat później, kiedy już studiowałem na uniwersytecie, pewnej nocy kino się spaliło. Pamiętam, jak

okropnie żałowałem tej koszmarnej, bliskiej memu sercu budy. Na miejscu kina wykopali sadzawkę, piękną sadzawkę z podświetlanymi fontannami. Chociaż sadzawka naprawdę była ładna i świetnie zlokalizowana, naprzeciw wejścia, to jednak było mi przykro i wolałbym, żeby sadzawkę urządzono w innym miejscu. Od tej chwili brakowało mi czegoś w parku, który stał się dla mnie obcy, więc przestałem do niego chodzić.

A teraz było tam cicho, pięknie i pustawo – tylko samotna jesień spacerowała po parku. Wokół pełno było żółtego światła, nieśmiałego jakby i leniwego, drzewa nie rzucały cieni, a liście głośno, niczym suchy chrust, trzeszczały pod nogami. Tylko powszedniego jesiennego dnia było w parku tak cicho, że muzyka, zdmuchiwana przez wietrzyk z dalekich głośników, zamykała ciszę w błękitie nieruchomego powietrza jak w ramie. Szedłem po brunatnej, już obumarłej trawie, i myślałem o tym, że kiedy moje dzieci będą miały po trzydzieści lat, jeśli w ogóle będę miał dzieci, to do tego czasu Sokołniki przekształcą się w taki sam wypucowany i wygolony gazon jak Ogród Aleksandrowski, i jeśli spróbuję opowiedzieć im, że to jest teren łowiecki mojego dzieciństwa, wtedy popatrzą na mnie jak na starego idiotę. Wszystko zmienia się bardzo szybko. Jak by wyraziła się w takim wypadku Marina Kolesnikowa, „strukturalizm mocno naciska”. Wspomniałem o niej dlatego, że kiedy tak szedłem przez ten piękny, szykujący się do zimowego snu las, mój Minotaur prawie wyciągnął kopyta i ledwie dyszał, tak dobrze i spokojnie na duszy było mi od spotkania z własnym dzieciństwem. Nie męczyły mnie żadne paskudne myśli i uczucia i bardzo przy tym pragnąłem, żeby wszyscy ludzie poszli na spotkanie ze swoim dzieciństwem, żeby oczyścili się z całego tego brudu, który nawet wbrew naszym chęciom przylepia się do

nas w trakcie niełatwych wędrówek po ścieżkach i zaułkach życia.

Kiedy jednak zobaczyłem na piętrowym ceglany budynku w głębi parku lapidarną tabliczkę „Instytut Toksykologii. Laboratorium”, Minotaur ocknął się i szepnął: „No idź i zapytaj Ikonnikowa, dlaczego nienawidzi Polakowa. Pewnie ten Ikonnikow jest złym człowiekiem, więc wypytuj go sprytnie i miej się na baczności...”

Szarpnąłem czarne, obite plastykiem drzwi i wszedłem do laboratorium. Znalazłem się nie w hallu i nie w przedpokoju, tylko w zwyczajnej sieni z dwojgiem drzwi. Zapukałem do prawych drzwi i usłyszałem głuchy, lekko zachrypnięty głos:

– Proszę!

Za stołem w bielonym wapnem pokoju siedział rudy mężczyzna z koźlą brodą i trzymał za głowę zmiję. Biały, długi na palec zęb sterczał jej z paszczęki i coś żółtawego kapalo z tego kła do zlewki. Mężczyzna uniósł bladą, pomarszczoną twarz i powiedział:

– Niech pan zostanie przy drzwiach. Proszę się nie bać.

Nie wiedzieć czemu od razu zrozumiałem, że to właśnie jest Ikonnikow i Minotaur w mojej duszy podskoczył jak oszalały, jakby wiedział, że z tym mężczyzną tak łatwo mi nie pójdzie, że prędko się z nim nie rozstanę...

## Rozdział piąty

### Kain

Sługa przeliczył pieniądze i wsypał je do zamszowego mieszka.

– Signore Consolini prosił przekazać, iż zawsze z radoś-

– Mój Boże, jak mi przykro! To jest zakład zamknięty, ale wolałabym chyba przyprowadzać tu ludzi na wycieczki, jak do gabinetu okropności. Może przynajmniej w ten sposób by się kogoś powstrzymało. A tak to ludzie przechodzą ulicą i myślą, że to zwyczajny szpital, bo ktoś, kto tu nie był, nawet nie potrafi sobie wyobrazić tego ogromu niehumanitarnych cierpień, nieszczęść i łez. Prawdziwy ósmy krąg piekieł!

– A co można na to poradzić? – zapytałem.

– Mnie pan o to pyta? Jestem przecież lekarzem, a nie socjologiem, chociaż i tego przy naszej pracy człowiek się powoli uczy. Nie ma takiej postaci zła, która nie przewinęłaby się przez nasz szpital. Rozpadają się rodziny, rodzą się chore dzieci, zdarzają się wypadki przy pracy... To wszystko nas dotyczy, to wszystko nas interesuje, trafia do nas. A kto po pijanemu trafia nie do nas, tylko do was, to pan wie lepiej ode mnie..:

Zamilkła na chwilę, a potem powiedziała:

– No dobrze, pan tej sprawy też nie rozwiąże. Interesuje pana Obolnikow?

– Tak, chciałbym, aby pani opowiedziała mi o nim bardziej szczegółowo.

Konstantinowa wyjęła z szafy teczkę historii choroby. Zauważyłem, żeteczka jest gruba, postrzępiona.

– On u nas leży już po raz drugi – powiedziała Konstantinowa. – Miał recydywę rok temu, ale bez poważniejszych komplikacji, bo nie pił zbyt wiele... Tym razem zgłosił się na leczenie dobrowolnie ze skierowaniem psychiatry dzielnicowego. Mówi, że chce się całkowicie wyleczyć.

– Pani pacjenci często zgłaszają się dobrowolnie?

– Niestety, nie bywają równie świadomi jak Obolnikow.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Proszę bardzo. Jest teraz na spacerze w parku. Zawołać go tutaj, czy woli pan rozmawiać na świeżym powietrzu?

– Wolę na świeżym powietrzu. Wyrównamy w ten sposób swoje szanse – uśmiechnąłem się. – Bo w tych murach Obolnikow czuje się pewniej ode mnie.

Sergiusz Siemionowicz Obolnikow spacerował po parku zamyślony i melancholijny niczym Hamlet. Z rękami wsuniętymi za sznur, którym miał przepasany ciepły flanelowy szlafrok, w trampkach i szydełkowej damskiej czapce bez pośpiechu kroczył alejką wysypaną tłuczoną egłą i pobłażliwie zerkał na wróble bijące się o skórkę chleba. Usłyszałem, jak powiedział do nich z lekkim potępieniem w głosie:

– Ale wy jesteście paskudne ptaszyska...

Na odgłos naszych kroków odwrócił się, wyjął ręce zza boczki, stanął na baczność, czym mocno mnie zadziwił, powiedział bardzo poważnym tonem:

– Życzę zdrowia, Halino Władimirowna. Witam pana.

Konstantinowa uśmiechnęła się złym uśmiechem i powiedziała:

– Dzień dobry, Obolnikow. Gdyby tak pańskie dobre wychowanie przejawiało się również w stosunku do rodziny, byłby pan wzorem męża i ojca.

Obolnikow przytaknął z powagą.

– Rodzinę nie na darmo nazywają ogniskiem domowym. Tam przecież i dobro, i zło razem się przemiele, spali, w proch obróci, a ciepło tylko zostanie. Ludzie tylko dlatego jeszcze źle ze sobą żyją, że nie chcą sobie nawzajem pokazać zasłużonego szacunku. Dobre wychowanie, uprzejmość to niby puste słowa, a jednak człowiekowi od nich przyjemnie.

– Gdyby jeszcze tak, Obolnikow, był pan taki rozsądny, gdy chodzi o picie! – powiedziała rozmarzonym tonem

Konstantinowa. – Bo teraz ta wasza znakomita filozofia rozpuszcza się w wódce.

– Ja wódki nie używam – powiedział Obolnikow z dumą. – Zanim dostałem się pod „autobus”, pijałem tylko „bełta”, portwein – i roześmiał się cieniutko i ochryple.

– Oni tak nazywają antabus, którym ich leczymy – wyjaśniła mi Konstantinowa. – Niech pan da, Obolnikow, spokój z pańskimi żarcikami. Proszę pomyśleć raczej o rodzinie. Im nie jest do śmiechu... Córka nie mówiła do piątego roku życia i do tej pory jest zarejestrowana w poradni zdrowia psychicznego. Syn mając piętnaście lat uciekł z domu. Żona jest przez was inwalidką. A wy mi tu dowcipkujecie!

Obolnikow nasunął na czoło swoją dziwną czapkę i popatrzył na lekarkę. Oczy miał wprawdzie wodniste, ale już nie czułe i nie spokojne. Ta woda, która się w nich przelewała, była lodowata, kleista i kwaśna z nienawiści.

– Przecież nie jestem żadnym uczonym pedagogiem i wychowywałem ich, jak umiałem, tyrałem na nich jak wół. A pani, Halino Władimirowna, obiecała zapisać natrysk Charcota. Proszę powiedzieć, bo salowe bez pani polecenia nie chcą dać. A on mi dobrze robi na moje osłabione zdrowie...

Konstantinowa popatrzyła na niego przeciągłym wzrokiem, westchnęła i powiedziała:

– Wydam polecenie w sprawie natrysku. A ten towarzysz chce z wami porozmawiać. To milicjant.

Obolnikow odwrócił się błyskawicznie w moją stronę i powiedział znów serdecznym, przyjaznym głosem:

– Z ogromną przyjemnością porozmawiam z wami, obywatelu naczelniku. Halina Władimirowna wymyśla mi przecież bez złości. Ona się bardzo troszczy o moje zdrowie...

Konstantinowa skrzywiła się, jakby ją rozboleły zęby, odeszła w stronę budynku szpitalnego.

Obolnikow popatrzył za nią i ze smutkiem pokręcił głową.

– Halina Władimirowna to bardzo dobra lekarka i jeszcze lepsza kobieta. Ale lubi się gorączkować. Jak człowiek nie w porę nawinie jej się pod rękę, to potrafi nagadać trasznych głupstw, chociaż sama będzie później tego żałowała!

– A ona was teraz oczerniła, powiedziała nieprawdę?

Obolnikow wsunął ręce za sznurkowy pasek szlafroka.

– A co to jest prawda?... Bardzo kocham swoją rodzinę, ale choroba ciągnie mnie, biedaka, do rynsztoka. Mnie samemu jest ciężko, to i oni muszą też trochę pocierpieć. Zresztą niedużo już zostało...

– Dlaczego? – zainteresowałam się.

– Podlecę się tu, wyjdę, do emerytury zostało mi już niewiele. A potem do tej mojej krwawym potem wypracowanej emerytury dzieciaki też pewnie coś dorzucą. Kochają mnie, szanują. Dlaczego miałyby mnie nie kochać? To tylko Halina Władimirowna robi ze mnie krwiopijcę. Kochają mnie, a i prawo jest takie, żeby dzieci pomagały swoim spracowanym rodzicom...

Westchnął, popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

– Także nie krępujcie się, pytajcie, obywatelu naczelniku, jeśli jakaś potrzeba was do mnie sprowadziła. Ja tam zawsze gotów jestem, jeśli tylko mogę, pomóc każdemu człowiekowi. Ech, ilu to ludzi wykorzystywało moją dobroć!...

Uśmiechnąłem się krzywo i powiedziałem:

– Ja właśnie przyszedłem tu z powodu waszej dobroci. Dawaliście komuś klucze od mieszkania Polakowa? Z dobroci, z bezinteresownej serdeczności?

Obolnikow patrzył na mnie uważnie, z nieruchomą

cią pracuje dla pana, maestro Amati. Staramy się, aby nasze futerały stanowiły godną oprawę dla pańskich niezrównanych instrumentów. – Zgiął się w niskim ukłonie.

Mistrz Niccolo zachichotał złośliwie.

– Pewnie! Wraz z moimi skrzypcami ten oszust Consolini wprowadza do pałaców również swoje imię. Oczywiście nie zapomni postawić swojej cechy na futerale, prawda?

– Zdumiewa mnie twoja przenikliwość, mistrzu! Oczywiście, signora Consoliniego nie interesuje w tym wypadku zarobek. Mój pan wierzy, że jego skromne imię zostanie uszlachetnione bodaj jednym promykiem ogromnej sławy Amatiiego, która trwać będzie wiecznie – mówił sługa wycofując się ku drzwiom.

– Dlatego właśnie ten futerał jest o dwa floreny droższy od poprzednich? – zainteresował się Niccolo.

– Minał już rok i signore Consolini ma nadzieję, że przez ten czas twoje skrzypce, maestro, zdrożały o tysiąc franków – powiedział bezczelnie sługa.

– Precz! – wrzasnął Niccolo i sługa zniknął jak zdmuchnięty. Amati roześmiał się i powiedział: – Głupi jest twój Consolini. Te skrzypki kosztują już pięć tysięcy dukatów. Jak myślisz, Antonio, taniej ich chyba nie sprzedamy?

– Mnie to nie dotyczy – odparł sucho uczeń. – Przecież i tak nic mi, panie, nie płacisz. Pracuję tylko za wikt i naukę...

Amati przeszedł się tanecznym krokiem po pokoju, poprzedzany przez swój ogromny brzuch, stromy jak oceaniczna fala. Otworzył pokrywę czarnego skórzanego futerału – ciężkiego, masywnego, solidnego. Wykładane szarym, tłoczonym aksamitem ciemniało gniazdo na skrzypce. Tam, niczym w migotliwej muszli perłopława, spocznie arcydzieło Amatiiego, cudo zrodzone z jego palców i słu-





chu, z pamięci o wszystkich jego smutkach i radościach, o tym, co zdarzyło mu się zobaczyć i usłyszeć w całym długim życiu. Antonio patrzył na pusty futerał i myślał o tym, że ta pustka jest jak oczekiwanie na celebrację, podniecające jak łoża nowożeńców.

Radujcie się więc, futerały Consoliniego! Powierzone wam zostały piękne narzeczone z domu Amatiego! Już tego samego dnia, kiedy zostały poczęte w głowie mistrza, piękne córki Amatiego zostały zaręczone z najwspanialszymi kawalerami Europy. Waszymi narzeczonymi, córki Amatiego, są palce książąt i bankierów, kardynałów i hrabiów! I nikt was nie pyta, czy narzeczeni wam się podobają, gdyż zapłacili za was brzęczącym złotem. Dźwięk tego złota jest zapłatą za długie lata cierpienia u boku niekochanych mężów – grubych, brutalnych, nieczułych i złych. Głos wasz chrypie z bólu pod ich dotknięciem. Ale i oni wiedzą, że utrzymują was dla kochanków, bowiem tylko na krótko przypadkowy talent może chwycić was w swe objęcia, bo talent waszego szczęścia kupić nie zdoła, ponieważ za radość posiadania waszego czarodziejskiego dźwięku musiałby zapłacić złym brzękiem złota, a talenty zawsze są ubogie...

Stradivarius ocknął się ze swych rojeń i zobaczył, że trzyma w rękach skrzypce i nieświadomie gładzi je po dece, jak małe dziecko. Skrzypce, złociste i krągłe, jak pierś wiejskiej dziewczyny, promieniowały ciepłem i czułością.

Amati siedział w swym rzeźbionym fotelu, pił wprost z wielkiej butli białe tokańskie wino i przyglądał się z ciekawością Antoniowi.

– Mistrzu, wybacz mi te słowa, ale przecież i tak jesteś już bardzo bogaty – powiedział zdławionym głosem Stradivarius. – Po co więc sprzedajesz swoje skrzypce tym durniom? Niechaj leżą w domu, przecież sam

panie, mówiłeś, że z każdym rokiem stają się coraz droższe!

Amati rozwiązał hiszpański pas – westchnął z ulgą i postawił stopę na małym podnóżku.

– Córka powinna wyjść za mąż – powiedział. – A dzieło mistrza powinno pójść do ludzi, bo inaczej on sam umrze jako twórca. Gdyby moich skrzypiec nikt nie kupował, rozdawałbym je za darmo.

– Ale ludzie, do których one trafiają, nie odróżniają twojego instrumentu od jarmarcznej violi. Płacą tylko za twoje imię i za futerał od Consoliniego!

– Masz rację, mój chłopcze. Jest jednak pewna rzecz, której na razie nie potrafisz zrozumieć. W twoim wieku wszystko ocenia się miarą dnia dzisiejszego, a życie wydaje się nieskończone. I słowa: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” – są dla ciebie tylko słowami. A dla mnie to już dzień jutrzejszy. Dlatego myślę o tym, jaki ślad po sobie zostawię. Kiedy będziesz miał tyle lat, ile ja mam dzisiaj, zrozumiesz, że ślad, cień życia naszego to dzieło rąk naszych. To wiecznie zielona trawa i nie więdnący kwiat. To instrumenty, które żyć będą przez całe wieki, dając ludziom szczęście. Jeszcze nie urodzili się ci, co zdołają ocenić prawdziwą wartość skrzypiec, które z takim drżeniem ściskasz w rękach. Ich sława i muzyka dopiero przyjdzie. Miną wieki, a my nawet nie dowiemy się, jakie boskie dźwięki może wydobyć z tego siedliska muzyki geniusz. Ale skrzypce będą żyć i wówczas, kiedy umrą ci ludzie, albowiem nie ma końca krąg ludzkiego życia, który jest jak wschód i zachód słońca, jak przypływ i odpływ oceanu, jak ludzka potrzeba piękna. I nie dane nam wiedzieć, kto i dla kogo będzie grał na tej małej violinie, gdyż stulecia to, mój chłopcze, bardzo wiele czasu...

– Charakter człowieka to jego los, mówili starożytni Grecy – powiedział spokojnie Ikonnikow. – A ci starzy Grecy byli wcale niegłupi...

Zapytałem:

– Mam przez to rozumieć, że pan uskarża się na własny charakter?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem:

– A czemuż to pan sądzi, że jestem niezadowolony ze swego losu?

Mruknałem coś niewyraźnie, a Ikonnikow wyjął ze szklanej szafki blaszaną puszkę, bez pośpiechu otworzył ją i zaczął sypać do niej różne gatunki tytoniu. Nasypał „Kapitańskiego”, dodał szczyptę „Złotego runa”, trochę zielonej machorki ze szklanego słoika i na końcu odrobinę holenderskiej czerwonej „Amfory”. Potem schował tytonie, zamknął puszkę i zaczął potrząsać nią kolistymi ruchami, jak barman przyrządzający wytworny koktajl. Wziął arkusik bibułki papierosowej i momentalnie skreślił zdumiewająco równego, bardzo długiego papierosa. Zapalił go. A ja wciąż patrzyłem na jego palce – długie, szczupłe, najwidoczniej bardzo silne, pożółkłe od tytoniu i chemikaliów, z zupełnie spłaszczonymi czubkami. Dlatego wydawało mi się, że trzyma swego niezwykłego papierosa w plastikowych szczypcach.

Niebieski dym zaczął wypełniać pokój, a Ikonnikow powiedział:

– Odnoszę wrażenie, że jest pan ode mnie dwukrotnie młodszy?...

– Mniej więcej – przytaknąłem, chociaż wiedziałem, że jestem od niego młodszy dokładnie o dwadzieścia osiem lat.

– Przy całym szacunku dla pańskiej pracy sądzę, że przez pozostałe panu jeszcze lata nie wzniesie się pan tak wysoko i nie upadnie tak nisko, jak ja – powiedział i doda

szybko: – Mam oczywiście na myśli kwestię twórczości w pracy. Dlatego nie może pan ocenić, jak dalece pomyślny był mój los...

Na wszelki wypadek nie odezwałem się nawet słowem, a on, patrząc w kąt, gdzie w klatce wirowała jak wrzeczono ogromna żmija, mówił dalej:

– Człowiek jest biologicznie zdeterminowany do zwyciężania. Jest to warunek, niezbędny i naturalny warunek jego istnienia. Dlatego ludzie mylnie sądzą, że również w sferze moralnej podstawą szczęścia jest liczba odniesionych przez nich zwycięstw: w życiu społecznym, w pracy, w domu.

– A co jest szczęściem? – zapytałem.

– Poznanie samego siebie. Poznać siebie można jedynie w spokoju. A spokój zyskujemy przechodząc przez ból i cierpienia. Poznawszy spokój, już nigdy nie żałuje się tego, co było, nie obchodzi to, co będzie, lecz po prostu żyje się w teraźniejszości i odczucie, wrażenie tej jesieni, wypłowiałego, bezbrzeżnego nieba nad głową, przestrzeni, powietrza, morza złotych liści, całego pięknego i przerażającego świata jest szczęściem.

– Ma pan idealistyczne widzenie świata – powiedziałem z lekką naganą w głosie.

– Może pan to nazywać, jak chce – uśmiechnął się Ikonnikow – a dla mnie tak jest naprawdę...

– Żmije również są szczęściem? – zapytałem ironicznie.

– Cóż żmije? Żmije to cudowny twór przyrody, pełen gracji, odważny, pożyteczny. I niezasłużenie oczerniony przez człowieka ze słabości i strachu.

– Tak? – bąknąłem niepewnie.

– Wymyślono im nawet obraźliwą nazwę rzędu. Gady. Jakże można było coś takiego wymyślić? – powiedział ze zdumieniem.

– Ale przecież to są gady – odparłem. – Przecież te bestie żądają.

Popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Wobec tego należałoby zakazać jeżdżenia samochodami. Przecież rozjeżdżają ludzi, bestie – przedrzeźniał mnie.

– No, to nie jest porównanie – zaproponowałem.

– Dlaczego? To jest bardzo dobre porównanie – powiedział twardo Ikonnikow. – Liczba ofiar zmarłych od ukąszenia żmij w stosunku do liczby uratowanych przez ich jad jest o wiele niższa od liczby wypadków drogowych. Proszę spojrzeć...

Odsunął zasłonę i ukazał mi się koszmarny widok. Dopiero teraz zrozumiałem, skąd dochodził niepokojący mnie od początku szmer i ledwie słyszalny syk: ściana za zasłoną była zastawiona mnóstwem klatek z gadami.

– Proszę spojrzeć, jakie piękne – powiedział Ikonnikow. – To jest królewska kobra...

Żmija uniosła spłaszczoną głowę z czarnymi obwódkami wokół martwych ślepi i popatrzyła na nas sennym, ale żarłocznym wzrokiem.

– A to jest żmija południowoamerykańska. (Ten gad przypominał modne przed laty plecione paski do spodni, tylko zamiast klamry miał paszczę, z której wytryskiwał i momentalnie zniknął rozdwojony języczek.) Jej ukąszenie zabija człowieka momentalnie, jak kula w skroń... – kontynuował Ikonnikow. – A to jest egipska kobra. Dałem jej imię Niusia, bo to moja stara przyjaciółka...

– Dlaczego?

– Ugryzła mnie kiedyś przypadkiem...

– I co?

– Jak pan widzi, uratowali. To jest zielona mamba, bardzo pożyteczne bydlątko. To australijska żmija tygry-

sia. W żaden sposób nie mogę jej oswoić. Ta jak dziabnie, to już koniec. A to mój ulubieniec – krait błękitny...

Półtorametrowy drag, szary, z ledwie dostrzegalnym niebieskim nalotem, jak zgniły olchowy pień, poniewierał się w klatce. Jakby człowiek na coś takiego natknął się w lesie, na pewno by nadepnął. Od tej myśli mrówki przebiegły mi po grzbiecie.

– A to nasze środkowoazjatyckie krajanki, żmije lewantyńskie i efy, a to koralówka...

Nic obrzydliwszego od tej koralówki w życiu nie widziałem. Bładoróżowa, pokryta brunatnym i złotym rysunkiem, gładka, zwinięta jak wąż przeciwpożarowy, unosiła nad tym paskudnym kłębkim ostrą niebieską główkę z nieznośnie czerwonymi, wściekłymi ślepiami, połyskującymi niczym sygnał przerażającego niebezpieczeństwa, bezlitosnymi, lodowatymi, spokojnymi. Żmija wzbudzała we mnie wstręt, ale nie mogłem oderwać od niej wzroku, a ona patrzyła na mnie, jakby wzywała: chodź tutaj, chodź...

Potrząsnąłem głową, żeby otrząsnąć się z tego wrażenia, i zobaczyłem w ostatniej klatce kilka jeży i dużą rogatą ropuchę. Ucieszyłem się na ich widok tak, jakbym gdzieś na środku Sahary spotkał żywego człowieka. Jeże z tupotem biegały po klatce, krążyły jak na karuzeli. A ropucha, dobroduszna, nieszkodliwa, stara, siedziała pośrodku i drzemała.

– Widzę, że nie spodobali się panu moi wychowankowie? – zapytał ironicznie Ikonnikow.

– A co się w nich może spodobać? – burknął ponuro.

Ikonnikow roześmiał się:

– Ej, ludzie, ludzie, jacyście wy zatwardziali w swoich przesądach. A to, że jad tych gadów leczy malarię, ospę, trąd, reumatyzm, artretyzm, epilepsję, to co?

– Uważa pan zatem, że skoro łykam na przeziębienie

aspirynę, to powinienem kochać przemysł farmaceutyczny?

Ikonnikow machnął ręką:

– Nie o to chodzi. Po prostu stosunek do zmił charakteryzuje generalną ludzką skłonność do przerzucania na innych odpowiedzialności za swój strach, ciemnotę, bezradność...

– No, ludzie wcale nie są tacy źli. Nie ma sensu uogólniać. Chociaż jestem od pana młodszy, to jednak złych ludzi widziałem pod dostatkiem, ale i tak...

– Co „ale i tak...”? Że, niby, lepiej się pan odnosi do ludzi? Ale pan jest sługą prawa, więc powinien pan być obiektywny. Chociaż obiektywizm prawa to tylko puste słowa.

– Niby dlaczego?

– Dlatego że prawo pretenduje do roli prawdy najwyższej. A takiej prawdy wyższej, możliwej do przyjęcia dla wszystkich ludzi, wedle mnie zwyczajnie nie ma. Każdy człowiek ma swoje interesy, swoją prawdę...

– Nasze prawo stanowi prawdę najwyższą naszego społeczeństwa i chroni solidarne interesy większości ludzi.

– A! Większość, mniejszość, to nie są kategorie moralne, tylko arytmetyczne...

– W tym wypadku jednak arytmetyka nieuchronnie przemienia się w moralność...

– A co to jest moralność? Przecież mówiliśmy o prawdzie najwyższej. Ta prawda nie może się zmieniać, jak prognoza pogody, a każde społeczeństwo stwarza własną moralność, która, rozprowadzona do poszczególnych członków społeczeństwa, nieuchronnie się deformuje. Tak było i tak będzie.

– Skąd ten pesymizm?

– Stąd, że wiem dokładnie, iż społeczeństwo potrzebuje złoczyńców. Gdyby ich nie było, nie powstałaby różnica

potencjałów moralnych, nie popłynąłby prąd moralności społecznej. Moralności nie oblicza się od wyżyn cnoty, tylko od głębi występku! To jak absolutne zero,  $-273^{\circ}$ ...

Przerwałem mu:

– Absolutne zero to nowo narodzone dziecko, bez cnót i przywar. Społeczeństwo i moralność dopiero kształtują z tej psychobiologicznej konstrukcji człowieka...

– Słusznie! Jeśli przyjąć pański układ współrzędnych, człowiek idzie potem w dół, jako konsument całkowicie zależny od woli i moralności społeczeństwa. A społeczeństwo zaszczepia mu potrzeby i świeżo wykluty człowieczek zyskuje własną prawdę, a zaraz potem wkracza w stopniowo narastający konflikt ze społeczeństwem...

– Dlaczego koniecznie konflikt? – rozżłościłem się.

– Dlatego, że przyroda zakodowała w człowieku potrzebę zwyciężania. Proszę sobie poczytać rozważania Darwina o doborze naturalnym. I mądrzy ludzie, popi, którzy stosami i szafotami przez dwa tysiąclecia wbijali ludziom w głowę swą prawdę najwyższą, usankcjonowali istnienie podłości, znajdując pierwszego na świecie kozła ofiarnego...

– Kogoż to? – zainteresowałem się.

– Kaina.

Ikonnikow zrobił sobie nowego skręta, przypalił go, a ja patrzyłem na jego bladą pomarszczoną twarz, czerwoną koźlą brodę, rozszerzone źrenice i myślałem, że chyba właśnie tak wyglądali zatwardziali heretycy.

– Jeśli można się tak wyrazić, to w całej pjsanej historii Kain był pierwszą ofiarą nieuzasadnionych represji. Proszę przeczytać uważnie Stary Testament, a wtedy stanie się dla pana oczywiste, że Kain nie zabił brata swego. Kain był dumnym i pracowitym oraczem. I zroszone jego słonym potem ziarna, złożone w darze Jehowie, nie przypadły do serca Najwyższemu. Wolał szaszłyki pasterza Abla. I z lek-

ceważeniem, właściwym wszystkim tyranom, nie ukrył tego przed braćmi, czym naturalnie obraził człowieka, który tyrał od świtu do nocy, aby wyhodować owe ziarno. I Kain okazał Bogu, że poczuł się tym dotknięty. A kiedy Abła zarznęli, najprawdopodobniej koczownicy, którym jego stada również przypadły do smaku, to zjawił się pretekst. Nastąpił moment, w którym można było ludziom pokazać, iż na Boga nie wolno się obrażać, jeśli nawet nie ma racji. Znalazł się umowny punkt odniesienia podłości: niewinny bratobójca. I objawił się Kain, dwukrotnie ukarany, bowiem Bóg potrzebował ciągłego straszaka i rozkazał On, aby odpuszczone było wszystko temu, kto zabije Kaina. Dlatego nawet po śmierci nie mógł znaleźć biedaczysko przytułku i spokoju... I dla każdego rozsądnego człowieka Kainowe piętno nie jest znakiem hańby, tylko sygnałem ostrzegawczym. Ostrożnie, komuś potrzebny jest Kain do publicznej rozprawy...

Właśnie teraz w naszej rozmowie nastąpił kontrapunkt. Ikonnikow niepotrzebnie tak precyzyjnie, bez żenady odbił mi pytanie, z którym tu przyszedłem. Już to poczuł, obaj równocześnie to zrozumieliśmy. Dopóki wciągał mnie w mroczny, kręty tunel swojej logiki, wijący się dziwacznyymi pętlami, jak leżąca w kącie koralówka, szedłem potulnie za nim, gdyż tam, w samej głębi, na końcu tej niepojętej otchłani mogło leżeć zrozumienie przyczyn jego konfliktu z Polakowem i jego roli w kradzieży stradivariusa. Ton i kierunek narzucał on, gdyż to ja wlażłem do jego duszy, bo bardzo pragnąłem zerknąć na jego Minotaura. Ale Ikonnikow zagapił się i sztolnia nieoczekiwanie wyszła na powierzchnię, przebiła cienką warstwę gruntu i obaj znaleźliśmy się w pełnym świetle, jaskrawym, oślepiającym, bijącym w oczy nierozstrzygniętym pytaniem, stojącym między nami. I teraz na mnie przyszła kolej na zabranie głosu.

– Doskonale pana zrozumiałem. Ale mnie nie jest potrzebny Kain do straszenia niewinnych. Mnie przede wszystkim potrzebny jest złodziej, abym mógł odzyskać skrzypce...

Ikonnikow wybuchnął suchym, skrzypiącym śmiechem:

– No i nareszcie wszystko wróciło na swoje miejsce. Lubię jasność we wszystkim. Jak przesłuchanie, to przesłuchanie, a do prania mózgu się nie nadaję. Cóż zatem pana interesuje?

Zerknąłem na niego i nagle okropnie zapragnąłem zapalić takiego samego długachnego skrepta, nabitego niezwykłym tytoniowym koktajlem, który wydzielał gęsty, aromatyczny dym.

– Nie jestem na tyle głupi, aby apelować o wykazanie świadomej postawy obywatelskiej...

– To byłoby śmieszne – wtrącił Ikonnikow.

– ... Ale muszę uzyskać od pana odpowiedź na kilka nieoficjalnych pytań. Mogę je zadać?

– Proszę spróbować.

– Dlaczego jest pan w takich złych stosunkach z Polakowem, dlaczego traktuje go pan jak wroga? – Zadając to pytanie byłem niemal pewien, że mi na nie nie odpowie.

– Wcale nie traktuję go jak wroga. To babskie plotki – powiedział spokojnie Ikonnikow. – Mali ludzie wypełniają pustkę swego życia plotkami o namiętnościach sław.

– Te plotki znajdują potwierdzenie w postaci zeznań świadków.

– Niech pan machnie ręką na te zeznania. Ci, którzy je składają, nawet nie mają pojęcia, że istnieją kłopoty, oddzielone od siebie nieprzekraczalnymi barierami czasu: Wczoraj, Dziś, Jutro. Co będzie jutro, tego jeszcze nie ma i nie warto o tym mówić, a co było Wczoraj, tego już nie ma. Wczoraj, kiedy ono jeszcze istniało, nie lubiłem Lowy, to

prawda. A teraz nie. Nie ma go dla mnie, a jego wszystkie sprawy, radości i smutki, zupełnie mnie nie interesują...

– A za co go pan nie lubi?

– Za co? – zamyślił się Ikonnikow. – Trudno powiedzieć. Zawieść? Nie, chyba nie, byłem przecież od niego zdolniejszy. Krótko mówiąc, nie wiem. Najprawdopodobniej jednak dlatego, że on miał to wszystko, czego mi brakowało, aby genialnym wirtuozem został nie on, lecz ja. Nie rozumie pan tego?

– Jeśli mam być szczery, to nie bardzo.

– Wobec tego spróbuję panu wyjaśnić. To było jakieś czterdzieści lat temu, kiedy byliśmy jeszcze zupełnie młodzi. Debiut w Moskwie, wielka rzecz! Byłem wtedy trochę nie w formie, a Lew grał wyjątkowo trudny koncert Pugnaniiego i zagrał go wspaniale. To był sukces. Wracam nocą do hotelu, rozbawiony, trochę pijany, i słyszę, że z pokoju Lwa rozlega się melodia kadencji, część druga, raz za razem, raz za razem. Wsłuchałem się i zrozumiałem, że tylko on jeden zauważył swoją pomyłkę w wykonaniu, grał odrobinę za nisko, i teraz, po tryumfie, sam w pokoju hotelowym, nawet pewnie bez kolacji, ćwiczył ten kawałek. Ćwiczył fragment, na który pewnie nawet nikt nie zwrócił uwagi! Raz za razem, raz za razem, jeszcze, jeszcze i jeszcze... Wówczas, w korytarzu, ta drobna, nie zauważona przez nikogo pomyłka w kadencji Pugnaniiego zabrzmiała dla mnie jak memento. Ale ja go nie usłyszałem, bo zbyt głośny był gwar owacji. On wciąż nabierał wysokości, ten cichutki, nieśmiały i dobry grajek, a ja wciąż byłem pewien, że to nic nie znaczy, bo jestem przecież o wiele od niego zdolniejszy, to przecież wszyscy wiedzą. Było tak, dopóki pewnego razu nie zrozumiałem, że Lew oderwał się ode mnie już na zawsze, że nigdy go już nie dopędzę. On przecież potrafił po wspaniałych owacjach w pustym hotelowym pokoju raz za razem powtarzać

kawałek z zapomnianego przez wszystkich Pugnaniiego... To właśnie on zdecydował o moim losie...

– To wcale nie wynika z pańskiej relacji – powiedziałem.

– Dlaczego nie wynika? – wykrzyknął poirytowany Ikonnikow. – To przecież detektywem można być drugim, czwartym lub osiemnastym, bo każdy z nich się przyda. A skrzypek, jeśli nie gra na weselach, może być tylko pierwszy. Być drugim już nie ma sensu, bo to nieciekawe i nieładne...

– Tak – zgodziłem się – jeśli charakter człowieka jest jego losem.

– Oczywiście. Każdy ma własny los i własną prawdę.

– Ale przecież prawda Polakowa, ta właśnie prawda, która wypracowywana była smyczkiem w pustych pokojach hotelowych na kadencjach Pugnaniiego, wcale nie kłóci się z pańską prawdą życiową! W najgorszym razie wasze życiowe prawdy mogły współistnieć równolegle!

– Sądzi pan, że nie jest sprzeczna? – Ikonnikow skrzywił się i odpędził ręką dym od oczu. – Proszę mi wobec tego odpowiedzieć, co skłania tego uznanego przez cały świat geniusza, otoczonego sławą i uwielbieniem, do szukania przyjaźni ze mną, człowiekiem dziwacznym i kapryśnym, którego wielu uważa po prostu za wariata?

Zastanawiałem się przez chwilę, usiłując dobrać najtrafniejsze słowa, ale Ikonnikow, nie czekając na odpowiedź, pytał dalej:

– Milczy pan? A Grisza Biełasz mówił mi niedawno, że Lwa znów wybiera się do mnie, żeby porozmawiać o naszych niewłaściwych stosunkach. A jakie my mamy stosunki? Jakież tam niejasne wspomnienia...

– A nie wydaje się panu, że Polakow jest po prostu przyzwoitym, dobrym człowiekiem, że, być może, męczy go myśl, że cała ta pańska zmijarnia jest zwyczajną błazeń-

ską czapką, którą pan dobrowolnie, na złość ludziom wbił sobie na głowę?!

Ikonnikow cicho, niemal szeptem roześmiał się.

– Dobry? Ale się ubawiłem! Męczy go kompleks winy, że niezasłużenie zajął cudze miejsce, dręczą go wstyd i myśli o okradzionym przez siebie człowieku. Teraz skradziono mu tylko instrument, niechaj się więc dowie, jak czuje się człowiek, któremu zrabowano dzieło jego życia!

Posiedzieliśmy dłuższą chwilę w milczeniu, a ja myślałem o tym, że nikt już nie potrafi wyprostować jego błędnego przekonania, że odpowiedzialność za jego klęskę życiową ponosi każdy, tylko nie on sam.

Ikonnikow wrzucił niedopałek do popielniczki, wstał i podszedł do klatki z koralówką. Żmija wolno obróciła ku niemu swą zaostrzoną głowę i wpiła się w niego hipnotyzującym czerwonym wzrokiem. Ikonnikow uchylił okienko w plastikowej ścianie i gad zaczął wolno, niezauważalnie wydłużać się, prostować, płynąć różowym gładkim ciałem, jak podświetlona fontanna, ale jego struga nie opadała, lecz wciąż rosła wolno do góry, dopóki ta wstrętna ostra głowa z białymi obwódkami wokół oczu nie wychyłała na zewnątrz. W tej samej chwili, błyskawicznym ruchem silnej, długiej dłoni, Ikonnikow chwycił żmiję tuż poniżej głowy za szyję i wyciągnął z klatki.

Zrobił dwa kroki w kierunku stołu i zobaczyłem tuż obok siebie, na odległość wyciągniętej ręki, małą paszczkę żmii z białym haczykiem zęba jadowego. Trzymetrowy gad wił się po podłodze, skręcał się w pierścienie, łomotał o kafelkową posadzkę, niczym serpentyna owijał nogi Ikonnikowa, który w tym momencie przypominał strażaka z oszalałym szlauchem w ręku.

– Nigdy pan nie widział, jak żmije atakują? – dobiegł mnie gdzieś z daleka głos Ikonnikowa.

Przemknęła mi głupia myśl o pistolecie. Bezsensowna

myśl, bo zanim zdołam sięgnąć do kabury, żmija wbije się we mnie jak dziryt.

Nagle palce Ikonnikowa na szyi koralówki odrobinę osłabły. Widziałem to i gotów jestem przysiąc, że rozluźnił dłoń, a wtedy żmija trysnęła w moją stronę, jak nóż wyrzucony przez niego z rękawa. Migotliwe ciało koralówki wisiało w powietrzu zupełnie poziomo, a paszczeka z rubinowymi guzikami ślepi zamarła o pół metra ode mnie.

Ikonnikow zerknął na mnie z ciekawością, gdyż musiałem zrobić się blady jak papier i roześmiał się.

– Proszę się nie bać, ona jest prawie zupełnie oswojona...

Wziął ze stołu zlewkę, zakrytą od góry plastikową folią, i zbliżył ją do głowy koralówki. Żmija natychmiast wystrzeliła głowę, kiel z cichym trzaskiem przebił błonę i zobaczyłem, jak trysnęła z niego cieniutka strużka żółtego płynu...

Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam, jak Ikonnikow wpychał z powrotem żmiję do klatki, jak długo mył ręce pod kranem, a potem wrócił do stołu i jak gdyby nigdy nic usiadł na krześle.

– Zrobił pan to umyślnie, aby mnie nastraszyć? – zapytałem. Głos mój brzmiał ochryple, a po twarzy spływały krople potu.

– Nic podobnego! – powiedział Ikonnikow prawie wesoło. – Koralówka panu tak bardzo się nie spodobała, że przechowam dla pana tę porcję jadu...

– Po co?

– Wy wszyscy, detektywi i geniusze, macie bardzo nerwową pracę, więc serce szybko się zużywa. Dlatego też pewnie, kiedy zużyje pan swoje, zapragnie je pan wymienić na nowe. Przeszczepianie jest teraz modne, ale bez jadu koralówki pański organizm odrzuci nowe serce. Natomiast



ten jad uspokoi panu organizm, stłumi go, uczyni skłon-  
nym do kompromisów i wówczas będzie mógł pan rozpo-  
cząć nowe życie, które będzie piękniejsze od poprzed-  
niego...

– A dla siebie nie zachował pan porcyjki?

– Ja nie potrzebuję, bo serce mam zdrowe, spokojne. Przecież wiem, co to spokój. Poza tym dla mnie jednego życia z lichwą wystarczy. To tylko geniusze potrzebni są ludzkości wiecznie...

Wstałem i powiedziałem mu:

– To wszystko kłamstwo i blaga. Całe pańskie życie i filozofia jest kłamstwem, tak samo jak ta żmijarnia, która jest dla pana substytutem silnych doznań, lęków, radości i namiętności, jakie przeżywa prawdziwy artysta. Z pewnością boi się pan swojej żmii tak samo jak ja, ale są one panu niezbędne do autoafirmacji. Dobra. Jeśli będę jeszcze pana potrzebował, wtedy przyślę wezwanie. Do wi-  
dzenia...

Wyszedłem na dwór, wciągnąłem pełną piersią czyste powietrze jesieni i pomyślałem, że ubiegłe dwie godziny przypominały jakiś głupi, koszmarny sen, fantasmagorię drzemającej świadomości. Jedno tylko było oczywiste: Ikonnikow celowo mnie straszył. Dlaczego?...

Szedłem bez pośpiechu przez park i usiłowałem jakoś uporządkować swoje wrażenia, wyciągnąć wnioski, pod-  
jąć decyzję. Bez powodzenia: Ikonnikow nie mieścił się w żadnej ze zrozumiałych dla mnie ludzkich kategorii. Inteligencja, pozerstwo, obraza na cały świat, precyzyjny umysł i tępa ograniczoność, poszukiwanie szczęścia i spo-  
koju w serpentarium, walka o jakąś mikroskopijną wydu-  
maną prawdę, Kain, koncert Pugnaniego, koralówka wy-  
skakująca z jego ręki jak klinga – wszystko to przemieszało

się w mojej głowie, migotało, podrygiwało, nie pozwalało zebrać myśli...

Potem wypłynęło z pamięci nazwisko, zasypane rumo-  
szem potrzaskanych myśli, opadających po eksplozji ikon-  
nikowskiego spokoju. Grisza Biełasz... Grisza Biełasz...  
Już gdzieś to nazwisko słyszałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć, przy jakiej okazji. Zatrzymałem się przy budce telefonicznej i zadzwoniłem do Ławrowej. Jej nu-  
mer nie odpowiadał i już zamierzałem odłożyć słuchawkę,  
ale w aparacie nagle szczęknięto i usłyszałem zadyszany  
głos Leny:

– Inspektor Ławrowa, słucham.

– Dobry wieczór, to ja...

Odetchnęła głębiej i powiedziała:

– Usłyszałam dzwonek na korytarzu i zanim otworzy-  
łam drzwi...

– Jednak światowy rekord sprintu nie został odnotowa-  
ny – powiedziałem.

– Nie szkodzi, gdy tylko pan zadzwoni, natychmiast go  
powtórzę – odparła. – A skąd pan dzwoni teraz?

– Z parku. Wyprowadziłem siebie na spacer do pustego  
parku. Bardzo tu teraz pięknie...

Ławrowa milczała chwilę, a potem zapytała:

– To ten treser żmij wprowadził pana w taki nastrój?

– W jakimś stopniu. Leno, czy nazwisko Grigorij Bie-  
łasz coś pani mówi?

– Owszem. Już z nim rozmawiałam. To stroiciel forte-  
pianów, z czwartej linii. Sfera obsługi, że się tak wyrażę...  
Czytał pan protokół jego przesłuchania.

Przypomniałem sobie. Grigorij Pietrowicz Biełasz, stro-  
iciel, regularnie bywa u Polakowa, jak najlepsza opinia,  
w czasie kradzieży był w delegacji, alibi zostało spraw-  
dzone.

– A jakie on wrażenie wywarł na pani? – zapytałem.

Ławrowa zastanawiała się przez chwilę, a ja wyobraziłem sobie, jak wzrusza ramionami, z czym ma trudności, gdyż słuchawkę przyciska ramieniem do ucha. Ręce ma zajęte, bo już z pewnością wyjmuję z paczki papierosa, a zapalniczka nie chce się jej zapalić. W końcu westchnęła albo może zaciągnęła się papierosem i powiedziała:

– Przyjemne. Człowiek inteligentny, obdarzony darem obserwacji, moim zdaniem, szczerzy, zachowuje się z godnością. No i, jak to piszą w rysopisach: „Wzrost wysoki, budowa szczupła, cera blada, oczy piwne...” Może zresztą nie piwne. Powiedziałam to tylko przykładowo...

– A czy nie mogłaby pani, przykładowo, zadzwonić do niego i znów do nas zaprosić?

– Oczywiście, mogę. On pana interesuje?

– On nie. Interesuje mnie Ikonnikow.

– Noo! – wykrzyknęła Ławrowa. Ten dziwny odgłos oznaczał u niej najwyższe zdumienie. – Coś poważnego?

– Tak, mamy względem siebie poważne zamiary – uśmiechnąłem się. – Chciał mnie albo nastraszyć, albo ukąsić...

– Ukąsić? – zdziwiła się Ławrowa. – W jakim sensie?

– Tak mi się przykładowo powiedziało. W przenośnym sensie. To znaczy umówiliśmy się co do Biełasza? Jutro, na dziesiątą.

– W porządku.

– A co u pani słyhać? Co z tym biletem? – zainteresowałem się.

Ławrowa znów zastanawiała się przez moment, a potem powiedziała niezbyt pewnym głosem:

– Myślę, że u Obolnikowa trzeba przeprowadzić rewizję. To był najprawdopodobniej jego bilet...

– Tak uważają w zajezdni? – zapytałem.

Ławrowa rozzłościła się:

– Nie, ja tak uważam!

– Proszę wobec tego i mnie coś opowiedzieć – poprosiłem.

– Proszę uprzejmie. Obawiam się jednak, że kiedy będziemy tak sobie konferować, prokurator rejonowy pójdzie do domu. A nam potrzebne będzie jego zezwolenie...

– Jest pani pewna, że będzie potrzebne? – zapytałem ostrożnie.

– Absolutnie – odparła twardo Ławrowa.

– Wprawdzie nie mam pojęcia, co my tam możemy znaleźć... – zauważyłem.

– Ja też nie liczę, że wyciągniemy skrzypce spod jego tapczanu...

– A na co pani liczy?

– Nie wiem – powiedziała ze złością Ławrowa. – Ale wynik negatywny jest również wynikiem.

– Trudno się z tym nie zgodzić. No cóż, niech pani działa. Spotkamy się za godzinę na Majakowskiej...

Oparty plecami o ścianę, stałem przy wejściu do metra i czekałem na Lenę. Obok mnie przechodzili ludzie, bardzo wielu ludzi i każdy z nich z pewnością dźwigał nie mniejszy ciężar trosk niż ja. Światy, całe światy przepływały obok mnie. Mój Boże, jak wiele jeden człowiek może w sobie pomieścić! Światy, piękne i mroczne, tryumfujące i ponure, bujne i niemal martwe, waliły tłumem; przez drzwi stacji metra Majakowska w godzinach szczytu przepływa Droga Mleczna, cały wszechświat. Zmordowani pracusie, beztroscy lenie, samotne kociaki, rozrywane brzydule, odważni złodzieje i ostrożni detektywi. Dlaczego ostrożni? Przyznaj się od razu, że jesteś przerażonym detektywem. Przecież Ikonnikow nieźle cię nastraszył. Ach, jak okrzepł i zmężniał dziś mój Minotaur! Nasycił się moim przerażeniem, jak czarodziejską siłą. Dzisiaj prowa-

dzi wyraźnie na punkty i dlatego milczy, zadowolony, nazarty moim wstydem i goryczą...

– Pan kupi kwiatki dla swojej dziewczyny...

Stała przede mną Cyganka. Na lewej ręce trzymała dzieciaka, a w prawej cały snopek astrów. Astry były fioletowe, późne, smutne i ostro pachniały ziemią.

– Ile kosztują? – zapytałem przezornie.

– Tylko jednego rubla bukiet – odpowiedziała Cyganka pobłażliwie.

– Na stare pieniądze bukiet też kosztował rubla...

– No to kup sobie za starego rubla tych astrów, które wtedy sprzedawano – poradziła mi wesoło.

Podąłem jej monetę, ale moja milicyjna dusza jednak nie wytrzymała i burknąłem:

– Lepiej byś poszła do pracy...

– No to zapytaj swojej ukochanej, dla której kupiłeś kwiatki, czy lepiej będzie, jak ja pójdę do pracy?

– Ta, dla której kupiłem, myśli pewnie, że lepiej – uśmiechnąłem się i pomyślałem, że z moją najdroższą, dla której właśnie kupiłem kwiatki, idziemy robić rewizję, i zrobiło mi się głupio. Co za pomysły, na rewizję z kwiatkami! Cyganka wczepiła się już w jakiegoś grubego faceta, a ja zacząłem rozglądać się za koszem na śmieci, żeby wrzucić do niego kwiatki, które kupiłem swojej ukochanej, i zobaczyłem na kolumnadzie Sali Koncertowej im. Czajkowskiego afisz: „Recital Lwa Polakowa. W programie – Vivaldi, Paganini, Boccherini, Saint-Saëns...” A Gaetano Pugnani nie było. Widocznie mocno wbijają się w pamięć pomyłki, które przez długie nocne godziny poprawia się po owacjach w pustym pokoju hotelowym.

Może właśnie dlatego, chociaż trudno dojrzeć związek przyczynowy we współdziałaniu ludzi-światów, w poprzek afisza rozmazała się różowa jak koralówka smuga z czarnymi tłustymi literami: „ODWOŁANY”... Kasa

zwraca pieniądze albo przedłuża ważność biletów, gdyż „nowy termin koncertu zostanie podany w terminie późniejszym”.

Będziecie musieli poczekać, obywatele melomani. Przecież genialni skrzypkowie też są ludźmi. Mogą zachorować w dniu koncertu, może skomplikować się im sytuacja rodzinna. Mogą im ukraść instrument...

– Czekają pan jeszcze na kogoś?

Ławrowa, z rękami w kieszeniach płaszcza, patrzyła na mnie ze złością.

– Tylko na panią...

– A co to jest? – wskazała bukiet.

– Kwiaty – powiedziałem. – Dla pani.

Kiwnęła niedbale głową, jakbym codziennie ofiarowywał jej bukiety kwiatów, a zwłaszcza wtedy, kiedy wybieraliśmy się razem na rewizję. Pewnie było to wyraźnie wypisane na mojej twarzy, bo dziewczyna roześmiała się:

– Jak wszyscy źli ludzie, jest pan sentymentalny. Chce pan, abym rzuciła się panu w ramiona?

– A czemu sądzi pani, że jestem złym człowiekiem?

– Nie wiem. Tak mi się wydaje.

– A może na odwrót? Może mam tylko taką maskę, a w rzeczywistości jestem człowiekiem subtelnym i nieśmiałym? Może wychowuję siedmioro zaadoptowanych sierot?

– Przecież pan ich nie wychowuje! – machnęła ręką.

– Też racja – zgodziłem się. – A co z Obolnikowem?

Ławrowa zerknęła na mnie z wyraźnym niezadowoleniem. Najwidoczniej miała ochotę na kontynuowanie rozmowy o moich wadach. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie czekająca nas rewizja. A bardzo już byłem zmęczony i okropnie chciało mi się spać.

– Bilet ma serię i numer – powiedziała Ławrowa. –

Dowiedziałam się, że bilety tej serii wydawane są na potrzeby zajezdni trolejbusów numer jeden...

– To już wiem...

– Wobec tego proszę mi nie przerywać – ucięła gniewnie Lena. – Po bliższym zbadaniu okazało się, że bilety tej serii zostały wydane na linię numer dwadzieścia, a bloczek o numerach zaczynających się na czterysta dwadzieścia trzy pobrał wóz numer 14-76. Kierowcy trolejbusów zapisują na pętlach ruch biletów w kasach. Bilet znaleziony przez nas ma numer 4 237 592. Szesnastego października kierowca Ksenofontow zanotował na pętli Srebrny Bór o godzinie 22.48 numer biletu 4 237 528. Wynika z tego, że nasz bilet wedle obliczeń Ksenofontowa, mógł zostać oderwany na odcinku między przystankiem Chłodnia, a przystankiem Wyścigi. Zajezdnia taksówek, w której pracuje Obolnikow, znajduje się akurat na tym odcinku.

– To bardzo ciekawe – powiedziałem – ale szesnastego października on już...

– ... był w szpitalu – dokończyła Ławrowa. – Pamiętam. Mimo to nie mamy prawa lekceważyć tej zbieżności...

– Nie możemy. Dobrze jednak byłoby dopasować konia do tego bata – powiedziałem. – Nie mamy do czego dopasować tej zbieżności.

– A więc nie zrobimy rewizji?

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem powiedziałem:

– Nie wiem. Może na razie po prostu pogadamy z jego żoną.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Obolnikow siedzi sobie spokojniutko z innymi pijaczkami w klinice, a rewizję będziemy robić u jego żony. On ma to głęboko w nosie, bo tacy wstydu nie mają, a dla niej byłby to wstyd na cały dom. Trzeba by wzywać sąsiadów na świadków. A on ją i tak przedwcześnie wpędzi do grobu...

Ławrowa wzruszyła ramionami.

– Erupcja sentymentalizmu. Przecież mówiłam...

– Zgadza się – zgodziłem się. – To wszystko przez mój zły charakter, na który nie ma żadnego lekarstwa. Jak powiedział mi dziś Ikonnikow, każdy ma swoją prawdę.

Weszliśmy do bramy.

– Może wyrzucimy kwiaty? – zaproponowałem.

– Po co? – Ławrowa wspięła się na palce i położyła kwiaty na jakiejś skrzynce z urządzeniami elektrycznymi, opatrzonej trupią czaszką. – W drodze powrotnej zabierzemy. A na razie niech ich kostucha popilnuje...

– Nie popełniłam chyba takich grzechów, żebym zasłużyła na taką ciężką karę – mówiła zmęczonym głosem Jewdokia Pietrowna Obolnikowa. Jej ręce, ciężkie, spracowane, leżały nieruchomo na stole.

– Jewdokio Pietrowna, przecież wypytujemy panią nie dlatego, że nie mamy nic innego do roboty – powiedziała Ławrowa. – Ale pani mąż był w mieszkaniu Polakowa...

– Nic mnie on nie obchodzi – powiedziała kobieta. – Niech szlag trafi tego drania. Wszystko, co mógł, zatrul i zapaskudził.

W pokoju było zdumiewająco pusto. Jewdokia Pietrowna popatrzyła na mnie i najwidoczniej spostrzegła mój wzrok.

– Patrzy pan? Przygląda się pan naszej pustej stodole? A co robić? Giena przed samym wojskiem kupił sobie kurtkę skórzaną. Cieszył się, bo to przecież wiadomo, młody, chciałby się przyzwoicie ubrać. Nie dopatrzyłam, a ten przeklęty drań wyniósł ją z domu i przepił. Wszystko, co zostało, przeniosłam do córki...

– A gdzie są rzeczy pani męża? – zapytała Ławrowa.

– Niby jakie rzeczy? – zdziwiła się Obolnikowa. – Tyle

jego, co na sobie. Córka mi na raty kupiła lodówkę, a jak do niej na tydzień się przeniosłam, bo wnuczek zachorował, to nawet lodówkę wyniósł z domu. Tak się wtedy opił, że o mało nie zdechł. Szkoda tylko, że o mało się nie liczy... Co za wstyd: człowiek ma już wnuki, a ja muszę po jego pensję jeździć do roboty.

– A jak tam pani jeździ? – zapytała Ławrowa. – Chodzi mi o środek lokomocji.

– Trolejbusem, dwudziestką. Przecież nie taksówką. Och, losie mój, losie! Za co mnie to spotkało? Nawet za morderstwo dają dwadzieścia lat katorgi. A mnie dożywocie.

I wyszliśmy stamtąd, nie dowiedziawszy się tego, co wiedziała i widziała ta schorowana, zamęczona przez strach i widmo wstydu kobieta.

## Rozdział szósty

# Spopielenie

Kanonik Piesello przesunął dłonią po szyjce, pogładził wygiętym smyczkiem struny i przeciągły, wolno zamierający dźwięk, niczym słoneczna nitka, zawisł na chwilę w miękkim półmroku pracowni.

– Złóż w ręce Pana dzieło swoje i miej w nim nadzieję, a zostanie spełniona... – powiedział kanonik i słowa Pisma Świętego nieoczekiwanie zabrzmiały w ciszy jak groźba.

Antonio ciężko poruszył się w kącie. Amati zerknął przelotnie na ucznia, przespacerował się po izbie i popatrzył w zadumie przez okno, w którym dopalały się już światła późnego letniego zachodu. Z cichym szelestem przesuwały się paciorki cyprysowego różańca w suchych

palcach mnicha, jego ostry profil ze ściętą plamą tonsury rysował się wyraźnie na tle białej ściany. Bezbronne i bezradne, jakby obnażone, leżały na warsztacie skrzypce i kiedy twarda ręka mnicha dotykała ich, Antonio czuł nieznośny ból, jakby kanonik dotykał jego ukochanej. A maestro Niccolo milczał.

– Przecież sam mówisz, Amati, że skrzypce są jak żywy człowiek... – mówił cichym, serdecznym głosem kanonik Piesello. – I jeśli dusza twa jest czysta i Pan wskazuje ci drogę, to zanurzenie w święconej wodzie uczyni ich głos bardziej czystym i silniejszym, albowiem tchnie w nie Boga. Czemu więc trwasz w swym uporze?

Amati znów wolno przespacerował się po pracowni i Antonio pomyślał, że jego nauczyciel jest już bardzo stary. Starzec ciężko powłóczył grubymi, opuchniętymi nogami, zwałił się na swój bogato rzeźbiony drewniany fotel, wziął do rąk skrzypce, przycisnął do policzka i jakby wsłuchując się w ich senny oddech, przesunął palcami po strunach. Skrzypce natychmiast ożyły. Płacz i śmiech, radość i smutek rozstania zabrzmiały w tym krótkim pizzicato, rozedrganym i przerażonym.

– Służę dobrej sprawie – powiedział Amati ze zmęczeniem. – I żeby sprawdzić, czy moje skrzypce cieszą Pana, nie trzeba ich psuć...

– Nie rozumiem cię, mój synu – powiedział szybko kanonik Piesello. – Czy woda święcona może coś zepsuć?

Amati popatrzył głęboko zapadniętymi, niedźwiedzimi oczkami na mnicha i Stradivariusowi wydało się, że nauczyciel się lekko uśmiechnął.

– Woda, nawet święcona, zawsze pozostaje wodą – powiedział Amati.

– Co? – poruszył bezdźwięcznie wargami Piesello.

– Mówię, że skrzypce rozmiękną, zmarnują się...

Mnich przechylił się przez stół i tak zacisnął ręce, że zbielały mu kostki palców.

– A może boisz się zupełnie czegoś innego? Może boisz się, że święcona woda wypędzi z twoich skrzypiec diabelskie głosy? Tego się boisz? Boisz się zemsty Belzebuba? A kary bożej się nie lękasz?

Amati odłożył skrzypce i wstał. Jego łysina pokryła się krwistymi wypiekami. Antonio zląkł się, że jego nauczyciel padnie trupem ze wściekłości albo że zabije mnicha.

– Mrok ciemnoty zaćmił twój rozum, ojcie duchowny – powiedział ochryplym głosem Amati. – Moje skrzypce grają w kapeli papieskiej w katedrze Świętego Piotra!

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przenikliwy ból serca przebił mu ciało, wybuchnął w skroniach, zdławił gardło. Mnich powiedział cicho, ale tak, że każde słowo jakby przykleiło się do ścian:

– Jego świątobliwość biskup Mantui rozkazał ci przystąpić do świętej spowiedzi, a do tego czasu nie wolno ci dotykać tych skrzypiec...

– Te skrzypce zostały zamówione dla infanta hiszpańskiego – odezwał się Antonio.

Mnich, nawet nie odwróciwszy się do Antonia, powiedział:

– I obiecano ci za nie jedenaście tysięcy piastrów...

Amati podał skrzypce kanonikowi:

– Weź, ojcie duchowny! Nie chcę za nie nawet jednego miedziaka! Wręcz ten dar biskupowi, niechaj we własnym domu przekona się, że nie ma w nich więcej grzechu, niż w kawałku drewna, a duszę...

Nie dokończył zdania, bo mówienie sprawiało mu ból. Usiadł i podparł głowę pięściami. Żeby tylko przekłety klecha nie domyślił się, jak boli serce. Pieselło chwycił połyskliwy instrument, wzruszył ramionami i powiedział w zadumie:

– Myślę, że jego świątobliwość zgodzi się na samo tylko pokropienie skrzypiec święconą wodą. Rytuał poświęcenia odbędzie się i tak...

– Dobrze! Dobrze! Poświęćcie! Róbcie, co chcecie, tylko zostawcie mnie w spokoju! – wykrzyknął boleśnie Amati.

– Pycha zżera ci serce, mój synu – powiedział mnich.

– Odejdź, ojcie duchowny – wyszeptał siniejącymi wargami Amati. – Już i tak oddałem ci, co miałem najdroższego. Nic więcej już nie mam...

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, Antonio zapalił świecę, przyniósł z góry flaszkę tokańskiego chianti, krąg owczego sera i bochen białego chleba, rozłożył to wszystko na warsztacie i powiedział:

– Pożyw się, nauczycielu. Kiedy się denerwuję, wtedy zawsze chce mi się jeść...

Amati uśmiechnął się:

– Nie kłam. Tobie chce się jeść nawet wtedy, kiedy ci jest wesoło...

Starzec umoczył kawałek chleba w winie, ugryzł kęs i powiedział:

– Strach jest najgorszą, najstraszliwszą próbą, jakiej Bóg może poddać człowieka. Przerażony człowiek to prawie trup.

– A po co oddałeś mu, panie, te niezrównane skrzypce?

Amati roztarł dłonią nalany krwią kark, starając się zmniejszyć potworny ból głowy.

– Zapamiętaj sobie, mój chłopcze, że kiedy goni cię pies, trzeba rzucić mu kość...

– Ale oni przecież nic nie mogli ci zrobić! Twoje skrzypce uświęcone są podziwem samego papieża!

– Tak, mógłbym pewnie zdobyć papieski glejt ochronny.

– Więc dlaczego nie próbowałeś, panie?

– Nie mam czasu na walkę z nimi. W młodości jest czas na wszystko: można walczyć, uczyć się, kochać, pracować. A mnie został czas tylko na pracę i mam go coraz mniej. Moje uszy słyszą już tylko dźwięk moich skrzypiec i turkot rydwanu czasu. Kiedyś, po dziesięcioleciach, odkryjesz, że jesteś śmiertelny, usłyszysz turkot niewidzialnych kół, które obracają świat, a z każdym ich obrotem twoich dni ubywa. Wówczas będziesz musiał odpowiedzieć sobie, czy zrobiłeś wszystko, co mogłeś, czy zadowolony jesteś ze swego życia?

– A ty, panie, zrobiłeś wszystko? – zapytał Stradivarius. Amati roześmiał się:

– Moje dni jeszcze nie dobiegły kresu, więc nie wszystko jeszcze zrobiłem. Dlatego nie mogę tracić czasu na wojnę z biskupem Mantui. Chciałbym umrzeć tutaj, przy tym warsztacie, umrzeć lekko i szybko, bez poniżających mąk cielesnych. Wtedy dusza moja pójdzie wprost do raju, bo przecież nie miałem czasu grzeszyć, gdyż ciągle pracowałem...

– Ale grzech jest tak słodki! – powiedział Antonio. – I po jego odpuszczeniu zostaje tajemna radość wspomnienia! Czyżbyś niczego nie żałował?

– Nie wiem. – Amati patrzył w zadumie na migotliwy płomień świecy. – Powiadają, że człowiek dla poznania szczęścia musi przejść przez nędzę, miłość i wojnę. Nigdy nie zaznałem nędzy, bo rodzina Amatich była bogata już wówczas, kiedy w niepamiętnych czasach przyszedłem na świat. Ogromna miłość, taka, która rozświetla całe życie, też mnie ominęła. Z nikim również nigdy nie walczyłem. Zamiast tego przez sześćdziesiąt lat robiłem skrzypce. A jednak jestem szczęśliwy, gdyż moja praca dała mi wszystkie postaci ludzkiego szczęścia.

– W jaki sposób? – zapytał niedowierzająco Antonio.

– Kiedy przyszedłem do pracowni dziadka, byłem bied-

ny, jak ostatni włóczęga, bo niczego nie wiedziałem. A dziadek, jak mi się wówczas wydawało, wiedział wszystko i dlatego moja nędza była szczególnie widoczna. Minęło wiele lat, zanim zgromadziłem bogactwo wiedzy, i to bogactwo rozjaśnia moją starość, daje mi spokój i pewność, których nie mogą dać pieniądze, i to bogactwo zawsze noszę w sobie...

– A miłość?

– Kiedy zrobiłem swoje pierwsze skrzypce, ich głos był przenikliwy i ochryply, jak krzyki genueńskich sprzedawczyń dziewczek. Ten głos zachwycał mnie, a zarazem wzbudzał obrzydzenie. Przyciągały mnie te skrzypce jak magnes, a po chwili odrzucałem je z nienawiścią, bo zderzały się w nich moje dziecięce marzenia o pięknie i pożądaniu, które nie dają się ze sobą pogodzić. Słuchałem głosów ptaków i piosenek śpiewanych przez dzieci, syku fali i szmeru deszczu, cichego płaczu kobiet i smętnego krzyku geparda, którego na jarmarku w Padwie pokazywali wędrowni komedianci. Słuchałem i starałem się uchwycić rytm drgań, który musiałem na zawsze zakląć w skrzypcach. Chyba mi się to udało, bo moje skrzypce zaczęły śpiewać bardziej miękko i głęboko, w ich głosie była prawdziwa namiętność i bezinteresowna czułość. Oczywiście pierwsi spostrzegli to księża, bo słuchając głosu moich skrzypiec ludzie płakali i były to łzy radości i smutku. W instrumentach moich kryła się wielka miłość. Kochałem je, jak ojciec i jak mąż, jak kochanek i brat. Miały w sobie smutek odtraconego i radość kochanego z wzajemnością, majestat i piękno alpejskich świerków, z których je robiłem, krzyk uwięzionego geparda, szmer wody i całą moją wdzięczność dla tego świata, który ofiarował mi szczęście urodzenia i tworzenia w swojej pracowni mikroskopijnych, drewnianych światów, zdolnych do oddania swym żywym dźwiękiem tego wszystkiego...

- I zawsze myślałeś o tym, mistrzu, kiedy tworzyłeś te skrzypce? – zapytał Antonio.

- Tak, zawsze o tym myślałem. Nigdy nie pracowałem złym nastroju, żeby nie popełnić najmniejszego bodaj du. Na tym właśnie polegała moja wojna, którą toczyłem przez całe życie, dawno już bowiem zrozumiałem, że wieku nie da się osiągnąć przez czary, poświęcenia i podobne głupstwa. Wiele lat temu zrozumiałem, że wszystko na świecie podporządkowane jest własnym spracem i że czarodziejski dźwięk skrzypiec nie jest niczym więcej niż tylko poznanym prawem. Praw dźwięku jest wiele, ale większości z nich nie znamy, chociaż one przez to przestają istnieć, więc powoli, cierpliwością, pamięcią i rozumem znajdujemy prawdę, ale wytłumaczyć jej nie możemy. Po omacku, jak ślepcy, wyczuwamy i zapamiętujemy niewyraźną rzeźbę prawdy, a słuch nam mówi, że jest dobrze! Kiedyś, wiele lat po nas, ludzie wytłumaczyli, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Ale ktoś musi iść na przód, jako pierwszy zrobić to, co przed nim było niemożliwe. I jeśli mu się to udaje, to swoją wojnę o poznanie siebie zwyciężca – wygrał..

Grigorij Biełas przyszedł dokładnie o dziesiątej.

Kiedy czytałem protokół jego pierwszych zeznań, nie zwróciłem uwagi na datę urodzenia i teraz bardzo się zżaliłem. Biełas miał niewiele ponad trzydziestkę i był dla mnie więcej moim rówieśnikiem. A ja nie wiadomo czemu obrażałem sobie drobnego, nerwowego staruszka zniszczonym pałtocie, bo naprawdę nie wiem dlaczego, ale właśnie tak wyobrażałem sobie stroiciela fortepianów.

Wszedł, przywitał się i zapytał wesoło:

- Przesłuchanie krzyżowe drugiego stopnia?

- Nie – odparłem. – To będzie tylko przesłuchanie krzyżowe stopnia drugiego.

- Czyli do kwadratu, jak mówili w szkole.

- Zgadza się, do kwadratu – potwierdziłem.

- I za cóż wy mnie tak? – zapytał z uśmiechem. – Ubiegłym razem jakaś dziewczyna wzięła mnie w takie obroty, że od razu pomyślałem o kratkach. Myślałem, że sobie posiedzę, dopóki skrzypce się nie znajdą. Ale jakoś się obeszło, puściła mnie...

Roześmiał się tak zaraźliwie, że i ja sam mimo woli się uśmiechnąłem, wyobraziwszy sobie suchy, oficjalny ton Ławrowej.

- A pan jej się spodobał – powiedziałem.

- Tak? – popatrzył na mnie z ciekawością. – Niemożliwe! Gdybym to wiedział, z pewnością poprosiłbym o telefon. To pewnie jest bardzo podniecające, kiedy człowiek spotyka się z dziewczyną, obejmuje ją czule w pasie i natrafia na pistolet... Okropnie podniecające...

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Nie próbowałem, żeby z pistoletem...

Najwyraźniej miał ochotę dalej ciągnąć ten temat, ale ja go zapytałem:

- A więc podczas kradzieży był pan w delegacji, Grigoriju Pietrowiczu?

- Daję na to słowo honoru! – wykrzyknął nadal wesołym tonem Biełas, ale zaraz dodał zupełnie poważnie: – Doskonale rozumiem, że nie zaprosił mnie pan tu na żarciki. I że na mnie, jako na człowieka bywającego często w domu Polakowa, również pada cień podejrzewania. Dlatego gotów jestem z maksymalną rzeczowością odpowiadać na wszystkie interesujące pana pytania...

- Bardzo się cieszę. Proszę opowiedzieć mi o pańskiej delegacji.

- Proszę uprzejmie. – Biełas leciutko wzruszył ramio-



nami, jak człowiek, którego po raz wtóry pytają o to samo.  
– Jak panu wiadomo, pracuję w charakterze stroiciela instrumentów w filharmonii. Jeśli zasięgnął pan informacji na mój temat, to wie pan już, że fachowców o kwalifikacjach dorównującym moim jest w naszym kraju jeszcze trzech: Isopatow, Górewicz i Kosyriow. Górewicz jest już sędziwym starcem i niemal zaprzestał pracy. My zaś obsługujemy unikalne instrumenty, na których grają nasi najwybitniejsi wirtuozi. Przy tym obsługujemy zawsze te same instrumenty, które są do nas niejako przypisane...

– Dlaczego? – zapytałem.

Biełasz uśmiechnął się leciutko, najwidoczniej ubawiony moją ignorancją.

– Dlatego, że każdy instrument brzmi inaczej, a pianista wirtuoz, artysta i interpretator, raz i na zawsze przyzwyczał się do tego brzmienia. Zna na pamięć cały zakres jego dźwięków, które słuchają go, podporządkowują się jak żywe. Jeśli pomylę się w strojeniu i dźwięk stanie się odrobinę wyższy lub niższy, to mogę pianiście po prostu zupełnie zepsuć koncert. To, czego nikt nie zauważy, nie usłyszy, dla muzyka najwyższej klasy brzmi jak najokropniejsza kakofonia.

– Rozumiem. Proszę dalej.

– Czternastego października, bodajże w piątek, pojechałem do Leningradu, gdzie byłem do poniedziałku włącznie. Wróciłem do Moskwy we wtorek. Sprawozdanie z delegacji, rachunki i bilety oddałem w księgowości. Może pan sprawdzić.

– To już zostało sprawdzone – powiedziałem. – Wszystko się zgadza. Z kim się pan w Leningradzie spotykał?

– W porządku chronologicznym?

– Byłoby najlepiej.

Biełasz podrapał się po głowie.

– Wobec tego proszę mnie nie popędzać i pozwolić wszystko sobie dokładnie przypomnieć...

– Wcale pana nie popędzam. Proszę wspominać.

– No więc z dworca pojechałem do hotelu. Miałem zamówiony pokój w Europejskim. Stamtąd przespacerowałem się, bo to niedaleko, do filharmonii. Skończyłem tam pracę gdzieś około czwartej i pojechałem na Mojkę do Eugeniusza Konstantynowicza Preobrażeńskiego, który ma zupełnie cudownego steinwaya, tyle że okropnie kapryśnego. Bywał pan na jego koncertach?

– Nie, słuchałem go tylko przez radio.

– No, to nieważne. U Preobrażeńskiego siedziałem do późnego wieczora, chociaż myślałem, że robota tam nie zajmie mi zbyt wiele czasu. Wysokie nie stroiły... Chyba tego dnia już z nikim się nie spotykałem. Tak, zgadza się, zamierzałem jeszcze wpaść do swoich znajomych Miedwiediewów, ale było już zbyt późno, więc pojechałem do hotelu, zadzwoniłem do Loszy, przeniosłem wizytę na dzień następny i położyłem się spać. Nazajutrz pracowałem w konserwatorium, potem pojechałem do Miedwiediewów i wróciłem od nich około trzeciej w nocy w stanie lekkiej nieważkości. W niedzielę spałem długo i późno zjadłem śniadanie, bo byłem nieco przemęczony. Potem pojechałem do filharmonii, popracowałem tam trochę i poznałem dziewczynę, którą zaprosiłem na kolację do restauracji Moskwa...

– Współrzędne dziewczyny zachowały się? – zapytałem obojętnym tonem.

Biełasz popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Dziewczyny? Naturalnie. A co?

– Nic. Chciałem je sobie zanotować.

Biełasz wyjął z kieszeni notes, przekartkował go i przeczytał:

– „Wala Morozowa, Lehingrad, ulica Gromowa 7, mieszkanie 56”

Zanotowałem. Bielasz zamknął notes, kręcąc ze zdumienia głową.

– No, krótko mówiąc, w poniedziałek zajmowałem się instrumentami w Małym Teatrze Operowym, na kolację zjadłem moje ulubione minogi i o północy pożegnałem Piter. To wszystko. A teraz może przejdziemy do zabawy „Pytajcie – odpowiemy”?...

– Dobrze. Pytamy: zna pan Ikonnikowa?

Bielasz uśmiechnął się szeroko.

– Odpowiadamy: a któż z muzyków go nie zna?

– Od dawna się znacie?

– Chyba z pięć lat...

– Przyjaźnicie się?

– Jak by to powiedzieć... Oczywiście żyć bez siebie możemy, ale stosunki mamy dobre.

– Co was łączy?

– Drugie prawo dialektyki: jedność i walka przeciwności.

– Dokładniej.

– Dokładniej? Znamy się od dawna, więc nie da się naszych stosunków skwitować jednym słowem, ale w zasadzie wygląda to w ten sposób, że ja go uważam za zwariowanego geniusza, a on mnie za zdolnego gówniarza. Dlatego wychowujemy się nawzajem.

– Poza tym jest pan kontaktem między nim a Polakowem?

– Można to i tak nazwać. Gdyby nie ja, mój stary idiota już dawno zatłukłby Polakowa maczugą. A tak, to powolutku staram się go uspokoić...

– Na czym polega ich konflikt?

– Historia stara jak świat! Zawieść utalentowanego lenia-pechowca wobec geniusza pracowitego i w dodatku

odnoszącego sukcesy. Zresztą jest to konflikt jednostronny. Polakow to pocziwina i nieustannie nosi się z myślą uratowania Ikonnikowa i przywrócenia go sztuce, chociaż to zupełnie nierealne. Ileż to ja pieniędzy przeniósłem od Polakowa do Ikonnikowa...

– I co, Ikonnikow bierze pieniądze Polakowa?

– Ależ skąd! Gdyby wiedział, czyje to pieniądze, natychmiast urządziłby jakiś malowniczy spektakl w rodzaju palenia tej forsy w Domu Kompozytorów. Najlepiej wobec licznie zebranej publiczności...

– Ikonnikow utrzymuje, że Polakow ma wobec niego poczucie winy i dlatego...

– Niech pan tego idioty nie słucha – przerwał mi Bielasz. – Brednie! Ja to słyszałem co najmniej tysiąc razy, wraz z obietnicami, że świat jeszcze o nim usłyszy, że jeszcze padnie mu do nóg. Polakow jest po prostu bardzo dobrym i niesłychanie nieśmiałym człowiekiem. To właśnie on podtrzymuje głupie plotki, że niby Ikonnikow kiedyś był o wiele zdolniejszy od niego. Bzdura! Taki talent, jak Polakow, rodzi się raz na sto lat. A mój przyjaciel Ikonnikow, człowiek niewątpliwie bardzo utalentowany, obdarzony jest niezwykłą zdolnością do autoreklamy, której to zdolności Polakow zupełnie jest pozbawiony. I dopóki Polakow ostatecznie się nie ukształtował, Ikonnikow po prostu go przesłaniał. Potem jednak czas wszystko postawił na swoje miejsca.

– A jak pan właściwie generalnie odnosi się do Ikonnikowa?

Bielasz zamyślił się, wzruszył ramionami.

– Diabli wiedzą. Każde nasze spotkanie kończy się gigantyczną awanturą, ale potem jednak znów się z nim godzę. Jest to człowiek bez wątpienia nietuzinkowy, chociaż ma całą masę obrzydliwych przywar...

– Mianowicie?

– Jakby to panu wytłumaczyć? Na przykład gdyby powstało towarzystwo obrony Herostratesów, Ikonnikow byłby najlepszym kandydatem na funkcję jego przewodniczącego...

Przez głowę przemknęła mi przerażająca myśl i nie zdołałem się powstrzymać od zapytania:

– Lubi niszczyć?

Biełasz popatrzył na mnie uważnie i pokręcił głową.

– Nie, źle mnie pan zrozumiał. On nie pochwała postępku Herostratesa, tylko utrzymuje, że Herostrates zarzucanego mu czynu w zasadzie nie popełnił. Że, powiedzmy, świątynia Diany zapaliła się od niedopałka, a potem oskarżono o to Herostratesa. Na przykład ostatnim razem wyłożył mi domorosłą teorię o bezprawnym potępieniu Kaina...

– Zapoznałem się już z tą teorią – mruknąłem

– Wobec tego ma pan już pogląd na jego sposób myślenia. A jednak bardzo mi go żal. To bardzo zdolny, ale stracony dla ludzi człowiek.

– Dlaczego stracony? Przecież zajmuje się tymi swoimi zmijami?

– Brrr! – wzdrygnął się Biełasz. – To zupełnie w stylu mojego przyjaciela, że wszystkich ludzkich zajęć wybrać najobrzydliwsze. Jad żmii, wszystkie te doświadczenia to naturalnie rzeczy niezmiernie pożyteczne. Uważam jednak, że taką pracę można wykonywać jedynie z wielkiej miłości do człowieka. W przeciwnym razie zatraća to o perwersję...

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a potem zapytałem:

– Jak pan sądzi, czy Ikonnikow mógł uczestniczyć w kradzieży stradivariusa?...

Biełasz powiedział stanowczo:

– Jestem pewien, że nie. To koszmarny facet, ale nie przypuszczam, żeby mógł ukraść stradivariusa.

– Jednak nie lubi pan swojego kumpla – powiedziałem.

– A niby za co mam go lubić? – zdziwił się Biełasz. – Ikonnikow jest niezbyt sympatyczny. Szanować, gardzić, interesować się – proszę bardzo! Ale lubienie go to nie jest zajęcie dla ludzi o słabych nerwach. Co się zaś tyczy kradzieży, to mógłbym za niego ręczyć, ale pan takiej poręki nie uznaje...

– Nie, nie uznaję – potwierdziłem. – W każdym razie tego rodzaju poręki.

– Szkoda. Zresztą, gdybym nawet przegrał, miałbym jedno tylko wytłumaczenie: starcza sklerotyczna złośliwość. Wie pan: sam nie zjem i drugiemu nie dam!

– Rozmaicie bywa – powiedziałem wymijająco. – Proszę mi dać przepustkę, podpiszę ją panu...

– Jednak pan mnie zwalnia? – roześmiał się, podając mi formularz.

– A co mi jeszcze pozostaje? – Wziąłem pieczętkę, chuchnąłem na nią.

– Tak, szkoda, to był piękny stradivarius – powiedział Biełasz. – Po prostu cudowny...

– Dlaczego był? – uniosłem głowę.

Biełasz rozłożył ręce:

– Takie rzeczy kradnie się nie po to, żeby wpaść...

Przybiłem pieczętkę, podpisałem się, oddałem mu przepustkę i powiedziałem:

– Rubla z torebki w zatłoczonym tramwaju również nie kradnie się po to, żeby wpaść...

Rozmyślałem jeszcze nad zeznaniami Biełasza, który naturalnie nie miał ze sprawą nic wspólnego, chociaż zachowywał się tak, jakby coś jeszcze wiedział, ale nie chciał powiedzieć. Pozostało mi po jego wizycie wrażenie

jakiegoś niedopowiedzenia, chociaż nie znałem sfery pytań, które powinienem mu zadać, a dopiero później wedle dwójkowego systemu „tak – nie” wyciągać z nich wnioski dla siebie. Nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że on wie o Ikonnikowie o wiele więcej...

Zadzwonił telefon. Słuchawka przeciągłym głosem Chaleckiego powiedziała:

– Tichonow? Witam, to ja.

– Witam, Noe Markowiczu – powiedziałem życzliwie. – Co ma pan dla mnie dobrego?

– Tego sam jeszcze nie wiem. Proszę przyjść do pracowni grafologicznej, to razem popatrzymy...

– A jest na co patrzeć?

– W każdym razie gwarantuję panu ciekawy eksperyment.

– Zaraz idę. Proszę przygotować grupę powitania...

Chalecki roześmiał się.

– Wydaje mi się, że codziennie nad ranem, kiedy sen jest szczególnie słodki, regularnie jawi się panu to samo widzenie...

– Jakież to?

– Słoneczny ranek, dźwięk fanfar i łopot flag. W otwartej purpurowej czajce podjeżdża pan do bram Pietrowki 38, gdzie oczekują już ustawieni w szyku funkcjonariusze. Schodzi pan ze stopnia, a szef zarządu, naturalnie w mundurze galowym, składa raport: „Towarzyszu generalny komisariusz milicji...”

– Takiego stopnia nie ma – powiedziałem.

– Był kiedyś, doskonale pamiętam.

– Wobec tego poczekajmy, aż zostanie wprowadzony ponownie, umyślnie dla mnie – roześmiałem się i odłożyłem słuchawkę.

Grafolog Aszukin miał rozłożone na stole nadpalone strzępki papieru, które znaleźliśmy w mieszkaniu Polakowa. Chalecki przygotował je do badania i teraz nasi eksperci będą próbowali wycisnąć informację z niczego. Bo kartki te były niczym, garstką nadpalonych, brudnych strzępków papieru z absolutnie nieczytelnymi napisami. Trochę mnie więc śmieszyło, że Chalecki nazywa je „dokumentami do ekspertyzy”...

– Na dokumentach jest poprzeczna liniatura, to utrudnia zadanie – powiedział zatroskanym głosem Chalecki.

– Nie odezwałem się, chociaż byłem pewien, że nie ma tam czego utrudniać, że to beznadziejna sprawa, bo nikt przecież jeszcze nigdy nie uzyskał czegoś z niczego.

Eksperci pincetami opatrzonymi w miękkie nakładki chwyтали zręcznie nadpalone strzępki i układali je na stoliku mikroskopu. Widziałem już kiedyś takie urządzenie w trakcie pracy, bo to nie był zwyczajny mikroskop, tylko skomplikowana maszyna z reflektorem, rzucającym na stolik przedmiotowy ostry strumień światła grubości igły.

– Wgłębiona kreska zrobiona ołówkiem grafitowym... uszkodzenie... jeszcze jedna kreska... zniszczony fragment nośnika... długi zapis ołówkiem anilinowym... grupa kresek wzdłużnych... wyraźne zagłębienia... ślad długopisu... tekst nieczytelny... – Aszukin wpił się w przyrząd i z boku wyglądał jak przybysz z Marsa z długimi teleskopowymi oczami okularów.

Chalecki nie mógł usiedzieć na miejscu, bo też chciał popatrzeć, ale tutaj pierwsze słowo należało do Aszukina. Ja zaś siedziałem okrakiem na krześle i spokojnie czeka-

łem, co z tego wyniknie, chociaż nie bardzo wierzyłem, że w ogóle coś może wyniknąć.

Aszukin uniósł głowę i zapytał:

– Czy jest jakiś muzyk nazwiskiem Salerno?

– Jest – odparł szybko Chalecki. – Pianista. Chyba ma na imię Wasilij.

– Wobec tego jest to kartka na literę „S” – powiedział Aszukin. – Proszę spojrzeć...

Jego miejsce zajął Chalecki. Patrzył przez okulary przyrządu, całą górną część twarzy przesłaniała mu dziwna ciężka maska, więc widziałem tylko jego poruszające się bezdźwięcznie wargi. Ostry promyk miotał się po spalonej kartce, na chwilę zamierał, ruszał wolno, jakby obmacując jego powierzchnię, a potem znów zaczynał miotać się jak wściekły.

– Ja też chcę popatrzeć – powiedziałem.

Chalecki, nie odrywając oczu od okularu, bezlitośnie wymanewrował mnie z gry.

– I tak pan niczego nie zobaczy. Mam następne nazwisko: Sitkowiecki...

Wyglądało na to, że Chalecki może zrobić mi grubszy kawał i obalić moje sceptyczne prognozy. Ekspert wstał i powiedział do Aszukina:

– Myślę, że dokumenty trzeba spopielić.

Aszukin kiwnął głową, a ja wrzasnąłem:

– Oszaleliście? Ledwie coś zaczęło się przejaśniać, a już rezygnujecie?

Popatrzyli na mnie jak na wariata, a potem głośno się roześmieli. Chalecki wytarł załzawione ze śmiechu oczy i powiedział:

– Nieraz już panu powtarzałem, że pański dyletantyzm do niczego dobrego nie doprowadzi... – Uspokoił się i już zwyczajnym głosem wytłumaczył: – Dokumenty są nadpa-

lone i na poły zwęglone. Przed ich zbadaniem na makroreproduktorze należy je spopielić...

Aszukin umocował kartkę na ceramicznej płytce, włożył ją do pieca elektrycznego i przełączył hebel. Potem obaj eksperci usiedli i zapalili, zupełnie jak odpoczywający cieśle, i zaczęli niespiesznie rozmawiać. Właściwie rozmawiał tylko Chalecki, bo o ile znam Aszukina, to on nie potrafi rozmawiać, a w każdym razie bardzo tego nie lubi. Jest urodzonym słuchaczem, którą to cnotę Chalecki niezmiernie wysoko sobie ceni. Mówili o tym, że jesień jest ciepła, a grzybów i tak prawie nie ma, że krety na działce najlepiej wypłoszyć naftą, że niedługo nadejdzie zima, bo to słońko nikogo już nie może zmylić, że dobrze byłoby posłać wnuczkę na jazdę figurową na lodzie, ale nie ma komu odprowadzać jej na stadion, a puszczać samą na miasto jeszcze za wcześnie ze względu na okropny ruch. Strach pomyśleć, co będzie, kiedy zakłady w Togliatti ruszą pełną parą... Potem pogadali na temat tego, czy Amerykanie wycofają wojska z Wietnamu, czy też pertraktacje w Paryżu są z ich strony zwyczajnym mydleniem oczu.

A ja siedziałem i myślałem o tym, czy odrodzi się prawda z popiołów, czy można uzyskać coś z niczego i o tym wreszcie, że chyba nigdy z góry nie można odrzucać rzeczy niewidzialnych... Nie dalej jak wczoraj pisali w gazetach o człowieku, który zrobił kłódkę mieszczącą się na przekroju włosa, która, choć niewidoczna, to przecież jednak istnieje.

– Gotowe! – powiedział Aszukin i wyjął płytkę z pieca.

Kartka nabrała jasnoszarej barwy i na jej tle doskonale widoczne były jakieś znaczki. W pokoju czuć było wyraźne zapach spalenizny. Aszukin włożył płytkę na parę minut do komory chłodzącej.

– To jest uniwersalna kamera makroreprodukcyjna Masłowa – pokazał mi Chalecki urządzenie przypominające aparat rentgenowski, ale z umieszczonym poziomo ekranem.

Włączyli makroreproduktor. Na kartkę padł promień spójnego światła. Promień tryskał prosto ze środka obiektywu. Był bardzo jasny, a jednocześnie zupełnie nie dawał cienia. Eksperci pospiesznie zmieniali filtry, przesuwali pokrętła regulacyjne, dzięki czemu światło stawało się niebieskozielone, ciemnoczerwone, krwawe i znowu białe. Na ekranie próżniowym wyrysowywał się coraz wyraźniejszy obraz, a Chalecki, patrząc w okular, komendował:

– Trochę więcej prawego światła, więcej, jeszcze pięć stopni, jeszcze odrobinę... Kreski dają silny cień... Jeszcze dwa stopnie lewego światła... Trochę mniej... Właśnie!...

– Proszę spojrzeć w okular – zwrócił się do mnie.

Przylgnąłem do gumowego pierścienia okulara, jeszcze ciepłego, nagrzanego od twarzy Chaleckiego i w pierwszym momencie nie zobaczyłem niczego. Potem oczy przyzwyczały mi się do oślepiającej nierealności światła bezcieniowego i na szarej kartce barwy starego aluminium ukazały mi się, wypłynęły z niebytu błyszczące grafitowe litery-bruzdy: „ŚLUSARZ W...SZ... P.SZA TEL. 157...2”.

Cyfra „2” znajdowała się na samym skraju szarego pola, które umyślnie tak się ukształtowało, aby zachować ją dla nas, i dalej był tylko pusty, matowy odblask płytki, na której leżała kartka.

– W numerze brakuje trzech cyfr – powiedziałem do Chaleckiego. – To jest tysiąc abonentów. Nie sposób ich sprawdzić...

– Nic na to panu nie poradzimy – rozłożył ręce. – Ten kawałek kartki został stracony bezpowrotnie...

Polakow był w domu. Miał początki silnej grypy. Zaczzerwieniony nos, opuchnięte powieki i katar. Skrzypek często kichał, w skrępowaniu odwracał głowę, żeby użyć chustki do nosa, i mówił do mnie z poczuciem winy:

– Ach, jak to nie w porę! – jakby czasami w porę kradziono skrzypce Stradivariususa albo zapadano na grypę.

Zapytałem go o Ikonnikowa, a on od razu jeszcze bardziej posmutniał.

– To nieszczęśliwy, skrzywdzony przez życie człowiek – westchnął ciężko Polakow. – Łatwo o nim powiedzieć, że jest sam sobie winien. Ale to przecież niezupełnie tak...

– Dlaczego niezupełnie?

– To wszystko nie jest takie proste i oczywiste, jakby się mogło na pozór wydawać. Trzeba tu koniecznie brać pod uwagę charakter Paszy...

W pokoju było sucho i gorąco, ostro pachniało jakimiś lekarstwami. Na stole leżał otwarty futerał, a w nim polśniewało matowo ciemne drewno skrzypiec. Mimo woli zerknąłem na nie. Polakow wstał z kanapy, owinał się długim szlafrokiem, który wisiał na nim jak na wieszaku, podszedł do stołu i wyjął skrzypce z futerału.

– To vuillaume – powiedział. – Bardzo dobry instrument...

Przeciągnął smyczkiem po strunach, zagrał jakąś frazę i odłożył instrument do futerału.

– Vuillaume był świetnym lutnikiem – powiedział. – I przez całe życie marzył o tym, aby zrobić skrzypce lepsze niż Stradivarius. W niektórych instrumentach udało mu się niemal osiągnąć poziom kremonczyka, ale nigdy nie zdołał go przewyższyć...

Bardzo chciałem zadać mu pewne pytanie, nie odwa-

żyłem się jednak przerywać, ale Polakow powiedział sam:

– Są ludzie, którzy niemal od razu ujawniają cały ofiarowany im przez naturę talent. Wówczas słuchacze, krytycy, całe otoczenie nadaje takiemu człowiekowi tytuł geniusza, ponieważ zaprezentowany przezeń poziom wszyscy traktują jako zaliczkę: że niby wszystko jeszcze przed nim, skoro tak gra już dzisiaj. Pasza ujawnił się błyskawicznie i gdyby dużo pracował, mógłby jeszcze przez jakiś czas rozwijać się ilościowo. Ale po pierwsze, pracował mało, a po wtóre, on pierwszy zrozumiał, że nie osiągnie już zmian jakościowych. Wszystko, co mógł, pokazał od razu.

– Ale przecież to silny człowiek? – powiedziałem pytającym tonem.

– Pasza? – zdziwił się Polakow. – Paweł poświęcił pół życia na to, aby wydawać się nie tym, kim jest w istocie. To słaby i dobry człowiek. A cała reszta to tylko pozy, błazeńskie maski...

Zmobilizowałem całą swoją odwagę i zapytałem:

– Pan wyklucza jego udział w kradzieży?

Polakow patrzył na mnie przez chwilę z niebotycznym zdumieniem, jakbym ni z tego, ni z owego zwrócił się do niego po chińsku, potem wolno, przeciągle powiedział:

– Młodzieńcze, co pan opowiada?! Paweł Ikonnikow miałby mieć coś wspólnego z kradzieżą? Co za pomysły! – Inatychmiast stał się niesłychanie oficjalny. – Kategorycznie protestuję przeciwko tego rodzaju podejrzeniom!

Powiedział to i natychmiast przekształcił się z potężnego, obezwładniającego talentu w bezbronnego, ufego i łatwowiernego jak dziecko człowieka.

– Lwie Osipowiczu, u nas przypuszczenia nazywamy wersjami, a moim obowiązkiem służbowym jest sprawdzenie każdej z nich.

– Ale nie takimi środkami! – wykrzyknął Polakow z oburzeniem.

– A jakimi? – zapytałem ze złością. – Jest człowiek cieszący się bardzo złą opinią i w dodatku bardzo wrogo do pana nastawiony. Czy nie powinienem sprawdzić jego ewentualnego udziału w kradzieży?

– Dlaczego wrogo? – powiedział żałośnie Polakow. – Pasza trochę się na mnie gniewa i na swój sposób ma rację, bo mogłem mu poświęcić trochę więcej uwagi...

– To są sprawy dotyczące waszych osobistych stosunków w przeszłości. Mnie natomiast interesuje dzisiejsza sytuacja i dlatego nie mogę pominąć w śledztwie Ikonnikowa!

– Ja to rozumiem – powiedział Polakow przeproszającym tonem. – Ale to przypuszczenie jest tak głupie, bardzo pana przepraszam...

– W porządku, zostawmy na razie Ikonnikowa w spokoju – powiedziałem. – Rozszyfrowaliśmy cztery cyfry z numeru telefonu, który podał panu ślusarz. Może spróbuje pan sobie przypomnieć pozostałe?

– Bardzo trudno zapamiętuję jakiegokolwiek cyfry – odpowiedział bezradnie.

– A jak pan poza domem obywa się bez książki telefonicznej? Używa pan notatnika?

– Nie. Potrzebne mi telefony zapamiętuję... – zmieszał się i uśmiechając się nieśmiało dokończył – ...wedle nut.

– Jak? – nie zrozumiałem.

Polakow nie wiadomo czemu zmieszał się jeszcze bardziej.

– No, można przecież używać zapisu nutowego: do-1, re-2, mi-3, fa-4 itd... W ten sposób o wiele łatwiej zapamiętuję.

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem zapytałem:

– I w ten sposób zamiast numeru zapamiętuje pan sekwencję nut?

Polakow kiwnął głową:

– Tak. A jakie cyfry pan rozszyfrował? – może coś mi to przypomni, bo przecież sam zapisywałem ten numer.

– Trzy pierwsze, – 157 i ostatnia 2. Trzech cyfr w środku nie jesteśmy w stanie odtworzyć.

Polakow zamruczał coś pod nosem i półgłosem powiedział:

– Do–sol–si...re. Do–sol–si...re. Pamiętam, że to była jakaś okropna kakofonia. Do–sol–si–...re.

Wstał, podszedł do fortepianu i zaczął wygrywać jakieś melodyjki. We wszystkich początek był jedniakowy, ale koniec znacznie się od siebie różnił. Wygrywał króciutką, zgrzytliwą melodyjkę, która była w tej chwili dla mnie ważniejsza, niż wszystkie symfonie świata.

– Tak, jestem pewien: do–sol–si–si–fa–la–re – powiedział Polakow. – Nie sądzę, abym mógł się pomylić. To było do–sol–si–si–fa–la–re!

– Proszę przetłumaczyć – powiedziałem. – Nie chciałbym się pomylić.

– 157–74–62.

## Rozdział siódmy

# Genialny jak Rode i równie nieszczęsny

Antonio Stradivarius uczył się u Niccola Amatego tyśiąc dni, bez mała trzy lata. Była wiosna i rzeka Trebbia, napojona błękitnymi śniegami Alp Lombardzkich, z rozgłośnym szumem niosła swe szare wody obok malutkiego,

zalanego słońcem miasteczka, jak oszalałe kwitły brzoskwiniowe sady, Antonia zaś nie opuszczało wrażenie, że całe to święto przyrody jest tylko dekoracją dla jego tryumfu. Był szczęśliwy.

Achillino Parelli, przemytnik, handlarz i złodziej, przywiózł wreszcie ze Spezii, gdzie konszachtował się z przyprawami na galerach trąpczunckimi Turkami, gliniany dzban z gęstym, żółtawym mlekiem – jadowitym sokiem rośliny kwitnącej wysoko w górach oddzielających Europę od Azji. Był to upragniony mlecz kaukaski.

Sok kleił się do rąk i natychmiast zasychał w brudne, czarne strupy, więc trzykrotnie musiał go Antonio rozcieńczyć, destylować, filtrować i klarować w kolbie, zanim otrzymał przezroczysty ekstrakt. To był ostatni dodatek do sekretnego lakieru. Antonio już dawno zrozumiał, że jadowity sok mleczu jest niezbędny do uzyskania lakieru Amatic, ale dziesiątki wypróbowanych przezeń rodzajów mleczu, dając instrumentowi piękny dźwięk, niweczyły przy tym barwę i połysk lakieru. I oto nareszcie mlecz kaukaski dał i dźwięk, i wspaniały kolor lakieru – blado-żółty, z lekkim połyskiem, przypominający stare lewantyńskie złoto...

Niccolo Amati zanurzał palce w gorącym lakierze, rozciągał w rękach jego elastyczną błonę, wachał i pokrywał pędzelkiem deszczułki z drzewa gruszy, które potem przesuwiał nad płomieniem kaganka, a następnie tarł deszczułkę połą sukienego kaftana. Nasycone lakierem drewno pulsowało żywym światłem, ukazując każde swe włókienko.

Antonio, uważnie obserwujący każdy gest starca, roześmiał się głośno, podbiegł do niego i objął Amatego za ramiona.

– Nauczycielu, uwierz mi, to naprawdę jest lakier rodu Amatic!



Mistrz ostrożnie zdjął ręce ucznia ze swych ramion, rzucił deszczułkę na warsztat i powiedział zmęczonym głosem:

– Czas na posiłek. Powiedz, żeby przynieśli nam jadło tutaj.

Jedli z apetytem, popijając mięso i ser zeszłorocznym winem, a Antonio, syty, oszołomiony dobrym winem i radością, tłumaczył mistrzowi, jak domyślił się, że właśnie mlecz kaukaski jest potrzebny do uzyskania lakieru Amatic.

Niccolo Amati uniósł ciężką głowę, popatrzył na szczęśliwego Antonia i powiedział ze smutkiem:

– Ludzie nigdy nie uprawialiby roli, gdyby nie zbierali więcej, niż zasieją...

Antonio popatrzył ze zdziwieniem na nauczyciela.

– Dobry plon jest tylko zapłatą za trud człowieka. Chodzi o to, że ani ja, ani mój ojciec, ani wuj, ani dziadek Andrea nigdy nie dodawali do swojego lakieru mleczu kaukaskiego...

Stradivarius zbladł jak ściana, a Niccolo powiedział uroczyście:

– Dziś jest najszczęśliwszy dzień mojego życia. I najsmutniejszy, gdyż jest on dla mnie początkiem końca. Bo przyrzadziłeś wcale nie lakier Amatic...

Antonio zerwał się tak gwałtownie, że rzeźbiona ławeczka, na której siedział, przewróciła się z łoskotem na podłogę. Amati niespiesznie zakończył:

– To jest lakier Stradivarius. Lepszy od sławnego lakieru Amatic...

Antonio powiedział ochryple:

– Nauczycielu...

Amati przerwał mu:

– Nie nazywaj mnie już tak, synu. Nie jesteś już uczniem. Jesteś mistrzem, a ja jestem szczęśliwy, że po

wiekach ludzie wspomną moje nazwisko chociażby dlatego, że zdołałem nauczyć cię wielu rzeczy. Zrobisz o wiele więcej niż ja.

– Więcej nie można – powiedział szczerze Antonio. – Więcej oznacza nieśmiertelność...

Amati roześmiał się.

– Czyżby nikt nie mówił ci o nieśmiertelności mojego dziadka?

Stradivarius pokręcił głową.

– Wszystkie nasze skrzypce zrobione są z drewna gruszy. Może dlatego, że z powodu gruszy mój dziadek wiele się wycierpiał jako jeszcze zupełnie mały chłopiec. Zdarzyło się to ponad sto lat temu. Jego sąsiad był lutnikiem i dziadek całe dni przesiadywał w jego pracowni, przyglądając się pracy mistrza. Któregoś razu sąsiadowi zabrakło gruszkowego drewna na górną dekę i wtedy dziadek, pod nieobecność podróżującego ojca, kazał sługom wyciąć w sadzie wszystkie grusze dla lutnika. Pradziadek był najwidoczniej człowiekiem gwałtownym, bo po powrocie wpadł w taki gniew, że za karę kazał po prostu wsadzić dzieciaka do więzienia.

Głupi i źli ludzie opowiadali potem, że malcowi z przerażenia zmaćcił się rozum. Po wyjściu z więzienia nie wrócił do domu, tylko został terminatorem u sąsiada i od tej pory przez całe życie robił skrzypce. Kiedy zrobił swą pierwszą violę da gamba, miał siedemnaście lat. Tego dnia do pracowni przyszedł szalony muzykant Maurizio – brudny starzec, w łachmanach, z niechlujną, potarganą brodą. Chodził ulicami Cremony i grał przed wszystkimi domami po kolei, nie biorąc nigdy za to nawet grosza. Nikt niewiedział, gdzie starzec nocuje i czym się żywi. Ludzie gadali o nim, że jest czarownikiem, bo potrafił wspaniale grać na wszystkich instrumentach, chociaż przez całe życie był bezdomnym włóczęgą. Właśnie ten Maurizio usłyszał, jak

brzmi viola da gamba zrobiona przez dziadka, i zaproponował mu wymianę: dziadek odda mu instrument a Maurizio odkryje mu tajemnicę życia. Dziadek zgodził się, bo każdy siedemnastolatek chciałby przecież poznać tajemnicę bytu. Wówczas Maurizio powiedział dziadkowi, że powinien zrobić jeszcze trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć instrumentów, a czterechsetne skrzypce przyniosą mu nieśmiertelność.

Od tej chwili w dziadka jakby wstąpił demon. Pracował jak galernik, w dzień i w nocy, zdarzało się nawet, że przez trzy doby nie wychodził z pracowni. Ręce miał zżarte kwasami i rozpuszczalnikami, pokryte odciskami, ranami i bliznami, a na trzech palcach brakowało mu paznokci, które, raz zerwane, nie chciały odrosnąć.

Zrobił około pięciuset instrumentów, a kiedy przed śmiercią wyszedł od niego spowiednik, zapytałem dziadka, a miałem wówczas dziewięć lat: „Ten wstrętny szalony czarownik Maurizio oszukał cię, panie?”

Dziadek był bardzo stary, po prostu wyschnięty ze starości, żółty jak pergamin. Żył w nim tylko jeszcze oczy i ręce. Roześmiał się i powiedział: „Niccolo, mój chłopcze, kiedy dorośniesz, to zrozumiesz, że Maurizio nie był czarownikiem ani wariatem, tylko dobrym i mądrym grajkiem. Kiedy miałem siedemnaście lat, nie mógłby mnie inaczej zmusić do takiej pracy, obiecując mniej niż nieśmiertelność. Maurizio wiedział, na czym polega prawdziwa nieśmiertelność człowieka, więc umieram pełen wdzięczności dla niego i z nadzieją, że przynajmniej w części spełnił swoje obietnice...”

Stary mistrz Niccolo Amati i młody mistrz Antonio Stradivarius długo siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, aż wreszcie nauczyciel powiedział do ucznia:

– Tylko natura łatwo tworzy rzeczy piękne. Całe piękno

tworzone rękami ludzkimi rodzi się w mękach, krwawym pocie, rozpaczliwym niezadowoleniu, w bólu cielesnym i cierpieniach duszy. Jeśli ci starczy sił na przejście przez to wszystko, to podobnie jak Maurizio obiecał mojemu dziadkowi, ja obiecuję ci poznanie prawdy. I pamiętaj zawsze, że prawdę zdobywa się w bólu...

Telefon 157-74-62 był zainstalowany we wspólnym trzypokojowym mieszkaniu na ulicy Białomorskiej. Do zamknięcia biura administracji brakowało dwudziestu minut, więc konserwator, którego tam zastałem, wyraźnie się spieszył. Ze zdziwieniem, w którym kryła się dość wyraźna aluzja, zapytał mnie już po raz trzeci: „Pan nie będzie dziś oglądał hokeja w telewizji?” Transmisja meczu CSKA – Spartak już się rozpoczęła, a ja wciąż przeglądałem książkę meldunkową i nie mogłem podjąć decyzji. W mieszkaniu było zameldowanych sześć osób. A.S. Ignatiew, mechanik-ustawiacz w laboratorium przyrządów i uchwytów automatycznych, N.P. Ignatiewa, pianistka w Zakładzie Usług Komunalnych, P.K. Baba, cew, dzielnicowy komendy milicji, G.I. Babajcewa, maszynistka w przedsiębiorstwie budowlanym, oraz R.N. Fiłonowa, bileterka Wielkiej Sali Konserwatorium Moskiewskiego. Telefon był wspólny i trudno było powiedzieć, kto z lokatorów mieszkania mógłby mieć coś wspólnego z kradzieżą skrzypiec. Babajcewa od razu wyeliminowałem. Oczywiście wśród milicjantów również zdarzają się ludzie nieuczciwi, a czasami wręcz przestępcy, ale zdarza się to na tyle rzadko, że postanowiłem tej ewentualności nie brać pod uwagę. Skreśliłem również z listy podejrzanych małoletniego synka Ignatiewów, o którym dotychczas nie wspominałem. Dlatego zainteresował mnie tylko Aleksy Sergiejewicz Ignatiew i Raisa Nikonowna Fiłonowa...

Drzwi otworzyła mi młoda kobieta w kretonowym szlafrocisku. Na jej pełnej różowej twarzy błyszczały kropelki potu, a na rękach trzymała zawiniętego w wielki frotowy ręcznik chłopczyka. Najwidoczniej przed chwilą skończyła go kąpać.

– Proszę zamknąć drzwi! – krzyknęła, starając się osłonić dzieciaka przed przeciągiem.

– Dzień dobry! Pani nazywa się Nina Pietrowna Ignatiewa – powiedziałem.

– Tak – przytaknęła kobieta. – A pan?

Przypomniałem sobie afisz wiszący w bramie i przedstawiłem się:

– Jestem waszym agitatorom. Nazywam się Stanisław Pawłowicz.

Malec wysunął rączkę spod ręcznika i pokazując mnie palcem, powiedział z powagą:

– Wujko...

Nina Ignatiewa schowała jego rękę i powiedziała:

– Masz rację, to jest wujek. Wujek-agitator.

– Wujek... atator... – powtórzyło dziecko.

– Proszę wejść – powiedziała Nina. – Tylko go położyć i będziemy mogli porozmawiać.

– Wie pani co – zaproponowałem – niech pani kładzie malca spać, a ja na razie pogadam z Babajcewem, według alfabetu.

– Dobrze – zgodziła się skwapliwie. – Zaraz go zawołam, bo akurat ogląda z mężem mecz hokejowy...

Ignatiewa otworzyła drzwi do pokoju i krzyknęła:

– Piotr! Zbieraj się, agitator do ciebie przyszedł. – I głos jej utonął w fali ryku, którym eksplodował telewizor. Widocznie musieli strzelić gola.

Męski głos powiedział coś niepoehlebnego na temat agitatorów i do przedpokoju wyskoczył jasnowłosy chłopak z zadartym nosem...

– ... To jest nieporozumienie, towarzyszu starszy inspektorze – przekonywał mnie gorąco Babajcew. – Z Loszą Ignatiewem mieszkamy razem od trzech lat. Mieszkanie mamy wspólne, ściany jak z papieru, żadnych sekretów nie ma, bo wszystko o sobie wiemy...

– A jego przyjaciół znacie? – zapytałem.

– Nie ma żadnych przyjaciół poza mną. Było tak: w naszym mieszkaniu dali po pokoju trzem osobom samotnym: Fiłonowej, Ninie i mnie. Potem ja się ożeniłem, a trochę później Nina wyszła za mąż za Aleksego, który tu się wprowadził. To spokojny chłopak, ale nawet mniej spokojnemu Ninka dałaby radę. To właśnie ona zabrania mi kolegować się z kumplami. Zresztą on sam nie jest zanadto towarzyski, spokojny, można powiedzieć, że nawet nieśmiały.

– Ale ze ślusarką ma w pracy do czynienia?

– Oczywiście. Jest przecież narzędziowcem. Ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Wielka mi rzecz, dorobienie klucza. Ja bym też chyba potrafił, jakbym musiał...

– A Fiłonowa? Co o niej można powiedzieć?

Babajcew cmoknął swoimi pełnymi wargami i odparł bez zastanowienia:

– A co o niej można powiedzieć? Kulturalna staruszka, czytana. Prowadzi spokojny tryb życia, zachowuje się uprzejmie, nie żyje ponad stan...

– A ile ta staruszka może mieć lat?

– Dużo – pokręcił głową Babajcew. – Pewnie niewiele jej brakuje do pięćdziesiątki...

Zamilkł i roześmiał się nieoczekiwanie.

– Kupa śmiechu! Ma fatyganta... Przychodzi tu raz na miesiąc, a ona przygotowuje się do tego święta, że aż strach!... Idzie do fryzjera, gotuje różności, urządza prawdziwe przyjęcie...

– Tak? – zainteresowałem się. – A kto to taki?

Babajcew popatrzył na mnie ze zdumieniem, a potem machnął ręką.

– Nie warto nim sobie głowy zawracać! To na pewno nie jest ślusarz. Ten facet z pewnością nawet nie wie, jak pilnik wygląda.

– Ile ma lat? – zapytałem.

– Kto? – błysnął białymi zębami Babajcew.

– Przecież nie ja! Ile ten facet ma lat?

– Myślę, że jakieś sześćdziesiąt z kawałkiem – odparł niepewnie Babajcew. – Specjalnie mu się nie przyglądałem... Pamiętam, że jest przygarbiony, ze szpiczastą bródką...

– Rudy, bardzo blady? Ledwie widoczna sinica, duże jasne oczy? Nos prosty, długi? Tak facet wygląda? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział nerwowo Babajcew. – Macie takiego w jakiejś sprawie?

– Podobnego – odpowiedziałem wymijająco.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Zamilkliśmy obaj i wtedy usłyszałem powolne, zmęczone kroki; parkiet skrzypiał wolno, ciężko, rytmicznie. Brzęk kluczy, trzask zamka, szmer otwieranych drzwi, cisza.

– Fiłonowa przyszła – powiedział szeptem Babajcew, jakby Fiłonowa mogła usłyszeć naszą rozmowę ze swego pokoju.

Posiedzieliśmy chwilę w milczeniu, a potem powiedziałem do niego:

– Zapamiętajcie, że dla waszych sąsiadów jestem agitatorom. Na razie nie należy dawać powodów do zbędnych rozmów. Poza tym nie chcę, żeby rudy facet dowiedział się o mojej bytności w tym mieszkaniu. Rozumiemy się?

– Tak jest. Będziecie z nią rozmawiać?

– Tak, ale najpierw pogadam trochę z Ignatiewem, bo

agitatorzy, w przeciwieństwie do detektywów, obdarzają wszystkich w jednakowym stopniu swą uwagą...

Być może, różniliśmy się z Babajcewem poglądami na wiek albo też w porównaniu z jego smarkatą żoną Fiłonowa istotnie wydawała mu się staruszką, w każdym razie zobaczyłem interesującą niewiastę w średnim wieku. Oczywiście, że była już nie pierwszej młodości, ale ponieważ nie usiłowała tego ukrywać przy pomocy rozmaitych bezskutecznych sztuczek, do których uciekają się kobiety w okresie swej jesieni, wyglądała jeszcze znakomicie. Siwa, doskonale trzymająca się kobieta z brzoskwiniowym rumieńcem na poczciwej, okrągłej twarzy. Po pięciu minutach rozmowy o wszystkim po trochu przekonałem się o jej ogromnej, wręcz globalnej życzliwości do świata i o nieprawdopodobnej, wulkanicznej zgoła gadatliwości. Przy tym mowa Fiłonowej przypominała pieśń stepowego pasterza: śpiewam o tym, co właśnie widzę. Raisa Nikonowna Fiłonowa paplała o wszystkim, co wpadło jej w oczy, i to paplała z niezmienną dobrocią, życzliwością i serdecznością. A ponieważ w trakcie całej rozmowy nie odrywałem wzroku od portretu wiszącego na ścianie, musiała to w końcu spostrzec. Zrobiła pauzę i powiedziała uroczyście, z przydechem:

– To jest wielki muzyk...

– Tak? – powiedziałem zachęcająco. To zupełnie wystarczyło.

– Paweł Pietrowicz Ikonnikow. Ten człowiek podzielił los wielkiego Rode.

– W jakim sensie?

– Jest genialny jak Rode, równie jak on pozbawiony wiary w siebie i podobnie nieszczęśliwy...

Pokiwałem współczująco głową. Ale Raisa Nikonowna

już najwidoczniej dosiadła swojego ulubionego konika i moje reakcje interesowały ją raczej średnio.

– ... Rode był zbyt wielki i sławny, aby zwracać uwagę na knowania konkurentów. I to go właśnie zgubiło. Recenzenci wydrwiwali jego technikę, utrzymując, że stał się w swym kunszcie zimny i tchórzliwy, że świadomie upraszcza najtrudniejsze fragmenty utworów. A on nie zniósł tego, wypiłszy do dna czarę goryczy, przygotowaną dla niego przez zawistników i oszczerców...

– A czy znała pani Ikonnikowa? – przerwałem jej.

– On jest jedynym bliskim mi człowiekiem – odparła spokojnie i zwyczajnie, jak mówi się o rzeczy oczywistej i samej przez się zrozumiałej. – Żyję tylko po to, aby bodaj w drobiazgach mu się przysłużyć, w czymś pomóc...

Wcale mnie to nie zdziwiło. Ikonnikow, zdegradowany społecznie, wściekły na cały świat, samotny, pijący – musiał naturalnie znaleźć sobie taką kobietę, dla której główną funkcją życiową było współczucie i miłosierdzie. Tych dwoje ludzi, jak dwa bieguny, wytwarzało niezbędną w życiu różnicę potencjałów.

– Oczywiście, gdyby nie tragiczny los Pawła Pietrowicza, nigdy byśmy się nie spotkali – mówiła Fiłonowa. – Rozumiem też doskonale, iż w najmniejszym nawet stopniu nie mogę mu zastąpić świata, który utracił. Ale moja miłość i podziw dla niego jest wszystkim, co mu z tamtego, poprzedniego życia zostało...

– Od dawna zna pani Pawła Pietrowicza?

– Uśmiechnęła się smutno.

– Właściwie całe życie. Moi rodzice byli skromnymi muzykami, bez reszty oddanymi sztuce. Gdy miałam trzynaście lat, zaprowadzili mnie na koncert, w którym solistą był Paweł Pietrowicz. To było coś niesłychanego, więc patrzyłam na niego jak na czarodzieja. Pamiętam, jak przylecieli obaj z Lwem Osipowiczem Polakowem po zdo-

byciu laurów na konkursie paryskim – młodzi, szczęśliwi, piękni, opromienieni sławą i talentem. A osobiście poznałam go wiele lat później, po wojnie...

Zamilkła, a ja przestraszyłem się, że zmieni temat rozmowy, więc powiedziałem pospiesznie:

– To niezwykle interesujące...

– Tak, interesujące – zgodziła się. – Moi rodzice zmarli w czasie blokady, a ja po ewakuacji z Leningradu byłam bardzo słaba, wobec czego dano mi przejściowo lekką pracę. Zostałam bileterką w Wielkiej Sali Konserwatorium. Potem jednak przyzwyczaiałam się do tego nieustającego święta muzyki i zostałam tam na całe życie. Zresztą do dziś tam pracuję.

– Raiso Nikonowna, dlaczego właściwie Ikonnikow przestał występować?

– Mówiłam już panu, że on powtarza w nowej wariacji los Rodego. Od geniuszów wszyscy wymagają, aby byli geniuszami zawsze, w każdej okoliczności... Ale geniusz to też człowiek, któremu mogą zdarzyć się niepowodzenia, załamania, błędy... Tymczasem wymaga się od niego, żeby stale był lepszy od innych i tego, co wybaczają się bez trudu przeciętnemu wykonawcy, nie zapomina się nigdy talentowi...

– I Paweł Pietrowicz się załamał?

– Tak, to było w czasie wojny. Razem z Polakowem mieli przyjechać do Leningradu, dać koncert dla mieszkańców oblężonego miasta. To rzeczywiście było bardzo ważne, ten koncert dwóch wybitnych muzyków, zorganizowany mimo bombardowań, głodu, blokady. I Polakow pojechał...

– A Paweł Pietrowicz?

Fiłonowa zamyśliła się, jakby po raz już setny rozwiązywała rozwiązane od dawna zadanie, na które odpowiedź można zresztą znaleźć na końcu podręcznika. Wszystko

więc naby było wiadome, ale jednak pozostawała jakaś dręcząca niepewność, niejasność w wewnętrznym mechanizmie rozwiązania.

– A Paweł Pietrowicz w przeddzień wyjazdu zachorował i nie mógł pojechać. Polakow koncertował sam. Tego dnia był okropny mróz, słuchacze siedzieli w sali Filharmonii w paltach i czapkach, a Polakow wyszedł na estradę we fraku i śnieżnobiałym gorsie... Po każdym utworze wychodził za kulisy, aby chociaż trochę ogrzać sobie zgrabiałe palce, a nad jego głową stale wisiała chmura wydychanej pary. Tak liczyłam na to, że zdarzy się cud i na estradzie zjawi się Paweł Pietrowicz! Ale on był chory, a ja tego wówczas nie wiedziałam...

– A co było dalej? – zapytałem, serio już zainteresowany.

– Po tym, jak nie pojechał do Leningradu, Paweł Pietrowicz okropnie się gryzł i zadreślał. Nie wiem, czy dlatego, czy może z jakiegoś innego powodu zerwał również następny koncert. Był straszliwie zdenerwowany i długo przygotowywał się do następnego występu, który go zabił. W trakcie wykonywania koncertu Haydna jego skrzypce nagle straciły głos. To się zdarza raz na sto lat, ale jednak się zdarza. Występ trzeba było przerwać... Paweł Pietrowicz szalał i im dłużej ćwiczył, tym ogarniała go większa trema. Przygotował dwa wielkie recitale, ale żadnego z nich nie wykonał publicznie i nieoczekiwanie dla wszystkich oświadczył, że więcej na skrzypcach grać nie będzie. Od tej pory nikt go już na estradzie nie widział... To bardzo silny i odważny człowiek – zakończyła nieoczekiwanym podsumowaniem. Powiedziała to takim tonem, iż odniosłem na moment wrażenie, że sama usiłuje rozwiązać własne wątpliwości tym kategorycznym stwierdzeniem.

Zadawanie jakichkolwiek dalszych pytań uznałem za niestosowne, a nawet w jakimś stopniu ryzykowne, więc

porozmawialiśmy jeszcze chwilę o tym i owym, a potem pożegnałem się... W drzwiach mieszkania zdążyłem szepnąć Babajcewowi:

– Jak tylko zjawi się człowiek z brodą, natychmiast dzwoń...

Noc była cicha, bezwietrzna i przejmująco zimna. Doszedłem do dworca rzecznego i skierowałem się w stronę stacji metra, kiedy nagle przypomniałem sobie, że nic jeszcze dzisiaj nie jadłem, choć dzień rozpoczął się dawno – od przesłuchania Bieliasza. Wahałem się przez chwilę, a potem skręciłem ku długiemu, słabo oświetlonemu budynkowi dworca.

Ludzi w restauracji było dużo, hałas jeszcze większy, ale musiałem przecież coś zjeść i trochę się ogrzać... Rozcierałem zziębnięte ręce i czekałem, aż podziela setka wódki, którą zamówiłem.

Niech to diabli wezmą! Jak wszystko się nieprawdopodobnie zasupłało... Ślusarz-włamywacz zostawia u Polakowa telefon Filonowej, Obolnikow bywał w okradzionym mieszkaniu, lecz się tego wypiera... W dodatku w przeddzień włamania idzie do szpitala... Ikonnikow z jego obłędnymi teoriami i zmijami wyskakującymi z ręki jak ostrze sprężynowca, no i depeza jakiegoś Taratuty...

Z automatu w hallu zadzwoniłem do dyżurnego Wydziału Śledczego, żeby dowiedzieć się, czy nie ma czegoś nowego. Dyżurował Kabanow, młody leń, flegmatyk i wyjątkowo zdolny detektyw, specjalizujący się w wykrywaniu zabójstw.

– Słuchaj – powiedział Kabanow – jakaś kobieta dzwoniła do ciebie chyba ze trzy razy. – Zostawiła telefon i prosiła, żebyś zadzwonił.

– Jak się nazywa?

– Poczekaj, zaraz zobaczę. Ja tu mam wszystko zapisa-  
ne. No, znalazłem. Doktor Konstantinowa. Powiedziała, że  
ją znasz.

– Znam, znam. To wszystko?

– Na razie Bóg strzegł przed nowościami. Ale nie bój się  
koło północy zaczną się rozrywki...

– No, to trzymaj się. Życzę spokojnej wachty. Cześć.

– Cześć – odparł leniwie Kabanow i odłożył słuchaw-  
kę.

Spojrzałem na zegarek. Było pięć po dziesiątej, a więc  
jeszcze nie za późno na telefon. Ciekawe, co ją tak przypili-  
ło? Wykręciłem numer. Początkowo nikt się nie odzywał,  
a potem w słuchawce rozległ się cieniutki głosik: „Mamusi  
nie ma w domu. Poszła na dyżur do szpitala...” Zadzwo-  
niłem do kliniki i od razu trafiłem na Konstantinową.

– Dzień dobry, to ja, Tichonow. Dzwoniła pani do mnie.  
Dowiedziałem się o tym dopiero przed chwilą.

– Tak. Szukałam pana w związku z Obolnikowem.  
Nie wiem, jakie pan ma wobec niego plany, bo ja w każ-  
dym razie zamierzam jutro ostatecznie załatwić jego  
sprawę...

– W jakim sensie? – zdziwiłem się.

– Albo go jutro wypiszemy, albo uzyskamy sankcję na  
leczenie przymusowe pod ścisłą kontrolą...

– A co się stało?

– Dziś zupełnie przypadkowo salowa znalazła przy nim  
buteleczkę z kwasem solnym...

– Z kwasem solnym?! – zdziwiłem się jeszcze bardziej.

– Tak. Doświadczeni alkoholicy, którzy do nas trafiają,  
piją ten kwas w słabym roztworze, co neutralizuje działa-  
nie preparatów leczniczych.

– Ale to przecież niweczy wszystkie skutki kuracji! –  
wykrzyknąłem naiwnie.

– Naturalnie! – zirytowała się Konstantinowa. – To

przecież oczywiste. Efekt kuracji opiera się na wytworze-  
niu nietolerancji organizmu na alkohol. A oni nie chcą  
pozbawiać się tej przyjemności...

– Ale sama pani mówiła, że Obolnikow dobrowolnie  
zgłosił się na leczenie?

– Nie wiem – powiedziała zmęczonym głosem Konstan-  
tinowa – nie wiem, po co on to zrobił. Może miał jakieś  
swoje powody.

– A jak on się w ogóle ostatnio zachowywał?

– Źle. Odgrażał się i prosił o wypuszczenie z kliniki.  
Żądał wydania odzieży i wypuszczenia. Oczywiście odmó-  
wiłam.

– Żądał odzieży? – powtórzyłem i przypomniałem sobie  
pustą szafę w jego pokoju. – Pani doktor, jeżeli zaraz  
przyjadę do kliniki, czy pani będzie mogła pokazać mi jego  
odzież?

– Teraz nie ma siostry oddziałowej, która ma klucze od  
magazynu. Proszę przyjechać jutro rano, kończę dyżur  
o dziesiątej.

– Dobrze. Do widzenia...

Nareszcie skończył się ten długi, trudny dzień.

## Rozdział ósmy

### Do cnoty można przywieść siłą

Mistrz Stradivari jeszcze trzysta dni pracował u starego  
Niccola Amatiego. Amati cierpiał na nogi, które potwornie  
mu spuchły, przekształciły się w bezkształtne, miękkie  
słupy. Nie mógł już stać przy warsztacie, kazał więc zrobić  
sobie wysoki stołek, podobny do tych, jakie daje się dzie-  
ciom, które jeszcze nie sięgają do stołu. I codziennie, poza

pierwszym dniem Bożego Narodzenia i Wielkanocy, wolno, ciężko schodził do pracowni i od świtu do nocy strugał, piłował, wycinał i kleił skrzypce, altówki i wiolonczele.

Tuż przed Wielkim Piątkiem medyk Don Sebastiano puścił mu krew i mistrz Niccolo był zbyt słaby, aby pracować, zszedł jednak do pracowni i siedząc na swoim stołku patrzył, jak Stradivarius naciąga struny na nowe skrzypce. Patrzył ze złością i naganą, bo cały pomysł tych skrzypiec wydawał mu się głupi, niegodny prawdziwego mistrza. Stradivarius zmitrężył nad nimi wiele miesięcy, a na całym świecie nie ma takiej sztuczki, na którą wielki mistrz może tracić tak wiele czasu. A te skrzypce są po prostu sztuczką, zachcianką, głupim kaprysem talentu.

– Coś takiego już kiedyś próbował robić pewien mój uczeń – mówił z niezadowoleniem Amati. – Próbował zbudować instrument z jaworu. Nic z tego nie wyszło. Potem zrobił wiolonczelę z alpejskiej sosny... Skrzypiało gorzej niż rozeschnięte wrota...

Antoniowi omal ze zdziwienia nie wypadły skrzypce z rąk.

– Mistrzu, ty miałeś uczniów? Po raz pierwszy to słyszę!

Coś przypominającego rumieniec wystąpiło na blade, obrzmiałe policzki starca, który zrozumiał, że się niechcący wygadał.

– Nie lubię o tym wspominać, gdyż te wspomnienia wzbudzają w mym sercu gorycz.

– Ten uczeń okazał się złym człowiekiem?

– Nie, to raczej ja okazałem się głupcem.

Mistrz patrzył w otwarte okno, tam gdzie po błękitnym niebie Lombardii biegły na północ, ku Alpom, ławice białych chmur. Odurzająco pachniały azalie, a samotny ptaszek w ogrodzie wciąż coś wykrzykiwał przerażonym głosem... I wszystko to tak bardzo nie wiązało się z chorobą i starością, smutkiem i niemocą, kiedy Stradiva-

rius czuł w swoim szczupłym, kościstym ciele jednoczesny stukot tysięcy szybkich, wesołych i silnych pulsów...

– Nazywał się Andrea Guarneri – powiedział mistrz Niccolo, nie troszcząc się o to, aby przerzucić chociażby wątłą kładkę nad długą, pełną napiętej ciszy pauzą. – Kiedy przyszedł do mnie, miał tyle lat, ile ty masz teraz. Jestem zbyt stary, żeby oszukiwać, więc mogę powiedzieć ci prawdę: on był zdolniejszy od ciebie. Doświadczony ogrodnik może wiele powiedzieć o kwiecie, który się jeszcze nie rozwinął. A ja byłem już wówczas wystarczająco doświadczony, aby zrozumieć, iż sztuka mojego ucznia po niewielu latach zrówna się z moją. Czekala go nieśmiertelność, ale w pamięci ludzkiej zostaniesz ty, a nie on.

– Dlaczego? – zapytał ze złością Antonio.

Amati zerknął na niego z ukosa i uśmiechnął się lekko.

– Nie obrażaj się, synku. Tylko głupiec obraża się na prawdę. Człowiek powinien dokładnie wiedzieć, ile jest wart. Andrea Guarneri zmarnował się dlatego, że nie znał swojej prawdziwej wartości. Wiedział, że ma talent, ale nie wiedział lub nie chciał wiedzieć, że jest przy tym leniwy, lekkomyślny i słaby duchem.

– Nie lubił pracować? – zapytał Stradivarius.

– Czy ja wiem? Bardzo szybko wymyślił lepszy od mojego wzór matematyczny obu dek, cudownie też komponował efy... Ale nie zdołał nigdy odkryć sekretu naszego lakieru. Rozumiesz, wszędzie tam, gdzie potrzebna była wytrwałość i pilność, tam kończył się Guarneri. Różnił się od ciebie tym, że ty żyjesz po to, aby wymyślać nowe skrzypce...

– A on? – zapytał podejrzliwie Antonio.

– A dla niego była to jedna z licznych zabawek... Budował cudowne skrzypce, a następnego dnia zniknął na tydzień z jakimiś włóczęgami i sprzedajnymi dziewczkami, pił, urządzał bijatyki, dla kawału wysadził w powietrze stra-



nicę na granicy Werony, za co trafił do więzienia. Andrea galopował na koniu jak kirasjer i bił się na szpady jak pijany muszkieter. Grał w karty i przyjaźnił się ze wszystkimi liwornijskimi rzezimieszkami... Bez zmrżenia oka potrafił popełnić krzywoprzysięstwo. W końcu wypędziłem go, bo zabrał moje skrzypce, dopisał na dece: „... i Andrea Guarneri”, po czym sprzedał je jakiemuś bogatemu kupcowi.

– I miałeś po tysiakkroć rację! – wykrzyknął Antonio. – To przecież był zwyczajny złodziej!

– Tak – powiedział w zadumie Amati. – Byłem wtedy bardzo rozgniewany. A jednak moja wina polega na tym, że nie potrafiłem uczynić z niego wielkiego mistrza. Nie rozumiałem wówczas jeszcze, że człowieka do cnoty można przywieść nawet siłą...

– Dobra siłą wpoić nie można – powiedział Stradivarius.

– Ale siłą można przewyciężyć zło – zachmurzył się Amati. – Zło żyło w nim samym, gnieździło się jak demon. I ten demon próżniactwa, chciwości i pychy okazał się silniejszy od Guarneriego... A ja nie zdołałem mu pomóc... Od tej pory włóczy się po świecie pusta ludzka powłoka i utrzymuje, że nazywa się Andrea Guarneri. Ale to kłamstwo, mogę przysiąc, że mistrza Guarneriego wyzarł od środka malutki zły demon, zrodzony z jego chciwego i próżnego serca...

Stradivarius już nie słuchał nauczyciela, tylko pogrążony w zadumie przemierzał zamaszystymi krokami pracownię i mamrotał pod nosem:

– To znaczy, że i on chciał iść w tym kierunku...

Amati popatrzył na nowe skrzypce, a potem powiedział:

– Jawor i świerk drgają rozmaicie – i pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Ale o to właśnie chodzi! – wykrzyknął Stradivarius

z zapalem. – Świerk jest znacznie czulszy od jaworu. Dlatego też obliczyłem skrzypce tak, aby częstotliwość drgań dolnej, jaworowej, deki była o jedną czwartą mniejsza w stosunku do górnej deki zrobionej ze świerka. Każda z dek będzie brzmieć inaczej, ale dzięki temu skrzypce będą miały zupełnie nowy, wspaniały ton...

Amati długo milczał, a potem wzruszył ramionami i powiedział:

– Synku, ty się znasz na tym o wiele lepiej ode mnie. Wiem tylko, iż w życiu zderzenie dwóch silnych charakterów prowadzi zazwyczaj do wybuchu. Może w dźwięku doprowadzi ono do harmonii.

Wielki mistrz Niccolò Amati był stary, chory i znużony życiem. Nie wiedział, że jego uczeń Antonio Stradivari otworzył nową epokę w historii muzyki...

... Do kliniki przyjechałem o dziewiątej. Konstantinowa miała bladą, zmęczoną twarz i silnie podkrążone oczy.

– Dlaczego interesuje pana jego odzież? – zapytała.

– Dlatego, że w domu nic więcej nie ma...

– Rozumiem – skinęła głową lekarka. – Tu jest spis jego rzeczy przyjętych na przechowanie.

Szybko przejrzałem kartkę zagryzoloną fioletowym atramentem: „Marynarka brązowa, spodnie drelichowe, koszula z tkaniny syntetycznej, niebieski podkoszulek, kalesony, pantofle beżowe, klucze, dowód osobisty, 67 kopiejek...”

Klucze! O nie mi właśnie chodziło...

Magazyn znajdował się na pierwszym piętrze obok jadalni, w tym samym korytarzu, gdzie Obolnikow pierwszego dnia urządził nam przedstawienie. Nie miałem ochoty spotykać się z nim w tym właśnie momencie, ale widać było mi to sądzone, bo już na schodach zobaczyłem jego

rozpromieniony rybi pysk. Przywitał się ze mną bez entuzjazmu i powiedział do Konstantinowej:

– Pani doktor, będę miał serdeczną prośbę. Proszę mi nie odmawiać! Pani jest zawsze taka dobra...

– Słucham – odparła sucho lekarka.

– Prosiłem z głupoty o wypis. Ale to było w chwili słabości, bo od leczenia i z nerwów osłabłem na organizmie i na duchu... Ale w końcu zrozumiałem, że pani życzy mi tylko dobra. Dlatego proszę pokornie nie wypisywać mnie, tylko nadal leczyć z dotychczasowym staraniem i troską...

Zatkało mnie ze złości i zdumienia, a Konstantinowa sięgnęła do kieszeni fartucha po papierosa. Przypomniała sobie jednak, że na oddziale palić nie wolno, zatarła niezręcznie dłonie i zapytała, mrużąc oczy:

– To znaczy, że ubrania można nie oddawać i nie wypisywać?

– Nie trzeba, nie trzeba – wykrzyknął wesolutko Obolnikow. – Wolę już trochę pocierpieć, pomęczyc się dla zdrowia.

Konstantinowa zerknęła na mnie pytająco. Powiedziałem:

– Zostańcie w pobliżu, Obolnikow. Możecie mi być potrzebni.

– Z radością – zgodził się Obolnikow i w jego mętnych, bezbarwnych oczach, mogłem na to przysiąc, błysnęła złościwość. Nie miałem pojęcia, co go wprowadziło w taki dobry humor.

Oddziałowa otworzyła drzwi magazynku, niewielkiego pokoju zastawionego wąskimi szafkami z dykty, dokładnie takimi samymi, jakie bywają w szatniach fabrycznych lub sportowych. Do szafki opatrzonej wielkim numerem „63” przyklejona była karteczka z napisem „S. S. Obolnikow”. Pielęgniarka włożyła kluczyk do kłódki.

Właśnie w tym momencie zaszedł jeden z tych wypad-

ków, o których mówi się, że choć nieprawdopodobne, jednak zajść w końcu muszą. Nie potrafiłem później dojść, czy Obolnikowowi odmówiły posłuszeństwa nerwy, czy też chciał mnie głupio i prymitywnie przechytryć. W każdym razie, kiedy oddziałowa wzięła do ręki kłódkę, za naszymi plecami rozległ się ostry, skrzekliwy głos Obolnikowa:

– A co to ma znaczyć? Kto wam pozwolił grzebać w moich kieszeniach?

Pielęgniarka drgnęła i kłódka wraz ze skoblem wypadła z drzwiczek, po czym zawisła na drugiej połowie skobelka.

– Po co się tu pchacie? Macie pozwolenie na takie bezprawie? – wrzeszczał Obolnikow.

Na szarej kamiennej posadzce leżała jedna jedyna śrubka. A skobel miał trzy otwory na wkręty. Widocznie i ten jedyny był wkręcony byle jak i ledwie się trzymał. Jasna sprawa, Obolnikow był ode mnie szybszy. Ja czekałem na oddziałową, a on nie...

– Teraz pani rozumie, dlaczego on rozmyślił się i już nie chce się wypisywać? – zwróciłem się do Konstantinowej.

– Co to się dzieje, ludzie! – darł się Obolnikow. – Czy na nich nie ma już żadnego prawa?

– Uspokójcie się, Obolnikow! – powiedziałem z wściekłością. – To jest, podpisane przez prokuratora, pozwolenie na rewizję... Obejmuje ona również rewizję osobistą.

Zamilkł i długo patrzył mi w twarz swoimi wodnistymi oczami. Tylko koniuszek nosa drgał mu nerwowo. Potem zupełnie spokojnym głosem zapytał:

– A co pan, panie ładny, chce u mnie takiego znaleźć?

– Usiądźcie przy stole i podpiszcie ten papierek.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział mi prawie wesoło, a ja poczułem, że wszystko w nim aż dygoce z hamowanego napięcia. Podpisał się jakimś bezsensow-

nym zawijasem i zapytał: – No, to czego pan ode mnie chce?

– Proponuję dobrowolnie oddać duplikaty kluczy od mieszkania Polakowa.

Głęboko westchnął i było to westchnienie prawdziwej ulgi. No cóż, ja też muszę nauczyć się przegrywać. Obolnikow wystawił mnie do wiatru. Był szybszy.

– Nie mam żadnych kluczy skrzyпка. Chce mnie pan w coś zrobić. A jak nie wierzy się prostemu człowiekowi, robociarzowi, nie żadnemu tam dyrektorowi, to niech pan szuka, jeżeli pozwalają panu na takie bezprawie...

Wszystkie wymienione w spisie przedmioty znajdowały się w szafce. Tylko kluczy nie było. Nie tylko po kluczach Polakowa, ale również po całym pęku kluczy, oddanych przez Obolnikowa na przechowanie, nie było nawet śladu.

– Gdzie są wasze klucze, Obolnikow? – zapytałem.

Rozłożył bezradnie ręce.

– Chyba już wam, obywatelu milicjancie, mówiłem, że byłoby nieźle zająć się tutejszym personelem...

Oddziałowa, spokojna, bezbarwna kobieta, poczerwieniała jak burak. Konstantinowa przygryzła wargi, pokiwała głową i powiedziała cicho:

– Nie przypuszczałam, że jest pan takim draniem, Obolnikow. Jednak nie przypuszczałam...

– Pewnie, jak wszyscy mnie dookoła oskarżają, to i wyzywać mnie można od ostatnich. Ale na milicji prawda się nie kończy. A ja dojdę do prawdy, choćbym miał sobie nogi do kolan uchodzić.

Wyjąłem z kieszeni scyzoryk, podszedłem do drzwi magazynku, ostrożnie wsunąłem ostrze w otwór zamka i lekko przekręciłem. Stara, yalowska zasuwka zazgrzytała, zawahała się, a potem posłusznie szczęknęła i rygielek wysunął się na zewnątrz. Roześmiałem się.

– Nie musicie daleko szukać! Tu jest wasza prawda, Obolnikow...

– Bo co? – zapytał niepewnie.

– A to, że kiedy ja się zastanawiałem, wy dzisiaj w nocy otworzyliście drzwi, wykręciliście śrubki mocujące skobel i zabraliście klucze z szafki.

– Ale my nie dajemy im żadnych noży! – wtrąciła się Konstantinowa.

– Co też pani mówi! – odburknąłem niegrzecznie. – Obolnikow jest fachowym ślusarzem i wystarczy mu byle kawałek blaszki... Śrubek też nie wkręcił porządnie tylko dlatego, że bardzo mu się spieszyło.

– Musi mi pan tego najpierw dowieść! – wykrzyknął Obolnikow.

Uśmiechnąłem się.

– Wcale nie zamierzam jeszcze raz dowodzić swojej własnej głupoty i niedbałości, bo na was mam inne, lepsze dowody.

Patrzyłem na jego rozplomienione uszy, niebieskie, pogryzione wargi, podrygujący nos i aż mi się wszystko we środku przewracało... Czułem, że moja antypatia do niego staje się coraz silniejsza, wręcz chorobliwa.

– Zdejmujcie szlafrok i ubierajcie się w swoją odzież – powiedziałem.

Obolnikow owinał się ściślej połami szlafroka, jakby się w ten sposób chciał przede mną ukryć, i zapytał ochryple:

– Po co? Po co się ubierać?

– Zabieram was ze sobą.

– Dlaczego? Dokąd ze sobą? – zapytał gorączkowo Obolnikow.

– Do więzienia.

Konstantinowa cofnęła się z przestraczem, a oddziałowa zaczęła blednąć równie szybko, jak niedawno poczerwieniała. Obolnikow wolno usiadł na krześle i znierucho-

niał. W magazynku zapadła cisza, zakłócana jedynie głośnym, przypominającym czkawkę oddechem pijaka. Trwało to kilka nieskończenie długich chwil, zanim, chcąc przerwać tę nieznośną ciszę i utwierdzić się w swoim postanowieniu, powiedziałem:

– Zbierajcie się. Pojedziemy na komendę, gdzie przedstawię wam nakaz aresztowania...

Obolnikow wstał, podszedł do szafki i zaczął ściągać z siebie szlafrok. Od tej chwili poruszał się coraz szybciej, aż ruchy jego stały się zupełnie bezmyślne w swym historycznym pośpiechu. Przy tym mamrotał nieustannie:

– Zaraz, zaraz się ubiorę... Ja migiem... Zaraz...

„... Biorąc to wszystko pod uwagę oraz uwzględniając fakt, że na sprawdzenie wszystkich uzyskanych w sprawie informacji potrzeba pewnego czasu, a także to, iż znajdując się na wolności Obolnikow mógłby dopuścić się dalszych matactw, utrudniających śledztwo,

postanawia się

zastosować środek zapobiegawczy wobec podejrzanego S.S Obolnikowa w postaci aresztu na okres 10 dni...”

Komisarz doczytał, wziął do ręki długopis, a potem odłożył go na biurko.

– Dlaczego tylko na dziesięć dni? Dlaczego nie chcesz zatrzymać go do rozprawy? – zapytał.

– Dlatego że, po pierwsze, nie mam jeszcze jasnego poglądu na jego rolę w tej sprawie. A po wtóre, w tym wypadku musielibyśmy przedstawić mu formalne oskarżenie. Wtedy zorientowałyby się, jakie mamy zarzuty, wiedziałyby, co wiemy, a o czym nie mamy pojęcia.

Komisarz powiedział:

– A jak ty to sobie teraz wyobrażasz?

– Myślę, że Obolnikow tylko wystawił ślusarzowi mie-

szkanie Polakowa i nie brał bezpośredniego udziału w kradzieży. I najprawdopodobniej pożyczył swoje klucze włamywaczom.

Komisarz skrzywił się i popatrzył roztargnionym wzrokiem przez okno. Potem zapytał:

– Wierzysz w to?

Zawahałem się przez chwilę, ciężko westchnąłem i przyznałem się:

– Nie, prawie zupełnie nie wierzę...

– Dlaczego?

– Nie ulega wątpliwości, że Obolnikow był w mieszkaniu Polakowa. Ale jeśli współpracował ze złodziejami, to po co zjawił się tam ślusarz? Przecież Obolnikow miał już klucze!

– Jakież przypadkowe zbieżności są wykluczone?

– Absolutnie. Jak wiadomo, Polakow zeznał, że akurat wtedy, kiedy ślusarz naprawiał zamek, zadzwonił ktoś ze szkoły z prośbą o występ...

– Pamiętam – powiedział komisarz.

– Miała to być szkoła dla chorych dzieci. Tą sprawą zainteresowała się Ławrowa...

– Przy okazji, jak ona się sprawuje?..

– Daje sobie radę... No więc dziewczyna straciła cały dzień, obdzwaniając wszystkie moskiewskie szkoły specjalne...

– I okazało się, że nikt Polakowa nie zapraszał? – zapytał na poły twierdząco komisarz.

– Właśnie. Kompan ślusarza odwracał uwagę skrzypka, żeby łatwiej można było zrobić odciski kluczy. W świetle tego zupełnie nie rozumiem roli Obolnikowa...

– A Ikonnikow? Co o nim myślisz?

– Nie wiem – pokręciłem głową. – Facet jest niewątpliwie antypatyczny...

Komisarz roześmiał się:

– Dobry argument! Zapytaj Obolnikowa, czy uważa cię za człowieka sympatycznego...

– Przecież nic nie mówię. W każdym razie wersja „Ikonnikow – złodziej skrzypiec” wyklucza wersję z udziałem Obolnikowa...

Komisarz popatrzył na mnie znad okularów.

– W takich skomplikowanych kwestiach – powiedział – nie należy lekceważyć zastrzeżeń w rodzaju „sądzę” albo „jest możliwe”...

– Można i tak – zgodziłem się. – To brzmi bardziej dyplomatycznie. Ale dowcip polega na tym, że istotnie jestem przekonany, iż między Ikonnikowem a Obolnikowem nie ma żadnego związku.

– W każdym razie nie ma związku widocznego gołym okiem – powiedział komisarz złośliwie. – A kiedy Ikonnikow był ostatni raz u Polakowa? Nie interesowałaś się tym?

– Dlaczego nie miałem się interesować? Ostatni raz był tam jakieś dwanaście lat temu...

W tym momencie zorientowałem się, że komisarz coś wie... Wie coś bardzo ważnego i świadomie to ukrywa, żeby łatwiej mnie było „podpuścić”. Komisarz przyjrzał mi się uważnie, wysunął szufladę biurka i wyjął z niej kopertę.

– Masz, poczytaj sobie – podał mi kopertę z wypisanym długopisem adresem „Pietrowka 38. Szef wydziału kryminalnego”. Na liniowanej kartce wyrwanej z zeszytu widniał następujący tekst, nakreślony bardzo starannym, czytelnym pismem:

„Proszę uważnie przeczytać mój list i poważnie się nad nim zastanowić. Jeśli się okaże, że sprawa nie należy do pańskich kompetencji, proszę przekazać go odpowiednim organom. Tej nocy, kiedy została dokonana kradzież w mieszkaniu L.O. Polakowa, zupełnie przypadkowo znalazłam się koło jego domu i widziałam, jak P.P. Ikonnikow

wychodził z bramy z niewielkim zawiniątkiem w rękach. Od tej chwili nie wiedziałam, co ze sobą począć, i bardzo mnie to dręczyło. Chodzi o to, że my wszyscy – Polakow, Ikonnikow i ja – dobrze się znamy i jeżeli Ikonnikow nie ma nic wspólnego z kradzieżą, to przez moje zeznanie postawiłabym go w okropnej sytuacji. Ale i los Polakowa zbyt mnie obchodzi, abym mogła pozostać neutralna. Może nie odważyłabym się napisać tego listu, gdybym wczoraj nie spotkała Ikonnikowa. Był kompletnie pijany i gadał ciągle o jakiejś depeszy. Powtarzał, że jak ją tylko otrzyma, to wszystko będzie w porządku. Przeraziłam się, że może to mieć coś wspólnego z losami bezcennego instrumentu. Dlatego postanowiłam napisać do pana, aby mógł pan sprawdzić te wszystkie okoliczności. Jeśli zbierze pan poważne poszlaki świadczące o winie Ikonnikowa, ja również złożę stosowne zeznania. Ze względu na opisaną wyżej sytuację nie mogę obecnie podać mojego nazwiska, chociaż wiem, że to jest obrzydliwe. Proszę jednak nie potępiać mnie zbyt surowo. Niełatwo jest przecież powiedzieć w oczy dobremu znajomemu, że jest złodziejem, jeśli się przy tym nie ma wystarczającej pewności, iż to potworne oskarżenie jest prawdziwe”.

Złożyłem kartkę, wsunąłem ją do koperty i oddałem komisarzowi.

Szef uśmiechnął się:

– Czemu mi to dajesz? Zarejestruj, wepnij do akt i bierz się do roboty...

– A więc jednak Ikonnikow? – zastanowiłem się głośno.

– A może chcą nas zmylić?...

– Możliwe – zgodził się komisarz. – Chociaż list jest dość prawdopodobny psychologicznie.

– Ja od tej sprawy chyba zwariuję! – powiedziałem.

– Nie szkodzi – uspokoił mnie komisarz. – Wyleczymy. Jak sądzisz, kto mógł napisać ten list?

- Nie mam pojęcia.
- Masz jakieś pomysły?
- Mam. Trzeba uzyskać od prokuratora zgodę na dostęp do korespondencji Ikonnikowa...
- Cudowny pomysł. Niezwykle inteligentny i odkrywczy. Ale niech ci będzie. I co wtedy?
- Jeśli list nie jest lipny, to można będzie przechwycić depeszę. A jeśli to zwyczajne oszczerstwo, to Ikonnikow nie poniesie żadnej szkody...
- Rozsądne, ale niemoralne. Nie zgadzam się – uciał komisarz.
- Dlaczego?
- Widzę, Tichonow, że jesteś ze mnie niezadowolony. Nic na to nie poradzę. W każdym razie musisz się z moją decyzją pogodzić...

Od komisarza wyszedłem zdenerwowany i zły, i chociaż nie było jeszcze dwunastej, poczułem się dziwnie zmęczony i rozbity. Przyjmując teraz za niezachwiany pewnik, że w kradzież są zamieszani dwaj ludzie – Ikonnikow i Obolnikow – wciąż jednak nie mogłem zrozumieć, co mogłoby łączyć ich ze sobą. Pod drzwiami mojego pokoju stała żona Obolnikowa. Poznałem ją natychmiast, gdy tylko się ze mną przywitała. Twarz jej jeszcze bardziej zapuchła, oczy się zapadły. Wyglądała na zupełnie chorą.

- Wezwano mnie przez telefon... – powiedziała.
- Tak, wiem, proszę wejść – przepuściłem ją przed sobą.
- Proszę się rozebrać i siadać...

Ręce, zniekształcone i popękane, pełne sińców i zadrapań trzymała bezwolnie na kolanach i patrzyła na mnie z beznadziejną pokorą, gotowa przyjąć nowy cios... A co ta kobieta właściwie zawiniła?

- Jewdokio Pietrowna, rano aresztowałem pani męża.

Skinęła głową, jakby już dawno się tego spodziewała, czekała na tę wiadomość już poprzednim razem, ale skoro przenieśli to na dzisiaj, to niechaj będzie dzisiaj... Ona przecież wiedziała, że ten wstyd jej nie minie.

- Uważamy, że on jest zamieszany w kradzież w mieszkaniu Polakowa.

Potrząsnęła gwałtownie głową, a po policzku stoczyła się jej jedna jedyna łza.

- Nie zgadza się pani ze mną? Uważa pani, że było inaczej?

Znów potrząsnęła głową.

- Wie pani, że mąż tuż przed kradzieżą był w mieszkaniu Polakowa.

Obolnikowa kiwnęła głową: tak, wiem...

- Kiedy to dokładnie było?

Popatrzyła na mnie swoimi jasnymi, pustymi oczami i powiedziała:

- Na dzień przed kradzieżą.

- Jak się pani o tym dowiedziała?

– Zobaczyłam – odpowiedziała głuchym głosem. – Obudziłam się w nocy i widzę, że go nie ma. Jakby mnie coś w serce kolnęło... Narzuciłam jesionkę na koszulę i wyszłam na schody. Patrzę, a on wyłazi z mieszkania Lwa Osipowicza...

- Miał coś w rękach?

- Nie.

- Posłużył się pani kluczami?

– Nie. – Znów pokręciła głową. – Myślę, że on niczego nie kradł, tylko pewnie zrobił klucze i komuś dał...

- Co mu pani powiedziała, kiedy zobaczyła go pani pod drzwiami Polakowa?

– A co można było powiedzieć? Do niego już żadne słowa nie docierają.

Zapytałem:

– Ale przecież musiał jakoś pani wytłumaczyć swoją obecność na klatce?

– Powiedział mi, że nie wchodził do mieszkania. Że niby wydało mu się, że ktoś chodzi po schodach, no to poszedł zobaczyć. Tak mi powiedział.

– Wierzy mu pani?

– Nie. Łże jak pies. Miał swoje klucze.

– Dlaczego więc pani tak długo milczała. Dlaczego mi pani nie powiedziała o tym od razu? – zapytałem.

Długo nie odpowiadała, a potem uniosła wzrok i wolno, ochryple wydusiła z siebie:

– Nie daj Boże, żeby pan musiał kiedyś odpowiadać na takie pytania...

Rozplakała się i przez łzy, przez łkania wstrząsające jej zniszczonym ciałem wykrztusiła:

– Pan też ma matkę, to niech mnie pan zrozumie... Nie mogę pozwolić, żeby u syna w wojsku dowiedzieli się o tym... Genoczka jest całym moim życiem... Niech pan o tym nie pisze do jego jednostki...

Podał jej szklankę wody.

– Skąd pani przyszło do głowy, że chcę napisać do jego jednostki? Nigdy nie miałem takiego zamiaru!

Anna Aleksandrowna Jabłońska, nauczycielka wokali-  
zy w szkole muzycznej, spieszyła się na zajęcia i mogła mi poświęcić zaledwie kilka minut. Mówiła bardzo szybko, pełnymi, precyzyjnymi zdaniem, wbijając we mnie informacje, jak doświadczony rzemieślnik wtłaczający w żelazną konstrukcję serię nitów.

– ... Mój były małżonek, Paweł Pietrowicz Ikonnikow, jest człowiekiem wybitnie i wszechstronnie uzdolnionym. Jeszcze w okresie naszego wspólnego pożycia myślałam wielokrotnie o tym, że to wielkie szczęście, iż poświęcił się

dobrej sprawie. A to dlatego, że osobnik podobny do niego, lecz o złych skłonnościach, byłby niesłychanie groźny dla otoczenia...

– Interesuje mnie, czy Paweł Pietrowicz jest łasy na pieniądze – powiedziałem.

– Pieniądze i korzyści materialne absolutnie go nie interesują. Przecież nawet własną sławę i pozycję zawodową roztrwonił jak pijany rozrzutnik...

– Jak to się mogło stać? To przecież silny człowiek?

– Nie, on nie jest silnym człowiekiem. To człowiek bardzo słaby, bez wewnętrznego szkieletu...

– Nie rozumiem? – powiedziałem.

– No, trudno mi to wytłumaczyć... Po prostu rozporządził własnym losem jak nieudolny, ale próżny architekt. Rozumie pan?

– Nie bardzo – odparłem ostrożnie.

Potrząsnęła z irytacją głową, rozzłoszczona na moją tępotę. No i bardzo dobrze. Nie wiedziała na szczęście, że największą cnotą przesłuchującego jest nie bystrość, tylko cierpliwa uwaga. Dopóki człowiek mówi sam, pod żadnym pozorem nie należy mu przerywać i mącić w głowie własnymi domysłami i spekulacjami.

– Wydaje mi się, że na zbudowanie każdego człowieka, podobnie jak na budowę domu, przeznaczono określone środki, które należy spożytkować rozsądnie, żeby na wszystko starczyło. Tak jest w wariancie optymalnym. A Ikonnikow wybudował wspaniałą fasadę, bramę z rzeźbionym portykiem i kolumnami. I wtedy środki się skończyły, chociaż mieszkania za tym eleganckim wejściem jeszcze nie było... Trzeba więc było zamieszkać w wykładanej marmurami bramie. Proszę sobie wyobrazić, jak człowiek czuje się, mieszkając na najwspanialszych nawet schodach!

– Ale przecież on długo nie zdawał sobie sprawy z tego,

że mieszka na schodach? Przecież myślał, że to luksusowy apartament?...

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Wiedział. Jakże mógł nie wiedzieć? I mnie nie mógł wybaczyć, że również wiem...

– Ale chyba nie zawsze tak było?

Rozłożyła bezradnie ręce:

– Ma pan rację, nie zawsze. Ale jego los był przesądzony.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Dlaczego? – powtórzyła. – Często się nad tym zastanawiałam, ale zrozumiałam dopiero po wielu latach. Chodzi o to, że Ikonnikow nosił w sobie zarodek własnej zagłady. Im więcej osiągał, tym głębiej to ziarno zapuszczało korzenie. Dopóki nie pochłonęło go całego...

Nie odezwałem się, a Jabłońska ciągnęła:

– Nie wiem, czy miał zadatki na prawdziwie genialnego wirtuoza, chociaż wydaje mi się, że miał. On w każdym razie uważał się za dojrzałego geniusza. I to go właśnie zgubiło, gdyż podstawą jego filozofii życiowej stała się dewiza: „Geniuszowi wolno wszystko”. Geniuszowi istotnie wszystko wolno, ale tylko w tych dziedzinach, w których jest geniuszem. A gdzie indziej nie wolno wszystkiego! A właściwie nie wolno nic!

– No, nie przesadzajmy z tym ascetyzmem uznanych geniuszy! – uśmiechnąłem się z lekkim powątpiewaniem.

– Nie chodzi o ascetyzm. Ale geniusz to po prostu człowiek obdarzony jakimś szczególnym talentem. Pod każdym innym względem: możliwości fizycznych, moralnych czy chociażby długości życia, jest równy wszystkim innym ludziom. Dlatego też, aby jego geniusz rozwinął się i ukształtował, musi zrezygnować z bardzo wielu rzeczy, dostępnych reszcie ludzi. W przeciwnym razie zwyczajnie nie wystarczy mu sił i czasu...

– A Polakow? – zapytałem.

– Polakow? – uśmiechnęła się. – Lowuszka jeszcze dziś, nie licząc koncertów, ćwiczy po sześć godzin dziennie. A on już od trzydziestu lat jest muzykiem o światowej sławie. Sam siebie pozbawił wielu praw, obarczając się równocześnie niezliczonymi obowiązkami...

– Czym pani tłumaczy wrogość Ikonnikowa do Polakowa?

– Nie da się tego powiedzieć w dwóch słowach. Wydaje mi się jednak, że przyczyna tkwi w krachu koncepcji życiowej Ikonnikowa.

– A co Polakow ma z tym wspólnego?

– To, że nastąpiło tu zderzenie przeciwstawnych światopoglądów. Polakow żyje i pracuje po to, aby służyć muzyce i ludziom, a Ikonnikow walczył o prawo wysługiwania się ludźmi i muzyką... A ponieważ trudno dyskutować z ogólnymi prawidłowościami życia, to Ikonnikow sprowadził cały problem do sporu z konkretną osobą.

– Czy mieli bezpośrednie starcia?

– O ile wiem, nie. Ale ich stosunki popsuły się już dawno, jeszcze w czasie wojny.

– A co stało się bezpośrednią przyczyną zerwania?

Zamyśliła się. Odniosłem przy tym wrażenie, że nie chciałaby o tym mówić. Machnęła jednak ręką i powiedziała:

– Naturalnie nie wracałabym do tego teraz, po tak wielu latach. Opowiem panu jednak tę historię w jednym jedynym celu: po to, aby pan zrozumiał, że Ikonnikow nie może mieć nic wspólnego z kradzieżą skrzypiec. Jest nie tylko człowiekiem słabym, ale również tchórzem, a zrozumiałam to, kiedy zaproponowano mu wspólny z Polakowem występ w oblężonym Leningradzie. Pamiętam, że wpadł wówczas w przerażenie. Dostał ze strachu prawdziwego ataku hysterii. Przyzwyczyił się traktować mnie jak



jakiś sprzęt domowy, więc nawet się mnie nie krępował. Ogarnęła go wówczas taka panika, że przepłakał całą noc...

– Dlaczego? – zdziwiłem się zupełnie szczerze.

Popatrzyła na mnie pobłażliwym wzrokiem.

– Miał pan wtedy chyba z pięć lat, więc trudno to sobie panu nawet wyobrazić, zrozumieć, czym był Leningrad zimą roku czterdziestego trzeciego.

– I cóż Ikonnikow powiedział?

– Mnie? Odłożył słuchawkę na widełki i powiedział: „To już koniec! Oni chcą mnie zamordować”.

– Odmówił wyjazdu?

– Nie, zgodził się. Ale przez całą noc miotał się po mieszkaniu, płakał i krzyczał. „Ja nie umiem pływać!... Co dziesiąty samochód na jeziorze wpada pod lód!” – darł się histerycznie, kiedy próbowałam go uspokoić. Nad ranem dostał gorączki...

– A Polaków?

– Lowuszka pojechał sam.

– Nie kłócili się przed odjazdem?

Jabłońska roześmiała się, ale zobaczyłem w jej oczach łzy.

– Lowuszka to duży dzieciak. Przed odjazdem biegał po całej Moskwie i wreszcie za jakieś zupełnie obłądne pieniądze kupił Pawłowi sulfidynę, której wtedy nigdzie nie można było zdobyć...

Odwróciła się, wyjęła z torebki chusteczkę i musnęła nią oczy szybkim, prawie niezauważalnym ruchem.

– Z Lowuszką pojechał nasz wspólny znajomy, organizator koncertów Mark Salomonowicz Pricker. Opowiedział mi potem, że przed zjazdem na lód Lowa poprosił, aby zatrzymać samochód i napompować zapasową oponę...

– Dętkę?

– No tak, dętkę. Zresztą nie wiem, jak się dokładnie nazywa to, co zakłada się na koło. Wyjął dwie struny basowe, przywiązał do dętki futerał ze stradivariusem i włożył ten pakunek do skrzyni ciężarówki, jadącej za ich emką. „Kto wie, co się na takiej drodze może zdarzyć – powiedział do Prickera. – A tak będę spokojny o instrument. Ktoś go na pewno wyłowi...”

Już nie usiłowała ukrywać obficie płynących łez, tylko próbowała się uśmiechnąć, przepraszająco i nieśmiało, jakby znowu miała dwadzieścia lat.

– No i widzi pan, co z człowiekiem może zrobić pamięć – powiedziała. – A ja myślałam, że to wszystko już dawno zniknęło, umarło i zaschło...

Zamilkła na chwilę i dodała:

– Wyboru w życiu dokonuje się tylko raz. Bardzo też często popełniamy błąd, gdyż istnieją tylko dwa rozwiązania: „tak” lub „nie”. Trzeciego wyjścia nie ma...

## Rozdział dziewiąty

### Gorzki dym strachu

Wiosną roku 1667 do Cremony zjechała wspaniała kareta zaprzężona w czwórkę białych koni. Na lakierowanych drzwiczkach karety pysznił się herb – lord Canning przybył do mistrza Amatego po instrumenty przeznaczone dla Karola II. Wiolonczela, altówka i dwoje skrzypiec były już przygotowane. Lord Canning, nie ukrywając, że jest jedynie wykonawcą cudzej woli, a sam jest przeciwny temu głupiemu pomysłowi, ustawił na stole długi szereg równiutkich słupków złotych suwerenów, wręczył Amatemu dziękczynny reskrypt królewski, odrzucił zaproszenie na

uczczę i odjechał na południe, do Genui, gdzie czekał już na niego okręt – czterdziestodziałowa fregata „Empire”. Król bowiem nie chciał narażać wspaniałej kolekcji instrumentów wielkiego mistrza na niebezpieczeństwo czyhające na drogach Europy, wstrząsanej wojnami, zamieszkami i buntami.

Amati i Stradivarius stali przy oknie, patrząc, jak opada na drogę biały kurz, wzniecony wysokimi kołami karety.

Halabardnicy przy bramie leniwie unieśli drzewce kopii, koła zadudniły na drewnianym moście i wspaniały ekwipaż zniknął z oczu.

Amati powiedział:

– No cóż, synku, ty też powinieneś już zbierać się do drogi...

– Wypędzasz mnie, nauczycielu? – zapytał ze zdziwieniem Antonio.

Amati zaśmiał się smutno i pokręcił głową.

– Kiedy byłeś ślepy, prowadziłem cię przez krainę nieznanego. Teraz przejrzałeś i moje plecy zasłaniają ci słońce...

Stradivarius chciał zaproponować, ale Amati uniósł rękę.

– Nie przerywaj mi, synku, i nie kłóć się ze mną. Te monety – wskazał rząd złotych słupków – umożliwią ci kupno domu i wyposażenie pracowni. Powinieneś się ożenić, mieć towarzyszkę życia i dobre dzieci. Geniusz ma zbyt mało czasu, aby wędrować po świecie w poszukiwaniu miłości, albowiem swymi rękami tworzy miłość dla wszystkich.

– Ale przecież mnie nie należy się żadna zapłata – powiedział zmieszany Stradivarius. – Twoja nauka, panie, jest zapłatą za moją pracę.

Amati niecierpliwie machnął ręką.

– Mistrzowie nie mogą regulować swoich rachunków pieniędzmi. Pieniądze nic nie znaczą w porównaniu z tym,

co dają sobie nawzajem. Rozkwitłeś wspaniałym zielonym konarem na usychającym drzewie mego życia i nie do nas należy ocena, kto zaciągnął większy dług...

Stradivarius przyklęknął na jedno kolano i ucałował twarde, spracowaną dłoń Amatego.

– Dziękuję ci, nauczycielu, za wszystko...

– Przestań – powiedział gniewnie Niccolo. – Nie zmuszaj mnie do wypowiedania słów, które radują naszą duszę i zawstydzają, gdy tylko głośno się je wypowie...

W milczeniu spożyli odświętny posiłek i choć Stradivarius po opuszczeniu Amatego nigdzie z Cremony wyjeżdżać nie zamierzał, obaj byli smutni, jak ludzie rozstający się na długo, a może na zawsze. Kiedy uczta dobiegała już końca, Amati powiedział:

– Przez całe życie lękałem się starości, gdyż jest ona rozciągniętym na dziesięciolecia, nieustannym pożegnaniem. Człowiek wciąż z kimś lub z czymś się rozstaje. Odeszli rodzice, powymierali przyjaciele, żenią się i wyjeżdżają dzieci. Wychodzą na ludzi i porzucają uczniowie, zdechł pies, w sadzie trzeba było wykopać uschnięte jabłonie, które sam sadziłem. Siedemdziesiąt lat spędzonych na jednym miejscu to okropnie długo! A jednak te lata przemknęły jak błyskawica!

– A skrzypce? – zapytał Antonio.

Amati rzucił szybkie spojrzenie spod ciężkich, nabrzmiałych powiek.

– Skrzypce? Skrzypce zostają. Niedawno pojąłem z przerażeniem, że nie pamiętam twarzy matki. Rozumiesz? Zapomniałem twarz matki! Tak wiele lat minęło od jej śmierci, że jej twarz zatarła mi się w pamięci. A skrzypce, wszystkie swoje skrzypce, pamiętam! Pamiętam ich głosy, pamiętam ich wygląd, a ręce do dziś czują ich ciepły dotyk. Pamiętam je jak ojciec, Kocham je czule i boleśnie, jak stary mąż kocha młodą i piękną żonę, która z pewnością

cią go przeżyje... I kiedy on już zapadnie się w nicość, ona odda komuś innemu swoje ciepło, ale to nie wywołuje goryczy i smutku, lecz nieśmiałą nadzieję, że również wówczas będzie szczęśliwa i piękna... A ja już jestem bardzo stary...

Kiedy rano wszedłem do swego gabinetu, Ławrowa przesłuchiwała już w nim Obolnikowa. W areszcie zabrano mu pasek od spodni i sznurowadła. Teraz wciąż podciągał spodnie i wstając z krzesła człapał butami, przez co wyglądał jeszcze żałośniej.

– To znaczy, że kategorycznie zaprzeczacie zeznaniom żony, która twierdzi, że spostrzegła, jak wychodziliście z mieszkania Polakowa? – zapytała Ławrowa.

Obolnikow przycisnął ręce do serca i gwałtownie pokiwał głową.

– Zaprzeczam, zaprzeczam, obywatelko naczelnik. Nic takiego nie było.

– I na schodach koło drzwi Polakowa też was nie mogła widzieć?

– Nie mogła, nie mogła – zgodził się skwapliwie Obolnikow. – Ja, obywatelko naczelnik, nie mam zwyczaju szlajać się nocami pod drzwiami cudzych mieszkań.

Bardzo mnie rozśmieszyło, że Obolnikow zwraca się do dziewczyny per obywatelko naczelnik, i Ławrowa to zauważyła. Powiedziała gniewnie:

– Już po raz trzeci wam powtarzam, żebyście się tak do mnie nie zwracali. Mówcie mi po nazwisku i skończcie z tą idiotyczną „obywatelką naczelnik”! A poza tym pytam, dlaczego zaprzeczacie zeznaniom swojej własnej żony!

– A jak mogę nie zaprzeczać? – zapytał szybko Obolnikow. – To bardzo niedobry człowiek, chce mnie wsadzić do ciupy.

– Teraz wszystko jest jasne – powiedziała spokojnie Ławrowa. – Ona jest złym człowiekiem, a wy dobrym. I właśnie dlatego chce was wsadzić do więzienia?

– Dlatego, dlatego – zgodził się Obolnikow z ożywieniem. Zrozumiałem, że przyszła mu do głowy jakaś dobra myśl. – Chce się mnie wyzbyć przez niemoralność...

– Przez co? – zapytała zdziwiona Ławrowa.

– Ma fagasa, kochanka, znaczy...

– Kto? – nie zrozumiała Ławrowa.

– Moja ukochana małżonka! A niby kto! Mnie do więzienia, a jego do domu, w moją jeszcze nie ostygłą pościel... – Zamilkł wyczekująco, patrząc na nas, jak ocenimy jego nowy pomysł.

A my milczeliśmy. Ja tam już niejednego takiego typa w życiu widziałem, Ławrowa natomiast była jeszcze z nimi nie obyta, więc zaczęła się mocno denerwować. Na jej twarzy wypisane było takie obrzydzenie i męka, jakby ktoś zmusił ją do zaduszenia gołymi rękami parszywego szczura.

– To... to... – ze zdenerwowania dziewczyna zaczęła się jąkać, więc zrozumiałem, że muszę się wtrącić.

– Chwileczkę, inspektor Ławrowa – powstrzymałem ją. – Patrzą ja sobie na was, Obolnikow, i myślę, że to niedobrze, kiedy prawo całkowicie wyklucza możliwość kar cielesnych. Trzeba by was batożyć i siec, nie bić, tylko właśnie siec słonymi różgami. Jedynie strach przed bólem może was na krótko powstrzymać przed draństwem...

Obolnikow poderwał się, szarpnął za kołnierz koszuli, szarpnął z umiarem, żeby nie oderwać guzika, bo w celi jest przecież dosyć chłodno, i wykrzyknął histerycznie:

– Bijcie! Ale moje prośby dojdą wreszcie do władz sprawiedliwych! Nie wyjdą wam na zdrowie wasze groźby! Jeszcze wam to wasze katowanie bokiem wyjdzie!...

– Siadźcie, Obolnikow – powiedziałem cicho. – Nie podniecajcie się. Oszczędzajcie siły na skargi i donosy. Napiszcie w nich, a to będzie czysta prawda, że z przyjemnością własnoręcznie dałbym wam w skórę. I tłukłbym dopóty, dopóki w waszych wrzaskach nie usłyszałbym głosu szczerzej skruchy. Bo naprawdę nie można być takim zakamieniałym draniem.

– I za obrazę mojej godności też odpowiecie! – wrzasnął Obolnikow.

Zadzwoił telefon. Wzięłem słuchawkę. Dyżurny informował mnie o nowym fakcie. Obolnikow coś mówił, wrzeszczał, wymachiwał rękami, ale ja zupełnie go nie słyszałem, jakbym ogłuchł od wybuchu pocisku.

W jednym z warsztatów radiowych znaleziono magnetofon, skradziony z mieszkania Polakowa...

Na szklanych drzwiach warsztatu wisiała tabliczka: „Remanent”. Weszliśmy do środka i zobaczyłem, jak inspektor z Wydziału Ścigania Przestępstw Gospodarczych Sebastianow, siedząc wierzchem na krześle, gawędził sobie z młodym człowiekiem z za lady.

Młodzieniec, kierownik warsztatu lub może tylko przyjmujący zamówienia, uśmiechał się. Sebastianow też był pogodny. Brakowało im tylko butelki i zakąski, żeby obrazek był pełny. Butelki jednak nie było, a zamiast niej stał na ladzie przenośny magnetofon kasetowy.

Na mój widok Sebastianow powiedział:

– A, nareszcie nasz szef się zjawił!

Przywitałem się i usiadłem w fotelu dla klientów.

– Towarzyszu naczelniku, postanowiłem się was porażdzić. Sprawa niby drobna, ale jednak...

Nie byłem dla niego żadnym szefem, bo pracowaliśmy w różnych wydziałach, ale skoro tak się do mnie zwracał,

to widocznie miał w tym jakiś cel. Postanowiłem więc podtrzymywać jego grę.

– Stwierdziłem, że towarzysz Komow przyjął do naprawy magnetofonik, ale nie wypisał kwitu...

– Towarzyszu inspektorze – przerwał mu Komow – po co robić sprawę z byle głupstwa! Co to za kryminał? Wpadł kumpel, żeby mu zmienić bezpiecznik. To co, będę brał od niego osiem kopiejek? Jeśli to takie ważne, to sam te kopiejki wpłacę do kasy i od ręki wypełnię kwit. Gra?

Sebastianow powiedział pouczająco:

– Kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi. Zwłaszcza wtedy, kiedy pieniądze są służbowe. Jeden weźmie osiem kopiejek, drugi osiem rubli, a trzeci...

– Co trzeci? – zapytał Komow. – Przecież poza tym philipsem nie znaleźliście niczego. Po co więc uogólniać? Mówmy więc o ośmiu kopiejkach. Chociaż, prawdę mówiąc, o ośmiu kopiejkach to nawet wstyd mówić...

– No i widzicie, Komow, jaka z was szeroka dusza. Nie to, co my, skrobogarnki – roześmiał się Sebastianow. – Tylko jak ja, techniczny ciemniak, mam sprawdzić, ile to naprawdę jest warte: osiem kopiejek czy osiem rubli?

– Jak nie wiecie, to nie oczerniajcie ludzi – powiedział poważnie Komow.

Sebastianow patrzył na niego zmrużonymi oczami, a ja doskonale zdawałem sobie sprawę, jak ten mój „podwładny” dobrze się bawi. Powiedział do mnie:

– Stanisławie Pawłowiczu, pan z pewnością zna się na tej maszynerii. Proszę łaskawie spojrzeć, czy tu rzeczywiście chodzi tylko o przepalony bezpiecznik?

Wzrok Komowa przeskoczył na moją twarz i poczułem, jak to spojrzenie wwierca się we mnie, pyta, denerwuje się, boi. Kiedy tak patrzył na mnie, w tej króciutkiej chwili kapitan Sebastianow mrugnął do mnie. Wzięłem do ręki magnetofon, malutki, elegancki, biały. Do tylnej ścianki

była przymocowana tabliczka firmowa z wytłoczonym numerem HB-182-974. To był niewątpliwie magnetofon Polakowa. Pierwszy ukradziony przedmiot, na jaki się natknęliśmy.

Potrzymałem chwilę magnetofon, postawiłem go na ladzie, podsunąłem Komowowi.

– Otwórzcie, zobaczmy...

Cały dowcip polegał na tym, że z równym skutkiem mógłbym zaglądać do wnętrza synchrofazotronu. W ogóle przecież nie znam się na radiotechnice. Ale Sebastianow musiał mieć jakiś cel, proponując mi gapienie się w absolutnie dla mnie niezrozumiałą gąszcz przewodów, oporników i kondensatorów... Kiedy więc pokrywka ze szczękiem odskoczyła, przypomniałem sobie. Przypomniałem sobie! Przecież to ja sam sporządzałem opis ukradzionych przedmiotów...

Zajrzałem do wnętrza magnetofonu, położyłem na niego dłoń i zapytałem Komowa:

– No więc jak, tylko opornik wysiadł?

– Nie wiem – odpowiedział nerwowo. – Kumpel mówił tylko o oporniku. Sam jeszcze nie zaglądałem.

– Założę się, że w tym magnetofonie spalił się silnik! – powiedziałem pewnym tonem. – A pan zamierzał go przewinąć.

– Niczego nie zamierzałem przewijać – burknął Komow. – Kumpel prosił, żebym się zorientował, co tu wysiadło, więc zostawiłem to sobie na wieczór...

– To znaczy, że kumpel wpadnie wieczorem? – zapytałem.

– Może dziś wieczorem, a może jutro rano. Nie pali się.

– A jak się kumpel nazywa? – zapytał milcząco dotychczas Sebastianow. – Gdzie kumpel mieszka? Czym się zajmuje? Jednym słowem, podstawowe dane...

– Nie wiem – palnął Komow.

– Ładne rzeczy! – zdziwił się Sebastianow. – Nie wiecie, jak się nazywa kumpel?

– Nie, wiem, jak ma na imię. Kola. A więcej nic nie wiem.

– Tu niedobrze! – powiedział ze współczuciem Sebastianow. – Kumpel Kola podrzucił wam paskudną robotkę...

– No, dobrze już, dobrze! – wybuchnął Komow. – Złapaliście mnie na lewiznie i w porządku! Myślałby kto, że państwo od tej partaniny zbiednieje! Piszcie protokół i po ptokach...

– Co to, to nie. Nam się nie spieszy – powiedział leniwie Sebastianow. – Zaczęliśmy od ośmiu kopiejek, teraz cena się podniosła, a może jeszcze znajdziemy coś ciekawszego. Opowiedzcie nam coś więcej o swoim kumplu. Skąd go znacie, jak i gdzie poznaliście, wygląd opiszcie...

– Żartuje pan, inspektorze? Po co panu to wszystko? – wykrzyknął rozwścieczony Komow.

– To w ogóle znany żartowniś – powiedziałem. – Specjalnie przyjechał tu z Moskwy, żeby sobie pożartować. Ale ja nie żartuję i chcę się dowiedzieć wszystkiego o tym pańskim kumplu.

– Tak? Tak? – zapienił się Komow. – Nic wam nie powiem! Możecie mnie zwolnić ze stanowiska, ukarać mandatem za lewą robotę i nic więcej! Wcale się was nie boję...

– To znaczy, że wydziału gospodarczego się nie boicie – zapytałem. – A co powiecie o wydziale kryminalnym? Za ukrywanie kradzionych przedmiotów grozi coś więcej niż mandat...

Pokazałem mu swoją czerwoną książeczkę.

– No więc jak, dla wydziału kryminalnego przypomnicie sobie coś więcej o kumplu, który oddał wam do naprawy kradziony magnetofon, czy nie?

Komow klapnął na krzesło, ogłupiałym wzrokiem patrząc kolejno na mnie i na Sebastianowa, który, kręcąc ze współczuciem głową, powiedział:

– No i tak wyglądają te ruble i kopiejki. U was termin naprawy wynosi pewnie dwa tygodnie, a kumplowi bez kwitu obiecaliście, jak znam życie, zrobić samograja na jutro?

– No więc jak, Komow, przypomnicie sobie? – zapytałem. – Zamierzaliście przecież nawet za kumpla zapłacić, więc chyba coś o nim wiecie?

Komow przełknął ślinę, bo widocznie zaschło mu w ustach.

– Proponuję wam, Komow, złożyć oficjalne zeznanie na temat okoliczności, w jakich ten magnetofon znalazł się u was – powiedziałem. – Pamiętajcie, że będzie to oficjalne zeznanie do protokołu, a w związku z tym uprzedzam was o odpowiedzialności karnej za złożenie fałszywych zeznań!

Komow zbladł i wymamrotał:

– Ale ja... Ale ja... gdybym wiedział... przecież ani mi się to śniło... Chciałem zarobić parę groszy, fakt... No, myślę sobie, wpadłem na lewiźnie... Nie udało się, trudno... Ale kradziony? Skarz mnie Bóg, że nie wiedziałem...

– Ale teraz już wiecie – uspokoił go Sebastianow. – I, jak to się mówi, z czystym sumieniem na wolność...

Komow rzeczywiście się uspokoił, bo zerknął niechętnie na Sebastianowa.

– Proszę, tylko bez takich hasel! Jeszcze, dzięki Bogu, nie jestem w obozie i wcale tam się dostać nie zamierzam...

– No i bardzo dobrze! – ucieszył się Sebastianow. – Jak więc było z tym magnetofonem naprawdę?...

– Wczoraj przyniosło go dwóch gówniarzy, może siedemnastoletnich. Kudłaci, obszarpani, jednym słowem, hipy. Obejrzałem samograja i mówię, że trzeba przewinać

silnik, odesłać do większego zakładu i za jakieś dwa tygodnie będzie jak nowy. Ale im widocznie bardzo się spieszyło, więc przyczepili się do mnie, żeby szybciej. No, to ja to, owo, słowem, postanowiłem zostać dłużej w robocie i przewinać silniczek. Ugadaliśmy się, że to będzie kosztować dychę. Jutro powinni przyjść. Skąd miałem wiedzieć, że oni go rąbnęli?

– Kiedy te hipy mają przyjść? – zapytał Sebastianow.

– Umówiliśmy się na jutro rano.

Popatrzyłem na Sebastianowa i w jego oczach wyczytałem to samo pytanie, które i mnie dręczyło: co teraz robić z Komowem? Zostawiać go tu nie było można.

– Och, Komow, Komow – westchnął ciężko Sebastianow.

– Co, Komow? – zapytał chłopak ponuro.

– A może znowu z nami żartujecie? Co? – zerknął na niego Sebastianow.

– A niby po co miałbym teraz kłamać? – zapytał ze złością Komow.

– To nie jest pytanie – powiedziałem. – Kłamstwo w ogóle jest brzydkie i, na swój sposób, wręcz szkodliwe dla kłamcy. A przecież zdarza się, że ludzie czasem kłamią. Zdarza się...

– Jak to się mówi, ponura spuścizna w naszej świadomości – dorzucił Sebastianow. – Osobiście zetknąłem się z takim przeżytkiem jakieś pół godziny temu.

– Przecież ja nie wiedziałem... – wymamrotał bezradnie Komow.

– Czegoście nie wiedzieli? – zapytał ze stoickim spokojem Sebastianow. – Że nie należy kłamać? Tego uczą już w przedszkolach.

Komow nie odezwał się.

– Z kim mieszkacie? – zapytałem go.

– Sam. Bo co?

– Nic... Dzisiaj towarzysz Sebastianow będzie was dublował aż do zamknięcia warsztatu.

Komow wzruszył ramionami.

– A co mnie to przeszkadza? Może siedzieć do końca roku.

– Do końca roku jest jeszcze daleko. Ale po zamknięciu firmy proszę stąd nie wychodzić.

– Co proszę? – zdziwił się Komow.

– A tak. Będziecie musieli tu przenocować i żeby wam się nie nudziło, towarzysz Sebastianow dotrzyma wam towarzystwa. Potem zjawi się tu jeszcze dwóch innych naszych towarzyszy. Jasne?

– Jasne – wycedził przez zęby Komow. – To się chyba nazywa areszt, co?

– Nie. To się nazywa kocioł – powiedział półgłosem Sebastianow.

Otworzyłem drzwi i usłyszałem, jak Obolnikow mówi do Ławrowej:

– No jasne, kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie...

Ławrowa odparła spokojnie:

– No, oczywiście. Wy też w mieszkaniu Polakowa czegoś szukaliście. Pewnie samotności...

Obolnikow machnął ręką.

– A co tam, teraz to już na pewno nie dowiodę swojej prawdy...

Ławrowa patrząc na niego z zadumą powiedziała:

– Słuchajcie, Obolnikow, a może wy macie, jak to się mówi, nie wszystkich w domu?... Przecież taka linia obrony na pewno zaprowadzi was na długie lata za kraty. Usiłujecie zaprzeczać rzeczom absolutnie oczywistym...

Wszedł wezwany uprzednio konwojent i wyprowadził Obolnikowa. Ławrowa powiedziała:

– Jutro się przyzna.

Uśmiechnąłem się:

– Skąd taki optymistyczny wniosek?

– To tchórz. Wystarczyła noc w areszcie, żeby już dzisiaj wypytywał, co z nim będzie, jeśli się okaże, że niby był w mieszkaniu, ale niczego nie kradł. Zostawmy go na razie. Co z magnetofonem?

– Na razie nijak. Zorganizowaliśmy kocioł.

Posiedzieliśmy chwilę w milczeniu, a potem Ławrowa zapytała:

– Wie pan, co mnie przeraża w tej sprawie?

– No?

– Nie mamy najmniejszego pojęcia o tym, co się właściwie stało. Natykając się na jakieś fakty, przedmioty lub ludzi, obmacujemy ich jak ślepi i usiłujemy dociec, czy mają coś ze sprawą wspólnego, czy też przypadkowo zaplątali się nam pod nogi.

– A Ikonnikow?

– Co Ikonnikow? – zapytała prawie ze złością Ławrowa.

– Mówi pan o liście? A może nas ktoś na niego napuszcza?

– Poza listem jest telefon Fiłonowej, jest wieloletnia, głęboka nienawiść do Polakowa, jest wreszcie...

Chciałem jej opowiedzieć, jak zmija wyskakiwała z ręki Ikonnikowa, opowiedzieć o paralizującym przerażeniu i bezradności, która mnie wówczas ogarnęła. Rozmyśliłem się jednak. To przecież nie był materialny dowód, tylko wrażenie.

– Co wreszcie? – zapytała Lena.

– Głupstwo. Coś mi się po prostu wydało. Jeśli list nie jest fałszywą denuncjacją, to jestem święcie przekonany, że to sprawa ikonnikowskiego kompleksu Herostrate-

sa. A jeśli to lipa, to z pewnością już rozmawialiśmy ze złodziejem. Rozmawialiśmy i puściliśmy do domu...

– Dlaczego?

– Autor listu wie, że natknęliśmy się w śledztwie na Ikonnikowa. W liście nie ma żadnych wskazówek co do osoby Ikonnikowa. Napisany jest tak, jakby rozumiało się samo przez się, że Ikonnikow jest nam doskonale znany. A skąd autor listu mógł o tym wiedzieć? Gdyby nie wiedział, to przynajmniej w paru słowach powiedziałby, kim jest Ikonnikow i co ma wspólnego z Polakowem...

– Ale dlaczego pan sądzi, że już rozmawialiśmy ze złodziejem?

– Byłbym tego pewien tylko wtedy, kiedy list byłby lipny. Przeszkadzać w śledztwie i zawracać głowę może nam tylko złodziej, a gdyby to on właśnie podrzucił nam list, to jest znakomicie zorientowany we wszystkich naszych sprawach.

– List napisała kobieta – przypomniała Ławrowa.

– Tak, jeśli list zawiera prawdę – roześmiałem się. – Ale jeżeli nie, to po pierwsze, kobiety również czasami kradną, a po drugie, nasz korespondent nie przysłał swojej fotografii, lecz list, więc z równym powodzeniem może być kobietą lub mężczyzną.

– A co pan sam o tym sądzi: należy wierzyć temu listowi czy nie?

Długo się zastanawiałem, aż wreszcie rozłożyłem bezradnie ręce.

– Nie wiem. Zupełnie nie wiem. Ale list sprawia wrażenie prawdziwego... Dzisiaj w nocy długo nie mogłem zasnąć, więc zastanawiałem się nad tą przekłętą sprawą. I nieoczekiwanie przyszła mi do głowy zabawna myśl...

Ławrowa ironicznie zmrużyła oczy.

– Może się pani śmiać, ale jeśli moje przypuszczenie jest słuszne, to ja się będę śmiał ostatni – powiedziałem. –

Domyśliłem się, gdzie Ikonnikow może trzymać skrzypce, jeśli tylko rzeczywiście je ukradł.

– Gdzież to? – z udanym zainteresowaniem zapytała Ławrowa.

– Trzyma je pod klatką z koralówką...

Ławrowa aż gwizdnęła z podziwu.

– Brawo, towarzyszu starszy inspektorze. To wspaniała konstrukcja myślowa, ale ma jeden dość podstawowy brak...

– Jaki? – zapytałem.

– Zawiera zbyt wiele różnych „jeżeli”...

Kiedy już zabierałem się do wyjścia, Ławrowa powiedziała:

– Szukał pana jakiś dziennikarz z popołudniówki. Nie wiedziałam, czy jeszcze się pan pokaże, więc podałam mu pański telefon domowy...

– W porządku. Do widzenia.

Winda naturalnie była zepsuta. Szedłem wolno, licząc kolejne stopnie. Do mojego trzeciego piętra będzie ich sześćdziesiąt dwa. W drodze do domu kupiłem mleko i bułkę. Zaraz połknę ten prowiant i natychmiast walnę się spać. W ten sposób do pobudki będę miał całe dziesięć godzin snu i odeśpię wszystkie zarwane ostatnio noce. Zamek się zacinał, więc musiałem trochę się pogimnastykować przy jego otwieraniu. Zamek zacinał się już od roku, ale nie miałem czasu wezwać ślusarza, a sąsiadom zepsuty zamek nie przeszkadzał.

Wszedłem do mieszkania. Sąsiedzi wyszli już z kuchni, w przedpokoju też nikogo nie było widać. Drzwi do mego pokoju były uchylone. O swój dobytek się nie boję, bo dokumentów nigdy w domu nie trzymam, a złodziej się u mnie nie pożywi. Pchnąłem drzwi i wszedłem do pokoju.

Na tle okna, wyraźnie podświetlona słabym blaskiem



latarni ulicznych, ostro, niczym w teatrze cieni, rysowała się sylwetka człowieka.

Nawet nie zdążyłem się przestraszyć – widocznie odruchy leżą płycej niż myśli – tylko błyskawicznie przesunąłem się o krok w lewo, w ciemność, wyszarpnąłem z kabury pod pachą pistolet, a drugą ręką wymacałem wyłącznik. Nie zdążyłem go nacisnąć, kiedy w ciemności rozległ się szeleszczący, cichy śmiech.

Wytarłem dłonią twarz pokrytą kropelkami potu i powiedziałem z udawanym spokojem:

– Czemu siedzi pan po ciemku? Skoro już zjawił się pan bez pytania, można było z równym powodzeniem zapalić światło...

– Nie warto bez potrzeby marnować elektryczności – odpowiedziała sylwetka. – Tym bardziej że już od dawna nie boję się ciemności.

– Przestraszył mnie pan – powiedziałem. – Znowu mnie pan przestraszył. Lubi mnie pan straszyć?

Ikonnikow zeskoczył z parapetu, włożył ręce do kieszeni i popatrzył na mnie uważnie.

– Nie. Straszenie pana nie jest zabawne, a poza tym do niczego mi nie potrzebne.

– Nie wydaje się panu, że straszenie mnie nie jest zajęciem zbyt bezpiecznym?

– A co w tym niebezpiecznego? – zdziwił się Ikonnikow.

– Niedługo dowiodę, że to pan zwinął skrzypce Polakowa...

Ikonnikow wyszczerzył długie, pożółkłe od nikotyny zęby.

– Niczego pan nie dowiedzie – powiedział.

– To się jeszcze okaże – powiedziałem. – Jak pan do mnie trafił? Skąd pan zdobył mój adres?

Mój „gość” stanął niemal na baczność, przyjmując postawę bojową.

– To oczywiście było trochę trudniejsze, niż zawracanie głowy tej idiotce Fiłonowej. Ale ja, gdyby przyszło mi zajmować się dochodzeniami, byłbym o wiele lepszym detektywem niż pan...

Roześmiałem się szczerze.

– No, ani przez chwilę w to nie wątpię! Jednak pragnąłbym uzyskać odpowiedź na moje pytanie.

Ikonnikow znowu usiadł na parapecie, wyjął z kieszeni kapciuch, nasypał tytoniu na bibułkę, błyskawicznie zwinął długiego skręta, zapalił i dopiero wtedy powiedział leniwie:

– Pozwolę sobie na wstępie zauważyć, że nie muszę panu odpowiadać, skoro jednak tak to pana gnębi, zaspokoję pańską ciekawość. Przecież natychmiast domyśliłem się, co za agitator odwiedził Fiłonową, kiedy tylko opowiedziała mi o panu. I ponieważ tak się pan do mnie przyssał, pozwoliłem umożliwić panu rozgrywkę ze mną na własnym boisku. U mnie czuł się pan trochę nieswojo. – Ikonnikow roześmiał się ochryple.

– Tak, porządnie mnie pan tym swoim gadem nastraszył – przytaknąłem beznamiętnie.

– Żartowałem – zauważył pobłaźliwie Ikonnikow. – Zapragnąłem porozmawiać z panem, a w biurze adresowym pański adres był zastrzeżony. Wobec tego zadzwoniłem do pana biura i wtedy jakaś miła dziewczyna, kiedy tylko dowiedziała się, że dzwonię z gazety, natychmiast dała mi pański domowy telefon. Dalej sprawa była prosta. Drzwi do pańskiego pokoju były otwarte, więc wszedłem. A tak na marginesie, radzę panu w przyszłości udawać dziennikarza, bo mnóstwo ludzi żywi dla prasy niezwykły, wręcz idiotyczny szacunek.

Zdjąłem płaszcz, porządnie powiesiłem go na wieszaku, wyjąłem z kieszeni bułkę i mleko, położyłem je na stole, przyglądałem przed lustrem włosy, siadłem przy biurku,

przeprosiłem, zdjąłem słuchawkę i wykręciłem numer.

– Tu oficer dyżurny – usłyszałem dziarski głos Zarodowa.

– Melduje się inspektor Tichonow, towarzyszu pułkowniku – powiedziałem. – Proszę wpisać mój meldunek do księgi raportów...

– To ty, Stasiu? – zdziwił się Zarodow.

– Tak, tak. Proszę notować. Dzisiaj o godzinie 19.20, wróciwszy z pracy, zastałem u siebie w domu obywatela Ikonnikowa, figurującego w charakterze świadka w sprawie kradzieży dokonanej w mieszkaniu Polakowa. Obecnie Ikonnikow znajduje się u mnie. Ponieważ fakt spotkania funkcjonariusza w jego mieszkaniu ze świadkiem w sprawie może mieć dwuznaczny wydźwięk moralny, proszę rozważyć możliwość odsunięcia mnie od tej sprawy. To wszystko. Oficjalny raport na piśmie złożę jutro...

Zarodow zapytał:

– Stasiu, mówiłeś to poważnie?

– Absolutnie.

– Może wysłać ci kogoś?

– W żadnym razie. Do widzenia – i odłożyłem słuchawkę.

Ikonnikow obserwował mnie spokojnie. Zdawało się zupełnie do niego nie docierać, że rozmowa telefoniczna dotyczy go osobiście. Ale warga leciutko mu dygotała.

– A czy pan się nie lęka, że pana zabiję? – zapytał w pewnej chwili.

– No, nie przesadzajmy! – roześmiałem się. – Przecież chyba nie uważa mnie pan za idiotę.

– Nie, wcale pana nie uważam za idiotę. Po prostu jesteśmy bardzo odmiennymi ludźmi, bardzo się od siebie różnimy.

– Ma pan rację – zgodziłem się. – Powiedziałbym nawet, że nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– I tu pan się myli – uśmiechnął się Ikonnikow. – Wszyscy ludzie są w jakiś sposób ze sobą związani, mają jakieś cechy wspólne. Tyle tylko, że wszyscy jesteśmy rozbici na grupy, różne co do swoich zadań i form oddziaływania. Weźmy, na przykład, mecz pięściarski i występ orkiestry symfonicznej.

– Możliwe – powiedziałem obojętnie. – Chce pan mleka?

– Chcę – powiedział z ożywieniem. – Nie wiadomo czemu zawsze jestem głodny.

Wyjąłem z kredensu dwie szklanki, nalałem do nich mleka i rozłamałem bułkę.

– Proszę.

– Dziękuję. No i widzi pan, jak to wszystko na świecie się powtarza... Dziś podzieliliśmy się chlebem, a jutro... – Ikonnikow ciężko westchnął.

– Nie widzę w tym żadnej symboliki. Po prostu jestem zmęczony i nie chce mi się sięgać po nóż.

– Właśnie o to chodzi – mruknął ponuro. – Historia nie kształtowała się wedle symboli, lecz, na odwrót, dostarczała precedensów.

Przełknąłem kawałek bułki i odpowiedziałem:

– Najlepszym narzędziem do oceny precedensów historycznych jest zdrowy rozsądek...

– Niech pan da spokój! – Ikonnikow machnął ręką. – Zdrowy rozsądek niemal nigdy nie jest właściwym kryterium, gdyż stanowi niezborną mieszaninę zakumulowanej mądrości świata, potocznych przesądów i groszowych zabobonów...

– A propos, zgodnie z wynikami śledztwa mógłbym już dawno pana aresztować. I nie robię tego wyłącznie ze zdrowego rozsądku.

– To byłaby samowola. Etymologia tego słowa wywodzi się z woli, nie zaś rozumu. A wola bez rozumu nigdy nie

proceedzi do prawdy. Zresztą i tak popełnił pan dość błędów...

Dopiłem mleko, rozparłem się w krzesło i popatrzyłem mu w twarz, nienaturalnie bladą, złą, pobrużdżoną jakimś nieznanym cierpieniem. W jego brodzie zaplątały się okruszyny bułki i z powodu tych okruszyn nie miał wyglądu natchnionego apostoła, tylko raczej jakiegoś włóczęgi.

– No cóż – powiedziałem – błędy też mają dodatnie znaczenie.

– Ciekaw jestem jakie?

– Szukam prawdy. I tym bliżej do niej dochodzę, im więcej błędów odrzucam.

– To zbyt długa i zbyt okrężna droga.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam innej.

Ikonnikow pobębnił końcami palców po blacie biurka i zauważył:

– Tak, chyba tak jest w istocie. Nikt nie może dać więcej, niż sam posiada. – I nagle bez żadnej pauzy dodał: – Jakoś życie zmęczyło mnie ponad wszelką miarę...

Nie odezwałem się. Ikonnikow podparł brodę pięściami i przyjrzał mi się z takim zainteresowaniem, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu.

– Nie przychodziło panu czasem do głowy, że stał się pan teraz moim najbardziej zaciekle wrogiem?

– Nie, nie przychodziło – powiedziałem ostrożnie.

– Czyżby pan nie rozumiał, że stara się pan odebrać mi mój jedyny dobytek, moje czyste imię? Że jeśli nie zdołam siebie obronić, to stanę się do reszty bankrutem?

Pochyliłem się w jego stronę i niemal wyskandowałem:

– Tak bardzo pan się szanuje, że odrobinę przesadza. Pozwolę sobie zapewnić, że dla milicji moskiewskiej skompromitowanie pana nie jest rzeczą najważniejszą.

Szukam skrzypiec Stradivariusa i jeśli pan nie ma nic wspólnego z ich kradzieżą, pańskiemu nie splamionemu imieniu nic nie grozi.

Ikonnikow przez dłuższą chwilę ugniatał kulki z bułki, a potem powiedział z ciężkim westchnieniem:

– To zresztą nie ma najmniejszego znaczenia. Jakoś okropnie zmęczyła mnie ludzka głupota i podłość...

Pokręciłem ze współczuciem głową.

– Niezadowolenie ze wszystkiego i wszystkich kompensuje pan sobie absolutnym samozadowoleniem.

Przesunął dłonią po twarzy i powiedział bez cienia irytacji, a nawet z pewnym serdecznym pobłażaniem:

– Jest pan jeszcze bardzo młody i dlatego nie zna pan objawów choroby „taedium vitae”.

– Nie znam – zgodziłem się. – A co to takiego?

– Wstręt do życia. I nie ma na tę chorobę lekarstwa...

Aż dziw bierze, z jaką troską i czułością traktują samych siebie okrutni i bezduszni ludzie! Może dzieje się tak z tego samego powodu, z jakiego ludzie tchórzliwi lubią straszyć innych?

Ikonnikow roztarł twarz długimi, spłaszczonymi palcami i powiedział zmęczonym głosem:

– Mój Boże, jak ja bym pragnął zacząć życie od nowa! Ale przecież i to nie miałoby sensu.

– Dlaczego? Wszystko mogłoby się przecież ułożyć inaczej...

– Nie – potrząsnął gniewnie głową. – Często mi się wydaje, że już raz żyłem i wszystko to już się kiedyś wydarzyło. Zmieniły się jedynie dekoracje, a cała akcja dramatu, wszystkie konflikty już kiedyś były...

Zamilkł na chwilę, a potem dodał z zadumą:

– Czytałem w starych księgach, że człowiek nigdy nie żyje równie szczęśliwie, jak w łonie swojej matki...

Ikonnikow wstał i dopiero teraz zwróciłem uwagę, że

przez cały czas siedział w palcie, w czarnym palcie z wyle-  
niałym pluszowym kołnierzem.

– Serdeczne dzięki za poczęstunek – powiedział. –  
Dzięki też za rozmowę. Bo ja dobra, a tym bardziej zła  
nigdy nikomu nie zapominam.

– Już pana uprzedzałem, że nie należy mnie straszyć –  
powiedziałem ze złością. – Wcale, wbrew pozorom, nie  
jestem strachliwy. Proszę też więcej tu nie przychodzić.  
Jeśli będę miał interes, sam pana znajdę.

– Jak pan uważa – powiedział Ikonnikow od proga. – To  
przed panem jest życie, nie przede mną...

## Rozdział dziesiąty

### Szukaj złodzieja

– Antonio Stradivari, synu Alessandra, czy pragniesz  
pojąć za żonę tę oto Franceskę Feraboschi, córkę Vin-  
cenza?

– Tak.

– Francesco Feraboschi, córko Vincenza, czy zgadzasz  
się zostać żoną tego oto Antonia Stradivariego, syna Ales-  
sandra?

– Tak.

– W imię Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej  
Jedyne, zostaliście związani węzłem małżeńskim.  
Amen.

Z kościoła Świętego Dominika wszyscy pojechali do  
nowego domu pana młodego. Właściwie ten dom był nowy  
tylko dla Antonia, bo liczył sobie co najmniej sto lat i miał  
dotychczas tuzin właścicieli. Ale dom „Casa del Pescato-  
re” wyróżniał się niezmiernie ważną zaletą – był mianowi-

cie tani. A dla Antonia to było teraz najważniejsze. France-  
sca powiedział:

– Przecież nie potrzebujemy osobnej jadalni, prawda?  
Możemy jadać w pracowni, a kuchnię urządzić na pod-  
wórku...

I zajął cały dom na pracownię, przeznaczając na sypial-  
nię małą stryżkę. Pokorna Francesca, już z góry zga-  
dzająca się z każdą decyzją Antonia, odważyła się jednak  
zapytać:

– A co będzie, kiedy przyjdą dzieci? Przecież nie ma  
gdzie postawić nawet kołyski. – I natychmiast przestraszy-  
ła się, że rozgniewała tym pytaniem męża.

Stradivarius był jednak w znakomitym humorze.

– Chcę zająć cały dom na pracownię po to, żebyśmy  
wówczas, kiedy obdarzysz mnie synami, mogli zamiast  
tego kurnika mieć pałac.

– Czy to możliwe? – zapytała nieśmiało Francesca.

– Możliwe, możliwe – zapewnił ją mąż. – Niechaj tylko  
Bóg nie ześle na nas żadnej kary, to wszystko zdobędziemy  
i będziemy żyli szczęśliwie do późnej starości...

– I umrzemy tego samego dnia? – zapytała Francesca  
z nadzieją.

– Chyba tak – odpowiedział z roztargnieniem Stradiva-  
rius i zaczął urządzać pracownię.

Nazajutrz po ślubie wczesnym rankiem Franceskę obu-  
dził wysoki pisk piły. Jeszcze w półśnie wyciągnęła rękę  
i wymacała zimną, pustą poduszkę. Wstała z łóżka i pode-  
szła do drzwi: na dole, w pracowni, jej młody mąż rozpiło-  
wywał na cienkie deseczki ogromny kłoc klonu. Ubrany  
był w białe zgrzebne spodnie, białe skórzany fartuch  
i białą płócienną czapkę. Twarz miał skupioną i serdeczną.  
Francesca w nagłym jasnowidzeniu poczuła, zrozumiała,  
przypomniała sobie, że nigdy nie patrzył na nią tak, jak  
patrzył teraz na te swoje głupie deski. Chciała krzyknąć,

głośno się rozplakać, ale przeraziła się, że Antonio się rozgniewa. Bezszelestnie zamknęła drzwi, zeszła na podwórze, umyła się i zaczęła przygotowywać śniadanie, a kiedy przyniosła jedzenie i postawiła na warsztacie, Stradivarius powiedział w zadumie:

– Dziękuję... Zawsze byłem pewien, że kloca nie należy rozpłowywać promieniowo...

Pracował od świtu do nocy i na ścianach pracowni pojawiały się coraz to nowe i nowe złociste skrzypce i brązowe, lśniące matowo wiolonczele, połyskliwe altówki... Było ich coraz więcej, gdyż żaden z instrumentów nie opuszczał swego domu. Nikt ich nie kupował. Ludzie zamożni nie dawali Stradivariusowi zamówień, a sprzedawać ich po bazarowych cenach nie mógł, gdyż sam materiał więcej kosztował. Za pieniądze, które dał mu Amati, Antonio kupił dom i całe mnóstwo wspaniałego drewna, a teraz nie było ani pieniędzy, ani klientów. Antonio gotów był na razie pracować za darmo, byleby tylko nabywcy zwrócili mu wartość materiału, ale i to było dla ludzi zbyt drogo i chętnych do kupienia skrzypiec chociażby za dwa pistole nie udało się znaleźć.

Pod wieczór, kiedy palce rąk zaczynały już drżeć ze zmęczenia, a oczy łzawiły od wysiłku, Antonio zaczynał spacerować bez celu po pracowni, zdejmował ze ściany instrumenty, gładził je, uważnie się im przyglądał i po raz któryś z rzędu stwierdzał, że jego wyroby nie różnią się niczym od instrumentów Niccola Amatiego. Dlaczego więc u starego mistrza na zrobienie skrzypiec trzeba czekać wiele miesięcy, a on ma na zbyciu cały skład? Czyżby głos jego skrzypiec był słaby? Czyżby nie śpiewały one dźwięcznie i czule? Czego więc potrzeba, aby majster osiągnął powodzenie? Może trochę szczęścia? Po prostu głupiego przypadku? A może natura obdarzyła go tak wielkim talentem, że na ofiarowanie szczęścia zabrakło jej już

możliwości? Czyż talent zawsze musi być pechowy?

Stradivarius nie potrafił sobie na to odpowiedzieć i kładł się spać o zmierzchu, gdyż wstawał zawsze o świcie, aby wykorzystać całe światło dnia.

Urodził się pierworodny syn – Paolo. Po roku urodził się drugi syn – Giuseppe. Ale Stradivarius nie obiecywał już żonie pałacu, gdyż kramarz Quadrelli powiedział, że będzie sprzedawał żywność na kredyt tylko do Bożego Narodzenia, a potem przyjdzie z sędzią i zabierze za długi wszystkie skrzypce, żeby sprzedać je i uzyskać za te drewniane śmiecie chociażby trzy dukaty. I dzieci też już nie cieszyły Antonia, bo przecież nie ma dla dzieci gorszej męczarni i biedy niż ojciec nędzarz i pechowiec. I nic się nie zmieniało, tylko zimą zamiast płóciennej czapki zakładał Stradivarius czapkę wełnianą i tak samo, od rana do nocy, piłował, strugał, kleił, warzył swoje farby i lakiery. Czasami udawało mu się za bezcen sprzedać jakiemuś przyjeźdźnemu skrzypce i to odwlekało koniec... W domu było głodno, cicho i beznadziejnie. I jedyną rzeczą cieszącą oczy były wciąż nowe instrumenty. Było w nich tyle dźwięku, radości i światła, że nikt nie uwierzyłby, iż wyszły one spod ręki zrozpaczonego mistrza, ojca zagłodzonych dzieci...

Szczęście, powodzenie, uśmiech fortuny, o którym tak wiele myślał Antonio, zjawiły się, wkroczyły do domu w postaci krągłego, uśmiechniętego i nieustannie oblizującego grube wargi Francuzika nazwiskiem Duvernois.

Gość popatrzył bystrym wzrokiem, dostrzegł całą nędzę i ubóstwo „Casa del Pescatore” i powiedział:

– Chcę na próbę kupić kilka instrumentów. Poleciał mi tę pracownię Amati.

Momentalnie wybrał troje skrzypiec, wiolonczelę i altówkę, po czym wyznaczył cenę – po dwa pistole.

– Ale za taki sam instrument musiałby pan zapłacić

Amatiemu tysiąc pistoli! – wykrzyknął z gniewem i bólem Stradivarius.

– Dwa pistole to są cztery złote dukaty – odparł z uśmiechem Duvernois. – To masa pieniędzy. Wprawdzie tysiąc pistoli to o wiele więcej, ale Amati znany jest całemu światu. A ty kim jesteś? Ciebie po prostu nie ma...

– Ale znasz się na rzeczy, panie, i widzisz, że moje instrumenty nie są gorsze. Posłuchaj dźwięku, przypatrz się robocie – powiedział Stradivarius błagalnym tonem. – Czy one są gorsze?

– Myślę, że ta altóweczka jest chyba nawet lepsza – powiedział Duvernois i oblizał się. – Gdyby jeszcze podpisać ją nazwiskiem Niccolò Amatiego! Zostań Amatim, a twoje instrumenty będą kosztować o wiele więcej niż jego.

– Ale ja nie chcę zostać Amatim – powiedział Antonio zmęczonym tonem.

– I tak by ci się to nie udało – roześmiał się Francuz. – Drugi Amati nikomu nie jest potrzebny. Masz tylko jedno wyjście. Musisz stać się większy od Amatiego, bo inaczej przez całe życie będziesz nikim. No więc umówiliśmy się: po dwa pistole. Dopóki nie jesteś lepszy od Amatiego, to jest bardzo dobra cena...

Hipy, które przyniosły do naprawy kradziony magnetofon, zostały zatrzymane o 10.15. Dwaj kudłacze w kloszowych spodniach, ozdobionych u dołu jakimiś łańcuszkami i sprzączkami, wpadli do warsztatu i już od progu wrzasnęli do Komowa:

– Zrobiłeś?

Nie wiem, jakim fachowcem był Komow, ale na aktora zupełnie się nie nadawał. Miał za słabe nerwy. Zamiast zaprosić ich na zaplecze, zaczął nagle mamrotać:

– Znaczy się tak... Poleciało sprzęgło... Za te parę groszy nie było warto... A tak w ogóle, to chciałbym wiedzieć, gdzie można dostać takiego samograja...

– Czego? – zapytał jeden z chłopców.

Zrozumiałem, że nie jest dobrze. Niewyspany i zły Sebastianow zrozumiał to wcześniej ode mnie, bo wyskoczył już z pokoiku na zaplecze, gdzie spaliśmy, i powiedział do chłopców:

– Cześć, panowie.

– Cześć – odpowiedzieli chórem i zwrócili się do Komowa. – To co, nie zrobiłeś magnetu?

– Ja go zrobiłem – powiedział Sebastianow. – On jest za mało doświadczony.

Chłopcy zrobili się czujni.

– Nam nic do tego – powiedział starszy z nich. – Umawialiśmy się z nim, forszę daliśmy z góry, a wy dzielcie się, jak chcecie, więcej i tak nie damy. Sam bym potrafił nawinąć silnik, ale nie mam drutu.

Sebastianow roześmiał się.

– A czy ja chcę więcej? Po prostu ja robiłem, więc sam chcę oddać towar klientowi.

Uspokoili się.

– To co innego...

– Chodźcie na zaplecze, bo tutaj trochę niezręcznie pokazywać – powiedział Sebastianow, wskazując im drzwi zasłonięte pluszową kotarą. Komow z wytrzeszczonymi oczami zastygł przy ladzie. Sebastianow popatrzył na niego wymownie i wskazał ręką drzwi wejściowe. Komow krokiem lunatyka podszedł do drzwi, zamknął zasuwkę i powiesił tabliczkę z napisem „Nieczynne”.

Chłopcy weszli na zaplecze i zamiast magnetofonu zobaczyli mnie. Odwrócili się ze zdziwieniem, ale tuż za ich plecami stał Sebastianow.

– Ręce do góry – powiedziałem cicho. – Szybko!

Kudłacze zdrewnieli i wolno, jak we śnie, zaczęli unosić ręce. Sebastianow obmacał im po kolei kieszenie i dół spodni. Noży i kastetów nie mieli.

– Teraz możecie opuścić ręce i usiąść przy stole – powiedział...

Nie dając im dojść do siebie wyjąłem spod stołu magnetofon i zapytałem:

– To wasz przedmiot?

Obaj bez słowa równocześnie kiwnęli głowami.

– Czyj dokładnie? Twój? Czy twój?

– Wspólny – powiedział starszy i lękając się, że nie zrozumiałem jego odpowiedzi, dokładnie wyjaśnił: – mój i jego...

– Skąd wzięliście ten magnetofon?

– Kupiliśmy – odpowiedział, jękając się ze zdenerwowania; ze swoimi długimi kasztanowymi włosami zupełnie nie wyglądał na złodzieja, lecz przypominał raczej wyrosniętą licealistkę.

– Gdzie?

– W pociągu elektrycznym...

– Kiedy?

– Przedwczoraj.

Według opisu chłopców mężczyzna, który sprzedał im magnetofon w pociągu podmiejskim, przypominał do złudzenia „ślusarza”, który naprawiał zamek w mieszkaniu Polakowa na krótko przed kradzieżą. Wszedłem do Ławrowej, która od rana przesłuchiwała Obolnikowa.

Dwa dni spędzone w areszcie podziałały na Obolnikowa przygnębiająco. Wycierał rękawem nos i mówił płaczącym głosem:

– No, ukarżcie mnie, zawiniłem. No, dureń ze mnie,

głupi człowiek, z mózgiem zaciemnionym od choroby. Ale w więzieniu nie ma mnie za co trzymać...

– A gdzie mamy was skierować, do sanatorium? – zapytała Ławrowa. – Nawet jeśli wam uwierzymy, to i tak przecież popełniliście przestępstwo. Opowiedzcie inspektorowi Tichonowowi o swoich wyczynach i zobaczymy, co on powie...

Obolnikow obrócił się w moją stronę i już zamierzał zasypać mnie lawiną skarg i narzekań, kiedy zadzwonił telefon.

– Tichonow, słucham.

– Tu Babajcew...

– Dzień dobry. Czemu nic nie mówiliście, że rudy u was był?

Babajcew sapnął i roztrajkotał się do słuchawki:

– Wczoraj dzwoniłem chyba dziesięć razy i w żaden sposób nie mogłem pana złapać. Przedwczoraj rudy był u Fiłonowej. A dzisiaj poszedłem do skrzynki po gazety i zobaczyłem list do Fiłonowej z dopiskiem na kopercie: „Dla P.P. Ikonnikowa”...

– Przedtem takie listy nigdy nie przychodziły?

– Ani razu nie widziałem – powiedział Babajcew. – A normalnie ja wydaję pocztę ze skrzynki. A dlatego zwróciłem uwagę na ten list, że adres pisało chyba dziecko albo człowiek mało piśmienny: litery są jakieś kwadratowe...

A więc tak wygląda depesza, o której donosił anonim. Najprawdopodobniej mowa w nim była o tym właśnie liście. Może w papierowej kopercie leży klucz do całej sprawy? Jak się dowiedzieć, co tam naprawdę jest?

– Halo, słyszy mnie pan? – dobiegł z daleka głos Babajcewa.

– Tak, słucham. A co zrobiliście z listem?

– Nic nie zrobiłem. Przecież Fiłonowa jest w pracy! To tylko ja mam dzisiaj dzień wolny. List na razie jest u mnie. Może przywieźć go panu? – zapytał Babajcew.

Przypomniałem sobie komisarza i uśmiechnąłem się.

– Nie warto. Niech list dotrze do adresata.

– Co? – zdumiał się Babajcew.

– Nic. Oddajcie go Fiłonowej i koniec. Dziękuję za informację...

Patrzyłem w długą twarz Obolnikowa i w żaden sposób nie mogłem dociec czy łańcuch: on – ślusarz – depesza – Ikonnikow, jest prawdziwym łańcuchem przyczyn i skutków, czy też przypadkowym zbiorem nie powiązanych ze sobą faktów i ludzi...

– Mówcie, Obolnikow...

– A co mam mówić? Przecież nie mogę opowiedzieć niczego nowego, bo tak samo jak nie okłamywałem was wcześniej, tak i teraz nie będę okłamywał, żeby nie wyszło, że Obolnikow chce darmochoy, chce cudzego...

– Stop, Obolnikow! – powiedziałem. – Albo będziecie rozmawiać ze mną jak człowiek, albo odeślę was z powrotem do celi.

Obolnikow zatrzepotał powiekami i powiedział prawie normalnym głosem:

– Ja przecież byłem w mieszkaniu skrzypka...

– Wiemy to. Dalej...

– Tylko niczego nie ukradłem...

– A co, wybraliście się tam na wycieczkę?

– Tak jakby – potwierdził Obolnikow. – Tego wieczoru byłem bardzo chory.

– To znaczy pijany? – upewniłem się.

– Tak, mocno się przytrułem i zasnąłem. A kiedy się obudziłem, była pierwsza w nocy. Głowa pękała mi z bólu,

a nie było gdzie strzelić klina. Sklepy zamknięte, a na knajpy biednego człowieka nie stać...

– O pierwszej w nocy restauracje też są zamknięte – zauważyłem.

– Tak, zgadza się – ciągnął spokojnie Obolnikow. – Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Myślałem, że nie dożyję do rana. I kiedy zrozumiałem, że konam, postanowiłem pójść do skrzypka i wypić u niego na kredyt. A rano kupić i oddać. A jakbym nawet nie oddał, to i tak dziury w niebie by nie było, bo w kredensie stało pewnie z tuzin butelek. U niego i tak nie ma kto pić, bo czy to normalny człowiek zostawi napoczętą butelkę? A tam wszystkie napoczęte i nie dokończone. Jednym słowem, wódka się marnuje. Goście przychodzą codziennie, a wszyscy razem nie mogą wypić jak należy!

– No, no! – powiedziałem. – Widocznie skrzypek nie wie, kogo ma do domu zapraszać. – Zaraz jednak spoważniałem i zapytałem:

– I co dalej?

– Poszedłem, napiłem się jakiegoś zagranicznego portweinu...

– A skąd wiedzieliście, w której butelce jest portwein?

– Najpierw wszystkiego spróbowałem – powiedział Obolnikow, jakby dziwiąc się mojej niedomyślności.

– Z butelki?

– Niby dlaczego? – obraził się Obolnikow. – Najpierw próbowałem, a potem nalałem do kieliszka. Mają tam taki stół na kółkach, no to wziąłem z niego kieliszek i nalałem sobie...

– A potem?

– Potem łyknąłem sobie jeszcze raz i poszedłem do domu.

– I spotkaliście na schodach swoją żonę?

– Spotkałem, spotkałem, zgadza się – przytaknął.



– Wierzy mi pan? – spytała Ławrowa, kiedy konwojent już go wyprowadził.

– Trudno powiedzieć. Ale to może być prawda.

– Ja też nie wykluczam, że Obolnikow mówi prawdę. Ale... – zawiesiła głos.

– Co ale? – zapytałem.

– Obawiam się, że sami chcemy znaleźć mu furtkę.

– Nie rozumiem.

– Jesteśmy podobni do dzieci, które rozebrały z ciekawości budzik. Potem złożyły go z powrotem, ale zostały im zbędne części. A zegar nie chodzi...

– Obolnikow jest zbędną częścią? – zapytałem obojętnym głosem.

– W każdym razie nie pasuje do schematu, przy którym zegar mógłby chodzić...

– Nie wiem – pokręciłem głową. – Chłopcy, którzy kupili magnetofon, bardzo dokładnie opisali mi sprzedawcę.

– Ikonnikow? – zapytała żywo Ławrowa.

– Nie. Raczej „ślusarz”. A niedawno dzwonił Babajcew i powiedział, że na adres Fiłonowej przyszedł list do Ikonnikowa.

– Co pan zamierza zrobić?

– Czekać. Dziś Fiłonowa odda list Ikonnikowowi. Będzie musiał zrobić jakieś posunięcie...

– A niby dlaczego mamy czekać na jego kolejne posunięcie? – zapytała z irytacją Ławrowa.

– Dlatego, że nie mam innego wyjścia. Komisarz nie udzielił zgody na wgląd w korespondencję.

– Prawdę mówiąc, mnie ten pomysł też nie bardzo się podobał.

Wybuchnąłem:

– A mnie, na przykład, sprawia ogromną przyjemność czytanie cudzych listów. Zwłaszcza intymnych...

Ławrowa zaczerwieniła się.

– Proszę się nie obrażać. Wcale nie to miałam na myśli. Po prostu źle się wyraziłam...

– Wiem. Pomyślmy jednak nad czynnościami śledczymi, które by się pani spodobały...

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos komisarza:

– Tichonow? Wpadnij do mnie.

– Tak jest.

– I weź ze sobą łom, który zabezpieczyliście na miejscu przestępstwa.

– Rozkaz – powiedziałem, chociaż w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, do czego komisarzowi może być ten łom potrzebny.

– Przeczytałem twój raport – powiedział komisarz, odkładając gruby tom jakichś starych, pożółkłych akt, które przeglądał przed moim przyjściem. Powiedział takim tonem, jakby czytał nie te akta, lecz moją króciutką notatkę służbową o „wizycie” Ikonnikowa. – Jak sądzisz, po co on do ciebie przyszedł?

I tym pytaniem od razu rozproszył wszystkie moje wątpliwości.

– Sądzę, że to był zwiad bojowy.

Komisarz lekko się uśmiechnął.

– Do takiej akcji niezbędna jest wielka odwaga, bo zazwyczaj ginie w niej 90 procent zwiadowców.

– Wydaje mi się, że w tym wypadku była to odwaga rozpaczliwa. Lęk przed nieznanym stał się nie do zniesienia.

– Sam przecież mówiłeś, że to niegłupi facet. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że niczego nowego się nie dowie – powiedział komisarz.

– Nie o to mu też chodziło. Chciał po prostu zrozumieć, czy szukamy we właściwym kierunku.

– To też jest informacja.

– Tak – zgodziłem się. – List, który otrzymaliśmy, chyba jest prawdziwy – dodałem i zrelacjonowałem dokładnie telefon Babajcewa, po czym zapytałem: – Rozumiem, że zakaz kontroli nadal obowiązuje?

Komisarz kiwnął głową.

– Tak jest. Możliwe, że to istotnie depesza, o której mówił anonim. A jeśli jest to zaproszenie na obiad. Co wtedy? Przepraszamy? Przecież i tak już właściwie musiałeś go przeproszać. Więc nie przesadzajmy.

– Nie widzę innego wyjścia – rozłożyłem ręce. – Jeśli Obolnikow odpada, a Ikonnikowa obciążają jedynie poszlaki, to...

– To co?

– Pozostaje nieuchwytny „ślusarz”. Ale szukać go wedle rysopisu możemy długo. Dwa albo trzy lata. I wtedy na skrzypcach trzeba będzie postawić krzyżyk.

Komisarz przygładził dłonią swoje białawe włosy, założył okulary i popatrzył na mnie spoza szkielek.

– Jest taka dziecięca zabawa, która nazywa się „szukaj złodzieja”. Pisz się na karteczkach „król”, „detektyw”, „kat”, „złodziej”. Potem podrzuca się je do góry i kto co złapie, taką rolę musi odgrywać. Najlepiej ma król. A detektyw musi odgadnąć złodzieja. Kiedy się jednak pomyli i wskaże palcem innego, to jemu samemu dostanie się porządnie od kata. Znasz taką zabawę?

– Znam – powiedziałem. – Ale tam rolę wyznacza przypadek. Jak się komu poszczęści...

– Właśnie. Ty zaś siedzisz tutaj nie przez przypadek, więc z łaski swojej, nie stosuj taryfy ulgowej, nie pobłażaj sobie.

– Wcale sobie nie pobłażam – odparłem hamując irytację. – Wszystkich możliwych wariantów nawet sam Kiełdysz ze swoimi komputerami nie potrafiłby przewidzieć, ale przemyślałem wszelkie prawdopodobne kombinacje i niczego nowego nie potrafię wymyślić...

Przechwyciłem wzrok komisarza, który patrzył z uśmiechem na krótki łom w moim ręku, i poczułem się okropnie, ponizająco, paraliżująco wręcz bezsilny. Bezsilny i wściekły na własną tępotę i ograniczenia ludzkiego umysłu. Patrzyłem w oczy komisarza, bezbarwne, szarzielone ślepka z rzadkimi białawymi rzęskami na ciężkich, nabrzmiąłych powiekach – złośliwe, mądre oczy – i rozumiałem, że łom, który trzymam w ręce, jest kluczem, wytrychem do całej sprawy... Nie potrafiłem jednak znaleźć w niej szpary, w którą można by wcisnąć spłaszczony koniec czarnego, hartowanego pręta z wybitymi na nim dwiema błyskawicami.

Komisarz milczał, a ja nie mogłem zrozumieć, czy podkreślał tym milczeniem moją bezradność i tępotę, czy też po prostu myślał o jakichś własnych sprawach, coś wspominał. Potem powiedział:

– Ta sprawa – wskazał grubą teczkę akt, którą przeglądał przed moim przyjściem – liczy sobie dwanaście lat. Niezłe się nad nią wówczas namordowałem, ale nie o to chodzi. Przypomniałem sobie właśnie, że zabezpieczyliśmy wtedy u niejakiego Kałaganina bardzo dobry łom. Zrobił to narzędzie znakomity fachowiec, takich już teraz, dzięki Bogu, nie ma. Przedwojenna robota. Kałaganin też był prawdziwym, fachowym włamywaczem. Takich dzisiaj też na szczęście nie ma. Bardzo mnie interesowało, kto mu ten łom zrobił, po prostu marzyłem o znajomości z wytwórcą takich narzędzi. Ale włamywacz nie puścił farby, nie sypnął nam tego majstra, a my sami, bez jego pomocy, nie potrafiliśmy go znaleźć. Wziąłem teraz z ar-

chiwum tę sprawę i poczytałem sobie. Łom też kazałem przynieść sobie z naszego muzeum...

Komisarz otworzył szufladę biurka, wyjął z niej krótki łom i podał mi.

– Masz, porównaj. Podobny?

Trzymałem w rękach dwa absolutnie identyczne łomy. Miały ten sam kształt, kolor i absolutnie takie same krótkie błyskawice, wybite u nasady ostrza.

– Podobne. Myślę, że robił je ten sam człowiek. A co się stało z tamtym włamywaczem?

Komisarz strzelił palcami.

– Sam się już tym interesowałem. Nie ma go tutaj. Znowu siedzi. – Położył swoje pulchne rączki z krótkimi palcami na okładce starych akt i powiedział w zadumie: – Był taki moment, że niemal go już rozgryzłem. Przycisnąłem go tak, że prawie zgodził się wskazać mi producenta łomu. Zaklinał się jednak na wszystkie świętości, że nie zna jego nazwiska i adresu. Powiedział, że pojedziemy do niego do pracy, gdzieś pod Moskwę. Rozmawialiśmy jednak w nocy i puściłem go do celi, żeby się trochę przespał. A on przez noc się rozmyślił i zawiózł nas do Sierpuchowa, przez dwie godziny prowadził między kramami na placu przydworcowym, aż wreszcie powiedział, że pewnie się pomylił, zapomniał, gdzie to wszystko było. Zrozumiałem, że mnie oszukał...

– A co tam było do rozumienia? – przerwałem mu złośliwie.

Komisarz popatrzył na mnie gniewnie.

– Widzę, że i teraz nie wszystko jeszcze rozumiałeś. A ja wówczas nie rozumiałem czegoś innego. Biorąc pod uwagę, że poprzedniego dnia w trakcie przesłuchania Kałaganin żądał, żebym go koniecznie zawiózł na miejsce, uznałem, kiedy rzecz się nie udała, iż włamywacz chciał komuś dać cynk, że wpadł. To był jeden wariant. A drugi,

że miał po prostu zamiar prysnąć w czasie wizji lokalnej... Nic więcej Kałaganin mi o narzędziowcu nie powiedział. Dopiero teraz zrozumiałem, że włamywacz przez noc się rozmyślił, postanowił nie sypnąć majstra i zrobił sobie zwyczajny spacer...

Ponieważ na mojej twarzy wciąż jeszcze rysowała się tępota, komisarz zakończył:

– Trzeba poszperać dokładnie w naszych archiwach i sprawdzić, czy w innych sprawach nie występują takie same łomy, i spróbować dotrzeć do producenta...

Wyszedłem od Szefa i pomyślałem, że widocznie jestem bardzo zmęczony. Takie odrętwienie ogarnia mnie zawsze wtedy, kiedy nie wiem, co mam robić dalej. Widocznie istnieją rzeczy, których tajemniczej natury nie da się przeniknąć z tego jedynie powodu, że bardzo się tego pragnie. Jak powiedział Polakow – Guillaume przez całe życie marzył o zrobieniu skrzypiec lepszych niż instrumenty Stradivariususa... Pragnę przecież czynić dobro, a nic mi z tego nie wychodzi. Dobro winno być potężne, bowiem dobro słabe – rodzi zło. Tak, widocznie jestem jeszcze bardzo słaby, gdyż z mojego dążenia ku dobru wykrystalizowuje się na razie jedynie mętny osad zła.

Przez dwa dni studiowałem stare sprawy, robiłem notatki, wysyłałem zapotrzebowania na dodatkowe informacje i byłem coraz bardziej zmęczony. Nikt mnie nie niepokoił, nie dzwoniły telefony, Ławrowa gdzieś się zapodziała, komisarz nie wzywał, prokuratura nie pytała o nowiny – słowem, jakaś nienaturalna cisza panowała przez całe dwa dni, jakby wszystko na świecie znieruchomiało, zamarło przed eksplozją... Ja jednak niczego nie zauważałem, siedziałem w swoim pustym, zimnym gabinecie i czy-

tałem pożółkłe karty dawno już zakończonych, niemal umarłych dramatów i wydawało mi się, że wszystko dokoła pograżyło się w takiej samej anabiozie, chociaż wiedziałem, iż czas nigdy się nie zatrzymuje na przystankach, że nie zna bocznic i torów postojowych, że toczy się miarowo i nieodwracalnie, mnie tylko samego pozostawiając w przeszłości.

Szukaj złodzieja... Szukaj złodzieja...

A pod wieczór drugiego dnia postanowiłem porozmawiać z Ikonnikowem. List doszedł do niego wczoraj, więc wciąż czekałem, że do mnie zadzwoni. Nie wiem, dlaczego na to czekałem, to był z mojej strony zwyczajny idiotyzm, ale mimo wszystko czekałem, czytałem stare akta i czekałem na jego telefon. Miał mnóstwo czasu na to, aby wszystko przemyśleć i zadzwonić. Nie zadzwonił jednak, więc postanowiłem z nim porozmawiać. Wykręciłem numer telefonu służbowego, długo wsłuchiwałem się w przeciągły sygnał, rysowałem na kratce papieru rogate diabliki i znów czekałem. Nikt nie podnosił słuchawki tak długo, że już postanowiłem się rozłączyć, kiedy nagle w słuchawce odezwał się kobiecy głos, dziwnie przestraszony i słaby.

- Czy mógłbym mówić z Pawłem Pietrowiczem?
- A kto mówi?
- Co za różnica? Znajomy.
- Nie będzie go...
- Poszedł już do domu?
- Umarł...

Urywany sygnał w słuchawce... Salieri umarł przed Mozartem?... Minotaur pożarł żywego człowieka... Czyż ludziom potrzebny jest Kain?... To znaczy, że jednak charakter człowieka decyduje o jego losie?... Nie zna pan ataków choroby „taedium vitae”... Oczekuję jakiejś depechy, a po jej otrzymaniu wszystko już będzie w porządku...

Sygnał telefonu dudnił, szalał, wrzeszczał, łomotał mi w głowie, miotał się i gwizdał tak, że omal nie rozsadził mi czaszki.

Szukaj złodzieja!...

## Rozdział jedenasty

### Wejście do labiryntu

Senator Pichenardi, siwy majestatyczny starzec, był zagubiony i nieszczęśliwy. Tego dnia nie miał jeszcze nic w ustach. Głód męczył go i upokarzał, więc już dłużej nie potrafił się powstrzymać i wreszcie wybuchnął, patrząc z obrzydzeniem na tępego rzemieślnika:

– Zrozum w końcu, diabelskie nasienie, że jestem zmuszony sprzedać swój dom. Tylko dom! A do rodowych mebli jestem bardzo przywiązany, gdyż budzą we mnie wspomnienia pięknej przeszłości, więc nie zamierzam ich sprzedawać. Nigdy nie zamierzałem! I nigdy się to nie stanie! Wystarczy, że będziesz mieszkał w rodowej siedzibie Pichenardich!

Kupiec wcale się z nim nie spierał. Spokojnie przyglądał się rozwrzeszczanemu starcowi, potakująco kiwał głową i z uporem osła powtarzał półgłosem:

– Dobrze. Wobec tego nie kupię domu...

Senator opadł bezsilnie na fotel i zapytał z ciekawością:

- Powiedz, panie, po co ci te stare meble?
- Obiecałem swojej żonie, że będzie mieszkała w pałacu. A bez mebli twój dom nie jest pałacem.

Wynędziała twarz Pichenardiego wykrzywiła się w złym uśmiechu:

– Nadeszły piękne czasy. Kilka lat temu marzyłeś o tym, abym kupił od ciebie choć jedno skrzypce. A teraz ty

kupujesz mój dom. Czy nie obawiasz się, Stradivari, że Bóg Wszechmogący sprawi kiedyś, iż wszystko wróci na właściwe miejsce?

– Nie. Przejadłeś, panie, to, co ci zostawili przodkowie, a ja zarabiam dla potomków.

– Ale moi przodkowie również zarabiali dla mnie. I co to dało?

– Twój przodkowie zostawili ci jedynie nazwisko i pieniądze.

Ja pozostawię swym potomkom również wiedzę.

– Wiedza jest mało warta – powiedział ze złością starzec. – I w ogóle wszystko na świecie jest mało warte, jeśli masz dość bezczelności, aby porównywać swoje plebejskie imię ze wspaniałym nazwiskiem Pichenardich.

Stradivarius uśmiechnął się po raz pierwszy w trakcie całej tej rozmowy.

– Któż wie, signore Pichenardi, co nas czeka w przyszłości? Być może, twoje imię przetrwa tylko dlatego, że kupię twój dom i będę siadywał w twoich fotelach. Czy nie jest to możliwe?

Starzec ze wściekłości zaniemówił, a potem wrzasnął ochryple:

– Nie sprzedaję!... Precz stąd!

A jednak senator Pichenardi sprzedał swój dom wraz z meblami lutnikowi Antoniowi Stradivariusowi. Nikt inny nie chciał zapłacić siedmiu tysięcy lirów za dwupiętrowy dom z trzykrotnym frontem, z piwnicami i poddaszem. Na poddaszu Stradivarius urządził suszarnię, gdzie w pergaminowych pętlach schły nowe skrzypce.

Instrumenty miały barwę ciemnego złota z odcieniem brązu. Coraz prostszy stawał się kształt gryfu, surowszy rysunek efów, ale same skrzypce wciąż jeszcze zachowywały strój i kształt instrumentów wielkiego mistrza Amatiego, więc ze wszystkich stron otrzymywał Antonio zamówienia na skrzypce „Amatis”. A wielkość skrzypiec stopniowo rosła, zaś ich dźwięk stawał się coraz głębszy, silniejszy i delikatniejszy. Kiedy wreszcie Antonio wymyślił nowy wariant stroju, uznał, że musi szukać nowej konstrukcji instrumentu, gdyż wszelkie możliwości dotychczasowej zostały już wypróbowane i wyczerpane.

Życie płynęło tak spokojnie i miarowo, iż Stradivariusowi wydawało się, że tak właśnie wygląda szczęście i że trwać będzie ono wiecznie...

Ludziom nie dane jest wiedzieć, jak długo będą żyć. Niccolo Amati był przekonany, że jego dni są policzone, ale dni składały się w lata i koniec nie nadchodził. Przeżył jeszcze siedemnaście lat i stworzył nieśmiertelny Zespół Trianon – wiolonczelę, sześć altówek i osiemnaście skrzypiec dla orkiestry Karola IX.

– Dwunastego kwietnia roku 1681 zdrzemnął się po obiedzie i więcej się już nie obudził.

W kondukcje żałobnym za jego trumną szli dwaj nieznający się nawzajem ludzie – pijany, brudny starzec Andrea Guarneri i pan w aksamitnym płaszczu ze złotym łańcuchem i szmaragdową spinką – mistrz Antonio Stradivarius. Kroczyli za nim czterej synowie, czterej kontynuatorzy jego dzieła. Czterech chłopców – Paolo, Giuseppe, Francesco i Omobono – w purpurowych safianowych беретach, błękitnych kaftanach z koronkowymi kołnieriami, niosło za mistrzem ojca płonące woskowe gromnice.

Zespół reanimacyjny pracował przez cztery godziny, ale Ikonnikow był martwy. Umarł ostatecznie i definitywnie, bo koralówka wstrzyknęła mu kroplę jadu, kroplę, którą

można było wyleczyć stu ludzi, ale która zabiła stare ludzkie serce.

Lekarz naczelny powiedział mi:

– Nieszczęśliwy wypadek. Widocznie zmija wyrwała mu się z ręki i ukąsiła w przegub...

– Po jakim czasie byliście na miejscu? – zapytałem go.

– Po jakiejś pół godzinie. Kiedy to się zdarzyło, Ikonnikow był w laboratorium sam, bo trwała akurat przerwa obiadowa, gdybyśmy mogli natychmiast udzielić mu pomocy, z pewnością uratowalibyśmy go. Głupi, tragiczny wypadek...

Wyszedłem na ulicę. Suche, przenikliwe zimno późnej jesieni skuło miasto. Zamarzły kałuże, a wiatr przenikliwie gwizdał w zaułkach... Może ataki choroby „taedium vitae” zawsze kończą się nieszczęśliwymi wypadkami?... Może skutków tej choroby nie należy nazywać „wypadkiem”? Może to wcale nie wypadek, może to nie po spotkaniu ze mną Ikonnikow zachorował na obrzydzenie do życia? A jak umarł? Z mojej winy? Ja jednak nie pragnąłem jego śmierci. Przyszedłem do niego, żeby dowiedzieć się prawdy. Czyż prawda może zabić? I czy prawda jest w ogóle potrzebna, kiedy sprowadza śmierć? Jeśli jednak nie będzie prawdy, to Minotaury nie będą musiały ukrywać się w labiryntach, będą mogły spokojnie wyjść na światło dzienne i żywcem pożerać ludzi. Do morderców będzie się mówiło „wasza wysokość”, do stradivariusa nasypią kamyków i zrobią z niego grzechotkę dla malutkich minotaurzątek, a Polakowowi obetną uszy, żeby nie słyszał i nie ważył się opiewać piękna tego świata. Jeśli zabraknie prawdy, to morderstwo i gwałt staną się wiarą. Nie, nie, nie, prawda nie może zabijać, taka prawda jest nikomu niepotrzebna! Chyba że śmierć jako kara za zbrodnię – będzie przez taką prawdę spowodowana. Nie znam jednak prawdy, która mogła ukarać Ikonnikowa, bo

prawda nigdy nie karze potajemnie, niczym ukąszenie żmii. A może to Ikonnikow sam siebie ukarał? Za co? Za co?

Nie mogę już, głowa mi pęka! Może to ja jestem wszystkim winien? Może źle i okrutnie poszukiwałem prawdy? Może to mój Minotaur zagryzł Ikonnikowa? Co robić? Co mam robić dalej? Złożyć dymisję?

Ikonnikow powiedział: tylko detektyw może być pierwszy lub osiemnasty...

Bielasz powiedział: stradivariusa kradnie się tak, żeby nie wpaść...

Studentka Kolesnikowa: musiał pokonać Minotaura...

Filonowa: tego, co wybacza się przeciętnemu człowiekowi, nie wybacza się nigdy ludziom utalentowanym...

Polakow: niektórzy ludzie potrafią niemal od razu ujawniać wszystkie swe talenty...

Żona Ikonnikowa: zasadniczy wybór w życiu dane jest człowiekowi robić tylko raz...

Komisarz: prawdy szuka się rozumem, a nie sprytem...

Ikonnikow: charakter człowieka to jego los...

Odejść? I co potem? Czy w ten sposób można rozwikłać kłębek tych problemów? A poza tym z czego ja sam jestem niezadowolony, ze swego losu czy charakteru?

Szedłem tak ulicami Moskwy, zalanej przenikliwym jesiennym zimnem i martwym światłem neonów, i setki pytań rozdzierały mój mózg niczym rozżarzone obcegi, szalały jak wierzyciele przed zamkniętymi drzwiami bankruta, domagały się odpowiedzi, których nie mogłem im udzielić i nie umiałem wskazać nikogo, kto by to za mnie zrobił. Szedłem więc pustymi ulicami, otoczony sforą głodnych, kłapiących zębami Minotaurów, które zgrzytały pazurami po zmarzniętym asfalcie, dyszały smrodliwie,

otaczały ciasnym pierścieniem jak wilki polarne i czekały, aż im powiem: to już koniec, okazałyście się silniejsze. Wtedy rzucą się na mnie i uwolnią mego własnego Minotaura. A on powie, oblizując się dymiącym krwawym językiem: to ty zabiłeś Ikonnikowa i ty za to odpowiesz...

Drzwi do mojego pokoju były uchylone i już z korytarza zobaczyłem siedzącą tam Ławrową. Czekała na mnie, czytała jakiś miesięcznik literacki.

W milczeniu rozebrałem się, powiesiłem jesionkę, usiadłem przy biurku. Dziewczyna odłożyła pismo na bok.

– Muszę kupić czapkę – powiedziałem. – Głowa mi marznie.

– Tak, zrobiło się zimno – odparła Lena. – Może pan wziąć moją. Mam jeszcze jedną – i wskazała swoją czapkę z grubej wełny.

– Dziękuję. Jakoś nie wypada, bo to przecież damska czapka.

– Proszę dać spokój! – machnęła ręką. – W uszance jeszcze bardziej nie wypada chodzić. Aż strach bierze, że pięćdziesiąt milionów ludzi nosi czapki identycznego fasonu!

– Możliwe, nie wiem – powiedziałem i długie, puste milczenie rozpląnęło się po pokoju niczym obrzydliwy kleks. Potem poprosiłem ją: – Leno, proszę łaskawie zameldować komisarzowi, że Ikonnikow zmarł nie odzyskując przytomności. Teraz trudno byłoby mi z nim rozmawiać...

Lena powiedziała:

– Komisarz już wie. Dzwonił i kazał panu iść do domu spać.

– Spać? – nie zrozumiałem.

– No tak – przytaknęła Ławrowa. – Jeśli się orientuję, jest to jego uniwersalna recepta na wszystkie kłopoty.

– Tak – przypomniałem sobie.

– A kłopoty będą?

– Najprawdopodobniej – wzruszyłem ramionami. – Jeśli dochodzenie ustali, że to nie był nieszczęśliwy wypadek, tylko samobójstwo, to w najlepszym razie ta sprawa zostanie mi odebrana...

– Ale dlaczego? – oburzyła się Ławrowa.

Uśmiechnąłem się, ale sądząc z wyrazu twarzy Leny, nie bardzo mi się to udało.

– Moja matka w podobnych sytuacjach mawiała: nie da się wszystkim wszystkiego opowiedzieć... A jednak opinia publiczna musi być zawsze święcie przekonana, że w śledztwie stosuje się wyłącznie metody zgodne z prawem. Tymczasem mój świadek popełnia samobójstwo.

– Nie rozumiem pańskiego stanowiska – powiedziała Ławrowa z uporem w głosie. – Jeśli postępowanie dyscyplinarne wykaże całkowitą zgodność pańskiego działania z przepisami...

– Co tu jest do rozumienia? – przerwałem jej. – W związku ze śmiercią Ikonnikowa rozpoczęto już dochodzenie, które prowadzić będzie prokuratura oraz Inspekcja Specjalna. Jeśli nawet ustalą, że nie ma związku przyczynowego między moimi czynnościami a śmiercią Ikonnikowa, to i tak ze względów natury etycznej lepiej będzie przekazać sprawę innemu funkcjonariuszowi. Złośliwcom nie da się zatkać gęby, a z pewnością znajdzie się niejeden drań, który zacznie szeptać po kątach: patrzcie, co oni tam wyprawiają, człowieka na śmierć zaszczuli! Trudno to lekceważyć...

Ławrowa wstała i podparła się pod boki. Najwidoczniej miała zamiar porządnie mnie objechać, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

– Staś? Tutaj Zarodow z jednostki dyżurnej. – Głos brzmiał niepewnie, jakby przepraszająco. Z pewnością wszyscy już wiedzą.

– Słyszę. Czego chcesz? – powiedziałem umyślnie opryskliwym tonem. Niech ich wszystkich szlag! Zaraz zaczną wzdychać, współczuć, udzielać rad. „Ja bym na twoim miejscu...” Udzielać rad każdy głupi potrafi!

– Czegoś taki zły? – zdziwił się Zarodow. – Popołudniową pocztą przyszedł do ciebie list, więc na wszelki wypadek zadzwoniłem, bo ty przecież zwykle siedzisz do późna...

– Więcej nie będę – obiecałem.

– Czego nie będziesz? – nie zrozumiał Zarodow.

– Nie będę siedział do późna.

– Twoja sprawa – odparł dyplomatycznie Zarodow. – No to co zrobić z listem? Podrzucić, czy jutro sam wpadniesz?

– Każ podrzucić go gońcowi, jeśli cię można prosić...

Ławrowa poczekała, aż odłoży słuchawkę i zapytała:

– Ale przecież dochodzenie ustali, że postępował pan prawidłowo, nieprawdaż?

– To nie jest takie oczywiste – pokręciłem głową.

– To znaczy?

– W najlepszym razie ustalą, że nie da się udowodnić mojej winy. A między nieudowodnioną winą, a udowodnioną niewinnością istnieje ogromna różnica.

– A ja wciąż nie rozumiem, dlaczego musi pan udowodniać swoją niewinność – powiedziała wolno Ławrowa.

– Nie rozumie pani? Proszę więc sobie wyobrazić, że Ikonnikow zostawił list, w którym nazywa mnie winowajcą swojej śmierci. A jest to bardzo możliwe, bo rozstaliśmy się w gniewie. I zdarzyło się to przedwczoraj...

– Ale to byłoby jedynie gołosłowne oskarżenie, przez

nikogo nie potwierdzone. Nie można pana pozbawiać zaufania jedynie na podstawie takich bredni...

– Ja też mam nadzieję, że zaufania nie utracę, ale z pewnością zostanę odsunięty od tej sprawy, bo sprawa zaczęła być śmierdząca...

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł sierżant z jednostki dyżurnej, podał mi kopertę, zasalutował i wyszedł.

List bez adresu zwrotnego – „Pietrowka 38. Dla inspektora Tichonowa”.

Ławrowa zapytała:

– Będziemy się zbierać do domu?

– Niech się pani ubiera, ja też zaraz wychodzę. – Rozewałem kopertę i zobaczyłem, że zawiera ona kartkę papieru i jeszcze jedną kopertę. Przeczytałem pobieżnie kartkę i ze zdenerwowania nic nie rozumiałem. Ręce trzęsły się, litery dwoiły się przed oczami, rozplływały, jak w źle nastawionym obiektywie...

Skądś z daleka dobiegł zdławiony głos Ławrowej:

– Co panu?!

– Nic, nic. – Rozcierałem dłońmi zdrętwiałą nagle twarz, usiłując powstrzymać, uciszyć ogłuszające dudnienie w skroniach, zmusić je do zamilknięcia, pozostawienia mnie w spokoju.

Dostałem list od nieżyjącego już człowieka.

Cervantes w analogicznej sytuacji napisał: „Nie wyprę się prawdy, jeśli nawet nie mam sił jej bronić”. Nie mam siły bronić prawdy, nie mam siły bronić siebie, a zresztą nie mam na to ochoty. Kiedy otrzyma pan ten list, już będzie pan wiedział, że choroba „taedium vitae” jest nieuleczalna.

Proszę tylko nie myśleć, że odchodzę z pańskiego powodu. Przecież nie mam nic wspólnego ze sprawą stradiva-



riusa. Po prostu przeżyłem głupie, bezsensowne życie, zużyłem siebie, roztrwoiłem na obłądne drobiazgi. Otaczający mnie ludzie wyrobili sobie o mnie zupełnie niewłaściwe zdanie: jedni myśleli o mnie lepiej, a inni gorzej, niż rzeczywiście na to zasługiwałem. Pojąć mnie do końca, zrozumieć zdołał tylko jeden, nie znany mi człowiek, który wykorzystał mnie jako tarczę w całej tej historii z kradzieżą skrzypiec. Nie znam go, ale twierdzę, że jest to człowiek wyjątkowo mądry i zły, skoro potrafił wszystko tak precyzyjnie obliczyć. Nie mógł przewidzieć tylko jednego – tego listu i „taedium vitae”. Jestem starym, słabym i – nie ma co ukrywać – niezbyt odważnym człowiekiem. Choroba zaszła już daleko i łatwiej mi jest umrzeć, niż znosić hańbę procesu kryminalnego.

Proszę pokłonić się ode mnie Lowuszce, przeprosić go za wszystkie moje głupstwa i powiedzieć, że umieram, czcząc go jako wielkiego człowieka i geniusza muzycznego.

I jeszcze jedno: niech pan poprosi Lowuszkę, jeśli naturalnie będzie miał pan na to ochotę, o zagranie II Koncertu Pugnaniego. Dla mnie będzie to requiem, a dla pana głos losu, który musi pan rozpoznać, gdyż oszukiwałem pana, mówiąc, że detektyw może być osiemnasty. Człowiek musi dążyć do tego, aby zawsze był pierwszy, gdyż w przeciwnym razie w ogóle nie ma sensu żyć. Ja już nigdy w niczym nie zdołam być pierwszy. Żegnam.

29 października, 9.15

Paweł Ikonnikow

List został napisany dwanaście godzin temu, rano, kiedy Ikonnikow szedł do pracy, na spotkanie z koralówką. A koperta wewnątrz listu była tą samą, którą miał w ręku dwa dni temu Babajcew – „Fiłonowa dla P.P. Ikonnikowa”. Otworzyłem kopertę i wyjąłem z niej krótki gryps: „P.P.! Wszystko w porządku. Kataryna na miejscu. Siedzę cicho, czekam na rozkazy”.

Tekst był nakreślony długimi, płynnymi, a jednak nierównymi literami, jakie stawia się lewą ręką. Oto wszystko, co nadeszło dla mnie popołudniową pocztą.

List ogłuszył mnie. W zmaconej świadomości przewijały się jakieś niewyraźne sylwetki, dźwięczały urywki słów, wypływały fragmenty zatartych wspomnień, wszystko przemieszało się, rozpadło i znikło.

Nie wiem, jak długo siedziałem w milczeniu, a kiedy się odezwałem, głos miałem ochryply i brzękliwy, niczym szyba telepiąca się w źle okitowanym oknie:

– Toczy z nami grę bandyta. Wyjątkowo perfidny bandyta. Jeszcze się z takim nie zetknąłem. Rozumie to pani?

– Ja panu wierzę – powiedziała Ławrowa.

– Muszę go zwinąć sam. Inaczej... No, sama pani rozumie. Dla mnie jest to kwestia honoru.

Ławrowa skinęła głową.

– Mam bardzo mało czasu. Jutro już zostanę wezwany do Inspekcji Specjalnej. Muszę zdążyć, zanim zostanę pozbawiony tej sprawy.

– Co więc robimy? – zapytała krótko Ławrowa.

Popatrzyłem na nią i okropnie zapragnąłem powiedzieć jej coś ciepłego, wyrazić serdeczną wdzięczność, ale niczego nie wymyśliłem, zresztą sytuacja nie była odpowiednia i nie było czasu na prywatne rozmowy, więc poprosiłem tylko:

– Proszę zadzwonić do domu i uprzedzić, że dzisiaj wróci pani późno...

– Ma pan jakiś pomysł? – zapytała zupełnie spokojnie, jakby nic się nie stało i jakby przed chwilą nie było żadnej rozmowy.

– Tak. Wydaje mi się, że znalazłem klucz do sprawy. Jeśli się nie mylę, to jeszcze zdążę... Będzie pani musiała teraz pojechać na Poczta Główną.

Ławrowa wróciła koło północy i wyglądała nad podziw świeżo i wesoło.

– No? – zapytałem niecierpliwie.

– Wszystko w porządku. Żadnych odchyłeń z trasy.

– Będziemy zakłócać spokój zwierzchności?

– A jakżeż inaczej – zdziwiła się. – Nasza zwierzchność też ma nienormowany czas pracy...

Popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się krzywo.

– Jeśli to wszystko skończy się niczym, to na moją biedną głowę poza gromami szefa spadnie jeszcze niezłe odium głupoty...

– Cóż robić? – wzruszyła ramionami. – Nasza praca zawsze łączy się z pewnym ryzykiem.

– To znaczy, że mam zadzwonić? – zawahałem się.

– Koniecznie – odcięła mi Ławrowa ostatnią drogę odwrotu.

Wykręciłem siedem cyfr numeru telefonu domowego komisarza i, kiedy rozległ się pierwszy sygnał, poczułem się zupełnie tak, jak smarkacz, który przed chwilą wybił szybę, a gospodarze nie zdążyli jeszcze wybiec na podwórze, chociaż widzieli, że to ja... Chłopak nie ma dokąd uciekać i upłynie zaledwie parę chwil, zanim boleśnie wytargają go za uszy. Zabrzmiał jeszcze jeden, drugi, trzeci sygnał...

– Pewnie nie ma go w domu – powiedziałem.

Ławrowa pokręciła głową i powiedziała spokojnie:

– Może się pan nie denerwować, komisarz po prostu śpi. Sądząc z jego brzuszka, musi jadać późne kolacje i natychmiast kłaść się spać.

– Ta robota go wyczerpuje – powiedziałem, jakby brzuszek komisarza wymagał mojej obrony.

– Tchórz pana obleciał? – zapytała dziewczyna ze współczuciem.

– Nie bardzo, ale...

Sygnał urwał się w połowie, a ja zdążyłem, nie wiedząc czemu, pomyśleć, że instrukcja pocztowa zabrania podnoszenia słuchawki, kiedy telefon dzwoni.

– Słucham...

Poznałem głos komisarza.

– Bardzo przepraszam, tu Tichonow. Pewnie pana obudziłem?

– Lepiej byś o to zapytał o czwartej nad ranem!

Głos komisarza był schrypnięty i rozmazany, pozbawiony normalnych u niego złośliwych nutek. Wyobraziłem sobie, jak stoi przy telefonie w piżamie i boso, jak wzdryga się z zimna, a jego białe włosy sterczą mu na czubku głowy...

– Która godzina? – zapytał komisarz. – Ciemno, jak u Murzyna pod pachą.

– Pięć po pierwszej...

– Szlag by to trafił! – powiedział z irytacją. – Znowu będę musiał łykać prochy. Co cię tak przypiliło?

– Ja w sprawie służbowej.

– A do rana ta twoja sprawa nie mogła poczekać? Dzwonisz z domu?

– Nie, jestem jeszcze na Pietrowce. Ławrowa jest ze mną.

Komisarz parsknął śmiechem:

– Ech, Tichonow, Tichonow! Gdybym miał twoje lata, wiedziałbym, co robić po nocach z ładną dziewczyną... Ale masz podobno jakąś sprawę?

– Mamy pomysł, jak dotrzeć do złodzieja...

– Moglibyście zaczekać z tym do jutra.

– Jutro rano mogą mi odebrać sprawę.

– Przez parę godzin nic by się nie stało, a w ogóle to mógłbyś mnie po nocy nie sondować, bo przecież i tak sam o tym nie mogę zdecydować.

– Wcale pana nie sonduję. Chcę po prostu zdążyć złapać tego drania.

– Chwalebny zamiar – komisarz znów się roześmiał. – Poczekaj, wezmę tylko papierosa...

Szczęknęła odkładana słuchawka i zrobiło się cicho. Ławrowa zapytała:

– Wścieka się?

– Nie bardzo, można wytrzymać. Musi się tylko do końca obudzić.

Na drugim końcu drutu rozległ się szmer, stuk, komisarz wziął słuchawkę.

– Słuchaj – powiedział. – Przecież kazałem ci iść do domu i odpoczywać. Dlaczego nie wykonujesz moich rozkazów?

– Oficjalny rozkaz o zabraniu mi tej sprawy jeszcze nie został wydany, a swoim czasem pracy mogę przecież dysponować wedle własnego uznania.

– Głupio robisz! Dobry detektyw powinien wiele myśleć, a w tym celu musi dobrze spać. Noc jest porą odpowiednią dla durniów i alchemików.

– Ma pan zdrowe nerwy – powiedziałem.

– Nerwy? – powtórzył. – Dziękuję, nie uskarżam się. Gdybym miał słabe nerwy, to już dawno byście mnie zaprowadzili do czubków. O co ci więc chodzi?

– Pamięta pan sprawę włamywacza Kałaganina?

– No?

– Zawiózł go pan na miejsce samochodem? Myślę o Sierpuchowie.

– Nie, pociągiem elektrycznym.

– Dlaczego?

– Posłuchaj, Tichonow, zamierzałeś zreferować mi swoje pomysły, czy też przeprowadzić telefoniczne przesłuchanie?

– Zreferować, ale jedna rzecz mi się nie zgadza. A więc dlaczego pociągiem?

– Nie pamiętam. Pewnie nie było samochodu. Przecież nie byłem wtedy komisarzem, tylko zwykłym inspektorem, a samochodów nie mieliśmy za dużo.

– Z dworca Kurskiego? – zapytałem zmartwionym głosem.

– Z Kurskiego? – zastanowił się komisarz. – Nie, poczekaj, poczekaj, wieźliśmy go z Białoruskiego...

– Do Sierpuchowa z Białoruskiego? Przecież to inna linia!

Komisarz zamilkł, cmoknął i przypalił papierosa, co poznałem po wyraźnym szczęknięciu zapalniczki.

– Przypomniałem sobie – powiedział zdecydowanie komisarz. – Akurat teraz sobie przypomniałem. Wieźliśmy go pociągiem elektrycznym, bo powiedział, że był tam tylko raz i zdoła się zorientować tylko w tym wypadku, jeżeli powtórzy dokładnie całą trasę. A jeździł podobno z dworca Białoruskiego do Sierpuchowa...

– Ale przecież Sierpuchowo leży na linii kurskiej! – wykrzyknąłem.

– Zgadza się. Ale od Białoruskiego tory biegną przez całe miasto do dworca Kurskiego, a dalej, jak kto woli. Można do Sierpuchowa, można na Krym...

– A czy pan wie, dlaczego Kałaganin chciał z Białoruskiego?

– Będę wdzięczny, jeśli mnie oświecisz...

– Kałaganin w przeciwieństwie do mnie wiedział, że dworzec Kurski i Białoruski mają połączenie linią miejską i wielokrotnie nią jeździł. W aktach sprawy jest protokół przesłuchania świadka Klaudii Stiepaniszyny, jego kochanki, u której regularnie bywał. Na długo przed tamtymi wypadkami Stiepaniszyna została wysiedlona z Moskwy i mieszkała w miejscowości Kozino, na sto trzecim kilome-

trze linii kurskiej. Kałaganin jeździł zatem nie od dworca Kurskiego na Białoruski, lecz w odwrotnym kierunku. Od Stiepaniszyny jeździł na dworzec Białoruski, a stamtąd dalej...

– Dlaczego? – zaciekawiał się komisarz.

– Bo tam mieszka producent łomów. Najprawdopodobniej w miejscowości Golicyno.

– Skąd ten wniosek? – zapytał komisarz.

– Ponownie przejrzałem z wielką uwagą akta tamtej pańskiej sprawy i doszedłem do wniosku, że istotnie był taki moment, kiedy Kałaganin był bliski załamania.

– No cóż, dziękuję za uznanie dla moich skromnych zasług – w głosie komisarza posłyszałem ironiczne nutki.

– Ależ drobiazg – powiedziałem beczelnie. – Sądzę, że gdyby go pan natychmiast po przesłuchaniu, jeszcze w nocy, zawiózł do ślusarza, Kałaganin z pewnością by go wskazał. Włamywacz przez całą noc myślał, zastanawiał się i wahał do ostatniej chwili, kiedy już znalazł się na dworcu. Tam dopiero ostatecznie rozmyślił się albo przestraszył i postanowił nie wydać producenta łomów. Prawdopodobnie też, żeby ostatecznie zbić pana z tropu, zdecydował się pojechać w odwrotnym kierunku...

– Możliwe – ziewnął komisarz. – Ale to przecież tylko domysły, a co z faktami?

– Mam tu przed sobą rodzaj schematu, łańcuszka faktów i mogę natychmiast zameldować. A może lepiej jutro? – zapytałem.

Komisarz milczał przez chwilę, widocznie się zastanawiając, a potem powiedział:

– Lepiej teraz, bo masz nie najlepsze nerwy, do rana nie wytrzymasz i znowu mnie obudzisz...

– Rozkaz. W mieszkaniu Polakowa zabezpieczyliśmy bilet trolejbusowy linii numer dwadzieścia, oderwany w nocy, kiedy została popełniona kradzież, gdzieś na

odcinku między przystankiem kolejowym przy Biegowej, a placem Majakowskiego. To po pierwsze.

– Niewątpliwie fascynujący fakt – powiedział komisarz.

– W skrzynce pocztowej Polakowa znalazł się telegram wysłany z poczty na Biegowej, naprzeciwko toru wyścigowego. Czy możemy założyć istnienie pewnego związku?

– Przypuśćmy – zauważył ostrożnie komisarz.

– Anonim, w którym nas napuszczano na Ikonnikowa, został wysłany z Kuncewa. Ławrowa ustaliła to ponad wszelką wątpliwość.

– Sama?

– Dowiedziała się tego na Poczcie Głównej. List wysłany do Ikonnikowa, no, ten, który chciałem zabezpieczyć, przeszedł przez pocztę numer czterdzieści pięć, mieszcząca się w budynku dworca Białoruskiego.

– A skąd ty to wiesz? – zapytał podejrzliwie komisarz.

– Przysłał mi go Ikonnikow wraz z listem pośmiertnym. Píše w nim, że ktoś chciał go użyć jako tarczy...

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu, baranie? Ja tu sobie łamię głowę, jak cię jutro mam bronić, a ty się bawisz ze mną w ciuciubabkę! Nie masz wszystkich w domu, czy co? Wobec tego powinienes się leczyć!

– Pewnie ma pan rację – wzruszyłem ramionami. – Ale to jeszcze nie wszystko...

– No, to mów szybciej! Wleciesz się jak za pogrzebem!...

– Chłopcy, te hipy, które kupiły magnetofon, wysiedli na stacji Odincowo...

– No i co z tego? Od Odincowa do Golicyna jest jeszcze całe mnóstwo przystanków!

– Właśnie że nie. To znaczy, że przystanki są, ale akurat ten pociąg jest przyspieszony.

– Dokładnie to sprawdziłeś?

– Oczywiście! Pociąg odchodzi z dworca Białoruskiego

o 19.12 i zatrzymuje się na następujących przystankach: Moskwa 3, Biegowa, Kuncewo, Niemczynowka, Odincowo i Golicyno. W ten sposób mamy trasę: dworzec Białyoruski, Biegowa – z odgałęzieniem na trolejbus, to bardzo wygodna przesiadka – potem Kuncewo, w Odincowie chłopcy wysiedli, a sprzedawca magnetofonu pojechał dalej. A dalej mamy tylko stację Golicyno.

– No dobrze, a co zamierzasz zrobić w Golicynie?

– Golicyno to przecież nie Moskwa. To nie osiem milionów ludzi plus przyjezdni z okolic podmiejskich. Zresztą mamy tam punkt zahaczenia...

– Jaki znów punkt zahaczenia?

– W starych aktach, które przestudiowałem, dwukrotnie jest mowa o ślusarzu produkującym łomy. Oskarżeni znają go z wyglądu i pseudonimu – „Zegarmistrz”. Nie wiedzą, gdzie mieszka i jak się nazywa, ale jeden z nich przypuszcza, że pseudonim pochodzi od zawodu.

Komisarz długo milczał, słyszałem, jak usiłował zapalić papierosa i sapał w słuchawkę, aż wreszcie zapytał:

– Stasiu, czy ty rozumiesz, że nawet w wypadku powodzenia, to nam jeszcze nie rozwiązuje sprawy? To przecież jedynie wyraźniejszy ślad. Ten ślusarz najprawdopodobniej nie jest sprawcą włamania, tylko pomocnikiem. O ile znam takich facetów, to oni nigdy nie chodzą sami na robotę. Po prostu im się to nie opłaca, bo mają fach w rękach...

– Tak, rozumiem. Ale ten, kto przejmie ode mnie sprawę, nie będzie już musiał walczyć ze zjawami, tylko z żywym, realnym draniem. A to zawsze jest łatwiejsze...

– Tak, synku, masz rację. No cóż, życzę ci powodzenia.

– Dziękuję i dobranoc.

– Z tym będzie gorzej... No, do roboty!

I odłożył słuchawkę.

– Pada śnieg – powiedziała Ławrowa. Stała przy oknie z twarzą przyciśniętą do szyby i zasłaniała dłońmi oczy, żeby nie przeszkadzało jej światło lampy.

Zgasilem światło, wstałem od biurka, również podszedłem do okna i zobaczyłem, że cała Pietrowka jest zawalona śniegiem. Śnieg był wszędzie – na drzewach w Ermitażu, na dachach domów, na chodnikach, a na jezdni rzadkie jeszcze o tej porze samochody wyjeżdżały dwie równe koleiny, czerniejące w tej roziskrzanej bieli niczym linie na papierze nutowym. Paliły się jeszcze latarnie uliczne i dlatego śnieg migotał fioletowymi odblaskami.

W głośniku radiowęzła coś trzasnęło i dziarski głos kobiety, dźwięczny, wesoły, a zarazem oficjalny powiedział:

– Dzień dobry, drodzy towarzysze! Jest godzina szósta czasu moskiewskiego. Mamy dziś piątek, dzień trzydziestego października roku 1970...

Ławrowa odeszła od okna, zapaliła światło i zapytała:

– No cóż, zbieramy się?

– Chyba tak. Wszystko przygotowałem.

Ławrowa otworzyła kasę pancerną i wyjęła z niej swój pistolet. Zarepetowała, wprowadziła pocisk do komory naboju, zabezpieczyła i wrzuciła broń do swojej eleganckiej lakierowanej torebki. Nie wiedzieć czemu okropnie mnie to rozśmieszyło. Śmiałem się i śmiałem, a Ławrowa patrzyła na mnie ze zdumieniem i usiłowała zrozumieć, co właściwie mnie tak bardzo rozbawiło. Wcale nie było mi wesoło, ale nie potrafiłem przestać...

– To idiotyczne! – wrzeszczałem, dławiąc się własnym krzykiem. – To idiotyczne i okropne, że kobieta chodzi z pistoletem! Kobiety powinny nosić w torebkach szminkę i puder, a nie pistolety! Ludzie w ogóle nie powinni nosić pistoletów...

Pod bramą już czekała nasza służbowa wołga. Powie-

działem kierowcy: „Do Golicyna”, rzuciłem się na siedzenie i momentalnie zasnąłem.

Do dziesiątej zakończyliśmy oględziny wszystkich warsztatów i niewielkich zakładów pracy, które mogły zajmować się obróbką metalu i ślusarskimi usługami dla ludności. Człowieka, przypominającego z wyglądu „ślusarza” i sprzedawcę magnetofonu, nie było.

– Zbadajmy jeszcze kombinat usługowy – powiedziała Ławrowa. – Jeśli i to nie przyniesie rezultatu, będziemy musieli zrezygnować.

Rozłożyłem ręce.

– Jeśli szturm się nie powiedzie, przejdziemy do długotrwałych działań obłączniczych. Dzielnicy i miejscowy personel operacyjny zbadają każdy dom, każdego mieszkańca. Sądzę, że znajdą.

– Pod warunkiem, że on tu mieszka – zauważyła Ławrowa. – Przecież z równym powodzeniem może tu tylko pracować, a mieszkać na przykład w Możajsku.

– Mamy dwudziestu sześciu pracowników, w tym pięciu mężczyzn – powiedział nam kierownik kombinatu. – Oto ich ankiety.

Kiedy uważnie przeglądałem ankiety i dołączone do nich zdjęcia, weszła księgowa i poprosiła kierownika o podpis na liście płac. Kierownik podpisał, przystawił okrągłą pieczęć i polecił jechać do banku za widoku.

– Bo teraz wcześniej się ściemnia i wszystko może się zdarzyć – powiedział, zerkając na nas z ukosa.

Kobieta wyszła.

Ławrowa, siedząca obok biurka, zapytała:

– Ilu, powiada pan, macie pracowników?

– Dwudziestu sześciu. Bo co? – zdziwił się kierownik.

– A ja zauważyłam, że na liście płac jest dwadzieścia osiem nazwisk. Złożył pan swój podpis akurat pod numerem dwudziestym ósmym.

Uniosłem głowę znad papierów. Kierownik roześmiał się.

– A, o to pani chodzi! Ci dwoje nie pracują u nas na etacie, tylko na umowie. Rastworowa jest pedikiurzystką obsługującą Dom Pracy Twórczej, a Mielnik to nasz starszek.

Ławrowa zapytała obojętnym tonem:

– A co ten wasz starszek robi?

– On wszystko potrafi, ale już od dwóch lat jest na emeryturze i na umowę ostrzy narzędzia fryzjerskie, konserwuje różne urządzenia. Nie może wziąć etatu, bo mu cofną emeryturę, więc dorabia sobie trochę, a nam się to też bardzo opłaca...

Tak samo obojętnie Ławrowa zadała kolejne pytanie:

– A zegarek potrafi naprawić?

– Naturalnie. Co tam zresztą zegarek! On jak Kulibin\* wszystko umie.

– A gdzie ten Kulibin mieszka? – zapytałem.

– Dwa kroki stąd. Ogrodowa 6. Ma tam własny domek...

Domek wyglądał jak rysunek z noworocznej pocztówki. Cały zasypany śniegiem, otoczony drzewami w puszystych czapkach, a nad dachem prosty słup niebieskiego dymu, tryskającego z czerwonego komina.

To nie był domek, tylko dom. Siedziba. Solidna, drewniana chata kryta eternitem, z mieszkaniem na piętterku. Za nią liczne zabudowania gospodarcze, doskonale utrzymany sad owocowy i równe grządki truskawek. Porządne obejście robotnego gospodarza.

\* Iwan Kulibin (1735–1818) – utalentowany rosyjski mechanik, konstruktor i wynalazca, samouk.

Otworzyliśmy furtkę i natychmiast wyskoczył na nas z budy wielki, kudłaty kundel, rozwijając na całą długość zardzewiały pięciometrowy łańcuch. Dławiąc się ochrypłym ujadaniem, pies zagradzał nam wejście do domu.

Ławrowa otworzyła torebkę.

– Co pani robi?! – krzyknąłem.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i wyjęła z torebki czekoladowy cukierek, odwinęła go z papierka i rzuciła psu. Kundel momentalnie ucichł, obwąchał cukierek, pomachał kudłatym ogonem. Połknął czekoladkę i leniwie wrócił do budy.

W oknie domu mignęła jakaś twarz.

– Chodźmy – powiedziała Ławrowa.

Drzwi, obite czarnym dermatoidem, upstrzone równiutkimi rządkami ozdobnych ćwieków, otworzyły się na oścież. Schludna, niemłoda kobieta w narzuconej na ramiona jesionce zapytała:

– Państwo w sprawie letniska na przyszły rok?

– Do sezonu mamy jeszcze prawie rok – powiedziałem.

– Po co się spieszyć?

– Ludzie przewidujący myślą o tym zawczasu – powiedziała kobieta. – I taniej, i pewniej. Spróbujcie wynająć letnisko w maju!

– Ma pani rację – zgodziłem się. – Ale my chcieliśmy pogadać ze Stiepanem Andreiczem. Jest w domu?

– A gdzie niby ma być? Wejdźcie, on coś tam w komorze majstruje...

Mielnik siedział przy stole zbitym z grubych desek, zawalonym jakimś częściami, kablami, narzędziami. Popatrzył na nas, a ja zrozumiałem, że oto nareszcie się spotkaliśmy.

Wielka łysa głowa, nos przechodzący równą linią w czoło, silna szczeka i oczy – uważne, czujne, głębokie.

– Dzień dobry, Stiepanie Andriejewiczu! – powiedziałem

i stwierdziłem ze zdumieniem, że wcale się nie denerwuję. Oto siedzi przede mną Minotaur, rozparty na stercie jakiegoś żelastwa. Schludny, czyściutki starzec, doskonały ślusarz, zwykły i skromny Minotaur, który ukradł stradivariusza i wpędził do grobu Ikonnikowa. Wczoraj o tej porze Ikonnikow jeszcze żył. A Polakow do tej pory choruje. O terminie koncertu słuchacze zostaną powiadomieni...

Znalazłeś złodzieja?!

Wszystko to trwało krótki moment, bo Mielnik, przyjrząwszy mi się, powiedział spokojnie i twardo:

– Dzień dobry, jeśli naprawdę mi go życzysz. Z czym przychodzicie?

– Trzeba zrobić narzędzie – powiedziałem urywanym głosem. – Poradzono mi, żebym zwrócił się z tym do pana. Podejmie się pan?

– Zależy, jakie narzędzie – powiedział Mielnik beznamiętnym tonem, ale dałbym głowę, że drgnęła mu krzaczasta brew. – Musiałbym zobaczyć...

– Z tym nie będzie kłopotu – powiedziałem i zalała mnie fala złośliwej radości. – Właśnie takie...

Podąłem mu krótki, czarny łom z dwiema błyskawicami wybitymi przy wąskim końcu.

Patrzył na łom w milczącym skupieniu, patrzył nieruchomo, bez drgnienia.

– No jak, podejmie się pan? Dogadamy się?

Oderwał wzrok od łomu – znów popatrzył na mnie, potem na stojącą za moimi plecami Ławrową i powiedział spokojnie:

– To znaczy, że jesteście z milicji?

– Tak! – przytaknąłem wesoło. – No i jak, Stiepanie Andriejewiczu, mamy o czym pogadać?

Uśmiechnął się i po policzkach przetoczyły mu się twarde węzły mięśni.

– Z przyzwoitym człowiekiem zawsze jest o czym pogadać...

– Na przykład o włamaniu do mieszkania przy Majakowskiej?

– Jeśli będziesz się odpowiednio zachowywał, to i o tym pogadamy – powiedział wolno, a w jego oczach zatrzepotała myśl: gdzie jest wyjście?

– Przecież ja zawsze zachowuję się odpowiednio – odparłem z naciskiem. – Gdybym się zachowywał nieodpowiednio, to bym do ciebie, Stiepanie Andriejewiczu, w gości nie przyszedł. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – powiedział niespiesznie, spokojnie. – Jak tylko wszedłeś, od razu cię zrozumiałem. Nie powinienem mnie być znaleźć, ale widać inaczej wszystko wyszło.

Ostry kobiecy krzyk rozdarł nagle powietrze w pokoju, zadźwięczał w szybach i opadł do ledwie słyszalnego lamentu:

– Stiopuszka, Stiopuszka, coś ty narobił? Co się tutaj dzieje?...

Mielnik obrócił ku żonie swoją ciężką głowę i bez drgnienia, choć ze złością, powiedział:

– Cicho, matka! I na nas przyszło...

A potem do mnie:

– To moja robota. Tylko że milicja w moim domu jest po raz pierwszy i żona nigdy o niczym nie wiedziała. Sam wszystko oddam. Można nie robić rewizji.

– Nie – powiedziałem. – Nie można. Boi się pan wstydu, ale teraz trzeba myśleć o czym innym.

Popatrzył na mnie z zadumą, wzruszył ramionami i mruknął obojętnie:

– A właściwie to wszystko jedno. Sromu listkiem nie przykryjesz. Róbcie, co chcecie...

Czas pędził jak wściekły, migają twarze, bez przerwy rozlegał się głuchy łoskot, po domu chodzili milicjanci, w kątach przestępowali z nogi na nogę świadkowie, pod oknami stał samochód z radiotelefonem, skąd co chwilę przybiegał młodziutki lejtnancik z telefonogramami i meldunkami. Trzeszczała wyłamywana podłoga, dudniły opukiwane ściany, z wyrazem twarzy lunatyka snuł się ekspert, ostrożnie przesuwając wykrywacz metali, a na oczyszczonym z żelastwa stole promieniały złotem i purpurową emalią laureackie medale i order Polakowa, złoty klucz do bram Strasburga i łańcuch Filharmonii Tokijskiej. Lśnił platynowy klucz wiolinowy, nagroda Towarzystwa Muzycznego w Sydney, oraz odznaka honorowa zwycięzcy konkursu im. Ysaye'a. Wszyscy krzatali się, biegali, coś robili, i tylko my dwaj siedzieliśmy nieruchomo naprzeciwko siebie, wymieniając od czasu do czasu kilka leniwych słów.

– Wszystko oddam, to dadzą mi niewiele – mówił Mielnik, chcąc pewnie pocieszyć się w ten sposób, a ja mu nie odbierałem złudzeń. – Pierwszy raz mi się to przytrafiło, właściciel nie poniósł żadnej szkody i tylko milicja miała trochę kłopotów...

Rewizja dobiegała końca.

Przechyliłem się przez stół i zapytałem ochryple:

– Gdzie są skrzypce?

Odrzucił głowę do tyłu, jakby chciał mnie dokładniej obejrzeć, i powiedział ze zdziwieniem:

– Jakie skrzypce?

– Drewniane! – odparłem. – Zabrane z czarnego futerału, leżące w szafie. Gdzie podziałeś skrzypce?

Mielnik wolno pokręcił głową:

– Nie wiem. Nie brałem skrzypiec. Po co mi skrzypce? Tam wszelkiego dobra i bez skrzypiec było pod dostat-



kiem. A mnie skrzypce nie są do niczego potrzebne, nie jestem przecież grajkiem.

Posiedzieliśmy chwilę w milczeniu, a potem go ostrzegłem:

– Słuchajcie, Mielnik, dobrze się zastanówcie, zanim cokolwiek mi powiecie...

– A ja zawsze najpierw się zastanawiam, a dopiero potem mówię.

– Dokonaliście włamania w pojedynkę?

Tym razem z pewnością głęboko się zastanowił nad odpowiedzią, a jednak odparł:

– W pojedynkę. Po co mi towarzystwo?

Znowu długo milczeliśmy, a ja pomyślałem nagle, że całe to zamieszanie i krzątanina, cały ten bałagan i nerwowa przepychanka do złudzenia przypominają sytuację, w jakiej dokonywaliśmy oględzin mieszkania Polakowa po włamaniu.

– Tak, wszystko wraca do punktu wyjścia – powiedziałem na głos ku własnemu zaskoczeniu.

– Co? – nie zrozumiał Mielnik.

– Nic. Chodzi o to, że kłamiecie, bo przecież tego skoku nie robiliście w pojedynkę.

– A niby po co miałbym kłamać? – mruknął Mielnik. – To przecież kradzież, a nie wygrana na loterii, żeby wszystko dla siebie zagarnąć.

– A jednak kłamiecie. W pojedynkę takiego skoku nie dalibyście rady zrobić. Gdzie są skrzypce?

Mielnik pokręcił głową:

– Nie brałem żadnych skrzypiec...

– Jak uważacie.

Nie byłem tu już potrzebny. Teraz wszystko potoczy się utartym, znanym od wielu lat trybem: zatrzymanego Mielnika zawiozą do aresztu, zakwestionowane przedmioty opiszą, zapakują i zwrócą właścicielowi, dobytek Mielnika

opieczują, sędzia śledczy przejmie materiały dochodzenia... Pobiegną dni i tygodnie poszukiwań pomocników Mielnika. Instrumentu Stradivariususa będą szukać już beze mnie, a ja nie będę mógł nawet pójść do Polakowa i poprosić go o zagranie koncertu Gaetano Pugnaniego.

Odnalazłem Minotaura w jego wstrętnym labiryncie, ale nie zwyciężyłem go – skrzypiec nie było...

Zawołałem Ławrową i podyktowałem jej meldunek.

30 października został zatrzymany ob. Mielnik Stiepan Andriejewicz, urodzony w roku 1908, zamieszkały w obwodzie moskiewskim w miejscowości Golicyno przy ulicy Ogrodowej 6. Mielnik przyznał się, że dokonał włamania do mieszkania artysty ludowego ZSRR L.O. Polakowa, i zwrócił skradzione przedmioty. Zaprzecza jednak udziałowi innych osób w przestępstwie i odmawia wydania skradzionych skrzypiec stradivarius, posiadających ogromną wartość materialną i kulturalną. Proponuję kontynuowanie dochodzenia.

godz. 18.28 St. inspektor Wydziału Kryminalnego  
kapitan Tichonow

Wyszedłem na dwór. Nadal padał śnieg, ale było już zupełnie ciemno. Płatki śniegu przyjemnie chłodziły rozgrzowaną twarz. Na stacji niskim basem ryknęła lokomotywa, z przewodów trakcyjnych tryskały długie błękitne iskry. Pachniało zmurszałym drewnem i mimozą. Chciałem przypomnieć sobie coś bardzo ważnego, coś niezmiernie ważnego dla mnie, dla Polakowa, dla martwego już Ikonnikowa, dla komisarza, dla śmiertelnie zmęczonej Leny Ławrowej, ale to wspomnienie było tak ogromne i bezkształtne, że nie mieściło się w mojej głowie. Malutkie zjadliwe myśli nie pozwalały mu się sformułować i nabrać sił, szarpały je i niczym szczury rozciągały po kawałku,

więc wspomnienie umierało, nie zdoławszy się jeszcze narodzić. I choć, jako się rzekło, było dla mnie bardzo ważne, w żaden sposób nie mogłem go sobie przypomnieć. I ciągle wirowało mi w mózgu coś, co kiedyś usłyszałem lub przeczytałem, a może zobaczyłem we śnie:

„...Nigdy człowiek nie żyje tak szczęśliwie, jak w łonie matki swojej, albowiem widzi płód ludzki świat cały od końca do końca i pojmuje wówczas wszelką mądrość i marność świata tego. Ale w tej samej chwili, kiedy przychodzi na świat i krzykiem swoim pragnie obwieścić ową wielką wiedzę swoją, anioł uderza go w usta. I natenczas człowiek wszystko zapomina...”

## Księga druga

### Prawdy szuka się rozumem...

#### Rozdział dwunasty

### Wypchany Minotaur

Przyszłość ukryta jest przed ludzkim wzrokiem i dlatego pomyłki, które popełnić ma w przyszłości, zawsze silnie związane są z przeszłością. To, co wczoraj było tylko zamierzeniem, dopiero dziś przekształci się w postępek, a jutro zdołamy ocenić go również jako błąd. Ale jutro nasz postępek już w pełni odejdzie w przeszłość i ocena błędu staje się miarą stosunku do przeszłości. I błędy stają się przez to nieodwracalne. Przeszłość nie wraca, zabierając ze sobą również ciężką ofiarę naszych strat. Naprawić błąd nie jest łatwo i najczęściej za własne błędy trzeba drogo płacić. A zapłatą jest konieczność zaczynania wszystkiego od początku. I nikt przy tym nie uchroni się przed nowymi błędami.

O tym wszystkim myślał z głębokim smutkiem Antonio Stradivari, słuchając opowieści Luigiego Piccioniego, który akurat wrócił z Livorno, gdzie spotkał w porcie Paola, najstarszego syna Antonia, który przed tygodniem uciekł z domu. Paolo Stradivari powiedział Luigiemu, że najął się jako majtek na statek płynący do Brazylii. Ojcu pokłonów nie przekazał i obiecał wrócić z Brazylii jako bogacz, bo przecież nikt stamtąd jako biedak nie wraca...

Na czym więc polegał błąd? Może uczył go i wychowywał niewłaściwie? A może syn ma prawo sam dokonać

wyboru – zostać kontynuatorem dzieła ojca lub stać się morskim awanturnikiem? Tak, w domu nikomu nawet nie przychodziło do głowy, że Paolo może zajmować się czymś innym niż budowaniem, tworzeniem skrzypiec. Dwunastoletniemu chłopcu ojciec dał do rąk drewniany cyrkiel i malutki strug i od tej pory codziennie, wyjąwszy pierwszy dzień Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia – stali ramie w ramie przy warsztacie. Potem stanął przy nim również Giuseppe. Potem jeszcze warsztat trzeba było przedłużyć, gdyż zabrakło miejsca dla Franceska. Przed miesiącem swoje miejsce w pracowni zajął także Omobono, który właśnie skończył dziesięć lat.

W domu wyrósł zdrajca. Gdyby Paolo powiedział ojcu, że nie chce robić skrzypiec, nie interesują go nieznane jeszcze sekrety lakieru i kształt efów, ponieważ chce zostać bednarzem, kamieniarzem, malarzem, garncarzem lub rolnikiem, to Stradivarius, choć z bólem, potrafiłby się z tym pogodzić. Ale rzucić to, co w takim krwawym trudzie zdobył ojciec i dał mu w ręce – dla ułudnego blasku łatwych pieniędzy, cudzych pieniędzy, które można szybko i bez trudu zdobyć – tego Stradivarius zrozumieć i wybaczyć nie potrafił.

Siedział w rozpaczliwym odrętwieniu i myślał, że widocznie nadszedł czas próby. Dotychczas był zdumiewająco, niesłychanie szczęśliwy, gdyż miał wszystko, o czym tylko człowiek może marzyć. Był zdrow i silny, miał czterech synów, był bardzo bogaty, a imię jego słynęło w całej Europie.

Synowie rośli na silnych, zręcznych i zmyślnych chłopców. Często, siedząc u szczytu stołu w czasie obiadu, Antonio porównywał, a serce mu przy tym przepelniała radość: sława domu Amatich doszła do zenitu w trzecim pokoleniu i została ukoronowana kunsztem Niccola Amatiego – wnuka. Jeśli los jego upodobni się do losu Andrei

Amatiego, to ród Stradivarich na wieki zostanie w ludzkiej pamięci...

I oto teraz spadł na niego pierwszy cios. Stradivarius wstał i ciężkim krokiem przeszedł się po pracowni. Trzej chłopcy z przerażeniem i zdumieniem patrzyli na nagle postarzałego ojca. Plotkarz Piccioni nabił fajeczkę, zapalił i też z ciekawością zagapił się na Antonia: co też teraz powie ten pyszny, zadzierający nosa lutnik?

Stradivarius stał pośrodku pracowni z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Milczał tak dłuższą chwilę, a potem wolno, ochrypłym głosem powiedział:

– Antonio Amati, młodszy syn Andrei, wuj mojego nauczyciela Niccola, powiesił się w pracowni, kiedy skończył dwadzieścia trzy lata. Ale dom Amatich od tego się nie zawalił. Dom Stradivarich też zniesie utratę syna...

– Da Bóg, Paolo jeszcze wróci – powiedział ze współczuciem Piccioni.

– Nie, tutaj on już nie wróci – powiedział twardo Stradivarius. – Ty, Giuseppe, idź do kanonika i zamów mszę żałobną za duszę mego zmarłego syna Paola...

– Cóż ty mówisz, signore Antonio! – wykrzyknął Piccioni.

– To, co słyszałeś. Antonio Stradivarius nie może mieć syna, włóczęgi i złodzieja.

– Dlaczego uważasz, panie, że on zostanie złodziejem?

– Dlatego, że ludzie łatwo wzbogacają się wyłącznie na złodziejstwie i oszustwie. A więc z tym koniec. Wybacz, sąsiedzie, ale i tak straciliśmy wiele czasu, a mamy wiele pracy. Giuseppe, po powrocie od księdza zaczniesz szlifować deki tej altówki. Ty, Francesco, poszerz efy o dwa włoski. Omobono, synku, popatrz, strug musi iść dokładnie wzdłuż włókien drewna. Wtedy nie robią się zadry... Do roboty, dzieci, nie mamy czasu do stracenia...

...W wyniku dochodzenia, podjętego przez Inspekcję Specjalną, ustalono, że zgon ob. Ikonnikowa P.P. był wynikiem samobójstwa, o czym świadczą zarówno dane obiektywne, jak i tekst jego własnoręcznego listu, którego autentyczność nie wzbudza wątpliwości.

Świadomość faktu, że wprawdzie mimowolnie, ale jednak stał się narzędziem prowokacji nieznanymi przestępców, prowokacji mającej na celu dezorientowanie organów śledczych i skierowanie ich na fałszywą drogę, stała się, zdaniem Inspekcji, przyczyną wstrząsu, który spowodował podjęcie decyzji samobójczej.

...Co się tyczy starszego inspektora Wydziału Kryminalnego, kapitana milicji Tichonowa S.P., Inspekcja uważa jego postępowanie w trakcie czynności śledczych za całkowicie etyczne i w najmniejszej mierze nie plamiące jego honoru oficera.

Biorąc pod uwagę wyżej wymienione fakty i okoliczności oraz uwzględniając dotychczasową nienaganną opinię tow. Tichonowa S.P. oraz brak związku przyczynowego między jego czynnościami a samobójstwem ob. Ikonnikowa P.P., biorąc ponadto pod uwagę dobro śledztwa, Inspekcja stwierdza niecelowość odsunięcia starszego inspektora Wydziału Kryminalnego, kapitana milicji Tichonowa Stanisława Pawłowicza od dalszego udziału w przedmiotowej sprawie...

Naczelnik Inspekcji Specjalnej  
pułkownik Matiuszyn

Mielnik wszedł do gabinetu, rozejrzał się bystro dokoła, podszedł do biurka i usiadł nie czekając na zaproszenie. Ściągnął z głowy futrzaną uszankę, przesunął twardą dłonią po gruzłowatej łysinie i zamiast powitania powiedział:

– Zwolniłem waszych fryzjerów z niepotrzebnej pracy.

– Moglibyście jeszcze i mnie zwolnić z niepotrzebnej pracy i dopiero wtedy wszystko byłoby w całkowitym porządku – powiedziałem.

Mielnik rozpiął czarny kożuszek i roześmiał się.

– A co ty masz jeszcze do roboty? Ciebie przecież od razu zwolniłem, do wszystkiego się przyznałem, a tobie ciągle mało. No to szukaj sobie teraz wiatru w polu.

– A co, Stiepanie Andriejewiczu, niczegoście nowego nie wymyślili?

– Przecie ja najpierw myślę, a potem mówię. Co wymyśliłem, to już powiedziałem.

– Aha, znakomicie. – Wstałem, przespacerowałem się po gabinecie, potem zapytałem: – Przyznaje się pan do zarzuconych czynów?

– Częściowo – uśmiechnął się Mielnik. – Sam to wszystko zrobiłem, nie było ze mną żadnych ludzi.

– To znaczy, że i skrzypce pan ukradł?

– Czegoś ty się do mnie z tymi skrzypkami przyczepił? Na cholere mi te skrzypce? Tam dobytku było tyle, że i ciężarówką człowiek by nie wywiózł, a ty mi o skrzypkach! Wszystko, poza magnetofonem, znaleźliście u mnie. Za niego zapłacę. Nie mam dwóch lewych rąk i roboty się nie boję, ja nawet w więzieniu potrafię zarobić.

– Ale skrzypiec przecież nie ma, prawda?

– Co ty ciągle z tymi skrzypkami! – powiedział ze złością Mielnik. – Jeśli bez nich nie możesz, to też na mnie zapisz... Można je przecież w każdym sklepie kupić za dychę!

– Za dychę, powiada pan? – powiedziałem. – No, no... Proszę więc jeszcze raz opowiedzieć, jak to wszystko było.

– Po co mam znowu wszystko od początku opowiadać? Wypatrzyłem tę chałupę, poczekałem, aż wszyscy wyjechali, poszedłem i obrobiłem.

- Tak mam to zapisać w protokole?
- Pewnie.
- I że skrzypce pan wziął, też mam pisać?
- Pisz. Co mi tam...

Zapisałem to wszystko w protokole i podsunąłem Mielnikowi blankiet.

– Proszę podpisać, że odpowiedzi zostały właściwie zanotowane.

Mielnik wyjął z kieszeni staroświeckie okrągłe okulary w drucianej oprawie, założył je bez pośpiechu, uważnie, poruszając wąskimi wargami przeczytał protokół i podpisał go twardą ręką. Oddał mi blankiet i zapytał z troską w głosie:

- Będę miał do ciebie poważne pytanie, obywatelu...
- Słucham.
- Kiedy rewizję u mnie robili, dobytku szukali, to cały dom porozbijali – podłogi zerwali, ściany podziurawili, tapety pozdzierali. Z pięćset rubli trzeba będzie wydać na remont. Kto za to zapłaci? Milicja czy pan Bóg?

Wyprostowałem się na krześle i popatrzyłem na niego uważnie:

– Nie wiem, jak tam pan Bóg, ale milicja na pewno nie zapłaci.

Mielnik zdjął okulary i rozłożył ręce gestem najwyższego zdumienia.

– Masz ci los! A kto mi pokryje szkody?

Sam się tego nie spodziewając, Mielnik podpowiedział mi właściwą odpowiedź. Wzruszyłem ramionami i rzuciłem beztrosko:

– Nie wiem. Może rada osiedlowa przyzna jakieś fundusze i da siłę roboczą...

Mielnik zerknął na mnie podejrzliwie i mruknął:

– Rada osiedlowa? Akurat, oni już dadzą. Zresztą moja baba nie da rady tych obiboków przypilnować...

Włożyłem blankiet protokołu do teczki, zamknąłem ją i wrzuciłem do szuflady biurka.

– Proszę się nie martwić, Stepanie Andriejewiczu. Prawdopodobnie zdejmemy panu ten kłopot z głowy i zajmujemy się domem.

– Jak?

– Zwyczajnie. Oczywiście ja nie wydaję wyroków, ale sądzę, że pański dom zostanie skonfiskowany. Piękny dom, z ogrodem, prawda? Dzieciarnia będzie miała tam doskonałe letnisko!

– A to niby dlaczego? – zapytał Mielnik ochryłym nagle głosem i po raz pierwszy w jego oczach dostrzegłem strach. – Dlaczego mają skonfiskować? Z mojego artykułu nie można skonfiskować...

– Można – odparłem twardo. – Przecież jeszcze pan nie zna artykułu, z którego będzie odpowiadał. Będę musiał, jak widzę, przeprowadzić pewną pracę wyjaśniającą.

– No, wyjaśniaj, wyjaśniaj, posłucham. Naucz mnie rozumu, jeżeli sam tego dotychczas nie zrobiłem – powiedział Mielnik ze źle ukrywaną wściekłością.

– Proszę bardzo. Każdy człowiek, decydujący się na dokonanie przestępstwa, już w tym momencie popełnia swój pierwszy błąd: jest absolutnie przekonany, że go nie złapią, bo inaczej nawet by nie próbował. Ten błąd również i pan popełnił. Zgadza się?

– Przypuśćmy. I co z tego?

– Potem, kiedy was jednak złapiemy, z początku popełniacie drugi błąd. Sądzicie, że to przypadek, że wpadliście przez własną głupotę. I uważacie, że póki co lepiej za dużo nie gadać. Ale myśmy pana aresztowali nie przez przypadek. Szukaliśmy i znaleźliśmy. Rozumie to pan?

Mielnik skinął głową.

– Bardzo się cieszę, że tak dobrze się rozumiemy – powiedziałem.

– Dobrze zaczęliśmy, ale zobaczymy, jak się nasza rozmowa skończy – uśmiechnął się Mielnik zjadliwie.

– Dobrze się skończy – zapewniłem go. – Słowo daję, że się dobrze skończy. Pan jest przecież u nas po raz pierwszy, a ja już na tym krzeselku nie takich widywałem. Prawie wszyscy oni, kiedy dojrzewali do pańskiego obecnego stadium, z reguły popełniali kolejny błąd. Zupełnie jak pan teraz.

– Jakież to błąd popełniam, jeśli nie sekret?

– Ten mianowicie, że uważa mnie pan za głupszego od siebie. A to akurat nieprawda. Może pan spytać, kogo zechce, a każdy odpowie, że nie jestem od pana głupszy. Pańska jedyna przewaga nade mną polega na tym, że pan wie, z kim okradał mieszkanie Polakowa, a ja nie. Na razie. Ale dowiem się tego na pewno i wtedy okaże się, kto jest głupszy... A w pańskim domu dzieciarnia będzie latem wypoczywać.

– A ja akurat nie mogę zrozumieć, dlaczego to chcecie skonfiskować mój dom.

– Nic dziwnego, po prostu staram się stopniowo ułatwić panu zrozumienie całego problemu, sprawić, żeby nie uważał mnie pan za idiotę.

– A co, czujesz się obrażony? – zapytał Mielnik ze złym błyskiem w oczach.

– Ależ nic podobnego! – zamachałem gwałtownie rękami. – Tylko że przeszkadza nam to we współpracy. A teraz proszę słuchać mnie uważnie; opowiem panu, co pan myśli o powstałej sytuacji, a właściwie, co powinien pan myśleć.

– Bardzo jestem ciekaw, o czym to ja właściwie myślę – powiedział Mielnik, zakładając ogromne ręce na piersiach.

– Myśli pan następująco: wpadłem z kretesem, więc nie ma się co zapierać. Oskarżają ukradzione przedmioty,

które zidentyfikuje Polakow i chłopcy od magnetofonu. Nie ulega więc wątpliwości, że przyjdzie posiedzieć. Trzeba teraz tylko zastanowić się, czy wskazać współników, czy też wziąć wszystko na siebie. Ale tu sprawa jest jasna: trzeba wziąć na siebie. Wszystko za tym przemawia: po pierwsze, złodziej działający w pojedynkę zawsze dostaje mniej, po wtóre, pańscy kumple byli już z pewnością niejednokrotnie karani, zatem dołożą im za recydywę. Wreszcie wszystkie skradzione przedmioty pan zwrócił, a więc odpowiedzialność cywilna będzie groszowa. W sumie dostanie pan ze dwa lata, przyłoży się do roboty w kolonii, nie jest pan już najmłodszy, więc jak dobrze pójdzie, za jakiś rok można się będzie zająć truskawkami we własnym ogródku. Dobrze mówię?

– Adwokat! – potrząsnął głową Mielnik. – Gdybym takiego miał w sądzie...

– Ja nie mogę, obiecuję za to podrzucić pańskiemu adwokatowi jeszcze trochę roboty.

– Właśnie widzę – westchnął ciężko Mielnik.

– Tak. Może by nawet tak się wszystko ułożyło, ale skrzypki przeszkadzają.

– Skrzypki? – zapytał Mielnik ze zdziwieniem.

– Tak, skrzypki. Te właśnie, o których myśli pan, że można je kupić za dychę.

– I co z tymi skrzypkami? – zapytał ponuro Mielnik.

– A to, że przez te właśnie skrzypki zaliczany jest pan do kategorii szczególnie niebezpiecznych zbrodniarzy.

Mielnik ciężko wstał, pochylił się nad biurkiem i powiedział syczącym głosem:

– Słuchaj, młody generale, ty ze mną nie żartuj. I nie wrabiaj. Mleko masz jeszcze pod nosem...

Roześmiałem się. Nie wiem, może gdybym się rozzłościł, zagapił w protokół albo zaczął krzyczeć, to Mielnik by mi uwierzył.

Ale ja się tylko roześmiałem.

– Ech, Stiepanie Andriejewiczu, kłopot polega właśnie na tym, że nie żartuję. Przecież pan ciągle liczy na artykuł 144 – kradzież własności prywatnej, kara do pięciu lat. A skrzypce są państwowe, ubezpieczone na trzysta tysięcy złotych rubli. Kradzież mienia społecznego szczególnie dużej wartości. Mamy więc zupełnie inny artykuł, który pachnie nie tylko konfiskatą...

Mielnik opadł ciężko na krzesło. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Twarz mu pobladła i zastygła jak gipsowy odlew. Długo siedzieliśmy w milczeniu i nic nie zakłócało ciszy, oprócz ciężkiego, świszczącego oddechu Mielnika. Potem powiedział bezbarwnym głosem:

– Zrozumiałem wszystko. Chcecie mnie zrobić.

– Niech pan da spokój – machnąłem ręką. – Po co znów przelewać z pustego w próżne? Przecież i tak jest oczywiste, że teraz będzie pan, Stiepanie Andriejewiczu, moim najlepszym pomocnikiem w szukaniu skrzypiec...

– Masz ci los! A to niby dlaczego?..

– To przecież logiczne. Z naszej rozmowy wynika, że nie miał pan najmniejszego pojęcia o rzeczywistej wartości skrzypiec. A istnieją tylko trzy motywy kradzieży tego instrumentu: żeby go zniszczyć, żeby ukryć w charakterze skarbu albo żeby przemycić za granicę. Sprzedać go w naszym kraju nie można, gdyż takie skrzypce można policzyć na palcach i każde z nich są znane równie dobrze, jak twarze słynnych ludzi. Dlatego albo pan powie, kto nadał tę robotę, albo...

Mielnik wstał i krzyknął histerycznym głosem:

– Nikt mi tej roboty nie nadawał. Byłem sam i skrzypiec nie kradłem!...

– No, niech pan siądzie, bardzo proszę! I niech mi pan tu nie urządza wzruszających scen. Przecież nawet dzieciak zrozumie, że operowała cała szajka, a pan mi tu opowiada

głupoty i chce, żebym w nie uwierzył i w dodatku pomógł uniknąć kary. Cha! Albo opowie pan wszystko, jak było, albo będziemy uważać pana za organizatora kradzieży skrzypiec.

Mielnik milczał przez dłuższą chwilę, a potem mruknął ponuro:

– Muszę pomyśleć.

– Bardzo proszę – zgodziłem się, wiedząc doskonale, że Mielnik nie ma wyjścia. – Tylko proszę myśleć szybko, bo sam pan jest zainteresowany, abyśmy złapali współników jak najszybciej.

– Nie miałem żadnych współników – powiedział bez przekonania Mielnik.

– Daj spokój, Mielnik. Nie zmuszaj mnie, żebym co chwila łapał cię na kłamstwie. Jesteś już starym człowiekiem, więc trochę mnie to krępuje.

Mielnik uśmiechnął się.

– Taką już macie robotę. Jak popi...

Komisarz bronił się i opędał od kogoś przez telefon:

– Tak, ja bardzo cenię i szanuję nasze służbowe pieski... Oczywiście... Ale nie jestem przewodniczącym Moskiewskiej Rady Narodowej... Słuchaj, Kuzniecowa, mam trzydziestu sześciu oficerów, którzy czekają na mieszkania, więc najpierw na to użyję swoich wpływów, a pieski będą musiały jeszcze trochę poczekać na większy wybieg... No cześć...

Komisarz odłożył słuchawkę i zapytał mnie:

– No, więc ilu ich w końcu było?

– Pewnie co najmniej dwóch.

Komisarz podrapał się w policzek tępym końcem ołówka i z zastanowieniem powiedział:

– Coś mi się wydaje, że ktoś całkiem niedawno dawał głowę, iż była tam tylko jedna osoba.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Cóż robić, jestem mądry po szkodzie. Jak mówi o mnie Ławrowa, l'esprit d'escalier.

– Co to znaczy? – zapytał z ciekawością komisarz.

– „Schodowy umysł” po francusku.

– A! Jasne, eskalator! – wykrzyknął komisarz. – Ona tylko tak mówi, czy również myśli?

– Trudno powiedzieć. Pewnie myśli.

– To źle. Podwładni powinni szanować zwierzchników, wtedy dolegliwości służby wydają się łżejsze.

– Słusznie! – uśmiechnąłem się od ucha do ucha. – Sam już dawno to zaobserwowałem.

Komisarz powiedział:

– Cóż więc twój eskalatorowy rozum wymyślił?

– Nie ma mowy, żeby Mielnik mógł sam sobie poradzić z taką akcją. Najprawdopodobniej użyto go jako narzędzia...

– To w zakresie organizacji przestępstwa. A co z jego realizacją? Ilu ludzi bezpośrednio uczestniczyło w kradzieży? Przecież Mielnik nawet sam mógł obrobić mieszkanie Polakowa, prawda?

– Nie sędzę, żeby w mieszkaniu był sam. Po pierwsze, spośród trojga skrzypiec znajdujących się w domu włamywacz bez wahania wybrał najcenniejsze. Po wtóre, zabezpieczony ślad nie należy do Mielnika, to był mały pantofelek numer czterdzieści.

– A ja dopuszczam – powiedział komisarz, patrząc na mnie chytrze – że Mielnik w ogóle nie dotykał skrzypiec.

– Jak to?

– Nie wiem – wzruszył ramionami komisarz. – Całkiem możliwe, że ci, którym potrzebne były skrzypce, zostawili

mu, jak każdemu najemnikowi, zdobyte miasto do rozgrabienia.

Zadzwoił telefon, komisarz podniósł słuchawkę:

– Słucham. No? U mnie, bo co? Aaa, to zawsze się chwali. Przyprawdźcie go wprost do mnie.

Komisarz odłożył słuchawkę, uniósł palec do góry i powiedział z naciskiem:

– Zatrzymany Mielnik prosi o przesłuchanie. Z tobą jednak, okazuje się, nie chciał rozmawiać, lecz wyraził życzenie złożyć zeznania głównemu generałowi milicji. Przychylimy się do jego prośby?

– Naturalnie.

Komisarz założył okulary i popatrzył na mnie z uśmiechem.

– No i widzisz, Tichonow, jak dobrze być generałem?

– Ja myślę...

– Właśnie. Ile musiałeś się narobić, żeby go złapać? A cała sława z jego przyznania się do winy spłynie na mnie.

– To się jeszcze zobaczy... – powiedziałem z powątpiewaniem.

– Co mianowicie?

– Co on powie...

Mielnik zatrzymał się pośrodku ogromnego gabinetu, zmarszczył gniewnie krzaczaste brwi, zerknął na mnie z ukosa, przeniósł wzrok na połyskujące srebrem pagony komisarza, znów popatrzył na mnie i powiedział z niezadowolaniem w głosie:

– A on tu po co? Przecie powiedziałem, że tylko głównemu będę zeznawał!

Komisarz wyszedł zza biurka, zrobił kilka drobnych kroczków i zamarł w przerażeniu.

– Stiepanie Andrieiczu, czyżbym pana zagniewał? Nie-



zadowolony pan, że wpuściłem na przesłuchanie inspektora Tichonowa? Może przepędzimy go?

– Ja swoje słowo już powiedziałem! – uciał Mielnik.

Komisarz obrócił się do mnie:

– Słyszałeś, Tichonow, słowo mężczyzny? Zupełnie nie wiem, co mam teraz zrobić. Przecież widzę, że pan Mielnik nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Co za szkoda! Przecież takie szczęście zdarza się człowiekowi raz w życiu, a ty mi wszystko zepsułeś. Gdzie go trzymasz, w areszcie?

Przytaknąłem. Komisarz rozłożył z troską ręce. Pospiesznie wrócił za biurko, westchnął ciężko i powiedział:

– Znaczy się, zrobimy tak: przenieś go do izolatki. To po pierwsze. Teraz dalej: przygotuj materiały do przedstawienia mu również oskarżenia o kradzież mienia społecznego szczególnie wielkiej wartości. Ile tam się należy z 93 artykułu, bo jakoś zapomniałem?

– Od ośmiu lat do rozstrzelania.

– Bardzo ładny zakres – ucieszył się komisarz. – I po trzecie wreszcie: zażądaj z archiwum akt wszystkich spraw – Kałaganina, Fomki Szczura, Finogeja, Sidorenki, słowem, wszystkich spraw według listy, w których występował łom naszego fabrykanta. Pociągniemy cię, Stiepanie Andriejewiczu, do odpowiedzialności również we wszystkich tych sprawach – powiedział czule komisarz. – Niewątpliwy współudział w przygotowaniach do przestępstwa. A zatem, jak to się mówi, nie śmiem już pana zatrzymywać, eskorta czeka za drzwiami...

Mielnik nie spodziewał się takiego zwrotu rozmowy. Skurczył się cały, zapadł w sobie i ruszył do wyjścia ciężko powłócząc zesztywniałymi nogami. Przy drzwiach zatrzymał się, obejrzał na komisarza i powiedział ze smutkiem:

– A ja myślałem, że porozmawiamy sobie jak człowiek z człowiekiem...

Komisarz zerwał się zza biurka, lekko jak kot przeciął gabinet i zatrzymał się przed Mielnikiem.

– A niby dlaczego mielibyśmy rozmawiać jak człowiek z człowiekiem? – zapytał cicho i od tego cichego głosu, niemal szeptu, Mielnik wzdrygnął się.

Słowo honoru, że ja sam się przestraszyłem!

– Coś ty myślał? – równie cicho i bezbarwnie ciągnął komisarz. – Że wystarczy, abyś się zgodził, a ja tu zaraz urządzę przyjęcie, do stołu nakryję, obejmę cię i będziemy gaworzyć o twoim życiu, które ci zmarnowałem? Tak? Długo na to poczekaasz! Jesteś złodziejem, starym kryminalistą! Ukradłeś skrzypce, które geniusz stworzył w krwawym trudzie! I grał na nich geniusz, który dawał ludziom szczęście każdym dźwiękiem, a ty okradłeś cały naród i teraz zjawileś się u mnie, raczyłeś porozmawiać... Nie licz na żadną pobłażliwość! Dlatego albo powiesz całą prawdę, słyszysz – całą! – albo będziemy uważać twoją sprawę za zamkniętą. Dowodów mamy aż nadto!

Komisarz odwrócił się na pięcie, bez pośpiechu wrócił za biurko, usiadł w swoim fotelu i powiedział do mnie:

– Żli z nas i bezduszni ludzie, Tichonow – błysnął złotymi zębami. – Nie potrafimy znaleźć właściwego podejścia do młodego i niedoświadczonego człowieka, który potknął się po raz pierwszy w życiu...

Mielnik zdjął kożuszek, zwinął go starannie i położył na podłodze pod drzwiami, podszedł do biurka, usiadł, przeciągnął dłonią po łysinie i powiedział rzeczowym tonem:

– Widzę, że będę musiał mówić jak na spowiedzi. Nie ma co złościć was bez potrzeby, obywatelu naczelniku, i tak widać, że z was człowiek poważny.

– Trzeba to było już dawno zrozumieć. Dla własnego dobra – powiedział komisarz, wcisnął klawisz na pulpicie i rzucił do mikrofonu: – Przyślijcie mi stenografistkę...

– Od czego zacząć? – zapytał Mielnik.

- Od początku. Od dzieciństwa.
- Eee. To będzie za długa historia. Ja przecie mam tyle latek, ile wy obaj do kupy.
- Nie rób za sierotkę – powiedział komisarz. – Jesteś tylko o pięć lat starszy ode mnie.
- Moje lata były trudne, dlatego o wiele dłuższe – potrząsnął głową Mielnik. – Ukrywać się jest zawsze ciężiej, niż szukać.
- Aha – zgodził się komisarz. – Ale kto cię zmuszał do ukrywania? Przecież, powiadają, potrafisz wszystko zrobić. Mogłeś więc pracować na zdrowie.
- Za darmo? – łypnął ze złością Mielnik. – Jeśli by życie inaczej się ułożyło, byłbym milionerem, własną fabryką bym kierował, a nie w ciupie u ciebie ze złodziejami rozmawiał...
- Dlaczego ci się to twoje życie nie ułożyło?
- Dlatego, że nie pozwalacie po ludzku żyć! Jeśli człowiek potrafi i chce pracować, powinien coś z tego mieć. Ja umiem pracować, a obok mnie udaje robotę darmozjad. Jemu za pracę społeczną, za gadaninę – dyplom, a on, jak każdy głupi, cieszy się z byle czego, a mnie na cholere ten dyplom? Ja chcę mieć z roboty korzyść, a mnie dają premię, piątkę w zęby i na tablicę honorową! Przodownik!... A ja waszych zaszczytów nie potrzebuję. Ja chcę zarobić. Gdybym dostał tyle, ile uczciwie zarobiłem, to nigdy bym na cudze nawet nie popatrzył. Zresztą nigdy nie brałem cudzego, poza tym jednym razem. Narzędzia robiłem, fakt! Ale złodzieje kupowali je u mnie za pieniądze, a co tam dalej z nimi robili, to już nie moja sprawa.
- Ładną masz filozofię – mruknął komisarz.
- A co w niej złego? Jeśli bym kupił w spółdzielni siekierę i rąbnął nią żonę w głowę, to co, sprzedawcę razem ze mną pod sąd? Ja swoją pracę, umiejętności włożyłem, zrobiłem dobrą rzecz, a dalej już nie moja sprawa. Łomem

można przecież wyważać drzwi, ale także wyciągać gwoździe!

Komisarz roześmiał się cicho i zapytał:

– A po co biłeś błyskawice na swoich łomach? Przecież w ten sposób mogłeś wpaść. Po co?

Mielnik wzruszył ramionami:

– Tak sobie. To niby był mój znak firmowy... Żeby wiedzieli...

Komisarz pokręcił głową.

– Nie, to nieprawda, że tak sobie. Stawiałeś swój znak, żeby wiedzieli. To się zgadza. Zdawałeś sobie sprawę z ryzyka, ale chciwość była silniejsza. Kryminalista chętnie przepłacał, bo chciał zadać szyku, a poza tym twoje błyskawice stanowiły coś w rodzaju gwarancji, bo wiedział, że jesteś dobrym fachowcem. Ale to teraz wszystko nieważne, tak sobie tylko przy okazji zapytałem. A więc uczciwych zarobków ci nie starczało i związałeś się ze złodziejami. Tak było?

– Tak – zgodził się Mielnik.

– A ja mam tutaj twoje papiery – powiedział komisarz. – Wcale z nich nie widać, żebyś tak mało zarabiał na państwowej posiadzie. Po co ci było więcej? Nie masz przecież dzieci.

– A co z tym dzieci mają wspólnego? – zdziwił się Mielnik. – Człowiekowi i bez dzieci żywy grosz jest potrzebny.

– A po co? – z głupia frant zapytał komisarz.

Mielnik pochylił się nad biurkiem i powiedział z nienawiścią:

– Syty głodnego nie zrozumie! No dobra, nie będziemy sobie gęby strzępić na próżno, porozmawiajmy poważnie – powiedział.

– W porządku – zgodził się komisarz.

– Niech panienska zapisuje. – Mielnik wskazał gestem

stenografistkę. – A ty zapamiętaj albo jak tam chcesz. Znaczy się tak, zjawił się u mnie jakieś pięć lat temu facet. Fryzura modna, na zero, wiadomo, z jakiego kurortu. Człowiek widać niemały, bo od razu od kilku moich klientów przekazał pozdrowienia. Od razu było widać, że nie gada dla pucu, tylko przyszedł w poważnej sprawie.

– Zaproponował coś panu? – zapytałem.

Mielnik pokręcił głową.

– Nie. Przekazał pozdrowienia, powiedział, że jeszcze kiedyś wpadnie, żeby pogadać o robocie. Zapytał, jak mi się żyje, jak z zarobkami. A jakie teraz mogą być zarobki? Przecież wszystkich fachowych złodziei wyłapaliście, znaczy się tych, którzy używali moich narzędzi. Pętaki tylko różne zostały, więc nie z własnej woli, tylko z konieczności przestałem kombinować, bo nie było kupca na mój towar. No a potem dał mi dwieście rubli...

– Za co? – zainteresowałem się.

– Za nic. W charakterze jednorazowej zapomogi. Powiedział, że kroi się w przyszłości jedna robota i że ta forsa to coś w rodzaju zaliczki. Skapowałem, że człowiek musi dużo znaczyć, kiedy za frajer wetknął mi dwie stówy, dał zaliczkę pod zastaw rozmowy.

– To znaczy, że zrozumiał pan, iż ten mężczyzna jest przestępcą planującym jakąś akcję niezgodną z prawem? – uściśliłem.

– No pewnie, że nie agent ubezpieczeniowy. Ty mi przecież ze swojej pensji dwóch stów nie ofiarujesz dla podtrzymania znajomości. Krótko mówiąc, facet zniknął prawie na rok, a kiedy znów się zjawił, to go nie poznałem: odpicowany, jakby wrócił z zagranicy. Urządzałem się, powiada, organizowałem sobie życie: Od tego czasu regularnie do mnie wpadał, przywoził wódkę z zakąską, dowcipy opowiadał, wypytywał o to i owo, a poza tym ani słowa. Oczywiście go nie popędzałem, bo przecież koń nie woła

„wio” na furmana. Tak trwało dłuższy czas, dopóki nie przyjechał kiedyś bez wódki, poważny, i pogadamy poważnie, powiada.

– Kiedy to było? – zapytał komisarz.

– Na początku października.

– Wiedzieliście już do tego czasu, kim on jest, jak się nazywa, gdzie mieszka, czym się zajmuje? – Wydawało mi się, że teraz Mielnik mówi prawdę, chciałem więc wycisnąć z niego jak najwięcej informacji, póki się nie rozmyśli.

– Niczego się o nim nie dowiedziałem i do tej pory nie wiem. Powiedział tylko, że się nazywa Jakub Krest, ale nie wiem, czy to jest pseudonim, czy prawdziwe nazwisko... U nas przecież jest tak samo, jak wśród szpiegów z filmu, za niepotrzebne pytania język mogą uciąć. Zresztą w ogóle im człowiek mniej wie, tym spokojniej żyje.

– A co możesz o nim powiedzieć jako o człowieku? – zapytał komisarz. – Czy to jest zawodowy przestępca, czy tylko żulik? Kulturalny facet czy złób?

– Nie wiem – Mielnik wzruszył ramionami – nie umiem go rozgryźć. Rozmaitych facetów w swoim życiu widziałem, a tego nie potrafiłem rozgryźć. Śliski facet. Wystarczy trochę przycisnąć, a od razu wyslizguje się z ręki. Ale to twardy chłop, myślę, że dla niego podciąć gardło, to jak dla ciebie splunąć.

– No, no – powiedział komisarz. – O jakich więc poważnych sprawach zaczęliście rozmawiać?

– „Ja – mówi mi Krest – uważam ciebie za człowieka rozsądnego i poważnego, więc powiem ci szczerze, o co mi chodzi. Ja przecież, powiada, nie pracuję na własną rękę. Jest taki jeden człowiek, duży Szef. Nawet o niego nie pytaj, bo ja prędzej dam sobie «krawat» założyć, niż go wydam. Łebski facet. Właśnie on proponuje małą robótkę, za którą obiecał grubą forszę”. „Jaka to sprawa” – pytam. „Trzeba otworzyć mieszkanie”. Ja mu na to, że sam nigdy

nie chodziłem na taką robotę i nigdy nie pójdę, bo się boję. Nie od tego jestem. A Krest się śmieje: „Zapomnij, powiada, Stiepanie Andriejewiczu, o facetach, którzy obrabiają chałupy. Tu nawet nie pachnie kradzieżą. Ci ludzie robią interesy, o jakich nam się nawet nie śniło. Masz dźrobić klucze i otworzyć mieszkanie. Do środka wejdzie Szef, a ty musisz trzymać się z daleka. Szef popatrzy tylko na papiery w biurku i od razu wyjdzie, zamykając drzwi. Dostaniesz forszę i znikniesz”.

– No i zgodził się pan – powiedziałem.

– Nie od razu. Długo się zastanawiałem, a im dłużej myślałem, tym większa mnie brała ochota. Dla mnie to rzeczywiście żadna robota, a Krest obiecał mi niezły grosz. Akurat miałem zamiar pokryć dom blachą, więc trochę forsy by mi się przydało.

– No i co było dalej? – zapytał komisarz.

– Dalej, to ja zgodziłem się wyłamać zamek. A Krest znowu w śmiech: „Zastanów się, stary, powiada, kto w naszych czasach wyłamuje drzwi po nocy. Robota powinna być zegarmistrzowska, żeby nikt nawet nie domyślił się wizyty nieproszonych gości”. – „Więc co mam robić?” – pytam. „Szef, powiada, już wszystko obmyślił i zorganizował. Przyjdiesz nocą do tego domu, wejdiesz na czwarte piętro i wbijesz kawałek drutu w dziurkę od klucza. A rano z torbą na ramieniu, niby ślusarz z administracji, zadzwonisz do drzwi i powiesz, że kazali ci sprawdzić kran. Kiedy spróbują ci otworzyć, zauważą, że zamek źle działa. Dla tych okularników wszyscy ślusarze wyglądają jednakowo, więc z pewnością poproszą cię, żebyś sprawdził zamek. Kiedy wyjmiesz drut, to poproś o klucze do sprawdzenia zamka i zrób odcisk wszystkich. A ja tymczasem spróbuję odciągnąć właściciela mieszkania, żeby ci nie przeszkadzał. Będę z nim rozmawiał przez telefon. Jak skończysz robotę, to z pewnością dadzą ci parę rubli na piwo. Podzię-

kujesz im i powiesz, żeby w razie potrzeby wezwali cię przez telefon i daj im numer”. Mocno się wtedy zdziwiłem, o jakim telefonie on mówi? A Krest na to: „To nie na twój rozum, rób, co ci mówię, i nie próbuj niczego od siebie dodawać. Zapamiętaj numer i powiedz im”. I dodał jeszcze: „Pamiętaj, że dopóki będziesz słuchał i robił dokładnie to, co ci powiem, wszystko będzie w porządku. Tylko żebyś nie dodawał niczego od siebie”.

– Jaki to był numer? – zapytałem.

– 157-74-62 – powiedział Mielnik i potrząsnął ze smutkiem głową. – Teraz ten telefon będę do końca życia pamiętał. Ech, głupstwo zrobiłem, ale to przez chciwość...

– Kiedy się zgodziłeś? – zapytał komisarz.

– Nie, kiedy Kresta nie posłuchałem. Przez całe życie uważałem się za mądrzejszego od innych, więc przechytzyłem, sam siebie wkopałem.

– A gdybyś Kresta posłuchał, to myślisz, że byśmy cię nie znaleźli? – powiedziałem.

Mielnik popatrzył na mnie spode łba i uśmiechnął się krzywo:

– Może byście i znaleźli, ale tyle byście mieli ze mnie pożytku, co ze psa gnoju. Pogadalibyście i puścili. Bo i nie byłoby o czym gadać.

– Możliwe – powiedziałem. – Nikt tego nie wie. No, wal dalej.

– A co było dalej u tego skrzypka, to sami już wiecie. Zrobiłem klucze i chciałem je już odłożyć, a tu jakby diabeł zaczął mi szeptać do ucha: zrób i dla siebie kluczyk, zrób, co cię to kosztuje! Skoro oni tak się do tego mieszkania pchają, to znaczy, że klucze do niego mają swoją wartość. No i zrobiłem jeszcze jeden komplet, ale, daję słowo, że wtedy jeszcze nie wiedziałem, po co mi one. Przyjechał Krest pod wieczór, daję mu klucze, a on się krzywi: „Głzie

ty, powiada, słyszałeś, Stiepanie Andriejewiczu, żeby klucze miały tyle kosztować? Trzeba, żebyś tam poszedł z Szefem i sam mu otworzył drzwi”. „Przecież daję wam klucze!” „A co będzie, jak zamek nie da się otworzyć? – pyta Krest. – Dla ciebie dopasowanie klucza na miejscu to żadna sprawa, a Szef nie może się tym zajmować. On musi tam wejść tylko na chwilę, zerknąć na papiery i od razu dać nogę. A ty nawet nie wchodź do mieszkania, otwórz i czekaj, aż on wyjdzie. I zrobić to trzeba za pierwszym razem, bo kręcić się tam długo nie wolno. Szef dokładnie się zorientuje, kiedy będzie można tam pójść, żeby wszystko zgadzało się jak w banku”.

– A czy Szef nie wyraził życzenia poznania pana? – zadałem pytanie.

– Krest mi powiedział, że zobaczę Szefa raz w życiu, kiedy będę mu otwierał mieszkanie. I żeby nie tylko, broń Boże, nie próbował zadawać mu pytań, ale nawet się do niego nie odzywał. Jeśli Szef będzie czegoś potrzebował, to sam mi to powie.

Komisarz uśmiechnął się.

– Widzisz, Tichonow, jaki wielki człowiek kręci się nam pod nosem, a my nawet nic o nim nie wiemy.

Mielnik powiedział:

– To nie kryminalista, jestem tego pewien. Niejednego przecież bandziora widziałem. To frajer, ale musi mieć wielką władzę, kiedy Krest go tak obskakiwał. To jednak, oczywiście, zobaczyłem później. A piętnastego, w sobotę rano, spotkałem się z Krestem na mieście. Powiedział mi, że wieczorem pójdziemy robić tę chatę i dał mi parę słów na kartce, żeby wysłał telegram pod jej adresem. Pytam go: „A na cholere ten telegram?” On mi na to ze śmiechem: „Wyłysiałeś, stary, ale najprostszych rzeczy nie rozumiesz. Jeśli przyjdziemy wieczorem, a telegram będzie leżał w skrzynce, to znaczy, że mieszkanie jest puste, można iść

spokojnie”. No więc rozstaliśmy się do wieczora, pojechałem do siebie i ze zdenerwowania wziąłem się do robienia porządków. Trochę się bałem, bo przecież po raz pierwszy szedłem na taką robotę. Stara zrobiła mi kolację i o północy pojechałem do Moskwy. Na placu Majakowskiego czekał na mnie Krest, wesoly i zły... „Przygotowałem karetę dla ciebie” – powiada. I pokazuje mi „koziółka”, łazika, znaczy. Zaraz potem podjechała taksówka, wysiadł z niej mężczyzna, a Krest mi mówi: „Szef zjawił się we własnej osobie”. Podbiegł do niego, zgiął się w pół, coś mu szepcze do ucha. A facet milczy, stoi jak kamień. Potem bez słowa wszedł do bramy, a Krest mi pokazuje, żebym szedł za nim. Na klatce Szef otworzył drzwi windy, zastanowił się przez chwilę i powiedział do mnie: „Niech pan jedzie i otworzy drzwi. Ja pójdę pieszo”. Krótko mówiąc, zanim on się wgramolił, ja już otworzyłem wszystkie zamki. Szef wszedł do ciemnego mieszkania i rozkazał mi z przedpokoju: „Proszę zejść po schodach i poczekać na mnie na ulicy”. Usłuchałem go z radością. Nie upłynęła minuta, a on już wychodzi z bramy, i ręce ma puste. Doszliśmy do samochodu, a Krest pyta: „No i jak?” Szef kiwnął tylko głową, że niby wszystko w porządku. Krest dał mi forszę i mówi: „Spadaj stąd, jutro do ciebie wpadnę”. Wsiadli obaj do łazika i odjechali.

– A ty? – zapytał komisarz.

– A ja poszedłem w stronę ulicy Gorkiego. Nie uszedłem daleko, bo wzięła mnie złość. Chata stoi otworem, na schodach żywego ducha, a dobra tam pewnie choć się zawał. A najważniejsze, coś mi mówiło, że sprawa nie jest czysta: jeśli oni za samo popatrzenie dali mi taką forszę, to coś tu musi być nie tak. I telefon, który zostawiłem w tym mieszkaniu, spokoju mi nie dawał. Bałem się, że Krest mi przez to jakąś świnię podłożył, chociaż nie wiedziałem, jaką. Ale przecież żaden złodziej nie będzie okradzionemu

zostawiał swojego telefonu. I klucze mi w kieszeni pobrękiwały... Wróciłem...

– No, no! – wykrzyknąłem.

– Tak – powtórzył twardo Mielnik. – Zrozumiałem, że te cholerne łobuzy mnie wykantowały. Jak tylko wszedłem do gabinetu, to od razu zobaczyłem rozwaloną szafę i przypomniałem sobie, że dawałem Krestowi łom. Pewnie złota, pieniędzy, kamyków różnych nabrali i dali nogę. No, dobra, myślę sobie, ja też nie jestem od macochy. Znalazłem walizki, napchałem do nich, co mi tam w rękę wpadło, a wszystko tam było porządne, nie musiałem wybierać. Wyrwałem kartki z notatnika telefonicznego, spaliłem, a popiół rozdeptałem na podłodze. I wyszedłem. To jest cała historia, co widziałem, to powiedziałem, a teraz możecie mnie sądzić...

Komisarz zapalił papierosa, parę razy szczęknął zapalniczką, wpatrując się z zadumą w tryskający z palnika błękitny płomyk, i mruknął niewesoło:

– Tak, ciekawa historyjka. No cóż, Tichonow, pytaj. Ty tu jesteś gospodarzem...

– Jak wyglądał Szeff? – zapytałem.

Mielnik zmarszczył czoło:

– Jak? To zwyczajny człowiek, nie ma w nim niczego specjalnego. Trochę od ciebie niższy, ani chudy, ani gruby. Czapkę miał naciągniętą na oczy i podniesiony kołnierz. Miał wielkie okulary, nie tyle czarne, ile takie przyciemnione.

– Potrafisz go rozpoznać?

– Diabli wiedzą... – Mielnik rozłożył ręce. – Widziałem go tylko przez chwilę, a i to po ciemku.

– A Krest? Kresta potrafisz szczegółowo opisać?

– Pewnie, że potrafię. I co z tego? Stoi mi przed oczami jak żywy, ale przecież jego portretu do mózgu ci nie włożę!

– To żaden kłopot! – uspokoilem go. – Mamy taki

aparaci, który nam w tym pomoże. Jeśli stoi ci przed oczami, to narysujesz go nam tym aparatem jak na fotografii.

Mielnik popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– A skąd wiesz, że ja umiem rysować?

– Wcale nie musisz rysować, aparat sam to robi. Ile lat może mieć Krest, jak sądzisz?

– Będzie miał pod pięćdziesiątkę, ale to jeszcze zdrowy chłop.

– A Szeff?

– Nie umiem powiedzieć, bo słabo go widziałem. Ale tak, z figury, to jeszcze niestary facet.

– A Krest przyjechał na drugi dzień, jak obiecywał? – zapytałem.

– Nie. Już myślałem, że na dobre przepadł. Zresztą, co tu ukrywać, cieszyłem się z tego, że już więcej jego paskudnej gęby nie zobaczę. Chociaż szkoda mi było takiego dobrego klienta. Ale po tygodniu znów się pokazał.

– Co powiedział?

– Powiedział, że niby wszystko w porządku. Szeff jest zadowolony. Skapowałem, że nie ma pojęcia o tym, że ja tam jeszcze po nich trochę porządziłem. Wypiliśmy trochę, pogadali. Potem Krest usiadł i napisał dwa listy. Jeden zabrał ze sobą, a drugi dał mnie. Pamiętaj, Stiepanie Andrieiczu, powiada, nie zapomnij wysłać go dokładnie za trzy dni. Dokładnie! Pytam go, co to za list, a on się śmieje. „To, powiada, bardzo ważny list, musisz go wysłać. Przy pomocy tego listu, powiada, zamiast nas grzesznych, Szeff wyśle zastępcę, żeby się na Pietrowce tłumaczył.” Oczywiście nie wiedziałem, o co tu chodzi, a Krest ciągle gada zagadkami: „Słuchaj Szefa, bo to łebski facet i wie, co robi”. „Jeżeli wszystko jest w porządku, to na cholere te wszystkie listy wysyłać?” – pytam go, a on mi tłumaczy: „Milicja, kiedy w grubszej sprawie nie ma żadnych śladów,

to zaczyna się wściekać. Dlatego trzeba im pomóc: niechaj będą i ślady, i odpowiedni sprawca, niechaj go maglują”.

Mielnik zamilkł, przestał skrzypieć ołówki stenografistki, komisarz przestał bawić się zapalniczką, a ja ze wszystkich sił próbowałem się skupić, znaleźć chociażby mikroskopijną szczelinę. Ale bez skutku. Wejście do labiryntu było fałszywe, za namalowanymi drzwiami widniała ślepa ściana, a i Minotaur był nie prawdziwy, tylko wypchany...

– „Tylko jeden, nie znany mi człowiek, który wykorzystał mnie jako tarczę w całej tej historii z kradzieżą skrzypiec...” – powiedziałem półgłosem.

– Co tam mrućysz? – uniósł głowę komisarz.

– Tak napisał Ikonnikow w swoim ostatnim liście. Jest w całej tej historii człowiek, który dokładnie wie, co robimy, i aktywnie nam przeszkadza. A człowiek ten nosi pseudonim Szeff.

– Może tak, może nie – wzruszył ramionami komisarz.

– Sądzi pan, że jest jeszcze jakaś zakulisowa postać?

Komisarz roześmiał się.

– Można by pomyśleć, że Szeff i Krest siedzą już w naszym areszcie i pozostało nam jedynie odszukanie jakiejś tajemniczo zakulisowej postaci. Tymczasem i ci dwaj są dla nas na razie tylko cieniami. Jeśli chodzi o Kresta, to będziemy mieli portret pamięciowy. A Szeff? Nie mamy nawet przyzwoitego rysopisu.

– Może spróbować znaleźć w centralnej kartotece dane o ludziach noszących pseudonim „Krest”?

Komisarz machnął ręką.

– Przyślą nam listę co najmniej dwustu osób. Przecież „Krest” znaczy w żargonie „złodziej”. Sprawdzanie tych ludzi zajmie nam przynajmniej dwa lata.

– Cóż więc robić? Przecież nie mamy żadnego punktu zaczepienia!

Komisarz popatrzył na mnie znad okularów.

– Słuchaj, Tichonow, widzę, że straciłeś głowę... Bardzo ci współczuję!

– Jeśli nie straciłem, to niebawem stracę!

– Strasznie słabą masz tę głowę, jak się okazuje. To pewnie przez to, że za bardzo o siebie dbasz...

– Przypuśćmy. Ale co dalej?

– Dalej, moj kochany, będziemy po prostu myśleć. Mamy kompozycję złożoną z trzech ludzi: Mielnika, Kresta, Szefa. Wyobrażamy też sobie z grubsza podział ról w tej grupie przestępczej. Szeff jest ośrodkiem dyspozycyjnym, organizatorem Krest, wykonawcą Mielnik. To dotyczy stadium przygotowania i dokonania przestępstwa. Takie układy nie są dla nas niczym nowym. Ale później zaczynają się rzeczy dość niezwykle...

Zrozumiałem, co komisarz chce zrobić. Przypomniałem sobie o jego sławnym „przetaku”, przez który zacznie zaraz metodycznie przesiewać ludzi i fakty, jakie znalazły się w naszym polu widzenia.

– Tak, to znaczy, iż stało się oczywiste, że ktoś zbija nas z tropu. Z powodzeniem?

– Dość dużym.

– O tym właśnie mówię. Nasz nieznan przeciwnik nie działa na oślep, co byłoby głupie i mogło jedynie zwrócić na niego uwagę, lecz w sposób całkowicie przemyślany i precyzyjny. Powiedziałbym nawet, że aktywnie współdziałał, skutecznie nas dezinformując. Co z tego wynika?

– Ten lub ci ludzie byli poinformowani o kierunku, w jakim toczy się dochodzenie i jego stanie na poszczególnych etapach.

– W jaki sposób? – zapytał szybko komisarz.

– Widzę tylko dwie możliwości: przeciek informacji

albo też przestępca już przewinął się w sprawie nie zauważony. W trakcie przesłuchania mógł sobie wyrobić stosowny pogląd...

Komisarz zapalił papierosa, rozpędził dłonią dym, pomilczał chwilę, a potem zapytał:

– Jaką drogę rozumowania, którą z tych dwóch możliwości wolałbyś wybrać?

– Druga pod każdym względem wydaje mi się odpowiedniejsza – powiedziałem gorąco.

– Spokojnie, daj spokój z tym patosem. Ja też wolę drugą. Inna rzecz, że ta druga droga wymaga szczególnej znajomości obiektu ich ataku. Dlaczego przestępcy rozpoczęli generalny szturm właśnie na Ikonnikowa?

– Według mnie to jest oczywiste. Ikonnikow jest od wielu lat skłócony z Polakowem, ma reputację dziwaka z porządną domieszką wariata. Jego zachowanie w ostatnich latach jest po prostu niezrozumiałe, a rzeczy niezrozumiałe zawsze wzbudzają podejrzenia. To jest oczywiste – powtórzyłem.

– Dla ciebie jest oczywiste, a dla mnie nie – powiedział komisarz i rozłożył ręce jakby przepraszającym gestem. – Dla mnie to nie jest oczywiste. W każdym razie na miejscu Szefa nie uznałbym go za odpowiedni obiekt do ataku.

– Dlaczego?

– A dlatego, że ten złodziej to człowiek mądry i bywały. Tak mi się przynajmniej wydaje. On doskonale wie, że chociaż Ikonnikow był zwariowanym dziwakiem, to jeśli nie ukradł skrzypiec, prędzej czy później przekonamy się o tym i damy mu spokój, składając na koniec serdeczne przeprosiny.

– Zakładam, że o nic więcej im nie chodziło, chcieli tylko zyskać na czasie.

– Nie! – pokręcił głową komisarz. – Ja uważam, że wybrali Ikonnikowa z innego powodu.

– Z jakiego mianowicie?

– Mianowicie z takiego, że Ikonnikow, zabity następnie przez zbrodniarzy, był dla nich źródłem informacji.

– Co?! – zdumiałem się.

– Ikonnikowa wybrali dlatego, że jeden ze złodziei był mu bardzo bliski. – Komisarz wstał zza biurka, przespacerował się po gabinecie i powiedział wolno: – Po rozmowach z tobą Ikonnikow spotykał się z tym człowiekiem i dokładnie powtarzał mu to, co ciebie interesowało.

– W takim razie ów człowiek musiał dobrze znać również Polakowa – powiedziałem. – Tylko wówczas łańcuszek się zamyka.

– Właśnie – przytaknął komisarz. – Właśnie dlatego trzeba wszystko zacząć od początku i wedle twoich list wyselekcjonować ludzi, którzy dobrze znali ich obu.

Zacząłem szybko przypominać sobie dziesiątki ludzi przesłuchanych w związku ze sprawą. Większość z nich znała zarówno Polakowa, jak i Ikonnikowa.

– To powinien być bardzo bliski człowiek – powiedział komisarz. – On doskonale zna życiorysy i charaktery ich obu, gdyż przewidział wszelkie możliwości kierowania podejrzeń na Ikonnikowa.

– Zacznę od jutra – powiedziałem wstając.

– Sam nie dasz sobie z tym rady – powiedział komisarz.

– Nie rozumiem?

– Po prostu będziesz miał zbyt duże luki w informacjach. Myślę, że powinieneś wybrać do pomocy kogoś z twoich świadków, kto pomoże ci zorientować się w tym tłumie ludzi. Inaczej roku ci na tę robotę nie starczy...



## Głupota jest zbrodnią

W roku 1691 na Antonia Stradivariiego spadł nowy straszliwy cios: Giuseppe, najzdolniejszy z synów, pracowity, cichy i posłuszny, zachorował na cholere.

Wieść o tym obiegła całą Cremonę i o północy dom otoczył ogromny tłum mieszczan z kamieniami i pochodniami w rękach. Żądali wywiezienia chorego do klasztornego lazaretu i spalenia domu razem z diabelskimi skrzypcami i czarnoksięskimi dekoktami, które po nocach warzy Stradivarius, zasmradzając całą okolicę, spalić do cna, żeby zaraza nie rozniosła się po mieście.

Dom był cichy, okiennice na głucho zamknięte, w komnatach było zupełnie ciemno i to jeszcze bardziej przerażało oszalałych ze strachu ludzi. Potem głucho szcęknęła zasuwa i na schody wyszedł Stradivarius. W jednej ręce trzymał zapaloną świecę, a w drugiej – nabity arkebuz.

Ludzie momentalnie ucichli, Stradivarius też milczał i nad ulicą zawisła gorąca, pełna napięcia cisza, zakłócana jedynie sykiem smolnych pochodni. Trwało to dosyć długo, aż czyjś wrzask eksplodował nad tłumem:

– Zabijcie czarownika! On na nas wszystkich sprowadzi nieszczęście!

Tłum runął do przodu, gwizdnął w ciemności kamień i z twarzy lutnika trysnęła krew. Otarł ją spokojnie rękawem białej koszuli, która od razu poczerniała.

– Bij!... Podpalajcie dom!...

Stradivarius uniósł do góry arkebuz.

– Pierwszy, który wejdzie na schody, umrze – powiedział półgłosem, ale wszyscy go usłyszeli.

Pierwsze szeregi zatrzymały się, ale tłum z tyłu napierał.

Za plecami Stradivariusa stanął Francesco z muszkietem.

– Choroba mego syna niczym wam nie grozi – powiedział mistrz. – Z tego domu nikt nie wyjdzie, dopóki mój Giuseppe nie wyzdrowieje albo wszyscy nie umrzemy. Wówczas możecie tu przyjść i robić wszystko, co wam przyjdzie do głowy. Ale na razie ja tu jestem gospodarzem i każdy, kto przekroczy próg bez mego pozwolenia, zginie...

Syn kramarza Quadrellego, pijany, w podartym ubraniu, wrzasnął:

– Nie słuchajcie tego czarownika! – I wbiegł na schody.

Stradivarius podrzucił arkebuz i nie celując nacisnął spust. W ciemności wszyscy zobaczyli żółty błysk, zanim jeszcze rozległ się ostry trzask wystrzału. Quadrelli chwycił się za pierś, osunął się na stopnie i zaczął staczać się po schodach w dół.

Antonio opuścił broń i powiedział:

– Lękacie się nie choroby, tylko swojego strachu i żeby się od niego wyzwolić, postanowiliście zabić chorego, bezbronnego człowieka i zniszczyć to, czego szukałem przez całe życie. Odejdźcie stąd, bo inaczej drogo za swe szaleństwo zapłacicie...

Odwrócił się i wszedł do domu. Zatrzasnęły się głośno drzwi, szcęknęła zasuwa i wszystko ucichło. Tłum ocknął się z odrętwienia i ludzie, głośno krzycząc i lamentując, uciekli spod przeklętego domu...

Antonio wszedł do pokoju, w którym leżał nieprzytomny Giuseppe, i powiedział do żony i dzieci:

– Niechaj nikt tu nie waży się wchodzić. Opiekować się chorym będę tylko ja. Ty, matko, modl się. Nigdy nie przekroczyliśmy boskich przykazań. Przez całe swoje życie tylko pracowałem, więc nie miałem kiedy grzeszyć. Módl się, może Pan usłyszy twój głos. A wy, dzieci, bierzcie się od jutra do pracy. Choroba i słabość częściej dopada

próżniaków. Prorok Izajasz rzekł: Nie lękaj się, albowiem ja jestem z tobą.

Przez całą noc Antonio warzył coś w pracowni, odór octu i chloru wypełnił cały dom. Cuchnącym płynem kazał wszystkim domownikom nacierać ręce, wszystkie sprzęty, okna i drzwi domu. Jedzenie i napoje podawał synowi tylko ojciec, on również sprzątał u niego, poił go jakimis ziołami i lekami.

Na czterdziesty dzień Giuseppe, wyschnięty jak szkielet, chwiejący się na drżących nogach zszedł do pracowni i powiedział ochrypłym głosem:

– Ojczy, godzina wybiła. Pan mój zachował mnie przy życiu, abym Mu służył. Pobłogosław mnie, gdyż muszę odejść...

Antonio Stradivarius błagał syna, płakał, klękał przed nim i prosił, aby się jeszcze zastanowił, żeby się nie spieszył, ale nic nie pomogło.

W miesiąc później Giuseppe Stradivari, jeszcze słaby, nieokrzepły po chorobie, obleczony we włosiennicę, z odkrytą głową, wzięwszy z domu tylko kawał chleba, poszedł do Parmy.

Wkrótce nadeszła wieść, że został zakonnikiem i przyjął święcenia.

Wielki mistrz stracił jeszcze jednego syna...

Z upływem lat Antonia Stradivariego zaczęła ogarniać niewytłumaczalna pasja do wszelkich, nawet najbardziej bezsensownych rachunków. Całymi godzinami potrafił siedzieć nad łupkową tabliczką i pokrywać ją długimi kolumnami cyfr. Obliczał procenty od swoich kapitałów w bankach, sumy, które powinien uzyskać za zamówione instrumenty, wyliczał krzywe tworzące doskonałych skrzypiec i wydatki na jedzenie. Tego nieszczęsnego roku skończył czterdzieści siedem lat i w przeddzień urodzin obliczył, że spędził przy warsztacie dokładnie dziesięć

tysięcy dni i zrobił ponad czterysta instrumentów. Opanowała go natrętna myśl, że musi całkowicie uporządkować wszystkie swoje sprawy, albowiem człowiek nie zna dnia ani godziny. Całymi dniami rachował wszystko z maniakalnym uporem. Szacując pewnego razu, ile trzeba będzie zapłacić za tureckie drewno szkuńnicze, które chciał użyć na budowę skrzypiec, a te deski suszone były i sezonowane przez całe dziesięciolecia, Stradivarius obliczył przy okazji, ile drewna potrzeba na jeden instrument. Potem zaczął obliczać objętość pudła rezonansowego skrzypiec, a była to praca długa, żmudna i pasjonująca. Chodzi o to, że owa objętość była nienaruszalna i niezachwiana jak katedra Świętego Marka, ale zawierała się zawsze w innym kształcie. Objętości nie można zmniejszyć, bo skrzypce zaczną syczeć i głucho dudnić. Jeśli ją zwiększyć, to instrument będzie piskliwy, a basy staną się rozmyte i słabe. A co będzie, jeśli?...

Stradivarius liczył przez całą noc, a rano zaczął budować nowe skrzypce. Synowie – Francesco i Omobono – ze zdumieniem patrzyli na tego potworka. Skrzypce były dłuższe niż zazwyczaj i płaskie jak rozdeptany śledź. Deki były ledwie uwypuklone, a bardzo wysoka podstawka, niczym garb, naciągała struny.

Stradivarius jeszcze nigdy nie pracował tak szybko. Nie mógł się doczekać, kiedy wyschnie lakier na skrzypcach.

Wreszcie któregoś dnia wziął gotowe skrzypce, przycisnął je do podbródka i zagrał. Tego ranka Antonio Stradivari grał na skrzypcach, które później muzycy nazwali klasycznymi. Dźwięk był ogromny, nikt dotąd nie słyszał, żeby skrzypce śpiewały takim potężnym, srebrzystym, jasnym głosem, nikt nie podejrzewał, że może w nim dźwięczeń ryk surmy bojowej i czuły świst fujarki, że skrzypce mogą krzyczeć głosem zrozpaczonego ojca i lamentować niczym matka nad grobem syna, że jest w nich

śmiech dziecka, szelest traw, śpiew ptaków, plusk wina i grzmot walki, szczękanie szabel i łopot flag.

Stradivarius grał na nowych skrzypcach i łzy spływały mu po siwej szczecinie zarastającej jego policzki, grał i myślał o tym, że ostatni raz płakał trzydzieści lat temu, kiedy zdawało mu się, iż życie się skończyło, a życie wówczas dopiero się zaczynało, żeby mógł przejść szkołę Amatiego, spłodzić czterech synów, dwóch z nich stracić i stworzyć taki boski instrument u kresu swoich lat.

I w tej chwili gorzkiego, bolesnego szczęścia nie wiedział Antonio Stradivarius, że przeżył dopiero połowę swego długiego i trudnego życia, że najważniejsze i najciekawsze sprawy ma jeszcze przed sobą...

...Biełasz zapalił papierosa i zapytał:

– O ile dobrze zrozumiałem, proponuje mi pan, abym stał się pańskim dobrowolnym pomocnikiem... To chyba tak się nazywa, prawda?

– Nie jest dla mnie ważne, jak to się nazywa – powiedziałem – ale muszę jakoś zorientować się w tym chaosie ludzi i ich wzajemnych stosunków.

Biełasz wzruszył ze zdumieniem ramionami.

– A dlaczego zwrócił się pan właśnie do mnie?

– Z wielu względów. Jest pan człowiekiem rozsądnym i inteligentnym. Orientuje się pan doskonale w stosunkach Polakowa z Ikonnikowem i najprawdopodobniej zna pan wielu ich wspólnych znajomych. Dlatego właśnie pan może mi najskuteczniej pomóc w dotarciu do prawdy...

Biełasz machnął ręką:

– Proszę pana!... Walka o prawdę zawsze przypomina przeciąganie liny...

– W jakim sensie!

– W każdym. Przypuśćmy, że dotrzemy wspólnie do

owej prawdy. Ale Ikonnikow nigdy się o tym nie dowie.

– Jednak zostanie jeszcze Polakow – przypomniałem. – My wszyscy też zostajemy.

– Gadanie! Dobrze znam Polakowa i śmiem twierdzić, że nie zależało mu na poznaniu prawdy za taką cenę.

– Odnoszę wrażenie, że myli pan kategorie logiczne „z powodu” i „po tym” – powiedziałem. – Chcę powiedzieć, że Ikonnikow umarł nie dlatego, że skradziono skrzypce...

– A dlaczego? – zirytował się Biełasz.

– Po pierwsze, nie można wykluczyć, że to był nieszczęśliwy wypadek... – zacząłem bez pośpiechu. Chociaż wierzyłem Biełaszowi, bo zeznania świadków i analiza dokumentów dowodziły, że w dniu kradzieży ponad wszelką wątpliwość znajdował się w Leningradzie, to jednak bez szczególnej potrzeby nie chciałem go szczegółowo informować. Człowiek o takim usposobieniu mógł przecież wypaplać uzyskane wiadomości właśnie w tym kręgu ludzi, w którym, wedle mnie, mógł ukrywać się złodziej.

Biełasz przerwał mi twardo:

– Proszę mi tu nie opowiadać bajeczek. Przecież sam mnie pan zaprosił na poufną rozmowę, prawda? Aby więc znaleźć wyjście z tej sytuacji, musimy spojrzeć prawdzie w oczy...

– A dlaczego pan sądzi, że Ikonnikow popełnił samobójstwo? – zapytałem ostrożnie.

– Dlatego, że ocena poszlak przypomina mi rodzenie się przesądów. To, do czego nie przywiązujemy żadnej wagi w normalnych warunkach, w tragicznych okolicznościach nabiera złowieszczonego charakteru.

– Czy mógłby mi pan to wytłumaczyć dokładnie?

– Nie mogę, bo przeczucia nie mogą stanowić dowodów w sprawie karnej.

– A miał pan jakieś przeczucia?

– Miałem. Po rozmowie z panem został mi jakiś nie-

przyjemny osad. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale zacząłem się lękać o Ikonnikowa.

– Poszedł więc pan do niego, żeby mu to powiedzieć? – zapytałem leniwie.

Biełasz ciężko westchnął.

– Niestety nie. Przecież każdy z nas ma zawsze mało czasu i odrywać się od ważnych spraw, żeby wyzbyć się jakiegoś tam niejasnego niepokoju, po prostu nie możemy. Zawsze też mamy usprawiedliwienie, że pogadamy jutro, pojutrze, a najdalej za tydzień. Przecież nigdzie to nam nie ucieknie. Rozmowa istotnie nie ucieka, ale rozmówcy już nie ma... – Machnął ze zniechęceniem ręką i znowu westchnął.

– Ale to przecież nie był drobiazg – powiedziałem. – Przecież pan doskonale wiedział, w związku z czym nas Ikonnikow interesuje.

– Tak, ale mimo moich złych przeczuć nie wyobrażałem sobie, aby to mogło się tak strasznie skończyć.

– A jak? Jak pan to sobie wyobrażał?

– Nie warto o tym teraz mówić! Tego się nie da wytłumaczyć człowiekowi, który nie znał dobrze Ikonnikowa.

– W jakim sensie?...

– W sensie jego charakteru i sposobu zachowywania się. Ikonnikow zawsze mówił i odczuwał tak intensywnie, że czasami wydawało się, iż natychmiast się rozplacze. Jednak ani razu się nie rozplakał i dlatego przestałem mu wierzyć. Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby on był zdolny do czegoś podobnego. A jednak był zdolny...

Biełasz zamilkł, ze złością rozgniół papierosa w popielniczkę i zaczął spacerować po gabinecie, intensywnie się nad czymś zastanawiając. Nie ponaglałem go, gdyż bardzo mi na tym zależało, aby zgodził się mi pomagać. Wreszcie Biełasz zapytał:

– No, a na czym konkretnie miałyby polegać moja pomoc?

– Chcę, aby spróbował pan przypomnieć sobie wszystkich ludzi, którzy utrzymywali w miarę bliskie stosunki zarówno z Polakowem, jak i z Ikonnikowem. Chodzi mi nie tylko o pańskich znajomych, lecz także o takich, o których po prostu pan słyszał nawet w luźnych rozmowach...

– Niezła robótka! – mruknął ironicznie Biełasz.

Nie odpowiedziałem, a i Biełasz nic więcej nie powiedział. Długo milczał, aż wreszcie zapytał:

– A czemuż to nie zapyta pan o to Polakowa?

Uśmiechnąłem się.

– Jeszcze zapytam, ale oprócz wykazu ludzi potrzebuję również ich charakterystyk. Portretów społeczno-psychologicznych, że się tak wyrażę. A w tym względzie ufam bardziej pańskiemu doświadczeniu życiowemu, intuicji i darowi obserwacji.

– Rozumiem – powiedział Biełasz. – Dobrze, postaram się panu pomóc. Nie bardzo lubię grzebać się w takich sprawach, ale zrobię to dla Ikonnikowa.

– Dlaczego właśnie dla niego?

– Wydaje mi się, że przed śmiercią Ikonnikow domyślał się, kto ukradł skrzypce. Nic jednak na ten temat nie powiedział. Moim zdaniem, nie miał racji, ale my nigdy w niczym się nie zgadzaliśmy, zatem muszę zrobić kontraposunięcie. Milczenie byłoby tu głupotą, a głupota jest zbrodnią.

– Całkowicie się z panem zgadzam – przytaknąłem.

– Proszę więc pisać – powiedział. – Pierwszy na liście: Grigorij Pietrowicz Biełasz...

Popatrzyłem na niego uważnie.

Biełasz powiedział twardo:

– Tak, tak. Znam od wielu lat zarówno Ikonnikowa, jak i Polakowa i wszystkie moje wyznania również wymagają

sprawdzenia. – I dodał ze śmiechem: – A ja sam, portretu psychologiczno-społecznego...

Wzruszyłem ramionami i zanotowałem jego nazwisko.

– Proszę pisać dalej: skrzypek Kazarinow, dyrygent Staniłowski, kompozytor Szewkunienko, adwokat Rudman, malarz Lebiedowski, kierowca Polakowa, Simonienko, wiolonczelista... fryzjer... – zaczął wyliczać Biełas.

– Razem dwadzieścia cztery osoby – powiedziała Ławrowa.

Dwadzieścia cztery wytypowaliśmy do pieczołowitego sprawdzenia, dlatego, że każda z nich w ciągu ostatniego miesiąca mogła spotykać się z Ikonnikowem i z Polakowem. Ławrowa nalegała, aby umieścić na tej liście również Raisę Nikonownę Fiłonową i dyplomantkę Kolesnikową. Zaoponowałem:

– Fiłonowa utrzymywała bliskie kontakty z Ikonnikowem, ale z Polakowem prawie się nie stykała. Kolesnikowa zaś, na odwrót, prawie nie знаła Ikonnikowa.

– Tak w każdym razie utrzymuje – zauważyła Ławrowa. – Muszę jednak panu przypomnieć, że o Ikonnikowie usłyszeliśmy po raz pierwszy właśnie od niej.

– Pamiętam. Uważam jednak, że to przypadek. Gdyby Kolesnikowa miała coś wspólnego z całą tą sprawą, to raczej by o Ikonnikowie nie wspominała. Potrafiłaby znaleźć inny sposób na poinformowanie nas o jego istnieniu.

– Możliwe – powiedziała Ławrowa. – Wszystko jest możliwe, ale ponieważ sam pan nalegał, żeby zatkać wszystkie możliwe szczeliny, dopisałabym także Jabłońską, byłą żoną Ikonnikowa. Tak, tak!

– To już przesada!...

– Dlaczego? – zdziwiła się Ławrowa. – Skoro postanowiliśmy sprawdzić totalnie wszystkich, powtarzam, wszy-

stkich, którzy mogliby mieć coś wspólnego ze sprawą, to moja propozycja znakomicie mieści się w tej koncepcji. Proszę popatrzeć na listę.

Nie chciałem patrzeć na listę, bo na jej widok zaczynało mnie mdlić. Lista przypominała raczej wykaz członków prezydium jakiegoś uroczystego zebrania, niż spis podejrzanych i świadków figurujących w sprawie kryminalnej. Ale wszyscy ci ludzie w różnych okresach byli w rozmaity sposób związani i z Polakowem, i z Ikonnikowem...

– Mam córkę. Brunetkę. Studentkę trzeciego roku. Żeby tak widział zawsze ją szczęśliwą, jak to, co panu mówię, jest prawdą.

Salomon Aleksandrowicz Katz popatrzył na mnie z bliska i powiedział z głębokim przekonaniem:

– Żeby tak moje wnuki zdrowe były! To jest święta prawda. Przed każdym ważniejszym koncertem Pasza Ikonnikow przychodził do mnie i za każdym razem powtarzał: „Ty, Salomon, masz szczęśliwą rękę...” To najświętsza prawda, taka sama jak to, że ja przed panem stoję.

Katz szybkim, płynnym ruchem przeciągnął brzytwą po rzemieniu, chwycił mnie swoją szczęśliwą ręką za podbródek, chwycił twardo i pewnie, po czym stalowe ostrze z cichym trzaskiem dotknęło mego namydlonego policzka. Pora była wczesna, niedawno minęło południe, więc byłem jedynym klientem małej razury w Domu Kompozytorów.

– Gdyby on nie przestał chodzić do mnie, może by się wszystko tak paskudnie nie skończyło – ciągnął niespiesznie Katz.

Widocznie policzek drgnął mi w uśmiechu, gdyż fryzjer powiedział pouczającym tonem:

– Nie ma się z czego śmiać, młodzieńcze. Dla człowieka,

który ciągle ryzykuje własny los, fryzjer znaczy bardzo wiele...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo otworzyły się szklane drzwi i wszedł następny klient. Nie widziałem go, tylko usłyszałem przytłumiony, lekko ochryply głos:

– Cześć, Salomon!

Nie wypuszczając z ręki mojej brody, Katz obejrzał się i radośnie zagdakał:

– Ochocho! Kogo ja widzę! Mesje Dzasochow! Kope lat!

– Patrzajcie, nie zapomnieli! – zdziwił się głuchy głos.

– Żebym tak ja o panu zapomnieli, jak pana pamiętam! – powiedział wesoło Katz.

– To jest aluzja, drogi mój Salomonie, że choć rozstaliśmy się w przyjaźni, ale długu ci nie oddałem, co? A stowa to pieniądze... – powiedział mężczyzna za moimi plecami.

Katz musnął mi brzytwą policzek i powiedział ze śmiechem:

– To nie jest zwyczajny dług, to dług niemal czarodziejski. Kiedy pożyczałeś pan ode mnie pieniądze na parę dni, one nazywały się tysiąc rubli. Po reformie zrobiło się z nich sto rubli. Jeszcze trochę i mogą zamienić się w jeden rubel, a to jest akurat moja taksa. Możemy zatem uważać, że pewnego razu obsłużyłem pana bezpłatnie.

Mężczyzna roześmiał się ochryple.

– No, co za mądry Salomon! Wiesz przecież, że w mojej naturze nie leży zmuszanie ludzi do tyrania za frajer. Dlatego właśnie przyniosłem pieniądze...

Katz tak bardzo się zdziwił, że wypuścił z ręki mój podbródek. Zerknąłem w lustro i zobaczyłem mężczyznę mówiącego schrypniętym głosem, którego Katz tytułował „Mesje Dzasochow”.

– Słyszał pan kiedyś coś podobnego? – powiedział Katz.

– Czuję się tak, jakbym znalazł pieniądze. He! Kiedy biedak się cieszy? Kiedy gubi, a potem znajduje!

Dzasochow roześmiał się głośno:

– Salomon, przestań udawać nędzarza! Na pewno masz parę groszy na czarną godzinę, synowi na wesele, córce na mieszkanie spółdzielcze, młodemu na nową drogę życia...

– Przecież pan zna, albo i nie, moje ulubione porzekadło – powiedział nieśmiało Katz.

– Jakie?

– Liczenie cudzych pieniędzy to ulubione zajęcie durniów i próżniaków. Nie uważa pan, że ktoś to bardzo ładnie powiedział?

Dzasochow znów się roześmiał.

– Salomon, moje nieszczęście polega na tym, że jestem tylko próżniakiem. Głupcem nie jestem, doskonale o tym wiesz.

Katz odpowiedział:

– Domyślam się.

Dzasochow objął Katza za ramiona i powiedział ze śmiechem:

– Salomon, przecież ja nie chodziłem z tobą do chederu! Ja twoich porzekadeł nie rozumiem! Jestem przecież byłym osetyńskim księciem!

– Mój nieboszczyk tatuś, raj jego duszy, powtarzał zawsze, że każdy kaukaski góral, który ma dwa barany, to już książe. A propos, czy nie zamierza pan przypadkiem uporządkować własnej głowy? Odnoszę wrażenie, że przez ostatnie parę lat strzygł się pan u jakiegoś bacy na zmianę z owcami...

Dzasochow przejrzał się uważnie w lustrze. Ja też mu się przyjrzałem, również w lustrze. Taak, fryzjer miał tu co robić! W życiu chyba nie widziałem równie włochatego człowieka...

Dzasochow zerknął na mnie przelotnie i zwrócił się do Katza:

– Masz jeszcze dużo roboty?

– Na pół godziny. Przecież pan wie, że ja gwarantuję wysoką jakość.

Dzasochow wahał się przez chwilę, a potem machnął ręką.

– Nie, w takim razie wpadnę jutro. Dziś ograniczę się do ondulacji domowej.

– No, jak pan sobie życzy. Ale dziś obsłużyłbym pana bezpłatnie, z wszystkimi szykanami.

– A to niby dlaczego?

Katz powtórnie namydlił mi twarz, starł pianę gorącą serwetką, znów namydlił i powiedział:

– W naszym miasteczku mieszkał woziwoda, stary, zupełnie niepiśmienny człowiek. Ten woziwoda przez całe swoje życie zaoszczędził sto rubli. Słyszał kiedyś, że ludzie, którzy mają pieniądze, umieszczają je na procent. Dlatego poszedł do rabina i powiedział: „Rebe, przechowaj u siebie moje sto rubli, a ja za procenty będę ci bezpłatnie woził wodę...” Ja też postanowiłem ostrzyc pana za procenty...

Dzasochow uśmiechnął się, objął Katza, ucałował go w czubek siwej głowy i wykrzyknął:

– Salomonie, ja nie jestem taki mądry, jak ty, ale dokonałem w życiu dwóch odkryć. Stwierdziłem mianowicie, że o miłości najczęściej gadają pechowi kochankowie, a o pieniądzach najczęściej mówią ludzie bezinteresowni. Cześć, wpadnę jutro do ciebie.

Katz znów położył mi na twarzy kompres i powiedział:

– Wszyscy teraz golą się maszynkami elektrycznymi albo żyletkami... Żyjemy w szybkich, nerwowych czasach... Dlatego też ludzie tak często łysieją... Czy widział pan kiedyś tyłu łysych, co teraz?

Powiedziałem leniwie:

– Na pańskim przyjacielu ta nerwowość jakoś się nie odbiła.

– Tak, naturalnie – zgodził się Katz. – Każdy człowiek jest inny. Ale jeśli pan sądzi, że życie go nie biło, to mocno się pan myli...

– Wcale tak nie sędzę – powiedziałem.

– Widział pan film, w którym jeden król bilardu zostaje ograny przez amatora?

– Tak, przypominam sobie. Bo co?

– Ich obu właśnie grał Dzasochow.

– Co pan mówi?

– To, co pan słyszy. To znaczy wszyscy, którzy w tym filmie mieli grać, oczywiście siebie grali, ale przecież ktoś musiał zagrać również tę wspaniałą partię bilardu, prawda?

– Chyba tak...

– Właśnie. I rozegrał ją Dzasochow, ponieważ nikt nie zna lepszego bilardzisty niż on. Proszę przy tym zapamiętać sobie, że miał wtedy dwadzieścia lat. Albo nawet osiemnaście. Gdyby rozgrywano mistrzostwa świata w bilardzie, jak w piłce nożnej, Dzasochow byłby wielkim człowiekiem. To pan na pewno zapamięta...

Katz opowiadał różne historyjki, a ja siedziałem i dumałem o Dzasochowie, którego kazał mi Katz zapamiętać, chociaż nie musiał tego robić, bo i tak bym go zapamiętał, ponieważ nie dalej, jak dzisiaj rano miałem w rękach fotografię Dzasochowa. Dołączona do niej informacja głosiła: „Mikołaj Georgijewicz Kislajew, urodzony w 1920 roku, instruktor zawodu w zakładach produkcyjnych Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Głuchych”...

Dzasochow patrzył na mnie i najwyraźniej usiłował sobie przypomnieć, gdzie mnie widział. Ja mu tego nie

mówiłem, a jemu było dość trudno skojarzyć sobie ze mną obficie namydloną fizjonomię, na którą zerknął przelotnie we fryzjerskim lustrze starego Katza.

– Nie zrozumiałem pańskiego pytania – powiedział.  
– Interesuje mnie, Mikołaju Gieorgijewiczu, czego uczycie waszych pracowników w zakładach.

– Ja?

– Tak, pan.

– Mam dwie grupy. Przeważnie są to głuchoniemi od urodzenia i bez perspektyw przywrócenia utraconych funkcji. Uczę ich introligatorstwa. Oto próbka naszych wyrobów. – Podał mi dziecienną książeczkę składającą się jak harmonijka. „Bajka o Kurce Jarzębatce”.

Książeczka była bardzo ładna, barwna, z bardzo dobrymi rysunkami. Rysunki też pewnie robił głuchoniemy, bo wszystkie postacie były niesłychanie wyraziste, przedstawione w świetnie uchwyconych pozach. Kurka Jarzębatka była podobna do człowieka, miała ludzką twarz. Jest taki typ kobiet z wąską, lekko wydłużoną twarzą, ostrym noskiem i wielkimi, smutnymi oczami...

– A czyje to rysunki? – zapytałem.

– Moje – odpowiedział krótko Dzasochow.

– Proponował je pan jeszcze komuś?

– Nie.

– Czemuż to?

– Bo sam dowiedziałem się niedawno, że potrafię rysować dla dzieci.

– Od dawna pracuje pan z głuchymi?

Dzasochow przeciągnął dłonią po swym niezwykłym owłosieniu i powiedział:

– O, już kawał czasu...

Wiedziałem, że zaczął tam pracować przed czterema miesiącami, niemal natychmiast po odsiedzeniu trzech lat za oszustwo.

Popatrzyłem na niego i zapytałem wprost:

– Słuchajcie, Dzasochow, dlaczego używacie cudzego nazwiska?

Drgnął i osiadł na krześle, jakbym go uderzył. Pomilczał chwilę, uśmiechnął się i powiedział obojętnym tonem:

– Tak mi jest wygodniej.

– Co to znaczy, wygodniej? Nazwisko to przecież nie buty, które można wyrzucić i kupić sobie nowe. Zmieniać nazwiska nie wolno.

– A dlaczego?

– Dlatego! Gdyby pan złożył wniosek o zmianę nazwiska Dzasochow na Rembrandt, nie powiedziałbym panu złego słowa. Jeśli jednak bierze pan samowolnie nazwisko Kislajew i zaczyna go używać, to nie jest w porządku.

– Wcale nie samowolnie. Zmieniłem nazwisko oficjalnie w urzędzie stanu cywilnego.

– Na jakiej podstawie? – zdziwiłem się.

– W związku z zawarciem małżeństwa. Ożeniłem się i przyjąłem nazwisko żony. Mam prawo?

Pokręciłem głową i powiedziałem:

– Proszę mi wybaczyć nietaktowne pytanie, ale...

Przesłuchiwany machnął ręką i powiedział:

– Niech się pan nie krępuje. Ma pan przecież swoją robotę do wykonania. Zresztą już zaproszenie tutaj jest rzeczą niezbyt taktowną...

– Dlaczego tak ostro?

– Dlatego, że chce się pan zorientować, czy nie mam czegoś wspólnego z kradzieżą skrzypiec Polakowa. W takim postawieniu kwestii kryje się coś obraźliwego dla każdego uczciwego człowieka. Ja natomiast nazwałem to zaledwie brakiem taktu.

Zerknąłem na niego, a on przechwycił mój wzrok, jak doświadczony siatkarz blokujący piłkę.

– No właśnie – mruknął. – Chciał pan powiedzieć, że



niedawny kryminalista nie może korzystać z przywilejów moralnych człowieka uczciwego?

Nic na to nie odparłem, a on dokończył:

– Dlatego przyjąłem nazwisko żony. Człowiek noszący brzydkie nazwisko Kislajew ma o wiele więcej prawa do szacunku niż Dzasochow. Naturalnie u tych, którzy nie wiedzą, że to ta sama osoba. Co pana jeszcze interesuje?

Bardzo mnie interesowało, dlaczego akurat teraz oddał dług, którego nie mógł zwrócić przez wiele lat, ale jakoś nie potrafiłem o to zapytać.

– Dawno pan zna Ikonnikowa i Polakowa?

– Bardzo dawno. Jeszcze sprzed wojny. Byłem markie-rem bilardu w parku kultury, a oni często przyjeżdżali pograć ze mną.

– Interesowali się bilardem?

– Lew Osipowicz doskonale gra. Ma świetne oko i precyzyjną rękę. Zawsze jednak brakowało mu zacięcia, prawdziwej pasji. Ikonnikow zawsze go ogrywał. Inna rzecz, że czasami odnosiłem wrażenie, iż Polakow odrobinę mu się podkłada.

– Podtrzymywał pan z nimi znajomość przez te wszystkie lata?

– Lwa Osipowicza nie widziałem już od wielu lat, ale z Ikonnikowem spotykałem się do ostatka.

– Może trochę dokładniej?

– Dokładniej nie można. Ostatni raz widziałem go na jakieś trzy dni przed śmiercią.

– Rozmawiał pan z nim o kradzieży u Polakowa?

– Nie, nie rozmawialiśmy o tym.

– Dziwne – zauważyłem mimochodem. – Temat przecież jest niezmiernie interesujący, a Ikonnikow bardzo się tą całą sprawą martwił.

– Ja myślę – uśmiechnął się Dzasochow. – Siedzieć pod takim mieczem...

– Pod jakim znów mieczem? – udałem naiwnego. – Co Ikonnikow mógł mieć z tym wspólnego?

Dzasochow wzruszył ramionami i powiedział niepewnie:

– Nie wiem, czy to prawda, ale podobno go o coś oskarżano...

– Skąd to panu przyszło do głowy? – zapytałem szybko.

– Doszły mnie takie słuchy. Świat jest mały...

– Może jednak powie pan, skąd konkretnie pochodzi ta wiadomość?

– Od Saszki Sodomskiego. Lubi wprawdzie plotkować, ale czegoś podobnego z palca nie wyssał. Tym bardziej że mocno się przy mnie pokłócili.

– A o co?

– Nie wiem. Byłem u Ikonnikowa, kiedy przyszedł rozpromieniony Saszka. Ikonnikow zbladł i swoim kamien-ny-ym głosem kazał mu się wynosić, a przedtem zapomnieć gdzie on, to znaczy Ikonnikow, mieszka.

– A co na to Sodomski?

– Nic. Jemu można pluć w oczy, a on na to, że deszcz pada... Poszedł sobie, ale przedtem powiedział, że Ikonnikow jeszcze pożaluje i jeszcze go zawoła. To wszystko...

– A kiedy mówił panu o Ikonnikowie? Przed tym spotkaniem, czy po nim?

– Kilka dni wcześniej.

– W jakich okolicznościach?

– W żadnych. Na ulicy. Spotkaliśmy się, przystanęliśmy na zasadzie, co słychać. No i opowiedział mi.

– Nie potrafi pan sobie przypomnieć, co mianowicie opowiedział?...

Dzasochow pokręcił głową.

– Nie pamiętam, bo zazwyczaj nie bardzo się wsłuchuję w jego paplaninę.

– Co to za człowiek, ten Sodomski?

– Człowiek jak człowiek – odparł Dzasochow. – Rozprowadza bilety teatralne.

– Zauważyłem, że wyraża się pan o nim bez najmniejszego szacunku – powiedziałem.

Dzasochow uśmiechnął się.

– O nim wszyscy wyrażają się bez szacunku. No, a ja tym bardziej...

– Dlaczego właśnie pan?

– Przyjdzie mi teraz umrzeć z wytwornym nazwiskiem Kisłajew, a on miał w tym swój udział. To właśnie on mnie, idiotę, nauczył żyć.

– Nie rozumiem?

– Kilka lat temu zostałem bez pracy i oczywiście bez pieniędzy. Poszedłem do Saszki, żeby go ustrzelić na parę groszy. Pieniądzy mi nie dał, ale udzielił dobrej rady: „Wstydzilibyś się żebrać, mając takie łapy” – powiada. „A co mam robić?” – pytam. „Sztuczki”. Wyjął z kieszeni piętnaście kopiejek, położył na kartce papieru i obrysował ołówkiem. Potem znalazł na półce numer starej „Niwy” i pokazuje mi: „Potrafisz wrysować w to kółko cara Mikołaja?” Spróbowałem i udało mi się. A Saszka się śmieje: „Wygraweruj coś takiego w metalu i będziesz miał zarobek lepszy niż ze swojego kretyńskiego bilardu”. Krótko mówiąc, zrobiłem stempel i matrycę...

Dzasochow zamilkł. Miał piękne ręce, choć może nieco zbyt wielkie, nieproporcjonalne przy takim niewielkim ciele. Ręce te spokojnie i pewnie leżały na stole, jakby Dzasochow zupełnie się nie denerwował. Czasami tylko przesuwając dłonią po swojej nieprawdopodobnej czuprynie i znów ręce spokojnie leżały na blacie stołu, ręce z giętkimi, silnymi przegubami, które mogły rozgrywać królewskie partie w bilard, rysować kurki o smutnych oczach i grawerować stemple do bicia fałszywych złotych carskich monet.

– No i co było dalej? – zapytałem, chociaż wiedziałem prawie wszystko, co się dalej wydarzyło, bo rano zdążyłem przeczytać wyciąg z akt jego sprawy. Żadnych wzmianek o Sodomskim w tym wyciągu nie było.

– Dalej? Dalej Saszka wycofał się z interesu, w każdym razie tak mi powiedział. Pewnego razu przyszedł do mnie facet, zabrał stemple, a po jakimś czasie przyniósł już gotowe fałszywe świnki. Powiedział mi, że muszę pójść pod wskazany adres, gdzie wszystko miało być już dogadane, oddać monety i wziąć pieniądze...

Ludzie, do których poszedł Dzasochow, spekulanci i kanciarze, byli rozpracowywani przez wydział gospodarczy komendy i tak się akurat złożyło, że kiedy Dzasochow przyszedł do nich z fałszywymi monetami, w mieszkaniu trwała właśnie rewizja. Dzasochowa zatrzymano, obszukanano i znaleziono przy nim fałszywe świnki. W trakcie dochodzenia ustalono, że ci ludzie nie znają Dzasochowa, on zaś nie chciał wydać współników. Trzy lata kolonii pracy.

– Czemu pan na śledztwie nic nie powiedział o Sodomskim? – zapytałem.

– Po co? Przecież nie jestem smarkaczem, którego prowadził z właściwej drogi demoniczny Sodomski. Kiedy godziłem się na tę robotę, wiedziałem, czym to grozi. A że tak wyszło...

– Ale przecież Sodomski, jeśli dobrze zrozumiałem, był organizatorem tej całej afery. A zapłacił tylko pan.

– Może nie był, mógł przecież pracować tylko za procent. Poza tym źle mnie pan chyba zrozumiał... Przecież ja wyroku sądu nie wysłuchałem ze łzami zachwytu i skruchy.

– Zachwycać się tam rzeczywiście nie było czym, a skrucha mogła przyczynić się do zmniejszenia kary.

– Mnie i tak zbyt ciężko ukarano, bo przecież moim tak

zwanym przestępstwem nie przyczyniłem nikomu żadnej szkody. Gdyby nawet mi się udało, to i tak złodziej okradłby złodzieja...

Uśmiechnąłem się i rozłożyłem ręce.

– Mój szef często powtarza, że każdy powinien zajmować się własną robotą. A karanie kanciarzy i kryminalistów należy właśnie do nas i nie możemy dopuścić, żeby przestępcy rozliczali się między sobą zgodnie z własnym pojęciem sprawiedliwości.

– Wcale tego nie neguję – wzruszył ramionami Dzasochow.

– Jednej rzeczy wciąż jednak nie rozumiem – powiedziałem.

– Jakiej? – popatrzył na mnie spokojnie Dzasochow.

– Dlaczego przemilczał pan to wszystko w śledztwie, a mnie teraz opowiedział?

Dzasochow wyjął z kieszeni paczkę kazbeków, bez pośpiechu zapalił i dopiero po dłuższej chwili powiedział:

– Dlatego, że sprawa jest niebyła. Przecież nie pobiegnie pan wszczynać ponownego śledztwa na podstawie nowych informacji, a zresztą i ja nie zamierzam oficjalnie potwierdzać swoich zeznań.

– Dlaczego?

– Dlatego, że z tym życiem, ze wszystkimi ludźmi i ze wszystkim, co w nim było, dobrym i obrzydliwym, raz na zawsze skończyłem. Z tamtego życia zostały mi tylko dwie sympatie: Ikonnikow i stary śmieszny dziwak Salomon Katz. A Ikonnikow już umarł.

– A co w nowym życiu?

– Wszystko. W czterdziestym szóstym roku swego życia dowiedziałem się nagle, że potrafię rysować obrazki, które nie wiedzieć czemu okropnie podobają się dzieciarni. I bardzo się teraz spieszę, bo muszę nadrobić chociażby część z tego, czego nie zdążyłem zrobić wcześniej i czym powi-

nieniem zajmować się przez całe życie. Rozumie pan:

– Rozumiem – przytaknąłem i nabrawszy wreszcie odwagi zapytałem: – Proszę mi z łaski swojej powiedzieć, jak to jest. Przez wiele lat nie oddawał pan długu fryzjerowi Katzowi, a wczoraj nagle odniósł mu pan pieniądze. Jak to wytłumaczyć?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, zastanawiał się przez moment, a potem parsknął śmiechem:

– Ach, to pan siedział w fotelu, cały namydlony? A ja od początku zastanawiałem się, gdzie widziałem pańskie oczy.

– Tak, to byłem ja.

– Dług zwróciłem z honorarium za tę książeczkę. – Wskazał barwną harmonijkę leżącą na blacie.

– Znakomicie. I jeszcze ostatnie pytanie: co mogło łączyć Ikonnikowa z Sodomskim?

– Wiele. Przecież kiedyś Saszka Sodomski był stałym organizatorem koncertów Ikonnikowa – powiedział Dzasochow. – W końcu Ikonnikow wygnał go z wielkim hukem...

– A potem się pogodzili?

– No tak. Sytuacja się zmieniła i Pasza Ikonnikow się zmienił.

– O co poszło? – zapytałem i pomyślałem, że kiedy przejdę na emeryturę i moje pytania utracą zawodowy charakter, zamienię się we wzorcową plotkarkę, gdyż zyskałem wielkie doświadczenie w wyciąganiu z ludzi szczegółów ich życia intymnego.

– Nie wiem dokładnie, coś tam tylko ogólnie słyszałem – powiedział Dzasochow niepewnym tonem, pocierając czarną szczecinę na twarzy.

– Nie musi być dokładnie... Wystarczą mi ogólne zarysy.

– W ogólnych zarysach wyglądało to tak, że Ikonnikow

posłał Saszkę do składnicy ćwiczebnej po skrzypce dla któregoś ze swoich uczniów...

- Chwileczkę, czyżby Ikonnikow miał uczniów?
- Oczywiście! – wykrzyknął zdziwiony Dzasochow.
- Nie myli się pan?
- Cóż też pan mówi! Sam niektórych znałem...
- No dobrze, przepraszam. Proszę mi powiedzieć, co to za składnica?

– No, jest w Filharmonii taki magazynek, a w nim staruszek emeryt. Leżą w magazynku różne instrumenty, a staruszek wydaje je wykonawcom, jeśli komuś instrument się zepsuł albo coś innego mu się przydarzyło. Instrumenty oczywiście nic nie warte, stare śmiecie, wiadomo, jak to w wypożyczalni. Przyszedł tam Sodomski, pogrzebał, a oko ma dobre, znalazł jakieś brudne, wyszmelcowane skrzypki bez strun, bez kołków, całe wymazane wapnem. Wziął skrzypki i pędem do lutnika Batiszczewa. Batiszczewa o mało szlag nie trafił z wrażenia: skrzypce bardzo stare, roboty prawdopodobnie Bergonziego, a w najgorszym razie Vincenzo Panormo, początek osiemnastego wieku. Krótko mówiąc, nikt tych skrzypiec już więcej nie widział. Następnego dnia poszedł Sodomski na milicję i powiada, że zdrzemnął się w autobusie i ukradł mu skrzypce. Pytają go, czy skrzypce były cenne, a on na to, że nie, że śmieć z wypożyczalni, ale jednak warto poszukać, bo to przecież własność państwowa. Milicja oczywiście niczego nie znalazła, bo znaleźć nie mogła, a Sodomski po cichu wziął ze składnicy inne skrzypce i dostarczył je Ikonnikowowi. W rok później Sodomski przyszedł do składnicy, przedstawił zaświadczenie z milicji i ze skrucną zgodził się wpłacić równowartość skradzionych mu skrzypiec. A ich cena zgodnie z inwentarzem, lepiej nie mówić. Nikt by się o niczym nie dowiedział, gdyby Batiszczew nie należał do komisji inwentaryzacyjnej i nie zorientował się

w całym dowcipie. On właśnie podniósł gwałt, że przed rokiem Sodomski pokazywał mu skrzypce przypominające bergonziego albo panorma. Wezwali Sodomskiego, a on siedzi i beczelnie się uśmiecha, że niby wszystko szanowny ekspert zmyślił albo mu się wydało. Słowem, wypędzili go na zbity pysk, więc zajął się rozpowszechnianiem biuletów...

Podpisałem Dzasochowowi przepustkę, na której widniało nazwisko „Kislajew”.

Wstał, malutki i szczupły, ze zdumiewającą grzywą włosów, a ja nie wiedzieć czemu pomyślałem, że przypomina postawiony na sztorc pędzel do golenia.

– A to, jeśli się panu spodobało, proszę sobie zatrzymać – pokazał kurę z mądrymi, smutnymi oczami. – Mam ich jeszcze trochę.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Drobiazg – machnął Dzasochow ręką. – Do widzenia.

## Rozdział czternasty

### „...Żywy zstępuje do grobu...”

Bijcie dzwony! Głośniej! Niechaj wasz głos obudzi to senne, leniwe miasto! Niechaj dźwięk wasz przetoczy się przez ulice głosem szczęścia! Płońcie pochodnie, strzelajcie petardy!

Trzeszczą denka dębowych beczek, płynie purpurowe wino. Za mało? Będzie więcej! Dzisiaj wszystkim wszystko wolno!

Dziś, w ostatnim dniu mijającego wieku, wdowiec Antonio Stradivarius, pięćdziesięciopięcioletni lutnik wprowadza do domu nową żonę, siedemnastoletnią Marię Zambel-

li. I niechaj śmieją się głupcy i zawistnicy, niechaj mówią, że stary dureń znalazł piękną żonę dla innych. Czas przepływa obok wielkich, bowiem żyją oni w terażniejszości, jak zmęczony wędrowiec odpoczywający w tylnej izbie trattorii. Ich życie jest w przyszłości. I skoro na mistrza spłynęła miłość u schyłku lat, to znaczy, że od tej chwili zaczyna się jego młodość, to znaczy, że jego mądrości opromienionej czułością sążone jest wydać wspaniałe owoce. Tak myślał Antonio Stradivari.

...I Andrea Guarneri, chory, umierający w nędznej lepiance, powiedział do swego wnuka Giuseppe:

– Stradivarius jest wielkim mistrzem, ale prawdziwa wielkość dopiero go czeka.

– Dlaczego tak myślisz, panie? – zapytał Giuseppe, mały jak na swe lata, wąty chłopczyk o wielkiej głowie i zapadniętej piersi.

– Dlatego, że ma talent – powiedział dziadek, dławiąc się ciężkim kaszlem. – Dlatego, że kocha swoją pracę nade wszystko na świecie. Dlatego, że jest mądry i chciwy jak szatan. Dlatego, że zawsze mu się szczęściło. Z tą dziewczką też mu się poszczęściło.

– Nie rozumiem cię, panie – powiedział Giuseppe. – Ojciec mówi, że Stradivarius odziedziczył po Amatim diabelską wiedzę.

Andrea długo kaszlał, a kiedy atak minął, parsknął pogardliwie:

– Twój ojciec jest moim synem, więc ja wiem najlepiej, że to człowiek głupi i tchórzliwy. Nie wierz mu. Przez całe życie bał się wszystkiego: Boga, ludzi, trudności, mnie, a teraz, kiedy cię bije, zaczyna po trochu bać się i syna. Jeśli chcesz zostać prawdziwym mistrzem, musisz wyprowadzić się z domu.

– Jak ja będę żył? Mam przecież dopiero dwanaście lat! – zapytał Giuseppe ze łzami w oczach. – Kręci mi się

w głowie i ściska w piersiach, kiedy spróbuję wbiec po schodach.

– Mój chłopcze, uwierz mi, że nie ma spokoju i szczęścia w sytości i ubóstwie ducha. Tylko wtedy pokonasz swoją niemoc, kiedy przerosniesz sam siebie.

– A czyż człowiek może sam siebie przerosnąć? – zapytał z przerażeniem Giuseppe.

– Może – powiedział Andrea ze znużeniem w głosie. – Mam za sobą głupie, bezsensowne życie, ale nie czas teraz tego żałować. Jedno wiem na pewno, że dzieła rąk i serca czynią człowieka wszechpotężnym, wszechmocnym i nieśmiertelnym.

– Ręce moje są słabe, a serce nieme. Cóż mogę stworzyć i pozostawić ludziom?

– Ale słuch masz dobry, umysł bystry i dociekliwy, a duszę poczciwą. I jeśli zapamiętasz, że na naukę nie ma dnia jutrzejszego, tylko dzisiejszy, to za dziesięć lat będziesz wielkim mistrzem i poznasz szczęście wspaniałych dokonań...

Giuseppe wyciągnął do dziadka cienkie, chude ręce.

– Ty jednak, panie, nie wstajesz z pościeli i oczy twoje nie widzą, a ojciec nie chce mnie uczyć i przybliżyć godzinę dokonań...

Andrea roześmiał się ochryple:

– Twój ojciec nie może cię niczego nauczyć. To zły rzemieślnik. Zapamiętaj moje słowa: jeśli mnie usłuchasz, to nadejdzie czas, kiedy ojciec zacznie cię naśladować i życie jego dopali się w cieniu twojej sławy.

– Ale kto wskaże mi drogę prawdy i dokonań? – zapytał z goryczą Giuseppe. – Przecież Stradivarius nie będzie mnie uczył?

– Nie, mój chłopcze, ten wielki mistrz nie zechce cię uczyć. Teraz nie weźmie cię na naukę dlatego, że mało wiesz i mało możesz...

– A jeśli się poduczę? – zapytał chłopiec z nadzieją w głosie.

Andrea pokręcił małą siwą głową.

– Tym bardziej cię nie weźmie. Miałeś pecha, Giuseppe, że Stradivari dochował się niezdolnych synów...

– Nie rozumiem – powiedział chłopiec, otwierając szeroko ze zdziwienia czarne, bystre oczy.

– Mógłbyś zostać uczniem Antonia, gdyby chociaż jeden z jego synów odziedziczył talent po ojcu. Wówczas nie lękałby się wziąć cię do terminu i wraz z upływem lat, we współzawodnictwie, dowiedzielibyście się, który z was jest lepszy. Ale Stradivarius już wie, że może przekazać dzieciom tylko swoje notatki i sekrety warsztatowe, że oni sami niczego nowego odkryć nie zdołają. A oddać swoją wiedzę młodemu Guarneriemu nie pozwoli mu serce.

– Czyż każdemu, kto pragnie, dane jest zdobyć skarb? – zapytał z powątpiewaniem Giuseppe.

Andrea zamknął oczy i ledwie słyszalnie wyszeptał:

– Wiedza, mój chłopcze, nie jest skarbem ani wygraną na loterii, lecz świątynią twego ducha, którą budować trzeba w trudzie i znoju...

Starzec zamknął oczy i zdawał się drzemać, ale chłopiec potrząsnął go lekko za ramię i zapytał z naleganiem w głosie:

– Powiedz, panie, czyż Stradivarius jest mistrzem lepszym od ciebie?

Andrea Guarneri nie otworzył oczu i tylko lekkie drgnięcie powiek zdradziło, że usłyszał pytanie. Potem rozlepił blade wargi:

– Tak, Giuseppe, Stradivarius jest lepszy ode mnie.

– Ale kiedy wypijesz butelkę wina, to krzyczysz, panie, że to oszust, a ty jesteś lutnikiem z bożej łaski.

– To nie ja krzyczę – powiedział starzec – to wino i głupota we mnie krzyczą. Masz przed sobą długie życie,

ciężkie życie, mój chłopcze. Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że ludzie, dla których pracuje człowiek utalentowany, nie mogą ocenić go wedle jego możliwości, tylko wedle tego, czego już dokonał. A teraz zostaw mnie w spokoju. Jestem zmęczony i chcę spać...

– Ale nie powiedziałeś mi, panie, co mam robić! Jak mam iść?

– Tego nie wiem, ale radzę ci z głębi duszy: jutro o świcie odjeżdża do Mantui kareta pocztowa. Ubłagaj woźnicę, żeby cię zabrał albo biegnij za wozem... W każdym razie spróbuj dotrzeć do Mantui i odszukaj tam mistrza Gisalbertiego. Przekaż mu moją przedśmiertną prośbę, żeby zrobił z ciebie człowieka. A po jakichś pięciu latach wróć i pokłoń się Stradivariusowi. Może cię weźmie, nikt przecież nie zna swojej przyszłości.

Wyjaśniłem dokładnie Ławrowej całą sytuację, dałem jej wskazówki co do przesłuchania Sodomskiego i postanowiłem przypatrzeć mu się z boku, gdyż w bezpośredniej rozmowie zwykle umykają nawet dość istotne szczegóły ludzkiego zachowania.

Aleksander Jeremiewicz Sodomski przyszedł punktualnie o godzinie piętnastej, zgodnie co do minuty z terminem wezwania. Jego jaskrawoczerwone policzki zapłonęły w drzwiach, niczym lampa hamulcowa samochodu. Zdjął swoją foczą czapkę i powiedział:

– Nazywam się Sodomski. Moje uszanowanie.

Ławrowa roześmiała się złośliwie i zapytała:

– Nie bardzo rozumiem, czy pan się ze mną wita czy żegna?

– Bo co? – zapytał szybko Sodomski.

– Nic – odparła Ławrowa beznamiętnym tonem. – Po

prostu przez ostatnie kilka lat przyjęło się używać tego zwrotu jako pożegnania.

– Tak? – zdziwił się Sodomski. – Kto mógłby pomyśleć! Postąpiłem zupełnie tak samo, jak pewien mój znajomy, który co rano witał swojego sąsiada-dzielnicy słowami „dobry wieczór”, dopóki milicjant nie zapytał go, dlaczego tak robi. Wówczas znajomy poinformował go szczerze, że na widok munduru milicyjnego robi mu się ciemno w oczach.

– A czy panu na nasz widok również ciemnieje w oczach? – zapytała Ławrowa.

– Niech mnie ręka boska broni! – wykrzyknął z niesłychanym zapalem Sodomski. – Człowiek o czystym sumieniu może w tej znakomitej instytucji czuć się absolutnie spokojnie.

– Czasami ów spokój wiąże się bezpośrednio z tym, że człowiek zdążył zapomnieć o własnej przeszłości – zauważyła Ławrowa.

– Święta prawda! – zgodził się Sodomski. – Iluż ja takich ludzi w życiu widziałem!

Ten bezczelny facet od pierwszego wejrzenia wzbudził moją antypatię. Istnieje taki genotyp piersiastych, bladokórych, ognistorudych bezczelniaków z wiecznie różową buźką i słodziutkim głosikiem. Są jakby stworzeni do grania szwarccharakterów na prowincjonalnych scenach, ale w życiu też nieźle dają sobie z takimi rolami radę.

Sodomski tymczasem zdjął palto, zerknął z dezaprobatą na gwóźdź wbity w ścianę, który pełnił u nas rolę wieszaka, i zapytał uprzejmie:

– Przepraszam, czy nie znalazłoby się u państwa ramiączko?

– Nie znalazłoby się – ucięła Ławrowa. – Jest taki zwyczaj, że w lokalach użyteczności publicznej okrycia zostawia się w szatni.

– Święta prawda – zgodził się Sodomski. – Kiedy jednak przychodzi się do takiego lokalu użyteczności publicznej, z którego nie wiadomo dokąd się pójdzie dalej, to lepiej, żeby palto było pod ręką. Cha, cha, zażartowałem.

– Znakomity dowcip – pokiwała głową Ławrowa. – Inna rzecz, że w tych nieznanych miejscach, dokąd nasi interesanci czasami się udają, ramiączek też nie ma w nadmiarze. Cha, cha, ja nie żartuję.

– Tam to już nie jest straszne. Byt określa świadomość, jak to się mówi – powiedział Sodomski i strząsnął jakiś nieistniejący pyłek z klapy dobrze odprasowanej marynarki.

– A propos, chciałem panią zapytać, jeśli można...

– Można – odparła sucho Ławrowa.

– Nie wie pani przypadkiem, czy w Nowym Jorku kobiety bywają oficerami policji?

– Bywają. Bo co?

– Wielka szkoda! A ja już myślałem, że to tylko nasza socjalistyczna zdobycz...

– No dobrze, pomyślał pan sobie i cześć. Proszę podać swoje imię i nazwisko, datę i miejsce urodzenia, zawód...

– Ajajaj, żeby taka młoda kobieta miała tak krótką pamięć! – roześmiał się Sodomski. – Przecież nie dalej jak pięć minut temu się przedstawiłem...

Śmiał się cieniutko, zanosząc się z radości. Zrozumiałem, że za wszelką cenę postanowił wyprowadzić Ławrową z równowagi, bo sprytny łobuz zawsze łatwiej sobie poradzi z nerwowym funkcjonariuszem. Postanowiłem się jednak jeszcze nie wtrącać, chociaż Ławrowa powinna już dokonać przełomu w rozmowie. A dziewczyna tymczasem uśmiechnęła się łagodnie i beztrąsko, i powiedziała życzliwie:

– Panie ładny, moim zdaniem, już od ośmiu lat znajduje się pan bezprawnie na wolności. Proszę zachowywać się spokojnie i odpowiadać na moje pytania!...

– O co chodzi? Przecież żartowałem! – natychmiast wycofał się Sodomski.

Siedziałem cicho za swoim biurkiem i patrzyłem w gazetę.

– Żartować to pan może ze swoimi panienkami! – powiedziała Ławrowa twardo. – A mnie proszę łaskawie odpowiadać szczegółowo na pytania. A więc...

Sodomski przycisnął do obfitej piersi swoje pulchne łapki.

– A czy ja się wymiguję? Proszę bardzo! Nazywam się Aleksander Jeremiewicz Sodomski, urodzony w roku 1926, wykształcenie niepełne wyższe, miejsce pracy: Ministerstwo Kultury...

Ławrowa uniosła oczy znad protokołu i zaczęła wpatrywać się uważnie w Sodomskiego. Trwało to chyba co najmniej minutę, zanim facet nie zaczął nerwowo kręcić się na krześle.

– Co? – zapytał na wszelki wypadek.

– Proszę mi łaskawie powiedzieć, czy to nie pan przypadkiem jest głównym konserwatorem zabytków? – zapytała poważnie Ławrowa.

– Nie, mam pracę o charakterze organizacyjnym.

– A dokładniej? – spytała namolna Ławrowa.

Sodomski zawahał się, a potem mruknął niewyraźnie:

– Jestem starszym organizatorem widowni w Centralnej Kasie Teatralno-Koncertowej...

– Gdzie pan pracował poprzednio?

– Byłem organizatorem koncertów w Filharmonii.

– Dlaczego zmienił pan pracę?

– Zły stan zdrowia. To była jedyna przyczyna. W młodości nie wzięto mnie do wojska z powodu ptasiej piersi. Mam budowę inteligenta.

– Inteligenta w pierwszym pokoleniu – uściśliła Ławro-

wa. – Proszę mi powiedzieć, z jakimi solistami pan pracował?

– Współpracowało ze mną wielu wykonawców. Można powiedzieć, szereg wybitnych wirtuozów radzieckich.

Ławrowa uśmiechnęła się i zapytała:

– A Ikonnikow z panem współpracował?

– Naturalnie. On również w swoim czasie był niezłym skrzypkiem, ale jakoś mu się nie wiodło, pewnie ze względu na paskudny charakter.

– Dlaczego rozstał się pan z Ikonnikowem?

– Nie mogliśmy się dotrzeć. Przecież mówię pani, że miał kłótniwy charakter i, podobnie jak wszyscy nieudani geniusze i wodzowie, cierpiał na manię prześladowczą.

– Proszę wyjaśnić mi epizod z zaginięciem skrzypiec pochodzących z wypożyczalni.

Sodomski uniósł ku górze swoje bladoniebieskie, niemal białe oczy, potarł ręką czoło, udając, że stara się zrozumieć, o co właściwie chodzi.

– O jakich skrzypcach pani mówi? – Wyraźnie grał na zwłokę.

– Z początku osiemnastego wieku. Autorstwa Bergonziegm lub Vincenza Panorma. O instrumencie, który wziął pan na konto Ikonnikowa i rzekomo utracił w trolejbusie.

– A, o tym pani mówi! A więc i pani słyszała tę głupią plotkę? To był taki sam bergonzi, jak ja jestem car Mikołaj.

– W aktach mamy oświadczenie lutnika Batiszczewa.

– Mogę napisać oświadczenie, że przedwczoraj widziałem na szyi żony Batiszczewa diament „Orłów”...

– To się nazywa fałszywy donos – powiedziała Ławrowa – i ze sprawą nie ma nic wspólnego.

Niedobrze! Ławrowa popełniła oczywisty błąd i Sodomski zaraz ją za to ukarze. Miałem rację. Sodomski roześmiał się cicho i powiedział pouczającym tonem:

– Pozwolę sobie zauważyć, że straciła pani umiar. Na



razie lutnik Batiszczew i organizator widowni Sodomski są całkowicie równi wobec prawa. Dopóki pani nie udowodni, że ja mogę znaleźć się w gorszej sytuacji. A to się może udać pani, kiedy rak świśnie.

– No, a fałszywe świnki pana nie kompromitują? – zapytała Ławrowa.

– Nie – odparł bez wahania Sodomski. – Ja już słyszałem, że ten idiota Dzasochow usiłuje mnie oczernić. Nic na to nie poradzę, bo na głupotę w ogóle nie ma lekarstwa. Zresztą wcale bym się nie zdziwił, gdyby to właśnie on ukradł skrzypce Polakowa.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mądry złodziej tym się różni od głupiego, że bierze nie to, co wpada w ręce, ale to, co można zwędzić bez ryzyka. A te skrzypce zawsze będą przedmiotem poszukiwań, dopóki ktoś z nimi nie wpadnie.

– Jasne, przecież nie leżały brudne, bezimienne, przez wszystkich zapomniane w magazynku wypożyczalni – warknęła Ławrowa.

– Skoro pani tak chce, to można i tak powiedzieć – odparł bezczelnie Sodomski.

– A co pan robił w nocy, kiedy dokonano kradzieży skrzypiec?

– Czy może mi pani powiedzieć, kiedy tej kradzieży dokonano?

– Z piętnastego na szesnastego października.

– Tej nocy spałem u siebie w domu.

– Ktoś może to potwierdzić?

Sodomski roześmiał się:

– Tego wcale nie trzeba potwierdzać. Skoro mówię pani, że spałem u siebie w domu, to znaczy, że tak było. A jeśli ma pani co do tego wątpliwości, to proszę udowodnić, że w domu nie spałem i zajmowałem się w tym czasie czymś innym.

– Racja – zgodziła się Ławrowa.

– Poza tym, pani się tylko wydaje, że jestem taki okropnie zły. Oczywiście nie jestem aniołem, ale proszę mi pokazać anioła.

– Odnoszę wrażenie – pokręciła głową Ławrowa – że pański pesymizm wynika ze stosunku do ludzi.

– Cóż robić? To przecież nie ja ich stworzyłem. A w ogóle, to gdybym był funkcjonariuszem milicji, w pierwszej kolejności wziąłbym pod lupę pozornie bezgrzesznych ludzi, bo ludzi bezgrzesznych zwyczajnie nie ma, a im bardziej człowiek przypomina anioła, tym okropniejsze grzechy ukrywa.

– Tak, paskudnie pan myśli o ludziach... – powiedziała Ławrowa z lekkim przerażeniem. – Na szczęście nie dał Pan Bóg świni rogów!

– Możliwe – zgodził się spokojnie Sodomski. – Ale proszę mi powiedzieć, czy w trakcie dochodzenia spotkała pani więcej ludzi porządnych czy złych?

– Złych – odparła Ławrowa.

– A co ja mówię? – ucieszył się Sodomski.

– Głupstwa! – ucięła Ławrowa. – Gdybym szukała nie stradivariususa, tylko zaginionego manuskryptu i była przy tym nie milicjantką, lecz profesorem filologii, to z pewnością spotkałabym mnóstwo wspaniałych, dobrych, mądrych i uczciwych ludzi. Ale szukam skradzionego przedmiotu i dlatego muszę wysłuchiwać pańskich wątpliwych teorii, zamiast porozmawiać sobie z jakimś sympatycznym i mądrym człowiekiem.

– To znaczy, że jestem niesympatyczny? – zapytał Sodomski.

– Proszę mi wybaczyć szczerość, ale będę wspominać pana bez większej przyjemności.

Sodomski roześmiał się z zadowoleniem.

– Trudno, jakoś to przeżyję. Ale czy to wszystko takie

ważne? Najsympatyczniejszym człowiekiem, jakiego znam, jest Griszka Biełasz. To rzeczywiście fajny chłop. Jestem jednak pewien, że on coś musi mieć w życiorysie.

– Dlaczego pan tak sądzi? – zapytała ze złością Ławrowa.

– Nie wiem, tak mi się jakoś wydaje. Poza tym bez powodu nie niańczyłby Ikonnikowa. Myślę, że mieli jakieś wspólne interesy...

Nie, to nie było przypadkowe porównanie ani pierwszy lepszy z brzegu argument w sporze. To był donos. Najwyższy czas, żebym i ja się wtrącił. Sodomski jednak sam nieoczekiwanie obrócił się na krześle w moją stronę i powiedział:

– Inspektor Tichonow, jak sądzę?

– Nie myli się pan, jestem inspektor Tichonow – skłoniłem głowę i dodałem uprzejmie: – Tak szeroka popularność w środowisku organizatorów widowni niezmiernie mi pochlebia. Ale, o ile pamiętam, nie byliśmy sobie przedstawieni.

Sodomski błysnął złotym zębem.

– Doskonale pan zdaje sobie sprawę z tego, że w pewnym zamkniętym kręgu musiano mówić o człowieku, który tarmosi po kolei całe środowisko muzyczne w związku z kradzieżą stradivariususa...

– Owszem. A więc jest pan święcie przekonany, że skrzypce skradzione panu w trolejbusie nie miały żadnej wartości historycznej?

– Absolutnie.

– I nadal pan utrzymuje, że nie pokazywał ich Batiszczewowi?

– Utrzymuję. Batiszczew musiał mnie z kimś pomylić.

– Rozpatrzmy zatem dwa warianty. Pierwszy, że wszystko było tak, jak pan nam opowiedział. I drugi, że to były skrzypce Bergonziego albo Vincenza Panorma.

– Proszę bardzo – wzruszył ramionami Sodomski.

– Pierwszego wariantu nie będziemy analizować, ponieważ został już przez pana zaaprobowany. Drugi wygląda następująco. Dowiedział się pan od Batiszczewa, że skrzypce są roboty Bergonziego, i zgłosił na milicji kradzież starego zdezelowanego instrumentu. Tymczasem odnawia go pan potajemnie i sprzedaje przez jakąś podstawioną osobę. Daję głowę, że nabywca nie wiedział, iż kupuje bergonziego, gdyż w przeciwnym razie nie chciałby ryzykować. Kupił po prostu bardzo dobre stare skrzypce za duże pieniądze.

– Pozwolę sobie zauważyć, że nazwisko lutnika to połowa ceny skrzypiec – jeśli to bergonzi, to mamy sto procent, jeśli panormo, to tylko pięćdziesiąt. A jeśli bez nazwiska, to zupełnie mało.

– Tak, jeśli skrzypce nie są kradzione. Chociaż panormo to nie stradivarius i nawet nie bergonzi, ale takie instrumenty też się na śmietnikach nie poniewierają. A pan niedawno stwierdził, że należy brać nie to, co nierówno leży, tylko to, z czym się nie wpadnie. Dlatego obciął pan wszystkie dojścia do siebie...

– Mówi pan tak, jakby złapał mnie za rękę – powiedział Sodomski.

– Nic podobnego! – zapewniłem. – Przecież sam pan się zgodził rozpatrzyć hipotezę, zgodnie z którą skrzypce były roboty Bergonziego. Poza tym jest pan człowiekiem szczerym...

– Taak? – zapytał Sodomski z powątpiewaniem w głosie.

– Oczywiście! Przecież szczerze wyznaje pan cynizm. Dlatego całe moje gadanie, jeśli nie poprę go stosownymi dowodami, nic dla pana nie znaczy. Zgadza się?

– Tak jest – powiedział Sodomski.

– Pan i z tym dlatego tak szczerze się zgadza, gdyż jest

przekonany, że przez tyle lat wszyscy o tych skrzypcach zapomnieli. Ale skrzypce są i dzisiejszy ich właściciel do tej pory nie wie, że, po pierwsze, jest to instrument roboty Bergonziego, a po wtóre, kradziony. Znaleźć więc go można i nie sędzę nawet, aby to było zbyt trudne. Nieco trudniej będzie udowodnić pański bezpośredni udział w tej aferze, ale i to jest do zrobienia.

Sodomski nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Spos-trzegłem, że jego buźka nie była już tak różowa. Policzki pociemniały mu i stwardniały.

– Nie bardzo rozumiem, czy pan mnie straszy, czy też chce obudzić we mnie sumienie? – zapytał wreszcie.

– Słuchajcie, Sodomski, budzenie w was sumienia to zajęcie równie bezsensowne, jak szukanie pulsów na protezie. Straszyć też was nie muszę, bo idąc tutaj z pewnością nie czuliście się zbyt pewnie.

– A więc zamierza pan szukać skrzypiec Bergonziego? – zapytał z wymuszonym uśmiechem.

Aha, pomyślałem, mamy już białą flagę. Za chwilę zaczną się pertraktacje.

– Dlaczegoż by nie? – powiedziała Ławrowa. – Możemy panu nawet powiedzieć, w jaki sposób będziemy szukać i jak do instrumentu dotrzemy.

– Głupie gadanie! – powiedział ze złością Sodomski.

– Dlaczego niby głupie? – ucieszyła się Ławrowa. – Mogę nawet panu powiedzieć, o czym pan teraz myśli: czy nie dałoby się pójść do obecnego właściciela skrzypiec i odkupić ich z powrotem?

– Ale najprawdopodobniej człowiek nie odda instrumentu, bo przez tyle lat zdążył się do niego przyzwycząić. Z takimi doskonałymi skrzypcami nikt nie będzie się chciał rozstawać – poparłem Ławrową.

Sodomski wyprostował się na krześle, długo nam się

przypatrywał, nad czymś się zastanawiając, a potem zapytał:

– Jeśli tak łatwo jest znaleźć skrzypce, to czemu od miesiąca nie możecie odzyskać instrumentu Polakowa? – I roześmiał się z ulgą.

– Nie ma się z czego cieszyć! – pokręciłem głową. – Sprzedanie za jakieś trzy tysiące skrzypiec Panorma jest rzeczą całkowicie realną. A spalenie w taki sam sposób stradivariususa, którego szuka milicja w całym kraju, jest zajęciem równie bezpiecznym i sensownym, jak rozbicie brylantu „Orłów”, o którym pan wspominał, i sprzedanie go szklarzom.

– Tak? Skoro macie tak dużo czasu, to szukajcie! A ja żadnego bergonziego na oczy nie widziałem! Panorma też nie widziałem! I w ogóle nigdy nie pogwałciłem prawa! Zawsze byłem gotów przyjść milicji z pomocą, jeśli to tylko było potrzebne!

– Sędzę, że milicja nigdy nie musiała korzystać z pańskich usług – powiedziałem. – A co pan mówił o stosunkach Biełasza z Ikonnikowem?

– Nic nie mówiłem! Nic nie wiem! Po prostu powiedziałem, że Griszka jest bardzo silnym człowiekiem, bo przecież nie każdy potrafi znaleźć dość siły, aby wygrzebać się z gnojówki...

– W jakim sensie? – zapytałem.

– Człowiek, który jako siedemnastoletni szczeniak został laureatem konkursu skrzypcowego, mógł mieć w życiu wszystko, a on... – Sodomski zamilkł i machnął ręką.

– Mówi pan o Ikonnikowie? – zapytała Ławrowa.

– Co tu ma do rzeczy Ikonnikow? – wykrzyknął z irytacją Sodomski. – Ja mówię o Biełaszu!

– Biełasz był laureatem? – zapytała niebotycznie zdumiona Ławrowa.

– Oczywiście! Nie wiedzieliście o tym? – zdziwił się Sodomski. – I wy chcecie znaleźć stradivariususa!...

– Znajdziemy! – niemal krzyknęła Ławrowa. – I bergonziego też znajdziemy! Proszę mi dać przepustkę, podpiszę ją panu...

Sodomski w progę założył swoją foczą czapkę i powiedział:

– Moje uszanowanie!

W jego niebieskich ślepkach rozblysnęły perfidne iskierki.

Biełasz od rana pracował w Teatrze Wielkim, dlatego też zaproponował, abyśmy spotkali się gdzieś w śródmieściu. Powiedział:

– Może o drugiej w „Araracie”. W ten sposób zaoszczędzimy czasu: pogadamy i przy okazji zjemy obiad.

Spóźniłem się jakieś pięć minut i kiedy wszedłem na salę, Biełasz siedział już przy stoliku. Był jak zawsze elegancki, ale wyglądał nie najlepiej. Wstał na mój widok i pomachał ręką, a mnie wydało się, nie wiedzieć czemu, że cieszy się z naszego spotkania.

– Myślę, że teraz do końca życia będziemy spotykać się, rozmawiać o Ikonnikowie i Polakowie i zastanawiać się, kto mógł ukraść skrzypce, i że w ogóle nasze życie będzie płynąć równolegle – powiedział ze śmiechem.

– Całkiem możliwe – powiedziałem. – Co będziemy jeść?

– Zaraz się dowiemy.

Podeszła kelnerka, niemłoda już, tęga kobieta, którą pamiętałem jeszcze z czasów studenckich, bo „Ararat” zawsze cieszył się wśród nas największą popularnością, gdyż zawsze tu tanio i dobrze dawali jeść.

– Dzień dobry – powiedziała kelnerka. – Mamy dziś pstrąga.

– Znakomicie – ucieszył się Biełasz. – Proszę nam podać dwie porcje w białym sosie.

Zamówiliśmy jeszcze kilka miejscowych specjalności, kawę i butelkę wina, po czym kelnerka odeszła, a Biełasz zapytał mnie:

– Są jakieś nowiny?

– Są, chciałbym z panem porozmawiać o Sodomskim i o panu.

– O mnie? – zdumiał się Biełasz. – W życiu nie miałem z tym kanciarzem nic wspólnego.

– Źle mnie pan zrozumiał, Grigoriju Pietrowiczu. Przesłuchiwałem wczoraj Sodomskiego, a on rozgadał się na pański temat. Powiedział, że dawniej był pan skrzypkiem.

– Co za bydlę! – powiedział z irytacją Biełasz. – A nic więcej o mnie nie powiedział?

– Nie, nic.

– Dobra, całą resztę sam panu opowiem.

Kelnerka przyniosła wino, wodę mineralną, płaski ormiański chleb. Biełasz rozlał wino do kieliszków, podsunął mi wodę, i powiedział:

– Wypijmy na razie. Za spotkanie. – Wlał w siebie wino, urwał kawałek chleba i zaczął go żuć bez pośpiechu.

Ja również wypilem.

– A więc tak – powiedział Biełasz. – Muszę zacząć swoją spowiedź od dobrowolnego przyznania się do chęci matactwa. Pamięta pan, jak sporządzaliśmy listę ludzi związanych z Ikonnikowem i Polakowem? Właśnie wtedy, wiedząc doskonale, że Sodomski dobrze znał obu, miałem ogromną ochotę nie mówić panu o nim, bo to wyjątkowo obrzydliwy drań. Byłem pewien, że jeśli ktokolwiek opowie panu o mojej błyskotliwej karierze muzycznej, to zrobi

to właśnie on. Czułem to, ale w ostatniej chwili postanowiłem go wymienić, żeby nie było między nami żadnych niedopowiedzeń. Mówię o tym z najwyższą przykrością, ale trudno...

– Jeśli da mi pan słowo, że to nie ma żadnego związku ze sprawą, z przyjemnością zwolnię pana z tego obowiązku – powiedziałem.

– Nie, postawmy wszystkie kropki nad „i”, żeby już więcej nie wracać do tej kwestii. Chodzi o to, że w swoim czasie niezbyt dokładnie poinformowałem pana o charakterze stosunków łączących mnie z Ikonnikowem. Łączyła nas nie tylko przyjaźń, lecz także stosunek ucznia do mistrza i nauczyciela.

– W jakim sensie? – zapytałem.

– Dosłownym. Skrzypcowym, mianowicie.

Kelnerka przyniosła zamówienie, rozstawiła nakrycia. Biełasz poczekał, aż odejdzie, i powiedział:

– Kiedy ogląda się magnetowidowy zapis meczu, to chociaż doskonale zna się wynik spotkania, wie się, że mecz jest przegrany raz na zawsze, że nic się już nie da zmienić, mimo wszystko za każdym razem, kiedy wytwarza się korzystna sytuacja podbramkowa, człowiek zaczyna się denerwować w głupiej nadziei, że zaraz padnie gol, który zmieni rezultat meczu. To się jednak nigdy nie zdarza, bo cudów przecież nie ma.

Zamilkł, a ja nie mogłem otrząsnąć się z zaskoczenia, jakim było dla mnie wyznanie Biełasza.

– To było okropnie dawno – powiedział Biełasz po dłuższej przerwie. – Powiadają, że byłem bardzo zdolnym chłopcem. Ikonnikow pragnął, żebym zrobił to, czego on zrobić nie zdołał.

– I nikt nie wiedział, że jest pańskim nauczycielem? – zapytałem.

– Wiedzieli o tym bardzo nieliczni. Ikonnikow chciał,

aby wszyscy myśleli, że skończył z muzyką na zawsze. Nie mogę tego utrzymywać na pewno, ale przypuszczam, że spodziewał się, że pragnął efektownie wyjść z za kulis w dniu mojego wielkiego tryumfu. A oficjalnie uczyłem się w szkole muzycznej i przygotowywałem się do zdawania egzaminów do Konserwatorium.

– I co?

– Nic, w najpełniejszym sensie tego słowa. Złamałem rękę w dwóch miejscach. – Skrzywił się boleśnie i wydało mi się przez chwilę, że w jego oczach zabłyśły łzy wściekłości. – Po trzech miesiącach kości zrosły się i ręka odzyskała praktycznie pełną sprawność. Tylko że z przykurczem pourazowym mięśni lewej ręki na skrzypcach grać się nie da. Z marzeniami o wielkim tryumfie trzeba się było rozstać raz na zawsze...

– A Ikonnikow?

– Niech pan nawet nie pyta! – machnął ręką Biełasz. – Po krachu jego kariery moje nieszczęście było dla niego najstraszliwszym ciosem w życiu. Dla niego był to koniec. Najlepiej ze wszystkich rozumiał, że moje kalectwo jest nieodwracalne, ale ostatni się z tym pogodził. To właśnie on zrobił ze mnie stroiciela najwyższej klasy, kiedy wreszcie zrozumiał, że muszę pożegnać się ze skrzypcami. No i od tego czasu zaczęło się moje pomyślne, dostatnie i spokojne życie na peryferiach muzyki...

Zagapił się pustym, nic nie wyrażającym wzrokiem w ścianę i zamilkł. Potem otrząsnął się, uniósł głowę i powiedział niewyraźnie:

– Dawniej było ciężko. A teraz jakoś się przyzwyczaiłem. Myślę, że to przeznaczenie. Myślałby kto, otwarte złamanie ręki! Dla wszystkich ludzi jest to po prostu nieprzyjemny, kłopotliwy wypadek, a dla mnie klęska życiowa. Potworność! Wielki skrzypek Flietzer był ślepy, Karol Lipiński miał suchoty, ale obaj mogli grać!

– Tak, los pana nie pieścił – powiedziałem, bo co mogłem innego powiedzieć.

Biełasz uśmiechnął się ze smutkiem.

– Ikonnikow starał się mnie pocieszać, mówiąc, że kompozytor Lulli wręcz umarł na zakażenie krwi, zraniwszy sobie nogę batutą dyrygencką...

– Ikonnikow był dobrym człowiekiem? – zapytałem.

– Dobrym? – powtórzył Biełasz. – Nie, on nie był dobrym człowiekiem. Była w nim jednak jakaś odmienność od reszty ludzi. Wiedział o tym i starannie tę odmienność pielęgnował. Mówił często, że najwidoczniejszą cechą ludzką jest zaciekle dążenie do standardu, do uniwersalności charakterów, chęć poszufladkowania wszystkiego na zrozumiałe, oczywiste, łatwe w użyciu kategorie, z którymi najtrudniej i z najwyższą niechęcią się rozstają.

– Mówił to w odniesieniu do spraw zawodowych, czy też w ogóle o zachowaniach ludzi? – zapytałem.

– Ikonnikow mówił to o ludziach w ogóle, a ponieważ stykał się z nimi mało, to przykłady czerpał ze sfery zawodowej.

– Na przykład?

– Na przykład lubił mówić o tym, że imię Rudolfa Kreutzera znane jest jedynie dzięki wielkiej sonacie, zadekowanej mu przez Beethovena. A Kreutzer owej sonaty nie rozumiał, grał ją prymitywnie, tchórzliwie, ubogo. Jednocześnie mało kto wie, że czterdzieści dwie sonaty Kreutzera dotychczas są obowiązkowym, niezbędnym abecadłem każdego skrzypka ze wszystkich szkół skrzypcowych świata, że bez nich nie do pomyślenia jest sztuka wiolinistyczna, że to właśnie one uczyniły jego imię nieśmiertelnym, że prowincjonalni grajkwie i wirtuozi o światowej sławie właśnie na nich ćwiczyli swą technikę i kunszt.

Wypiliśmy w milczeniu kawę. Biełasz obojętnie gapił się w ścianę. Potem powiedział zmęczonym głosem:

– Parszywie się czuję. Nie wiem dlaczego od dawna już prześladowuje mnie wspomnienie o tym, że przed śmiercią Ikonnikow ze swym dziwacznym poczuciem humoru zadeklamował mi wiersz Lukrecjusza. Już go nie pamiętam, ale jedna zwrotka o człowieku, którego żywcem pożera bestia, utkwiała mi w pamięci: „...ciałem żywym do grobu żywego zstępuję”. Dlaczego on mi to zadeklamował? Jak pan sądzi, dlaczego?

– Pewnie już się domyślił, że pożera go Minotaur – powiedziałem półgłosem.

– Minotaur? – nie zrozumiał Biełasz.

Skinałem głową. Biełasz przesunął swą smukłą, nerwową dłoń po twarzy i powiedział niepewnie:

– Możliwe. Możliwe. W życiu wszystko jest możliwe...

Zapytałem Polakowa, kiedy może mnie przyjąć. W słuchawce rozległo się ciche mamrotanie. Widocznie skrzypek czytał półgłosem notatki w kalendarzu.

– Proszę mi powiedzieć, czy o pół do jedenastej wieczorem nie będzie dla pana za późno? – zapytał swym przeproszającym tonem. W jego głosie słychać było zdenerwowanie, że trzeba ciągnąć we własnej sprawie obcych ludzi o tak późnej porze, a cały dzień, jak na złość, jest rozpisany co do minuty, chociaż nie ma w tym nic dziwnego, bo od lat cały dzień, wieczór i część nocy jest tak samo zajęty...

– ...nie będzie dla pana za późno? – zapytał.

– Nie, dla mnie to wcale nie jest późna pora.

– Bardzo dobrze! – W jego głosie zabrzmiała radość i ulga, że przynajmniej pod tym względem nie sprawi kłopotu obcemu człowiekowi, który nie wiadomo czemu musi zajmować się jego osobistymi sprawami. I zaraz

potem znów zabrzmiał w nim niepokój i zdenerwowanie: – O dwudziestej drugiej czterdzieści pięć telewizja nada Sonatę Kreutzerowską w moim wykonaniu. Nie przeszkodzi to nam w rozmowie? Bo bardzo chciałbym jeszcze raz jej posłuchać, gdyż mam wątpliwości co do drugiej części. Wydaje mi się, że w pewnym momencie straciłem tempo...

Wieczorem siedzieliśmy z Polakowem w jego gabinecie, tam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy i gdzie on zmartwiały wargami ledwie słyszalnie zapytał: „Skrzypce... moje skrzypce?”

A teraz nie pytał o skrzypce, gdyż rozumiał, że gdybym miał dla niego jakieś dobre nowiny, sam bym o nich powiedział. Nie miałem jednak żadnych dobrych wieści, więc to nie zadane pytanie bez odpowiedzi ciążyło nad naszą rozmową. Na stole leżał otwarty futerał ze skrzypcami, na których Polakow kiedyś mi grał.

– Vuillaume był dobrym lutnikiem? – zapytałem.

Polakow popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Naturalnie! To był niesłychanie utalentowany człowiek. Bo co?

– Nic, po prostu chciałem to wiedzieć dla siebie. Nie rozumiem, dlaczego nie zyskał odpowiedniej sławy.

Polakow szybkim krokiem przemierzył gabinet, wyjął skrzypce z futerału i pokazał mi.

– Proszę spojrzeć! Ten instrument jest zdumiewająco podobny do stradivariusa, na którym grał Jan Kubelik. Ale tylko podobny! Dokładne odtworzenie instrumentów starych mistrzów włoskich jest niemożliwe.

– Dlaczego? Przecież nie ma rzeczy niepoznawalnych i jeśli nie można wymyślić czegoś własnego, to Vuillaume mógł skopiować skrzypce, mając pod ręką oryginał. Przecież to tylko drewno!

Polakow uśmiechnął się i pokręcił głową

– Nieee! Vuillaume to rozsądny i rzeczowy spokój. Myślę, że nie spędził nad swoimi skrzypcami ani jednej bezsennej nocy. A starzy Włosi znali wiele sekretnych chwytów i swoich tajemnic nie zdradzali nikomu. Aby przeniknąć te sekrety, Vuillaume musiałby przez wiele nocy nie spać, płakać z rozpaczy i szczęścia, szaleć i cierpieć. Wówczas odkryłby tajemne sprężyny starego kunsztu.

– Wówczas nie musiałby kopiować cudzych instrumentów, bo miałby własne – powiedziałem.

– To właśnie chciałem powiedzieć! – wykrzyknął Polakow. – Ale to był człowiek o zupełnie odmiennym charakterze. Całkowicie zadowalało go dostatnie, syte życie obok drapieżnych talentów Stradivariusa i Guarneriego. – I ze zdziwieniem wzruszył ramionami. – Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, jak taki gigantyczny talent mógł się czymś podobnym zadowolić!

– A czy fachowcy również mieli trudności w odróżnieniu instrumentów? – zapytałem.

– W owych czasach było to dość nagminne. Śmieszne, ale Vuillaume na długie lata zdezawuował handlowo skrzypce wielkiego Stainera. Tylko nieliczni mogli odróżnić ich instrumenty. Po jakimś czasie jednak wszystko wróciło na właściwe miejsce.

– A czym właściwie różnią się skrzypce?

– Brzmieniem. Dźwięk starych skrzypiec jest niepowtarzalny. Tak samo, jak ludzki głos. Można go imitować, ale nigdy nie da się uzyskać absolutnego podobieństwa. Vuillaume też nie zdołał powtórzyć starych głosów, gdyż zabrakło mu, jakby to powiedzieć, chyba odrobiny szaleństwa... I własnego głosu, tego jedyne, najważniejszego, płynącego z głębi serca, też nie znalazł...

– Czyżby szaleństwo również było cechą talentu?

Polakow usiadł w głębokim fotelu i stamtąd, jak z twierdzy, żeby uniknąć mego wzroku, powiedział półgłosem:

– Talent oddany pracy zawsze musi być nieco szalony. Inaczej niczego nie dokona... Podobno Stradivarius bardzo kochał swoją pracownię, spędził w niej kilkadziesiąt lat i zrobił w niej około półtora tysiąca instrumentów. Nakazał swoim potomkom, żeby zachowali ją na pamiątkę jego pracy. Ta pracownia zachowała się do dziś i będąc w Cremonie odwiedziłem ją.

– Tam teraz jest muzeum?

– Nie, w jego domu jest hotel, a w pracowni – sala bilardowa. Na hakach, na których Stradivarius suszył swoje skrzypce, gracze wieszają zapocone marynarki...

Na ekranie telewizora, który pracował z wyłączonym dźwiękiem, pojawiła się plansza z napisem „Spotkania muzyczne”. Polakow wstał, podszedł do telewizora i włączył dźwięk.

A potem w pokoju znalazło się dwóch Polakowów. Polakow na ekranie przycisnął skrzypce podbródkiem, uniósł smyczek, a ja zobaczyłem, jak żywy Polakow gwałtownie zacisnął palce na oparciu fotela.

Smyczek opadł na struny...

Polakow na ekranie pracował. Ciężko pracował i nie było w nim żadnej lekkości, tylko ciężka, wyczerpująca robota, która rodziła wszystkie te szybkie, błyskotliwe dźwięki. Patrzył na smyczek, wsłuchiwał się uważnie w brzmienie instrumentu, jakby to nie on grał... A żywy Polakow siedzący obok mnie nie patrzył na ekran. Kiedy lawina dźwięków ucichła, wstał, przespacerował się po gabinecie i nieoczekiwanie powiedział:

– A jednak Pasza grał to bardziej interesująco...

Milczeliśmy przez chwilę, a potem wreszcie zadałem pytanie, które sprowadziło mnie tutaj.

– Lwie Osipowiczu, od jak dawna zna pan Bielasza?

– Griszę? Nawet nie potrafię panu powiedzieć, jak dawno go poznałem. Pewnie na konkursie młodzieżowym. Sądzę, że minęło jakieś piętnaście do dwudziestu lat.

– Siedemnaście – sprecyzowałem. – Słuchał pan jego gry na konkursie?

– Tak, naturalnie, byłem przecież przewodniczącym jury. – Polakow odpowiadał krótko i niechętnie, odniosłem więc wrażenie, że nie chce zagłębiać się w tę sprawę.

Przyszedłem jednak po odpowiedź na to właśnie pytanie, więc nie mogłem się pożegnać, zanim nie uzyskałem pełnej odpowiedzi.

– Jak się panu spodobała jego gra?

Polakow odparł wymijająco:

– Wydał mi się bardzo zdolnym chłopcem. Szczegółów nie pamiętam, bo przecież to było bardzo dawno temu.

Najwyraźniej nie chciał zagłębiać się w owe szczegóły, a ja, chociaż zauważyłem, że moja obecność staje się dla niego uciążliwa, nie ustępowałem:

– A jakie stosunki łączyły go z Ikonnikowem?

Polakow zdenerwował się.

– Zwyczajne, można powiedzieć, koleżeńskie. Nie znam szczegółów, naprawdę. Zresztą jakie to wszystko może mieć znaczenie dzisiaj, kiedy...

Nie dokończył i słowa „kiedy Ikonnikow umarł” zawisły w powietrzu.

– Ma – powiedziałem. – I pan o tym wie.

– Dlaczego miałbym o tym wiedzieć? – zaoponował bez przekonania Polakow. – Niestety, od wielu już lat nie kontaktowałem się z Pawłem Pietrowiczem.

– I sądzi pan, że ich stosunki nie wykraczały poza ramy zwykłej przyjaźni?

Polakow popatrzył na mnie swymi smutnymi, zmęczonymi oczami. Patrzył długo i uważnie, a potem powiedział:



– Tak, tak, tak. Wiem, że Ikonnikow był nauczycielem Biełasza. I co z tego?

– Dowiedział się pan o tym od Biełasza?

– Tak.

– Opowiedział panu o tym?

– Nie, zagrał. Przecież słyszałem go na konkursie...

Zawahałem się przez moment, a Polakow ciągnął:

– Czyżby pan myślał, że mógłbym nie rozpoznać tego stylu? Przecież rośliśmy razem z Paszą. Biełasz grał koncert Prokofiewa, a to był ulubiony utwór Paszy. Natychmiast poznałem jego głos, charakter, jego rozlewny, zamaszysty styl.

– Jak pan sądzi, czy gdyby Biełaszowi nie przydarzyło się nieszczęście, to mógłby zostać wielkim muzykiem? – zapytałem.

– Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy najpierw ustalić zakres słowa „wielki”. Vuillaume też był wielkim lutnikiem.

– Ale istnieją przecież jakieś powszechnie przyjęte kryteria sztuki wykonawczej, prawda? Chociażby z punktu widzenia konsumenta muzyki...

– Przy takim rozumieniu chyba mógłby. Ale on ani razu nie wyszedł poza ramy interpretacji, jakie nakreślił mu Ikonnikow. Zdumiał mnie niesłychany chłód, z jakim ten młody skrzypek wykonywał tak szalenie emocjonalny, pełen ognia utwór Prokofiewa...

Szedł dzień za dniem, nadeszła już zima, a ja z Ławrową metodycznie, wedle planu ułożonego po wielu sprzeczkach, odszukiwaliśmy ludzi – w pracy, w domu, w antrakcie, w przerwach tournée i zdjęć filmowych, w letnich domkach... Z pewnym generałem zdarzyło mi się rozmawiać w trakcie manewrów czołgowych – lista stawała się

coraz krótsza, tomy akt śledczych puchły, a nam w żaden sposób nie udawało się dotrzeć do punktu, przez który przeszła krzywa życia, łącząca po raz ostatni Polakowa z Ikonnikowem.

W nocy z piętnastego na szesnastego października:

Stroiciel Biełasz znajdował się w delegacji w Leningradzie...

Skrzypek Kazarinow koncertował w Zurichu...

Dyrygent Stanisławski przewodniczył jury w Mińsku...

Koncertmistrz Sztuk leżał w szpitalu z zapaleniem płuc...

Kierowca Simonienko nocował u Polakowa na daczce...

Sekretarz redakcji Walajew podpisywał gazetę do druku...

Lutnik Batiszczew odpoczywał z żoną na Krymie...

Reżyser Aleksandrowski omawiał z zespołem premierę nowej sztuki...

Generał Łukianienko dowodził nocnymi manewrami...

Historyk sztuki Samocznikow bawił się na weselu córki...

Profesor Kandel wyprowadzał ze śmierci klinicznej dziecko potrącone przez samochód...

Arcymistrz Gorst analizował ze swym trenerem partię szachową, odłożoną w beznadziejnej dla niego sytuacji...

Kompozytor Szowkunow przyjmował u siebie gości...

Wiolonczelista Szachnazarian był w gościnie u Szowkunowa...

A pozostali spali. Spali w domu, jak normalnym ludziom przystoi. Ludzie w nocy śpią. Ten zwyczaj spania po nocach jest dosyć powszechny i od dawna ustalony, zatem nie muszą przedstawiać żadnego alibi, skoro śpią we własnych łóżkach. Mają do tego prawo. A ja wściekałem się na siebie, kiedy człowiek mówił mi, patrząc w oczy szczerze i spokojnie: „Spałem”. I to naturalne, niezbędne

nocą zajęcie – spanie – wzbudzało we mnie irytację i podejrzliwość, gdyż zostawiało między nami zasłonę niejasności, czujnej i mrocznej, niepewnej jak sam ludzki sen.

Żadnego z tych ludzi, pokazanych na zdjęciach, Mielnik nie rozpoznał. Ale przecież ktoś z nich nie spał! Ktoś tylko powiedział mi, że spał, a tymczasem ukradł nocą stradivarius! Gdyby tylko żył Ikonnikow! Z jego pomocą dotarłbym do człowieka, który ukradł skrzypce. Ale Ikonnikow był bardzo zmęczony i nie miał w sercu spokoju, o którym mi mówił, a samo tylko niebo, łagodna jesień i cały nieprawdopodobnie piękny świat rozpościerający się dokoła nie mogą dać spokoju, jeśli wokół nas nie ma ludzi i ich ciepła, ich sympatii, choćby odrobiny najzwyklejszej ludzkiej miłości...

Dlatego nie zdołałem się dowiedzieć, który z tych ludzi, przesłuchanych i z przeprosinami zwolnionych do domu, nie spał tej nocy:

Profesor psychiatrii Bogomołow.

Nauczyciel zawodu Kislajew.

Skrzypek Choroszyłow.

Słynny iluzjonista Koon.

Organizator widowni Sodomski.

Znany adwokat Rudman.

Malarz Połozow...

Zwolniliśmy, chociaż doskonale wiedziałem, że jednego z nich nie należało zwalniać, bo przecież nie spał. To, co dla wszystkich było oczywiste i nie wymagało żadnych dodatkowych pytań, człowiek ten przekształcił w kategorię prawną – alibi. I obalić tego alibi nie mogłem. Istnieje pewna rozumna granica możliwości, zatrzymałem się więc na niej, gdyż dalej zaczynał się absurd, potworność totalnych podejrzeń, które były głupie i bezużyteczne. Pasjans, który miał dziewięć kart wyłączonych z gry, nie mógł wyjść...

W dzieciństwie podarowano mi książkę „Morozko”. To była książka pomyślana jako sztuczka magiczna. Dodawano do niej okulary w dwóch kolorach: czerwone i niebieskie. Gdy się patrzyło przez czerwone szybki na rozmazany kleks ilustracji, widziało się wyraźnie jeden rysunek, a przez niebieskie – zupełnie inny. Pamiętam, że godzinami wpatrywałem się w te niejasne plamy bez okularów, usiłując wyłowić znane kształty w chaosie barw, ale bez skutku. Wtedy z pomocą spieszyły mi cudowne dwubarwne okulary.

Teraz jednak okularów nie miałem. Musiały mi zastąpić je doświadczenie, intuicja i nagląca potrzeba przejścia labiryntu do samego końca.

## Rozdział piętnasty

### Ludzie mają długą pamięć

Paolo Stradivari, który wiele lat temu uciekł do Ameryki, nie zginął na morzu, nie zmarł na febrę w brazylijskiej dżungli i nie został powieszony przez korsarzy na rei zdobytego przez nich galeonu.

Przyjechał do Cremony jako przystojny, opalony, wysmagany wiatrem właściciel pięciu statków i konta w neapolitańskim banku. Kupiec Paolo Stradivari: otwarty kredyt we wszystkich angielskich i hanzeatyckich domach handlowych. Przyjechał i patrzy teraz z uśmiechem na ojca.

– Jak widzisz, nie miałeś racji...

Ojciec wzruszył ramionami.

– Dobrze, przypuśćmy, że wykląłeś mnie i Giuseppe, bo

sami rozporządziliśmy własnym losem. Jednak Francesco i Omobono nie sprzeciwili się twojej woli. Czyż stali się znanymi rzemieślnikami? Czyż warci są cokolwiek bez twojej sławy i bogactwa?

Paolo mówił spokojnie, nie krępując się obecnością młodszych braci, jak mówią bogaci, pewni siebie ludzie. Francesco i Omobono siedzieli cicho, nie odrywając wzroku od podłogi. Giuseppe szybko przebierał paciorki różańca swoimi szczupłymi, białymi palcami.

Antonio popatrzył na Paola zamglonymi oczami, jakby syn był gdzieś niezmiernie daleko, na przeciwległym brzegu oceanu i był taki mały, że mistrz nie mógł go dojrzeć swoimi zmrużonymi oczami. Nic jednak nie powiedział.

– Wiem, ojcze, że jesteś bogaty – ciągnął Paolo. – Ale ja zbiłem duży kapitał przez parę lat, chociaż nie tyrałem jak galernik przy warsztacie...

– Po co przyszedłeś? – zapytał Antonio. – Czego chcesz?

– Żebyś wreszcie pomyślał o rodzinie, o nas wszystkich! – powiedział ze złością Paolo.

Stary mistrz uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Tak! Tak! Tak! – wrzasnął Paolo. – Nigdy o nas nie myślałeś, te przekłete skrzypce zaćmiły ci rozum i nic poza ich obrzydliwym piskiem nie słyszysz!

Antonio skrzyżował na piersi swoje silne ręce i popatrzył na syna, który teraz już nie wydawał się malutki, tylko ogromny, i wznosił się niczym chmura nad horyzontem.

– A cóż takiego powinienem usłyszeć? – zapytał.

– Głos rozsądku.

– I głos ten każe mi razem z tobą handlować śledziami i wozić czarnych niewolników na plantacje? – powiedział Antonio z krzywym uśmiechem.

– Dlaczegoż by nie? – wykrzyknął z zapalem Paolo. –

Półowa arystokracji wywodzi się z kupiectwa. A czy choć jeden książę lub hrabia ma przodka rzemieślnika?

– Czyżbyś chciał zostać hrabią? – zapytał z ciekawością Antonio.

– Ja niestety już nie zdążę. Przez ciebie – wykrzyknął ze złością Paolo. – A moje dzieci mogą.

– Co ja w tym celu powinienem zrobić?

– Powinniśmy połączyć nasze kapitały. Pracownię zamknąć, a sekrety twoje sprzedać. Postaram się sprzedać je za dobrą cenę. Giuseppe niedługo zostanie biskupem i dopilnuje tu naszych interesów. Francesco będzie zarządzał moimi plantacjami w Brazylii, a Omobono stanie na czele naszej firmy w Genui. Ja będę kierował naszymi interesami w Neapolu.

– A ja? Co ja będę robił? – zapytał Antonio, a z wyrazu jego twarzy nie dało się wyczytać, co myśli o planie swego pierworodnego.

– A ty będziesz szanowanym seniorem domu handlowego. Przecie masz już sześćdziesiąt lat, prawda? Czas już odpocząć, pobawić się z wnukami. Oni, chwała Bogu, nie będą już znać wstydu niskiego pochodzenia. I nie będą musieli robić skrzypiec, bo jeśli przyjdzie im na nie ochota, będą mogli je kupić. – Paolo roześmiał się nagle. – Pomyśl, ojcze, jak piękny będzie plon twojego życia, jeśli prawnuki Stradivariego będą za ogromne pieniądze kupować skrzypce cechowane twoim nazwiskiem!

– Tak, mnie coś podobnego nawet nie przyszło do głowy – powiedział niewyraźnie Antonio. – Ale trzeba jeszcze zapytać o zdanie Franceska i Omobona. Co oni na to?

I popatrzył na nich ciężkim, nieruchomym wzrokiem. Omobono nadal patrzył w podłogę, ale koniuszki uszu zapłonęły mu jak maki.

Francesco milczał przez chwilę, a potem, nie unosząc oczu, powiedział cicho:

– Zrobimy, jak zechcesz, ojciec. Ale może Paolo ma rację...

Stradivarius wstał, przespacerował się po pokoju, poprawił wełnianą czapkę i powiedział półgłosem:

– Dziś skończyłem skrzypce i nazwałem je „Santa Maria”. Takich skrzypiec ludzie jeszcze nie znali. Potrzebowałem czterdziestu lat, żeby zrozumieć budowę ich duszy. Mam nadzieję, że nawet po wielu wiekach te skrzypce będą służyć pięknu i że dusza ich będzie współbrzmieć ze wszystkim, co najlepsze na tym świecie...

Paolo potrzęsnał ze złością głową i skrzywił pogardliwie usta. Ojciec zatrzymał się, popatrzył na synów i głos jego zagrzmiął niczym armatnia salwa:

– Kramarze! Żałośni i nikczemni kramarze! Pasożyty! Złodzieje! Ukradliście mi tysiące godzin na waszą naukę. Orałem nieustannie ugory waszych dusz, polewałem je życiodajną wodą rozumu, osłaniałem przed palącym znojem chciwości i niewiary. A weszły tylko osty i jadowite pokrzywy! Niepotrzebny wam świat duszy ludzkiej, tylko pieniądze! Niewolnicy! Pragnąłem dać wam wszystkim wolność, a wy marzycie o kajdanach! „Hrabia Paolo”! Za życia zdradziliście i wyrzekliście się ojca swego, judaszowym pocałunkiem skazaliście na zapomnienie, bo przekładacie nade mnie swoje nędzne bałwany, złote cielce! Za trzydzieści srebrników chcecie sprzedać moje męki i wątpliwości, noce bezsenne, dni galernicze, całą czułość i namiętność duszy mojej, ból i radość rozumu mojego! Nie chcecie dziedziczyć mojej biegłości i talentu, cierpliwości i pracy, za które zyskam nieśmiertelność, tylko chcecie za wszelką cenę stać się godnymi poklasku żałosnych i śmiesznych ludzi!

Serce przeszył ostry ból, zabrakło mu tchu w piersiach.

– Idźcie – powiedział ochryplym szeptem Stradivarius.

– Idźcie precz. Nie przeklinam was, bo już Pan Bóg was przeklął, pozbawiając rozumu. Żyćcie, jak chcecie...

Wiele godzin przesiedział mistrz w samotności i czuł się okropnie stary i zmęczony. A więc nie będzie domu Stradivariich, nie będzie dynastii sławnych lutników. I cały ten dom, bogate meble, obrazy, kurdybany, florentyńskie mozaiki, weneckie szkło i lewentyńskie złoto posłuży do tego jedynie, żeby jego wnukowie mogli ukryć, kim był ich dziadek? A może i jego imię zostanie wkrótce zapomniane, a skrzypce rozproszą się po świecie i znikną?...

Stradivarius wszedł do pracowni, zdjął z wieszaka „Santa Marię”, skrzypce ogromne, jakich nikt jeszcze nie robił, przycisnął do podbródka i zagrał. Dźwięk wytrysnął spod smyczka i wypełnił pracownię. Było mu zbyt ciasno w pracowni, temu głosowi ogromnemu i jasnemu jak świt.

Stradivarius grał i powoli odstępowała go gorycz, złość i strach, obawa, że instrument nie przetrwa stuleci. Co to zresztą za różnica, skoro się dokładnie wie, że te skrzypce nie mają sobie równych na całym świecie, a może nigdy nie będą ich miały...

A na niewielkim dziedzińczyku stał szczuplutki, niski młodzieniec z ogromną głową i jak zaczarowany wsłuchiwał się w dźwięki skrzypiec dobiegające z pracowni. Potem skrzypce ucichły, na próg domu wyszedł sługa i powiedział:

– Signore Stradivari nie przyjmuje już uczniów...

Giuseppe Guarneri skłonił się, podniósł z ziemi swój węzełek i wolno wyszedł na ulicę.

Siedemnastego grudnia wezwałem na przesłuchanie Mielnika. Doprowadzono mi go z aresztu śledczego. Dla mnie sprawa była jasna: niezależnie od mojego osobistego punktu widzenia dochodzenie przeciwko Mielnikowi zo-

stanie zakończone i sprawa przekazana do sądu. Nie miałem zresztą żadnych poważnych argumentów przeciwko takiej decyzji, bo nie widziałem realnych perspektyw odnalezienia jego współników i skradzionych skrzypiec.

Czas spędzony w areszcie najwyraźniej nie wyszedł Mielnikowi na zdrowie. Schudł, skóra opinała mu się na łysej czaszce, zwisała na policzkach i podbródku i przybrała woskową barwę, jak to zwykle bywa z ludźmi, którym brakuje świeżego powietrza.

– Cemu pan tak wychudł, Stiepanie Andriejewiczu? Czyżby źle pana karmili? – zapytałem.

– Jedzenia wystarcza – powiedział. – Bo czy to staremu wiele trzeba? Zresztą żona dwa razy przyniosła mi paczkę.

– A o co chodzi?

Mielnik poruszył bezdźwięcznie wyschniętymi, niebieskawymi wargami, a potem powiedział głucho:

– Życ mi się całkiem odechciewa...

– Nikt pana w celi nie krzywdzi? – zapytałem.

– Nie – pokręcił głową. – Kto niby miałby mnie krzywdzić? Trzymają mnie razem z przestępcami gospodarczymi, wielkimi aferzystami. A to ludzie spokojni i wystraszeni. Trzęsą się przed rozprawą...

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem Biełasza. Pogadaliśmy o tym i owym, a potem on jakoś dziwnie zamilkł. Wydało mi się nawet, że nas rozłączono, więc krzyknąłem w słuchawkę:

– Halo, halo!

– Tak, tak, Stanisławie Pawłowiczu, słyszę pana – powiedział Biełasz niepewnie i zaraz szybko wypalił: – Dzwonię do pana właściwie dlatego, że widziałem się dzisiaj z Sodomskim, który powiedział mi, że wie, kto ma skradzionego stradivariusa.

– Taak? – powiedziałem z niedowierzaniem i zerknąłem na Mielnika, który siedział nieruchomo z zamkniętymi

oczami, jakby przysypany kurzem i absolutnie na wszystko obojętny.

– Tak – odparł Biełasz. – Nie wiem, czy to prawda, czy kłamstwo, ale na wszelki wypadek postanowiłem do pana zadzwonić.

– Dziękuję – powiedziałem i pomyślałem, że Biełasz może być najlepszym doradcą w sprawie „zgubionych” w trolejbusie skrzypiec roboty Bergonziego. Zerknąłem jeszcze raz na Mielnika i zapytałem Biełasza: – Grigoriju Pietrowiczu, skąd pan dzwoni?

– Jestem niedaleko. Bo co?

– Nie mógłby pan wpaść do mnie na dziesięć minut? Na pewno nie zajmę panu więcej czasu, a koniecznie muszę się w pewnej sprawie poradzić.

– Dobrze – zgodził się natychmiast Biełasz.

Odłożyłem słuchawkę i znów popatrzyłem na Mielnika, który znieruchomiał na krześle w niewygodnej, nienaturalnej pozycji i w trakcie całej rozmowy ani razu się nie poruszył.

– Cóż więc panu dolega, Stiepanie Andriejewiczu?

Mielnik uniósł na moment oczy, a ja pomyślałem, że jego oczy też jakby się skurczyły, zmałyły, potem wolno opuścił powieki i powiedział ze spokojną goryczą:

– Chyba umrę w więzieniu...

– A to niby dlaczego? Jeszcze całkiem niedawno był pan w zupełnie innym nastroju.

– Niedawno! – uśmiechnął się Mielnik. – To u ciebie, w krzątaniu, bieganinie, na wolności miesiąc to niedługo. A w celi miesiąc to dłużej niż rok!

– No, a jak inni ludzie odsiadują całe lata? Jak pan sobie z tym poradzi? Przecież sąd za tę kradzież nie da panu miesiąca aresztu...

– Później, kiedy zaczną płynąć lata, nie będzie tak ciężko. Przyzwyczai się człowiek. A teraz jest ciężko. Leży

człowiek przez cały dzień i myśli. A myśli ma obrzydliwe i piekące. Wydaje się, że przez miesiąc można całe życie siedem razy przemyśleć, kiedy i tak nic innego nie ma się do roboty. A jednak ciągle się myśli od początku i nie ma tym myślom końca.

– I co pan wymyślił?

– Nic. Tylko często przypominałem sobie słowa, które kiedyś od Kresta usłyszałem. Mówił on, że ludzkie życie jest jak dziecinna koszulka, krótkie i zafajdane.

– Ale przecież pan nie jest dzieckiem, Stiepanie Andriejewiczu, i powinien pan wiedzieć, że własną koszulę paskudzi.

– Ano właśnie! Żeby człowieka, zanim przekroczy prawo, wysłać na jakieś trzy dni do więzienia, niby na wycieczkę, nie miałbyś nic do roboty. Ale to człowiekowi przychodzi do głowy dopiero po fakcie, kiedy cały już siedzi po uszy w gównie.

– Trudno – powiedziałem. – Będzie lekcja na przyszłość.

Mielnik znów się uśmiechnął, uniósł siwe krzaczaste brwi.

– Lekcja, powiadasz? Z tej lekcji powiozą mnie na cmentarz.

– Dlaczego od razu na cmentarz? Kolonia to nie katorga. Dadzą panu pracę z uwzględnieniem wieku, stanu zdrowia i możliwości.

– Nie katorga – powtórzył Mielnik. – A niby co, Soczi? Ty przecież nie będziesz się starał o wczasy w takim kurorcie, prawda?

– Tak, ale ja po nocach nie włamuję się do cudzych mieszkań, tylko, na odwrót, łapię amatorów takich wycieczek. Dlatego mnie należy się skierowanie do Soczi, a panu do nieco chłodniejszych krajów, żeby nie za gorąco było przy robocie...

– Ja się nie boję roboty. Tęsknota mnie tam zagryzie. Zmarnuje się tu beze mnie moje gospodarstwo, bo sama kobieta sobie z nim nie poradzi. A jeśli Szeff się dowie, że ja jeszcze obrobiłem mieszkanie, to pošle Kresta, żeby dom mi spalił. Tego się boję. A wszystko zaczynać od początku, to już nie na moje lata. I dobytku, zgromadzonego przez całe życie, bardzo mi żal. Żebyście przynajmniej Kresta złapali, to byłbym spokojniejszy. Bo inaczej, kiedy będę w kolonii, a Krest tu zostanie, z samych nerwów umrę.

Popatrzyłem na jego gołą czaszkę, przezroczyście żółtawe chrząstki odstających uszu, wyschniętą szarozółtą skórę i jakoś niesłychanie łatwo, z dojmującym obrzydzeniem wyobraziłem go sobie jako nieboszczyka... Przede mną siedział trup. Człowiek, który z chciwości sam siebie wyżarł od środka.

– No i widzi pan! Okazuje się, że interesy świata przestępczego i organów śledczych czasami się pokrywają – powiedziałem, wstałem zza biurka i podszedłem do okna.

Po dłuższej chwili odwróciłem się do żółtego, już prawie martwego Mielnika i powiedziałem:

– Porządek musi być. Prokuratura zakończy dochodzenie w pańskiej sprawie, przygotowuje akt oskarżenia i skieruje go do sądu.

Mielnik gwałtownie poderwał głowę.

– A co z Szeffem? Co z Krestem? Tylko ja sam będę za wszystko odpowiadał?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołałem.

Otworzyły się drzwi i mrużąc oczy oslepione światłem bijącym przez okno wszedł Bielasz.

– Dzień dobry! – powiedział i osłonił ręką oczy, usiłując odzyskać wzrok.

Mielnik popatrzył na niego pustymi, martwymi oczami

i obojętnie opuścił głowę. Ruszyłem na spotkanie Biełasza, a on, obrzuciwszy wzrokiem gabinet, zobaczył siedzącego przy stole Mielnika. I kiedy szedł ku mnie z wyciągniętą ręką, jego oczy nieświadomie wpiły się w bezkształtną postać starca. Moją gabinet ma zaledwie pięć metrów długości i pokonanie ich nie mogło trwać dłużej niż dwie sekundy, ale dla mnie czas się zatrzymał. Nie wiem, choć zabij nie pamiętam, nie potrafię powiedzieć, jaki wyraz twarzy miał Biełasz w tym króciutkim momencie zatrzymanego czasu, bo zapamiętałem jedynie jego oczy i ręce, bo przecież wiele już razy przedtem przyglądałem się jego pięknie wykrojonym mądrym oczom z ciężkimi, niebieskawymi powiekami. W owym momencie oczy miał zupełnie obce, jakby w pośpiechu wybierał się na maskaradę, założył przez pomyłkę zbyt szczelną maskę zakrywającą twarz i odsłaniającą jedynie fragmenty oczu, w których miotały się źrenice człowieka, oszalałego z przerażenia i bezsilności. Jakby to nie Mielnik, rozbity, niemal martwy z chciwości, wstydu i rozpacz starzec, tylko kłapiący zębiskami Minotaur gotował się do skoku z krzesła opatrzonego blaszaną tabliczką inwentaryzacyjną... Takie oczy miał Biełasz, a ja nic nie słyszałem, po prostu ogłuchłem na te parę sekund zatrzymanego czasu, bo w głowie dudnił mi i przelewał się zmęczony, matowy głos Biełasza: „...ciałem żywym do grobu zstępuje...” I wyciągnięta do mnie ręka, szczupła, z długimi silnymi palcami, zaczerwienionymi od mrozu, dygotała.

Wszystko to trwało dwie, najwyżej trzy sekundy, gdyż Biełasz oderwał wreszcie swe nieposłuszne, żyjące własnym życiem oczy od Mielnika i z trudem wykrzywiając usta w uśmiechu powiedział:

– Okropny mróz...

– Tak, zimno dziś. Grigoriju Pietrowiczu, zna pan tego człowieka?

Biełasz już przyszedł do siebie i obróciwszy głowę w stronę Mielnika powiedział niepewnie:

– Nawet się w pierwszej chwili przestraszyłem, bo wydało mi się, że go znam.

– A czemu się pan przestraszył?

Biełasz popatrzył na mnie i wtedy zobaczyłem, że oczy ma zwyczajne, jak zawsze spokojne, ironicznie zmrużone... Potem zatarł ręce, wyjął papierosa, przypalił od zapalniczki i mogłem się przekonać, że ręce też mu się już nie trzęsą.

– Wydało mi się, że kiedyś widziałem go w domu u Ikonnikowa.

– Wydało się, czy rzeczywiście pan widział?

– Bardzo jest do tamtego podobny, ale nie mogę utrzymać, że na pewno.

Mielnik czujnie uniósł głowę.

– U jakiego znów Ikonnikowa?

Szybko wróciłem za biurko i powiedziałem:

– Obywatelu Mielnik, obywatelu Biełasz, między wami zostanie dokonana konfrontacja...

Mielnik już zupełnie obudził się ze swej anabiozy. Jego głębokie drapieżne ślepia ożyły, błysnęły niedobrym blaskiem, nawet łysina lekko poróżowiła. Powiedział wolno:

– Nie możecie znaleźć skrzypiec, więc postanowiliście wszystko na mnie zwalić?

– Mielnik, bądźcie teraz cicho. Odpowiadać będziecie tylko mnie i tylko na moje bezpośrednie pytania. Obywatelu Biełasz, czy zna pan tego mężczyznę?

Biełasz jeszcze raz uważnie przyjrzał się Mielnikowi i powiedział pewnym głosem:

– Teraz, kiedy się odezwał, prawie na pewno mogę powiedzieć, że właśnie jego widziałem kiedyś u Ikonnikowa.

– Ikonnikow przedstawił was sobie? – zapytałem.

– Nie.

- Kiedy to miało miejsce?
- Jakieś półtora miesiąca temu.
- W jakich okolicznościach?
- Odwiedziłem Ikonnikowa, to było na krótko przed kradzieżą skrzypiec, i zastałem u niego tego mężczyznę. Już wychodził i był w jesionce. Dlatego z początku w tym kożuchu go nie poznałem. Ikonnikow powiedział mu na odchodne, żeby przyszedł innym razem. To wszystko.
- Nie zauważył pan, jaką jesionkę miał na sobie ten człowiek?
- To była jakaś ciemna jesionka. Zwyczajna. Nie bardzo mu się przyglądałem, bo u Ikonnikowa można było spotkać najrozmaitszych ludzi.
- Dobrze. Obywatelu Mielnik, czy potwierdzacie słowa tego obywatela?
- Wpierw zdechnie, zanim ja mu będę potwierdzał takie głupoty! – zapienił się Mielnik. – Przecież ja go pierwszy raz na oczy widzę!
- Znaliście Pawła Pietrowicza Ikonnikowa?
- W życiu o takim nie słyszałem! – Mielnik rąbnął pięścią w kolano.
- Jak to nie słyszeliście, skoro wysłaliście do niego list? – zapytałem.
- A, o tym mówicie? Zdażyłem już o nim zapomnieć! – zmieszał się Mielnik. – List wrzuciłem do skrzynki i zapomniałem! A widzieć go, nigdy nie widziałem! – I przyciskając rękę do serca, zapewnił: – Uwierzcie, że nie kłamię, jak Boga kocham!...
- A może widzieliście, tylko zapomnieliście, jak o liście?
- Nie widziałem, nie wiem, nie byłem! Powiedziałem i basta! – wrzasnął Mielnik.
- Ciszej! Ciszej! – przywołałem go do porządku. – To znaczy, że mam zapisać, że Ikonnikowa nigdy nie widzie-

liście i siedzącego przed wami obywatela Bielasza też nie znacie?

– Zgadza się. Tak właśnie napisz.

Bielasz wzruszył ramionami i powiedział spokojnie:

– Mogę dać głowę, że to był właśnie on...

– ...A co ty myślisz? Zdziwienie jest emocją o znaczeniu dodatnim – roześmiał się komisarz.

– Ładna mi emocja dodatnia! Myślałem, że go szlag ze strachu trafi.

Komisarz zsunął okulary na czoło, chytrze zmrużył oczy.

– Nic dziwnego, miał powody do zdziwienia, bo przecież w twoim gabinecie zobaczył nie Polakowa, tylko człowieka, którego spotkał u Ikonnikowa na krótko przed kradzieżą, po czym, również nieco później, Ikonnikow zmarł. Tak że można go zrozumieć i wytłumaczyć sobie paskudny stan nerwów. Nie zastanawiałeś się przypadkiem, dlaczego Sodomski mówił ci właśnie o Bielaszu?

– Wydaje mi się, że chciał go zadenuncjować. O Dzasochowie Sodomski powiedział wprost, że mógł ukraść, ale zobaczył, że mu nie uwierzyłem. Dlatego aluzje do Bielasza robił o wiele subtelniejsze. Paskudny facet z tego Sodomskiego...

– Daj spokój – machnął ręką komisarz. – Fakt, że Sodomski jest paskudnym facetem, nie stanowi podstawy do przypuszczenia, że właśnie on brał udział w kradzieży.

– A stare skrzypce?

– Właśnie. Chciałem cię akurat zapytać, co ze starymi skrzypcami?

– Chcę przygotować plan równoległego śledztwa.

– Słusznie – powiedział komisarz. – Ale nie równoległego. W równoległych obwodach elektrycznych spada napię-



cie prądu. Musisz najpierw znaleźć stradivariusa, a dopiero później się tym zająć.

– A jeśli Sodomski podejmie jakieś kontrposunięcie?

– Nic z tego. Miałeś rację, że nowy właściciel skrzypiec nigdy się nie zgodzi na ich zwrot. Zresztą skąd teraz Sodomski weźmie tyle pieniędzy na wykupienie instrumentu. Przecież to, mimo swojej filozofii i wytwornej foczej czapki, zwyczajny nędzarz. Urywa, gdzie może, po parę groszy na zaspokojenie swoich mikroskopijnych przyjemnostek. A poza tym... – Komisarz zapalił papierosa, zaciągnął się i dokończył: – Przecież tylko w twoich słowach poszukiwanie skrzypiec jest takie łatwe. Rozumiem, że chciałeś go nastraszyć, ale w praktyce rozmaicie może to wyglądać. Na razie więc odłożmy tę sprawę, odłożmy...

– Wczoraj minęły dwa miesiące od dnia kradzieży – powiedziałem zmartwionym głosem. – Taki szmat czasu i takie nędzne rezultaty!

– Dlaczego nędzne? – zapytał komisarz z taką złością, jakbyśmy mieli same sukcesy, a ja im usiłuję zaprzeczać.

– Wszystko się ostatecznie pokiełbało. Kombinator Sodomski pokazuje palcem Bielasza, Bielasz rozpoznaje Mielnika, a ten z kolei, marząc o jak najszybszym ujęciu przez nas Kresta, jednocześnie kategorycznie wypiera się znajomości z Ikonnikowem...

– To wszystko dlatego, że brak ci cierpliwości i pracowitości – powiedział komisarz.

– My i tak pracujemy wedle pańskiego ulubionego schematu: jak najwcześniej zacząć, jak najpóźniej skończyć, ale za to bez przerwy. Jak długo można?!

– Nie wiem. Może jeszcze ze dwie godziny dłużej. Skąd mam wiedzieć? To ty przecież jesteś odpowiedzialny za śledztwo, więc sam powinieneś decydować.

– Nie chodzi przecież o czas i ilość pracy! Tu potrzebny

jest jakiś pomysł, jakaś nowa koncepcja! A nie ma żadnego punktu zaczepienia.

– Nie ma, powiadasz? Szkoda, bo mógłbym posłać swojego kierowcę i on by mi skrzypce od razu przywiózł... A co się tyczy wyników śledztwa, to są wcale niezłe.

– Jak to?

– W tej jeszcze do niedawna monolitycznej ścianie pojawiły się pęknięcia. Teraz więc trzeba po prostu pracować, dzień po dniu poszerzać je, pogłębiać, dopóki cała konstrukcja się nie rozpadnie.

– Dobra rada! Ale trzeba najpierw wykryć odpowiednią szczelinę. Tylko jedna prowadzi do skrytki, a cała reszta donikąd!

– A dawniej wszystkie prowadziły donikąd! – powiedział komisarz. – Mam takie pytanie: dlaczego Bielasz nie chciał ci wcześniej powiedzieć, że był uczniem Ikonnikowa?

– Nie chciał, żeby wiedzieli o tym ludzie z tego kręgu. Tak zresztą postanowił Ikonnikow.

– No dobrze, ale ty przecież nie jesteś pracownikiem filharmonii... Przeczytałem uważnie jego zeznania i stwierdziłem, że nie tak energicznie bronił swojego nauczyciela, jakbym tego pragnął! W życiu rozmaite rzeczy się zdarzają i nie życzyłbym sobie, abyś w podobnej sytuacji w ten sposób mnie bronił!

– Nie trzeba koniecznie ślinić się z zachwytem, jeśli się kogoś broni – powiedziałem.

– Miałbyś rację, gdybyś był członkiem konkursowego jury, a Bielasz przedstawiał ci walory wykonawcze Ikonnikowa. Ale pamiętaj, że przesłuchiwałeś Bielasza na okoliczność, która sprowadza się do wspólnego mianownika: czy Ikonnikow mógł ukraść skrzypce, czy też nie.

– Przecież Bielasz oświadczył kategorycznie, że nie mógł.

– Zgoda, oświadczył. Ale mimo wszystko coś mi się tutaj nie zgadza, coś wzbudza podejrzenia. Ja bym na twoim miejscu dokładniej zbadał kwestię wzajemnych stosunków Ikonnikowa i Bielasza.

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem powiedziałem:

– Nie sądzę, żeby to było celowe.

– Jak uważasz – wzruszył ramionami komisarz. – A dlaczego?

– Bo po pierwsze, znaczyłoby to, że dają się podpuszczać przez Sodomskiego, a pamiętać należy, że już raz usiłowano nas na Ikonnikowa napuścić. Po wtóre, Ikonnikow nie żyje, więc w sposób nieunikniony wrócę do Bielasza. Zaklęty krąg.

Komisarz wstał, przespacerował się po swoim obszernym gabinecie, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu:

– Przecież nie twierdzę, że na pewno coś znajdziesz. Nie można jednak pomijać żadnej szczeliny. Poza tym Bielasz wcale nie jest jedynym źródłem informacji na temat jego stosunków z Ikonnikowem. Ci ludzie wszak nie wykluli się na światło dzienne w przeddzień kradzieży. Żyli wśród ludzi, a ludzie mają długą pamięć. Pamiętają wiele najrozmaitszych rzeczy, dlatego że my wszyscy również w cudzym życiu pozostawiamy nasiona swoich postępów. Dobrych i złych. Mija czasem wiele lat, zanim te nasiona wykiełkują...

Nie potrafiłem znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia przestרחu Bielasza. Najprawdopodobniej rzeczywiście widział Mielnika u Ikonnikowa, ale jego zdenerwowanie na widok Mielnika mimo wszystko wydawało mi się nie adekwatne do przykrych skojarzeń, jakie to spotkanie mogło wyzwolić.

Z drugiej strony, nie pojmowałem też zupełnie zachowania się Mielnika, nie miałem pojęcia, dlaczego wypiera się on znajomości z Ikonnikowem...

Zastanawiałem się nad tym siedząc w pokoju nauczycielskim podstawowej szkoły muzycznej, gdzie czekałem na Mikołaja Siergiejewicza Trubicyna, wykładowcę klasy skrzypiec. Około siedemnastu lat temu Trubicyn napisał charakterystykę, którą znalazłem w wygrzebanych z archiwum dokumentach G.P. Bielasza, złożonych przezeń do sekretariatu Komisji Egzaminacyjnej Konserwatorium Moskiewskiego.

– Bielasz? Oczywiście, pamiętam! To, że tak powiem, był chłopiec wyjątkowy. W sensie, że tak powiem, uzdolnień muzycznych i cech charakteru...

Mikołaj Siergiejewicz Trubicyn, szczupły jasnowłosy mężczyzna w absolutnie nieokreślonym wieku, zaliczał się do tej kategorii nerwowych i nieśmiałych ludzi, dla których kontakt z każdym nieznanym człowiekiem jest niesłychanie trudny i bolesny. Tacy ludzie, chorobliwie niepewni siebie i swoich postępów, swoich wniosków i decyzji, zazwyczaj już w pierwszej chwili znajomości starają się ze wszystkich sił jak najszybciej zrozumieć swojego rozmówcę i wybrać stosowny klucz zachowania. Dlatego też, zajęci własnymi myślami, roztargnieni, nie potrafią się skupić i niczego porządnie i logicznie opowiedzieć, przez co sprawiają wrażenie, że usiłują oszukać, lub też coś ważnego ukrywają.

– ...Nie pamiętam już teraz dokładnie, bo wiele już lat, że tak powiem, minęło, ale na imię miał Grisza. To przecież, że tak powiem, dość pospolite imię?... Spędziliśmy, że tak powiem, ze sobą niejedną noc...

– A dokładniej nie może pan sobie przypomnieć?

– Dlaczego nie mogę? Oczywiście, że tak powiem, mogę. Grisza skończył naszą szkołę w roku 1957, a pracowałem

z nim, że tak powiem, cztery lata, to znaczy, że przyszedł do nas, że tak powiem, w roku 1953.

– Spotykał się pan z nim po skończeniu przez niego szkoły?

– Nie. To znaczy tak. Że tak powiem, przypadkowo, raz, dwa lata temu.

– I jak bywa zazwyczaj w takich wypadkach, powspominaliście panowie z łezką w oku dawne lata? – dopytywałem się natrętnie.

– Tak. To znaczy raczej nie. Przeszkodziło mu w tym... Okoliczności, że tak powiem, były nieodpowiednie.

– Jakież to okoliczności mogą przeszkodzić w rozmowie z byłym nauczycielem? – udałem nieprzyjemne zdziwienie.

– Widzi pan, ja go, że tak powiem, nie potępiam. Nawet, niech mnie Pan Bóg broni, nie czuję się w najmniejszej mierze dotknięty. Jestem rad, że tak powiem, że przynajmniej mnie pamięta. A rozmawiać ze mną tego wieczoru, że tak powiem, nie miał czasu...

– A co to był za wieczór?

– Nawet, słowo daję, nie ma o czym mówić. Był to, że tak powiem, w pewnym sensie jubileusz, trzydzieści lat naszego pożycia z moją małżonką. Postanowiliśmy uczcić go, że tak powiem, w restauracji. Posiedzieliśmy sobie, że tak powiem, wspomnieliśmy minione lata, dobre i złe. I zobaczyłem tam Griszę. Siedział tam, że tak powiem, w towarzystwie. Ja do niego, że tak powiem, z otwartymi ramionami, a on powiada: podejdę do pana w chwilę później, Mikołaju Siergiejewiczu, przysiadę się, że tak powiem. Poznałem go od razu, bo prawie, że tak powiem, przez te lata się nie zmienił. Chciałem go wypytać, jak żyje, co robi, ale nie przysiadł się, czasu mu, że tak powiem, nie starczyło. Przesłał nam przez kelnera butelkę szampana, a sam, że tak powiem, nie przyszedł...

– Tak, nieładnie wyszło – pokręciłem głową.

– Nie! Nie! – Trubicyn zamachał rękami. – Niech pan tylko nie myśli, że ja się, że tak powiem, skarżę. Przecież tak wiele lat minęło, tak wiele rzeczy można było zapamiętać. Życie ludzkie jest pełne trosk, kłopotów i zdenerwowania. A nauczyciel, że tak powiem, to nikt ważny. Tylu ich mamy, że trudno, że tak powiem, dla każdego zachować wdzięczność i pamięć!

– A dobry to był uczeń?

Trubicyn potarł dłonią czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć, chociaż nie wspominał niczego, lecz po prostu starał się precyzyjniej sformułować swoją myśl.

– Uczeń nie najlepszy, natomiast wyjątkowo zdolny muzyk. To był, że tak powiem, młodzieniec bez wątplenia niezmiernie utalentowany.

– A w jakim sensie był nie najlepszym uczniem?

Trubicyn zdjął okulary, szybko przetarł soczewki. znów je założył i zabębnił po stole szczupłymi, pożółkłymi od kalafonii palcami, a na jego twarzy malowała się bolesna niepewność, niezrozumienie sensu naszej rozmowy, wyrastające z owych dalekich lat, kiedy to starał się i nie mógł zrozumieć swojego utalentowanego i nie najpilniejszego ucznia.

– Pali pan? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Nie będzie miał pan nic naprzeciw, jeśli zapalę? – zapytał, jakbym to ja był gospodarzem tego malutkiego pokoiku z gipsowym popiersiem Czajkowskiego i portretem Głazunowa.

Trubicyn wyjął z kieszeni paczkę siewierów. Zwróciłem uwagę, że chociaż w paczce zostało zaledwie parę papierosów, opakowanie było zupełnie nie pogniecione, jakby dopiero przed chwilą je otworzył. Trubicyn cały był równie porządny, skromnie ubrany i mówił tak nieśmiało, do-

dając sobie odwagi nieustannymi „że tak powiem”, że miałem ochotę klepnąć go po ramieniu i zawołać: odwagi!

– Ten chłopiec od pierwszego wejrzenia, że tak powiem, wywarł na mnie ogromne wrażenie, do każdej, nawet najprostszej kompozycji potrafił, że tak powiem, wprowadzić coś własnego. Nienawidził, że tak powiem, oczywistych prawd i pouczeń. Ciągłe się z nim na tym, że tak powiem, gruncie spierałem. Jestem, że tak powiem, niezachwianie przekonany, że człowiek zdolny jest odkryć coś nowego jedynie wtedy, jeśli doskonale zna stare. Nieustannie z nim się zmagalem, przekonując go o tym, a on ciągle, że tak powiem, jakby to powiedzieć... uśmiechał się wewnętrznie. Czułem to. Czułem, że moje wysiłki rozbijają się jakby o twardy mur. Nie mógł to być, że tak powiem, zwyczajny dziecinny upór lub negowanie autorytetu dorosłych...

– A co w takim razie? – zapytałem.

– Wydawało mi się, zwłaszcza pod koniec, że za tym uporem kryje się przekonanie zbudowane na wierze. W sobie lub w jakiś inny, nieporównywalnie większy od mojego, autorytet.

– Jak to się wyrażało?

– W odrzucaniu, że tak powiem, mojej metody. Ćwiczyliśmy na przykład jakiś utwór i ja, że tak powiem, przekonywałem go, pokazywałem, tłumaczyłem, on się ze mną zgadzał i osiągał właściwy, z mego punktu widzenia, akcent, odpowiednie brzmienie, interpretację, styl wykonawczy. Wracał do mnie po paru dniach i grał zupełnie inaczej...

– Gorzej?

– Nie. Ale zupełnie, że tak powiem, inaczej. W jego grze był talent, okropnie niekonwencjonalna i świeża maniera i coś, co wciąż przypominało mi grę kiedyś słyszaną. Może mi się to tylko wydawało, ale – nie potrafię tego panu

wytłumaczyć – bałem się z nim spierać, gdyż coś równie niezwykłego, niezwykle odważnego, napiętnowanego talentem i natchnieniem już kiedyś słyszałem. Czasami wydawało mi się, że tak powiem, że on umie więcej niż ja i dlatego w duszy ze mnie się wyśmiewa. Ta wielka, że tak powiem, zbyt wielka w jego wieku wiedza, przerażała mnie. Lękałem się o niego...

Trubicyn znowu zdjął i przetarł okulary, po czym znów wsadził je na nos.

– ...I wkrótce moje obawy poczęły się spełniać. Chociaż w nieoczekiwanym, że tak powiem, kierunku. W jego zachowaniu zaczęło się przejawiać jakieś junactwo, niepowstrzymane dążenie do udowodnienia, że wszystko może i potrafi. Pewnie w tym czasie marzył o tym, aby zostać kimś podobnym do legendarnego tamburmajora Iwana Stiepanowicza Łuszkowa, który miał dwa i pół metra wzrostu. Wtedy wszyscy by go zauważali i wiedzieli, że jest. Któregoś dnia wezwano mnie na milicję i oświadczone, że Grisza oskarżony jest o chuligaństwo. Razem ze swymi kolegami dopuścił się rzeczy niesłychanej...

Nawet teraz, dwadzieścia lat później, na wspomnienie tego, nie znanego mi jeszcze występku, Mikołaj Siergiejewicz Trubicyn spurpurowiał ze zdenerwowania.

– A cóż oni takiego zrobili? – zapytałem.

– Na Srietience obok przystanku trolejbusowego siedział w budce stary pucybut. Biełasz z kolegami przywiązali sznurek do ściany budki, a drugi koniec zarzucili na hak trolejbusu. Kiedy wóz ruszył z przystanku, to naturalnie pociągnął za sobą budkę z wrzeszczącym pucybutem i śmiertelnie przerażonym klientem...

Wyobraziłem sobie ten obrazek i uśmiechnąłem się mimo woli.

Trubicyn popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Śmieje się pan? Uważa pan to za śmieszne?

– No, są przecież rzeczy śmieszne ponad wszelką wątpliwość – wzruszyłem ramionami.

– Nie rozumiem pana. Jak można śmiać się z chuligaństwa? – zapytał z pasją Trubicyn. Ze zdenerwowania przestał nawet powtarzać swoje natrętne „że tak powiem”.

Spróbowałem się usprawiedliwić:

– Poza przestępczym zamiarem istnieje jeszcze niejako zewnętrzna strona tego rodzaju postępów. Przecież śmiejemy się w cyrku, kiedy jeden klaun kopnie drugiego. A kiedy coś takiego dzieje się na przystanku trolejbusowym, uważamy to za chuligaństwo.

Trubicyn trzęsącymi się palcami zdjął okulary i mrużąc się krótkowzrocznie z uwagą spojrzał mi w twarz.

– Ja też, że tak powiem, byłem młody. I ulegałem wszelkim porywom właściwym młodości. Ale nigdy nie dopuściłbym się takiego oburzającego czynu. Biełasz powinien przecież zdawać sobie sprawę z tego, że było to nie tylko przykre dla tych ludzi, ale również niebezpieczne...

– Czym skończyła się cała historia? – zapytałem.

– Szkoła interweniowała w tej sprawie, rodzice zapłacili mandat i tym się skończyło. W parę dni później Biełasz występował na Moskiewskim Festiwalu Młodych Muzyków i zdobył pierwszą nagrodę. Po miesiącu zaś zdał egzamin konkursowy do klasy skrzypiec konserwatorium...

– Jednak, oprócz egzaminu zawodowego, niczego więcej nie zdawał. Dlaczego?

– Ach, gdybym to ja wiedział! – wykrzyknął Mikołaj Siergiejewicz. – Biełasz przecież wyjechał, nawet nie pożegnawszy się ze mną. Przy całej ekscentryczności tego chłopaka jego postępek jest dla mnie do dziś niezrozumiały. Człowiek z jego zdolnościami, zainteresowaniami i skłonnościami nagle rzuca wszystko i wyjeżdża zagospodarowywać nowe ziemie! Wprawdzie to wówczas było

modne, ale on miał zdawać egzaminy do konserwatorium!

– I nigdy już się pan z nim nie widywał?

– Nie. Poza tym niesympatycznym spotkaniem w restauracji. Rozumiem, że mógł być zajęty, ale ja przecież nie wymagałem zbyt wiele, chciałem tylko po prostu czegoś się o nim dowiedzieć. – I dodał wstydliwie: – Przecież mimo wszystko włożyłem w niego wiele serca. To był jeden z najzdolniejszych chłopców, jakich zdarzyło mi się uczyć...

Zrobiło mi się okropnie żal tego skromnego, malutkiego, zagubionego człowieka, poniżonego i skrzywdzonego przez ludzką oschłość i niewdzięczność.

– Wie pan, matka Biełasza sama wychowywała swojego syna. Nie znam szczegółów, ale ojca w tej rodzinie nie było. Wychowywała go koszmarnie. Spełniała każdą jego zachciankę, choćby w tym celu musiała się zapracowywać na śmierć.

– Czym się zajmowała?

– Była akordeonistką w restauracyjnej orkiestrze. Dopóki Grisza uczył się u mnie, wielokrotnie z nią rozmawiałem i za każdym razem wpadałem w przerażenie: przy takim wychowaniu chłopak powinien wyrosnąć na ostatniego łobuza, a wyrósł na młodzieńca nieco rozpuszczonego, ale w sumie jednak dobrego i przyzwoitego.

– Co pana tak przerażało?

– Wszystko. Przede wszystkim jednak niesłychanie niska kultura pomnożona przez filozofię drobnego posiadacza... Każdego, kto nie potrafił czegoś „załatwić”, ta kobieta uważała za idiotę. I, co najgorsze, mówiła to przy synu, zupełnie nie ukrywając swoich przyziemnych poglądów. Ćwiczyłem z nim skomplikowane pasażę, żeby rozluźnić mu palce, a ona mówiła: „Wyuczysz się na wirtuoza, będziesz jeździł za granicę”. Ja jej mówiłem, że wielki wiolonczelista Karl Dawydow nigdy tak wspaniale nie

grał za granicą, jak w kraju, a ona mi w obecności syna odpowiada: „Inne były czasy i inne zarobki”.

– A co powiedziała panu po odjeździe syna?

– Że sama nie wie, dlaczego i dokąd Grisza wyjechał. Ale nie uwierzyłem jej. Taka rodzicielka, gdyby rzecz odbyła się bez jej zgody, potrafiłaby postawić na nogi całą Radę Ministrów. A ona zachowała zupełny spokój... Zrozumiałem więc, że decyzję o wyjeździe Griszy musieli podjąć wspólnie.

– A dlaczego sądził pan, że pańskie wizyty są jej nie na rękę?

– Domyśliłem się tego z tonu rozmów i z jej zachowania. Potem wręcz mi powiedziała: „Czy musi się pan ciągle zajmować Griszą? Czy chłopak nie da sobie bez pana rady?” Przestałem więc tam chodzić. A w dwa lata później dowiedziałem się, że Biełasz miał otwarte złamanie lewej ręki, co spowodowało przykurcz palców.

W tym momencie zabrzączał dzwonek na przerwę. Rozmawialiśmy równo jedną godzinę lekcyjną. Była to dla mnie bezpłatna lekcja muzyki, etyki i ludzkiej pamięci, której udzielił mi podczas „okienka” nauczyciel klasy skrzypiec Trubicyn, dobry, słaby, rzetelny człowiek, który na szczęście nie dowiedział się, że siedemnaście lat temu jego serce wkładane w ucznia potrzebne było jedynie do uzyskania zaświadczenia niezbędnego przed egzaminem konkursowym.

## Rozdział szesnasty

### Babcia Trumana

Jakiż to honor, jakąż łaskę okazano biednej rodzinie Guarnerich! Do ich nędznego domu zawitał sam kanonik

z parafii Świętego Donata, monsignore Giuseppe Stradivari!...

Młody Guarneri stał oparty o ścianę, w głowie mu się kręciło, przed oczami wirowały purpurowe kręgi, a w piersiach świstało i bulgotało. Kiedy wycierał chustką usta, na płótnie zostawały ciemnoczerwone plamy. Ojciec szturchnął go w bok.

– Zaproś świętego ojca Giuseppe do stołu, nie stój jak pień!

Giuseppe Stradivari powiedział do niego nie głośno i nie cicho, nie ze złością i nie serdecznie, równym, jakby martwym głosem:

– Zostaw nas samych, szacowny panie Guarneri. Chcę porozmawiać z twoim synem.

Ojciec wyszedł i zamknął drzwi, a mnich nie zmieniając tonu, nadal tym samym, pozbawionym życia głosem zapytał:

– Giuseppe Guarneri, czy potrafisz zrobić skrzypce lepsze do tych, które robi mój ojciec, Antonio Stradivari?

Młodzieniec opadł zmęczony na ławkę i popatrzył z ciekawością na mnicha.

– Twój ojciec, monsignore, jest geniuszem.

– To żadna odpowiedź.

– Któż zna samego siebie, monsignore? – Guarneri uśmiechnął się. – Któż wie, czy ma talent, czy mu się tylko tak wydaje? Twój ojciec...

– Szatańska pycha opanowała mego ojca i zaćmiła mu rozum. A co ty myślisz o sobie?

– Nie wiem. Być może, po latach zdołam zbudować skrzypce podobne do instrumentu twego ojca.

– Co ci przeszkadza w pracy?

– Nędza. Nie mogę kupić nawet potrzebnych mi materiałów.

– A gdyby znalazł się człowiek, który dałby ci pieniądze?

– Przez całe życie modliłbym się za niego i słał jego dobroć dźwiękami swoich skrzypiec.

– Za twoją pracowitość i zdolności ręczy kupiec i pośrednik Duvernois.

– Cóż z tego? – wykrzyknął ze złością Guarneri. – On sam jest zrujnowany i nie może mi dać nawet miedziaka.

– Jego pieniądze wcale nie są ci potrzebne – uśmiechnął się mnich. – Wystarczy jego opinia znawcy.

– Czyżby ktoś chciał pożyczyć mi pieniądze? – zapytał z pełną przestrachem nadzieją Guarneri. – Czyż jest na świecie taka dobra dusza?

– Jest. W przyziemnej krzątaninie często zapominamy o tym, który troszczy się o nas w dzień i w nocy i prowadzi nas ku światłu – powiedział cicho Giuseppe Stradivari. – Zakon Jezusowy w imię Boże wyciąga do ciebie pomocną dłoń w godzinę ciężkich prób i wątpliwości.

Z bezdennej kieszeni sutanny mnich wyciągnął i rzucił na stół wypchany skórzany mieszek.

– Tu jest tysiąc pistoli. Za te pieniądze będziesz mógł założyć pracownię i robić skrzypce, które swym śpiewem chwalić będą Boga i dobroć jego wiernych sług.

Guarneri padł na kolana i przylgnął ustami do szczupłej, białej ręki kanonika. Słowa wdzięczności utkwily mu w gardle i nie zdołał powiedzieć, jak bardzo jest szczęśliwy, jak wysoko ceni sobie tę szlachetną pomoc, że zwróci wszystko do ostatniego grosza z niskim pokłonem miłości i wiary. Nie powiedział więc ani słowa i tylko obfite łzy płynęły mu spod powiek.

Mnich wstał i powiedział cicho:

– Nie dziękuj mi. Przyszedłem tu z woli Boga i w imieniu Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Aha, żebym nie za-

pomniał: musisz podpisać mi papier. Znasz litery, czy mam ci przeczytać?

Guarneri trzęsącymi się z radości rękami rozwinął dokument, skwapliwie kiwając głową:

– Tak, tak, znam pismo...

Litery skakały mu przed oczami, nie chciały składać się w słowa zawierające straszliwą treść. Czytał i nie chciał, nie mógł uwierzyć...

„...Przez piętnaście lat, licząc od tego dnia, ja, Giuseppe Guarneri, wnuk Andrei, ofiarowuję parafii Świętego Donata wszystkie instrumenty, zrobione przeze mnie na znak wdzięczności za łaskę zesłaną mi przez Najwyższego, dla umocnienia spraw i wiary, której broni święty Zakon Jezusowy, prawdziwy sługa wiary, uświęcony czynami i męczeństwem naszego świątobliwego pasterza Ignacego Loyoli... I przysięgam na Krew Pańską podpisywać wszystkie swoje instrumenty imieniem swoim, uświęconym imieniem męczennika za grzechy ludzkie – Giuseppe Guarneri del Gesù...”

– Jakże to? – wyszeptał Guarneri. – Przecież chcę, żeby na moich skrzypcach grali ludzie...

– Będą na nich grać ludzie godni – powiedział Giuseppe Stradivari. – Kościół zatroszczy się o to.

– Ale ja nie mogę sprzedać siebie na piętnaście lat w niewolę! – krzyknął zrozpaczony Guarneri. – I chciałbym wiedzieć, co stanie się z moimi skrzypcami...

– Wszyscy jesteśmy oddani Bogu na całe swe życie, a ciebie spotkał wielki honor, że będziesz mógł Mu służyć. Jeśli nie potrafisz ocenić łaski, to umrzesz w nędzy i zapomnieniu...

– Jestem bardzo słabego zdrowia i nie wiem, czy przeżyję więcej niż piętnaście lat. Czy nigdy nie będę mógł pracować dla siebie?

– Będziesz pracował dla Boga, a to jest los o wiele

lepszy. Troszcz się tylko o jedno, o to, żeby twoje skrzypce były lepsze niż instrumenty mojego ojca.

– Dlaczego ci na tym zależy, monsignore? – zapytał ze zdumieniem Guarneri.

– Mój ojciec zapomniał o Bogu. Jeśli staniesz się takim samym mistrzem, to drogi twoje prostował będzie Kościół, a wtedy staniesz się jedyny. Będiesz najlepszy na świecie. I niechaj najlepsze skrzypce świata głoszą chwałę Pana.

Przyszłość ukryta jest przed ludzkim wzrokiem. Kanonik Giuseppe Stradivari też był człowiekiem i nie mógł wiedzieć, że knując przeciwko swemu ojcu, zgotował mu nieśmiertelność, że zbierając dla zakonu Jezuitów skrzypce Guarneriego, nie zdoła ukryć najlepszych, które rozślawi na cały świat prześladowany i wyklęty przez Jezuitów bezbożnik i wróg Kościoła Niccolo Paganini...

W Centralnym Biurze Adresowym uzyskałem informację, że Bielasz przed wprowadzeniem się do swego obecnego mieszkania zameldowany był w starym domu na terenie podległym komisariatowi numer osiemnaście. Na tym samym terenie wydarzyła się historia z czyścibutem, jego budką i trolejbusem. Poszedłem więc do osiemnastego komisariatu.

Sam nie wiem, co spodziewałem się tam wygrzebać, bo przecież trudno było liczyć na spotkanie z kimś pamiętającym tę sprawę. Niektórzy funkcjonariusze zostali awansowani, niektórzy przenieśli się do nowych mieszkań i pracują bliżej domu, inni wreszcie przeszli na emeryturę. Minęło przecież siedemnaście lat, a siedemnaście lat to bardzo dużo...

Musiałem jednak dotrzeć do tych chłopaków, razem z którymi Bielasz siedemnaście lat temu przywiązał linkę do budki czyścibuta. Ci smarkacze z pewnością wiedzieli,

dłaczego ich przyjaciel Griszka Bielasz tak gwałtownie zmienił swoje plany i pojechał zagospodarowywać ugory, skąd wrócił już ze złamaną ręką, co zmusiło go do zrezygnowania z tych planów na zawsze. Musiało wydarzyć się coś niesłychanie ważnego, żeby nagle młody człowiek zdecydował się tak gwałtownie zmienić swój życiowy kurs.

Wiedziałem, że rejestry wypadków i przestępstw zostają w archiwum na zawsze, ale taki rejestr zawiera bardzo skąpe dane i odsyła do materiałów sprawy. A takich właśnie akt nie było.

Naczelnik wydziału kryminalnego „osiemnastki”, młody chłopak z uniwersyteckim znaczkiem w klapie, przeglądający wraz ze mną stary rejestr z roku 1954, zapytał:

– W jakim miesiącu się to stało?

– Nie wiem, sądzę jednak, że najwcześniej w kwietniu, bo zimą ludzie rzadko korzystają z usług pucybuta...

...Dwunasty maja, siedemnasta dwadzieścia – nieletni Bielasz i dwaj nie ustaleni obywatele przywiązali budkę pucybuta do trolejbusu, co spowodowało wleczenie budki po jezdni ulicy Srietienka wraz z czyścibutem i obsługiwany klientem. Materiał przekazano dzielnicowemu...

Koniec, kropka. Materiał został przekazany dzielnicowemu, który z pewnością bardzo szybko ustalił personalia dwóch „nie ustalonych obywateli” i, biorąc pod uwagę, że owi obywatele nie byli uprzednio karani, mają dobrą opinię w szkole i w miejscu zamieszkania, wyrażają skrupy i tak dalej, ograniczył się do wypisania mandatu, a materiały przekazał do archiwum, które po roku akta, ze względu na niewielką szkodliwość społeczną, zlikwidowało.

To znaczy, że tutaj tych chłopców nie znajdę. Siedziałem, myślałem, jak do nich dotrzeć bez udziału Bielasza, i niemal mechanicznie kartkowałem rejestr.

Dłaczego on wtedy tak nagle wyjechał?



„...Morderstwo. Zostało obrabowane mieszkanie ob. Siemynina i zamordowano jego siedemdziesięciosześcioletnią matkę. Czynności śledcze podjęli funkcjonariusze komisariatu i wydział kryminalny Komendy Moskiewskiej”.

Z pewnością nie zwróciłbym uwagi na te dwa zdania nabazgrane pospiesznie i niewyraźnie, gdyby nie jedno: notatka została sporządzona siódmego sierpnia trzydzieści pięć minut po północy. Zanim ją znalazłem, długo myślałem o Bielaszu, który dziesiątego sierpnia miał pisać wypracowanie na egzaminach wstępnych do konserwatorium. I przed oczami stała mi jego karta egzaminacyjna:

„1.08. – przedmiot kierunkowy – bardzo dobrze.

10.08. – język rosyjski pisemny – nie stawiał się”.

W owych niepamiętnych czasach, kiedy jeszcze nie potrafiłem opanować reguł gry w domino, lubiłem ustawiać kostki w długi równy szereg, jedną za drugą, i potem popychałem lekko pierwszą kość. Przewracając się, kostka popychała następną, ta z kolei dalszą i cały szereg walił się z trzaskiem na bok.

Odnajdując notatkę o morderstwie sprzed siedemnastu lat, popchnąłem pierwszą kostkę w długim szeregu losów ludzkich, którym dane było znaleźć się obok siebie, w odległości jednego ludzkiego upadku.

– A w naszych materiałach w Archiwum Centralnym znalazł pan coś ciekawego? – zapytała Ławrowa.

– Nie, Baranowa i Kostyrina aresztowano po dwóch dniach. Do komisju przyszło dwóch smarkatych handlowców z futrem na sprzedaż. Wszystkie komisje i punkty

skupu były już zawiadomione. Zwinęli ich na miejscu. Przesłuchiwali i przekazali prokuraturze, bo obaj byli niepełnoletni. Pod wieczór powiedzieli o Łopakowie.

– I ani w materiałach śledztwa, ani w aktach sądowych niczego nie ma? – zapytała znów Ławrowa.

– Nie, o Bielaszu nie ma tam ani słowa. Ale wszyscy trzech skazani mieszkali z nim w tym samym domu, a w dzień lub dwa po morderstwie Bielasz nie stawiał się na egzamin, bo nagle wyjechał z Moskwy. To oczywiście może być przypadek, ale...

– To była duża sprawa?

– Nie. Oni natychmiast do wszystkiego się przyznali. Śledztwo zostało zakończone w ciągu miesiąca.

– Jak był sformułowany akt oskarżenia?

– Zwyczajnie! Trzykrotnie karany Łopakow, mężczyzna dwudziestosześcioletni, wciągnął do grupy przestępczej nieletnich Baranowa i Kostyrina, zapewnił ich, że rodzina inżyniera Siemynina znajduje się w domku podmiejskim, i namówił do okradzenia mieszkania. Kiedy jednak wyłamali drzwi, nieoczekiwanie dla siebie zastali w mieszkaniu przerażoną staruszkę, matkę Siemynina. Staruszka krzyknęła i wówczas Łopakow uderzył ją łomem w głowę.

– Jak sąd zakwalifikował ich działania?

– Sąd uznał morderstwo za „eksces wykonawcy”, ponieważ nie wchodziło ono w plany grupy przestępczej. Łopakow dostał dwadzieścia lat, a Baranow i Kostyrin po dziewięć.

– Co się z nimi stało?

– Biuro adresowe podało, że Baranow mieszka w Moskwie w swoim starym mieszkaniu. Informacji o Łopakowie i Kostyrinie jeszcze nie ma.

– Naturalnie zamierza pan porozmawiać z Baranowem?

– Naturalnie.

Ławrowa przespacerowała się po gabinecie, zapaliła i spojrzała na mnie ukradkiem.

– O skrzypcach już wszyscy zapomnieli. Mój Boże, jak dawno się to zaczęło, wydaje mi się, że minęło już ze sto lat.

– Sto, nie sto... – wzruszyłem ramionami.

– Trochę ponad dwa miesiące – uściśliła Ławrowa.

– Nie – pokręciłem głową. – To zaczęło się nie w momencie kradzieży, lecz wiele, wiele lat temu. Jestem tego pewien.

– I chce pan odtworzyć postępki ludzi i czas, który już bezpowrotnie upłynął? Nawet jeśli w tej przeszłości zostały zakopane miny, to ich zapalniki dawno już zawilgły...

– Po pierwsze, do starej miny można wkręcić nowy zapalnik i wtedy wybuchnie, że aż miło. A po wtóre, nie wszyscy zapomnieli o skrzypcach. Ja też...

– Stanisławie Pawłowiczu, proszę się nie gniewać, ale na podstawie własnych spekulacji myślowych chce pan powiązać budkę czyścibuta ze stradivariusem! Tego właśnie pan pragnie, a to jest dowolność logiczna, która zawsze prowadzi do absurdu.

– Możliwe! – powiedziałem uparcie. – Ale na własne oczy widziałem, jak przeraził się Biełasz na widok Mielnika. Dlaczego Biełasz tak mocno przestraszył się nieznanego mu w gruncie rzeczy człowieka?

– To żaden dowód! W każdym razie nie zdoła pan udowodnić związku obecnych wydarzeń z przeszłością. Przecież Mielnik przysięga na wszystkie świętości, że nigdy przedtem Biełaza nie widział! Wynika z tego, że kłamie, a w tej chwili kłamać nie powinien, bo mu się to zwyczajnie nie opłaca.

– A jeśli Mielnik nie kłamie?

– Sam pan sobie przeczy! Jeśli Mielnik i Biełasz nigdy się przedtem nie widzieli, to zdenerwowanie Biełaza

spowodowane było najprawdopodobniej okolicznościami, pomyłką lub tysiącem innych przyczyn.

– Istnieje jeszcze jeden wariant – powiedziałem.

– Jaki?

– A taki, że jeśli na przykład wyjdę z pokoju i będę patrzył na panią przez dziurkę od klucza, to pani nie będzie mnie widziała, chociaż ja zdołam się pani doskonale przyjrzeć.

Ławrowa rozłożyła ręce.

– No, wie pan, takich wariantów można wymyślić setki. Dobrze, załóżmy, że ma pan rację i że Biełasz miał coś wspólnego ze zbrodnią popełnioną siedemnaście lat temu, chociaż dochodzenie nie doprowadziło do ujawnienia jego udziału. I co z tego? Przedawnienie nastąpiło już kilka lat temu. Biełasz nie może być za to przestępstwo ścigany, a co za tym idzie, wcale się boi.

– No i proszę! – ucieszyłem się. – To już zupełnie inna historia! Wcale nie zamierzam ścigać Biełaza za udział w tamtym przestępstwie, tylko chcę dociec, czy jest do takiego czynu zdolny.

– Niczego pan nie wyjaśni! – zirytowała się Ławrowa. – Pomijając wszystko inne on był wówczas jeszcze niemal dzieckiem, a człowiek z latami bardzo się zmienia...

– Słusznie – zgodziłem się z nią. – Wtedy ten chłopak, jeszcze niemal dziecko, chciał być lepszy od wszystkich i bardzo brzydko bawił się z własnym nauczycielem. A niedawno jego stary nauczyciel Trubicyn chciał z nim porozmawiać, a Biełasz zamiast tego łaskawie posłał mu przez kelnera butelkę szampana...

– Stanisławie Pawłowiczu – niemal współczująco powiedziała Ławrowa – to już jest niepoważne.

– Nie, poważne. Stary nauczyciel nie może liczyć na wiele, ale na wdzięczną pamięć i uprzejmość na pewno zasługuje...

Mikołaj Baranow, który siedemnaście lat temu nosił śmieszne przydomki „Bibik” i został skazany na dziewięć lat kolonii pracy za rozbój, po czym przedterminowo zwolniony za dobre sprawowanie i rzetelny stosunek do pracy, sadzał akurat na nocniczku swoją trzyletnią córeczkę. Dziewczynka miała takie same jak on jasnoniebieskie oczy i białe loczki. Siedząc na swoim tronie mówiła coś do ojca surowym tonem, a on pokornie kiwał głową.

– Proszę do pokoju – powiedział Baranow, kiedy mu się przedstawiłem. – Zaraz tam przyjdę i pogadamy...

I oto gadamy...

– Po co panu to wszystko? – zdziwił się szczerze Baranow. – To było dawno i nieprawda!

Roześmiałem się.

– Słusznie. To było tak dawno, że sprawa się przedawniła. Ale mnie, Mikołaju Iwanowiczu, nie interesuje jej strona prawna... Coś mi się wydaje, że nie wszystko z tej sprawy umarło, tylko nadal trwało i niedawno znów dało o sobie znać...

– W jakim sensie? – zapytał czujnie Baranow.

– Myślę, że przed sądem stanęło was trzech, a na miejscu przestępstwa było czterech.

– Dlaczego pan tak myśli? – zapytał ostrożnie Baranow.

– Skąd pan coś takiego może wiedzieć?

– Wcale nie wiem. Przecież powiedziałem, że po prostu tak myślę. O ile się nie mylę, to budkę czyścibuta do trolejbusu przywiązaliście w trójkę z Kostyrinem i Bielaszem, prawda?

– Zgadza się – uśmiechnął się zmieszany Baranow.

– Nie wiem dlaczego, ale podczas śledztwa, a potem w trakcie rozprawy sądowej zatailiście udział Bielasza w tym przestępstwie, a teraz wydaje mi się, że on wyciągnął z tego niewłaściwe wnioski. Upłynęło wiele lat i żadna kara mu już za to nie grozi. Nie chciałbym jednak, żeby

doszedł do przekonania, że takie rzeczy można bezkarnie robić przez całe życie.

Baranow długo myślał, marszczył czoło, kręcił głową, tarł policzki palcami, aż w końcu powiedział:

– Nie wiem, do jakich on tam wniosków doszedł, ale przekonałem się, że z niego jest kawał łobuza...

– Ja też się tego zaczynam domyślać. A nieco konkretniej?

– Nie da się tego powiedzieć w dwóch słowach. Kiedy wróciłem z kolonii, to odszukałem go i poprosiłem, żeby pozwolił trochę u siebie pomieszkać. Nie chciałem od razu wracać do domu, myślałem, że przez jakieś dwa tygodnie uda mi się załatwić meldunek, pracę i w ogóle wszystko jak należy.

– A on co?

– Myślałem, że zesra się ze strachu. „Masz, powiada, na początek” – i wtyka mi sto rubli, ale mieszkać nie pozwala. Mówi, że on by z największą przyjemnością, ale ma parszywych sąsiadów, którzy wezwą dzielnicowego i wtedy koniec. Uśmiełem się. „Udław się, powiadam, twoimi groszami, ja cztery tysiące w bonach przywiozłem”. I trzasnąłem drzwiami.

– I co pan zrobił?

– Co mogłem zrobić?... Historia była taka: wyszedłem na wolność przed terminem, a w kolonii byłem człowiekiem można powiedzieć sławnym, spawaczem siódmej grupy – powiedział Baranow zwyczajnie. – Pracowaliśmy na budowie gazociągu i moja brygada szła tam, gdzie najtrudniej. Tyraliśmy oczywiście jak konie, ale zarobki też były niezłe. Ostatnie trzy lata bez straży. Było zdjęcie na Tablicy Honorowej i różne tam takie. A tu wszystko zaczyna się od początku: skazani z tego artykułu przed całkowitym upływem terminu kary nie mogą mieszkać w Moskwie i tak dalej...

– Wiem...

– Właśnie... Mówię to dlatego, że dziewczynę tu miałem, Halę. – Baranow pokazał na ścianę, gdzie w prostej ramce wisiała fotografia zupełnie jeszcze młodego chłopaka z króciutkimi włosami i jasnymi oczami, obejmującego ostrożnie za ramiona puciołowatą dziewczynę. – Ona – potwierdził Baranow. – Przez całe życie będę ten dzień pamiętał.

– A co takiego się tego dnia zdarzyło? – zapytałem z uśmiechem.

– Właściwie nic takiego. Po prostu wpadłem do Hali, żeby się z nią zobaczyć, i mówię: „Jeśli możesz, to czekaj na dobre wieści ode mnie...” Później pojechałem do Konakowa, gdzie wówczas budowali ogromną elektrownię. Takich fachowców jak ja przyjmowali tam z otwartymi ramionami. I do Moskwy można było dojechać w parę godzin. Jednym słowem, po roku na prośbę załogi darowano mi resztę wyroku.

– To znaczy, że Hala się doczekała – powiedziałem.

– Wcale nie czekała! – roześmiał się radośnie Baranow.

– Jak tylko dostała ode mnie list z Konakowa, zaraz w pierwszą sobotę przyjechała. „Mikołaju, trzeba się uczyć!”

– I co, uczył się pan?

– A co miałem robić! – rozłożył ręce. – Jak ona sobie coś wbije do głowy, to już koniec. A ona sobie do tej głowy wbiła, że odpowiada za moją resocjalizację. No i tak długo mnie resocjalizowała, aż wyszła za mnie za męża.

– A potem przestała?

– Co pan! Robi to nadal codziennie. – W głosie Baranowa zabrzmiała czułość i duma. – Ale, ale, mówiliśmy przecież o Griszce. Właściwie nie ma już dziś w tym żadnej tajemnicy. Sprawa jest przedawniona, więc może sobie żyć, jak chce. A wówczas rzeczywiście był z nami. Gdyby

mu teraz coś za to groziło, nie powiedziałbym ani słowa.

– Dlaczego?

Baranow wzruszył ramionami:

– Jak by tu panu powiedzieć?... On już swoją karę dawno odbył, bo to przecież nic przyjemnego przez tyle lat nosić w sobie taki strach. Ale wątpię, żeby przez to stał się lepszy.

– Dlaczego? – zapytałem z naciskiem.

– Nie wiem. – Baranow zmarszczył czoło i powiedział ponurym głosem: – Ja już nie mówię o wdzięczności, że go wtedy nie wyspałem, ale chociażby jako kolega nie miał mnie prawa wtedy wypędzać.

– A dlaczego wówczas zataił pan jego udział w przestępstwie?

– Trudno to dzisiaj wytłumaczyć. My przecież w tamtą historię wpakowaliśmy się z głupoty i z braku opieki. Matka Griszki dobrze zarabiała i niczego im nie brakowało, ale dopilnować go nie było komu. A wychowywał nas Knur...

– Czyli Łopakow?

– Tak, Łopakow. Teraz już nie ma takich typów, ale i wówczas facet nieźle się wyróżniał... Miał pewnie ze dwadzieścia pięć lat i dla nas, smarkaczy, był prawdziwym bohaterem. Łopakow bardzo lubił przesiadywać z nami na ławce i opowiadać różne obozowe historyjki. Jasna rzecz, że słuchaliśmy go z otwartymi gębami. A jakie piosenki nam śpiewał! Miał bardzo ładny głos... Nie wiem dlaczego, ale najbardziej starał się obłaskawić Griszkę. Do nas zawsze mówił: „Wy, ciemne barany, rzuciliście siódmą klasę i przez całe życie będziecie gówna wozić, a Griszka jest mądry facet, stanie się człowiekiem uczonym, skrzypkiem. A to duży pieniądz, przez całe życie panisko...” Jednym słowem, Knur bardzo Griszkę szanował. Kiedy nas zwinęli, to przez pomyłkę wsadzili nas do jednej

zbiorówki. Przestraszyliśmy się, myśleliśmy, że Knur nas wykończy, a on podszedł i od razu pyta: „No i jak, gówniarczy, sprzedaliście Griszkę?” „Nie, jeszcze, mówimy, nie zdążyliśmy”. Knur odetchnął z wielką ulgą i powiedział: „Dobre z was chłopaki! Zapamiętajcie sobie na całe życie, że prawdziwy złodziej raczej odda za przyjaciela głowę, niż miałby go sprzedać. Pamiętajcie, o Griszce ani słowa!”

– Ale przecież sami nie zamierzaliście wspominać o Griszce, prawda?

– Dowcip polega na tym, że Kostyrin i ja bardzośmy Griszkę lubili, w naszej ferajnie on był najważniejszy. Myśmy na tę robotę szli ze strachem, a o Griszce to już nawet nie ma co mówić. Zgodził się, bo nie chciał, żeby Knur go uważał za tchórze. Dlatego właśnie poszedł.

– A jak do tej całej sprawy doszło?

– Siedzieliśmy wieczorem we trzech na podwórzu i gadaliśmy. Griszka opowiadał nam o egzaminie. Podszedł do nas Knur, wyjął z kieszeni dwie butelki: „Oblejmy, powiada, chłopaki, sukces Griszki”. Odrzucało nas od wódki, bośmy jeszcze do niej nie przywykli, ale baliśmy się Knururowi do tego przyznać, bo niby byliśmy dorośli! Wypiliśmy po szklance, zakąsiliśmy cukierkiem i oczywiście w głowach nam mocno zaszumiało. Knur zaczął nas podpuszczać: „Boję się, powiada, że mocni jesteście tylko w gębie, a jakby przyszło co do czego, to w krzaki”. No to nas wypróbuj, my na to. Więc Knur postanowił wypróbować nas na mieszkaniu Siemynina. Mieszkał w naszym domu taki spokojny, dobrze wychowany facet, który zawsze nosił krawat i ciemne okulary. Nazywaliśmy go dlatego Trumanem i nie wiadomo czemu uważali za bardzo bogatego. Dopiero później okazało się, że to wcale nie bogaty i w dodatku nieszczęśliwy człowiek. Ale dowiedziałem się tego wszystkiego dopiero po wszystkim...

– I nie próbowaliście Knururowi się opierać?

Baranow pokręcił głową.

– Nie. Kostyrin i ja właśnie dlatego nie zakładaliśmy rewizji, że dostaliśmy, co nam się słusznie należało. A wtedy bardziej baliśmy się odmówić, niż wejść do pustego mieszkania. Zresztą wyrok dostaliśmy też głównie za tchórzostwo... Tak. No więc my dwaj z Knurem poszliśmy do mieszkania, a Griszka został w bramie „na świecy”.

Widocznie te wspomnienia mocno go poruszyły, bo wstał, przespacerował się po pokoju, zapalił papierosa, zaciągnął się ze dwa razy i zdusił go w popielniczkę.

– Minęło tyle lat, a pamiętam wszystko co do milimetra. Kiedy stamtąd wyszliśmy, Kostyrin zwymiotował. Wiem teraz, że nie tyle od wódki, ile z przerażenia. Byliśmy już całkiem trzeźwi, a Griszka powiedział Knururowi: „Dowiodłem ci, że nie jestem tchórzem? W porządku. Od tej chwili nie chcę mieć z tobą nic wspólnego”. Knur roześmiał się: „Daj spokój, Grisza, teraz już jesteśmy przyjaciółmi na całe życie, babka Trumana nas złączyła”.

– A co się stało z Kostyrinem?

– Jest cały i zdrowy, mieszka na Kamczatce i pływa na statku rybackim.

– A Łopakow?

– Nie wiem. Od rozprawy sądowej już go nie widziałem.

– Mikołaju Iwanowiczu, nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego Łopakow tak lubił i piastował Biełasza?

Baranow wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może po prostu bardziej mu się podobał... Nie wiem...

Tak, tego Baranow nie wiedział, nie rozumiał i nie mógł zrozumieć, podobnie jak ja nie potrafiłem dotrzeć do sedna wymyślonemu przed laty planu...

– Sądysz, że on był zdolny do takiej dalekowzroczności? – zapytał komisarz.

– Jestem o tym przekonany. Baranow mówił, że w owym czasie Łopakow był już po trzech wyrokach. To był doświadczony kryminalista, który wziął Biełasza „na robotę” tylko po to, żeby mieć go w garści.

– Sam jednak mówisz, że pod pewnymi względami Łopakow nie trzymał się znanych nam form: wymyślał chłopcom za to, że się nie uczą, i stawiał im za przykład Biełasza... Starzy kryminaliści zazwyczaj jedynie odciągają smarkaczy od nauki.

– Nie ma w tym nic dziwnego – powiedziałem. – Łopakow wiedział, że musi złapać Biełasza, dopóki chłopak jest na tyle smarkaty, że znajduje się pod jego wpływem. A na sukcesach Biełasza niezmiernie mu zależało, bo matka chłopca każdemu powtarzała, że Grisza jest cudownym dzieckiem. To znaczy, że z upływem lat Biełasza zaczęłyby się obracać w środowisku innych wybitnych muzyków. Proszę sobie wyobrazić, jakim niezastąpionym zwiadowcą dla Łopakowa mógłby się stać Biełasza, nieustannie przez niego szantażowany!

– To dlatego Łopakow milczał na rozprawie?

– Milczał i kategorycznie zabronił chłopcom wspominać o nim choćby słowem. Wydaje mi się, że zamierzał wykorzystać Biełasza po swoim wyjściu na wolność.

– A ty masz już wyrobiony pogląd na Biełasza?

Zamilkłem na chwilę, a potem skinąłem głową.

– Tak. Uważam, że brał udział w kradzieży skrzypiec.

– W jakiej roli?

– Nie wiem. Czasami jednak wydaje mi się, że Łopakow-Knur to właśnie Krest. Biełasza natomiast bardzo poważnie podejrzewam.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Podejrzenia to rzecz dosyć mętna, a fakty – zdecydo-

wanie konkretna. Te zaś fakty przekonują nas, że Biełasza w czasie kradzieży znajdował się w Leningradzie. Wątpić w to byłoby głupotą. Czemu jak czemu, ale własnym oczom chyba powinniśmy wierzyć, prawda?

Nie wiedziałem, czy komisarz mnie podpuszcza, czy też naprawdę tak myśli. To jednak było dla mnie w tej chwili obojętne, gdyż podjąłem decyzję i nikt nie potrafiłby skłonić mnie do jej rewizji. Powiedziałem więc:

– Jeśli już o tym mowa, to oczy zawsze wprowadzają nas w błąd.

– Niby dlaczego? – uśmiechnął się komisarz.

– A dlatego, że oko rejestruje świat do góry nogami i dopiero mózg stawia wszystko na swoje miejsce. Tak przynajmniej utrzymuje podręcznik fizyki dla szkoły podstawowej.

– Wybacz staremu, że zapomniał, ale ostatni raz taki podręcznik miałem w ręku trzydzieści lat temu...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale na szczęście zadzwonił telefon. Komisarz podniósł słuchawkę.

– Słucham. Tichonow jest u mnie, bo co? Wobec tego przynieście to tutaj, razem sobie poczytamy. Na jednej nodze!

Odłożył słuchawkę i powiedział do mnie:

– Z Centralnej Kartoteki przyszła odpowiedź na twoje pytanie o losy skazanych w tamtej sprawie.

– W tej chwili interesuje mnie tylko Łopakow-Knur.

– Wątpię, żeby to był Krest. Mielnik opisał go jako mężczyznę o jakieś dziesięć lat starszego od Knura.

Dyżurny przyniósł kopertę. Komisarz oddał ją mnie:

– List przyszedł na twoje nazwisko, więc sam go przeczytaj, a ja sobie posłucham.

Zacząłem pospiesznie rozdzierać kopertę, ale gruby papier nie ustępował pod palcami. Komisarz podał mi nożyczki.

– Nie gorączkuj się... Minęło siedemnaście lat, więc minutę jeszcze wytrzymasz.

– „... Baranow Mikołaj Iwanowicz... zwolniony przed terminem za dobre sprawowanie...

... Kostyrin Feliks Siergiejewicz... zwolniony przed terminem za dobre sprawowanie...

...Łopakow Jurij Mitrofanowicz... w czasie odbywania kary popełnił nowe przestępstwo i za rabunek w kolonii został skazany dodatkowo na dziesięć lat... 18 kwietnia 1966 roku wraz z więźniem Nikodimowem uciekł z terenu kolonii... W trakcie pościgu podjętego za przestępcami ścigani usiłovali przejść po lodzie na drugą stronę Jeniseju... Lody na rzece w tym czasie zaczęły pękać. Kiedy grupa pościgowa dotarła do prawego brzegu Jeniseju, przestępcy znajdowali się na środku rzeki... Nieoczekiwanie lód pod Łopakowem załamał się i zbieg wpadł do przerębli... Nikodimow mimo rozpaczliwych krzyków Łopakowa pomocy mu nie udzielił i kontynuował bieg w stronę lewego brzegu... Sierżant Konowałow i szeregowy Apraksin weszli na lód... Po paru metrach lód zaczął gwałtownie pękać i dotarcie do Łopakowa bez środków pływających stało się niemożliwe. Apraksin rozebrał się i popłynął w stronę tonącego Łopakowa, który jednak wkrótce zniknął pod wielką krą... Dowódca grupy pościgowej rozkazał Apraksinowi wrócić... Więzień Nikodimow dotarł do lewego brzegu i zniknął...

Nikodimow Daniła Spirydonowicz, urodzony w 1921 roku, był uprzednio skazany wyrokiem Leningradzkiego Trybunału Wojennego w roku 1943, w roku 1959 odbywał karę z wyroku Moskiewskiego Sądu Miejskiego. Rozesłano listy gończe na terenie całego Związku Radzieckiego, ale dotychczas zbiega nie schwytano...”

– Niezły spryciarz z tego Daniły Spirydonowicza –

mruknął komisarz i przycisnął dźwignię na pulpicie selektora. Zapaliła się zielona lampka i komisarz powiedział do mikrofonu:

– Bardzo pilne. Potrzebne są wszelkie dane dotyczące Daniły Spirydonowicza Nikodimowa. Natychmiast ściągnijcie z Archiwum Sądu Najwyższego akta jego spraw z roku 1943 i 1959, Leningradzki Trybunał Wojenny i Moskiewski Sąd Miejski. W miarę napływu przekazujcie je Tichonowowi, a mnie meldujcie.

Komisarz tak energicznie chwycił papierosa, że obawiałem się, iż rozetrze tytoń na proszek.

– No i widzisz, że już dawno nie ma żadnego Knura – powiedział.

– Był pan na jego pogrzebie? – zapytałem ze złością. – Że go nie ma, to jeszcze trzeba udowodnić. Za to na pewno jest Nikodimow.

– To też wcale nie jest takie pewne. Wydostać się na piechotę z tajgi i to w dodatku tak, żeby w miarę możliwości nie włączyć ludziom w oczy to wcale nie jest prosta sprawa. A potem jeszcze przez cztery lata omijać milicję... Tu naprawdę trzeba być dużym spryciarzem.

Zadzwoił telefon. Komisarz leniwym ruchem zdjął słuchawkę.

– Tak, to ja, Heleno Siergiejewna...

Ławrowa? Po co?

– Tak, jest u mnie. Siedzimy, zastanawiamy się. Może pani potrafi nam pomóc?... Wobec tego serdecznie zapraszam...

Komisarz odłożył słuchawkę i wyjaśnił:

– Ławrowa ma jakieś ważne informacje, które zaraz nam poda. Słuchaj, Ławrowa nie jest zamężna?

– Nie, bo co?

– Nic, tak sobie pytam. Pewnie odejdzie od nas, jak tylko się wyda za męża. Jaki mąż wytrzyma nasz tryb pracy?

Nawet kobiety od czasu do czasu się buntują, a one są o wiele cierpliwsze od mężów. Szkoda by było.

– Szkoda – zgodziłem się. – Już zdążyliśmy się dotrzeć w robocie.

Otworzyły się drzwi i weszła Ławrowa, nie podejrzewając nawet, że zdążyliśmy się już z nią z żalem pożegnać.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry, Heleno Siergiejewna – odparł komisarz.

– Słuchamy.

– W sentencji wyroku pisze się: „Skazanych skierować do odbycia kary w kolonii, skradziony dobytek zwrócić poszkodowanemu, narzędzia przestępstwa zniszczyć lub przekazać do Muzeum Kryminalistyki”. Po rozmowie ze Stanisławem Pawłowiczem postanowiłam przeczytać wyrok w sprawie Łopakowa – Baranowa. I znalazłam tam między innymi zalecenie: „... pęk kluczy i łom zniszczyć.” Zainteresował mnie łom. Przejrzałam uważnie akta sprawy i w protokole przeszukania mieszkania Łopakowa znalazłam pozycję: „Łom stalowy, zaostrzony, z rozplaszczonym końcem. Na boku wybite dwie krótkie błyskawice”. O tym właśnie chciałam zameldować.

– Wnioski? – zapytał komisarz.

– Proponuję sprawdzić, czy Knur-Łopakow nie jest przypadkiem poszukiwanym przez nas Krestem.

Komisarz pokręcił głową.

– Nie. Według mnie to jest wykluczone, ale pani informacja jest niesłychanie ważna.

– Skoro się myślę, to dlaczego moja informacja jest tak ważna? – zapytała Ławrowa.

– Dlatego, że potwierdza ona inne nasze przypuszczenia. To mianowicie, że Krest to Daniła Nikodimow. Co o tym sądzisz, Stasiu?

– Zupełnie realny wariant. Zwłaszcza jeśli założymy, że planując ucieczkę z kolonii Łopakow opowiedział Nikodi-

mowowi o swoim utalentowanym wychowanku i na wszelki wypadek dał mu kontakt na Mielnika. Knur przecież nie wiedział wtedy, że Biełasz nie został wielkim skrzypkiem...

– Masz rację – przytaknął komisarz. – Co zamierzasz zrobić?

– Pokazać Mielnikowi fotografie obu uciekinierów, przestudiować pilnie materiały archiwalne dotyczące Nikodimowa i natychmiast potem wyjechać do Leningradu.

– A po co ci Leningrad? – zapytał komisarz.

– Biełazę pod żadnym pozorem nie wolno teraz płoszyć, a ja muszę się dowiedzieć, co on tam robił, kiedy złodzieje obrabiali nadane przez niego mieszkanie Polakowa.

– Ale przecież on ma stuprocentowe alibi – powiedziała Ławrowa.

– Podejrzany wtedy ma prawdziwe alibi, kiedy w momencie przestępstwa był razem ze mną...

Wysiadłem z wagonu i natychmiast poczułem, że w Leningradzie jest o wiele cieplej. Na szczytowej ścianie dworca jaskrawo świeciły żarówki zegara cyfrowego: była 8.27. Zgasły rtęciówki na wysokich masztach i dworzec pogrążył się w miękki mglisty półmrok, chłodny, fioletowobłękitny, z lekkim zapachem węglowego czadu i ledwie uchwytnym aromatem morza...

W mieszczącym się w suterenie barku było pusto i bardzo czysto. Zamówiłem filiżankę bulionu, gorące pierożki i kawę, bo musiałem najeść się z góry na cały dzień, który na pewno nie będzie łatwy. Na archiwalnych fotografiach Mielnik natychmiast rozpoznał w Nikodimowie Kresta – „tylko bardzo on tu jakiś młody”... Patrząc na fotografię Łopakowa, powiedział niepewnie: „Był chyba jeden z takim krzywym pyskiem, ale dokładnie nie pamiętam...”



Przez dwa miesiące wędrowałem po labiryncie, zostawiając znaki na jego ścianach – i dopiero teraz zaczynałem po trochu orientować się w jego planie, zasadzie budowy. Byłem pewien, że przez długie miesiące i lata wspólnej odsiadki w kolonii Knur i Krest świetnie się porozumieli i przygotowując ucieczkę zamierzali nie tylko zwyczajnie pohulać na wolności. Bielasz był dla nich świetnym oparciem, gwarancją dostatniego życia. Knur to przecież nie Kolka Baranow, oplakujący kiedyś na bulwarze zdradę kolegi. Potrafiłby go wziąć za gardło, tak jak później zrobił to Krest. Tak mi się w każdym razie wydawało. To, że Bielasz uczestniczył w kradzieży skrzypiec, nie ulegało już dla mnie wątpliwości. Nadal jednak nie wiedziałem, jaką rolę w tej sprawie odegrał. Czy była to tylko zdrada, która stała się dla niego stereotypem zachowania we wszystkich krytycznych momentach jego życia, czy też bezpośredni udział w kradzieży?

Mielnik wprawdzie kategorycznie twierdził, że nie zna Bielacza. Ja jednak wierzyłem w jego szczerść, powątpiewałem natomiast w obiektywną wartość jego zeznań. Mogli przecież znać się, że tak powiem, jednostronnie. Dlatego właśnie przyjechałem do Leningradu. Przyjechałem również dlatego, że chciałem zapoznać się lepiej z sylwetką Daniły Spirydonowicza Nikodimowa.

Poza inspektorem Leonidowem w leningradzkiej milicji nikogo nie znałem, ale chłopcy powitali mnie serdecznie i wesoło, jakbyśmy wszyscy znali się od stu lat.

– Cóż więc mówią ludzie? – zapytałem Leonidowa, który na naszą prośbę sprawdzał trasę Bielacza.

– Wszystko potwierdzają. Ani jednej niezgodności. W konserwatorium, w teatrze, u znajomych nazwiskiem Miedwiediewowie i u profesora Preobrażeńkiego. Prze-

szluchałem nawet tę dziewczynę z ulicy Gromowa. Wszystkie ich zeznania zgadzają się co do joty.

Wyjąłem notes, przejrzałem jeszcze raz notatki i na wszelki wypadek zapytałem:

– U kogo on był wieczorem w przeddzień kradzieży?

– U Preobrażeńskiego. Profesorostwo potwierdziło, że siedział u nich przez cały wieczór, potem zamówił telefonicznie taksówkę i pojechał do swojego hotelu. Dyżurna z jego piętra zeznała, że Bielasz wrócił do numeru niezbyt późno i poprosił, żeby go obudzić o ósmej rano. Jest nawet odpowiednia notatka w jej książce.

– Czy potem mógł wyjść z hotelu nie zauważony przez dyżurną? Czy jest tam jakieś inne wyjście?

Leonidow zamyślił się.

– Wydaje mi się, że bocznymi schodami można zejść do restauracji na parterze, a z niej do holu i na ulicę. Bo co?

– A to, że jeżeli Bielasz od razu wyszedł z hotelu i pojechał na lotnisko, to za półtorej godziny był już w Moskwie na placu Majakowskiego.

– Nie wydaje mi się – zaproponował Leonidow. – Już się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że teoretycznie taka trasa jest możliwa, ale tylko w jedną stronę, do Moskwy. A z Moskwy na ósmą rano do swojego pokoju hotelowego wrócić nie mógł.

– Dlaczego?

– Policz sam. Załóżmy, że Bielasz brał udział we włamaniu.

– Już to założyłem.

– Według ciebie złodzieje wyszli z mieszkania około wpół do pierwszej w nocy...

– To nie ja, tylko Mielnik tak mówi, ale załóżmy.

– Wracać mógł samolotem, samochodem i pociągiem.

– Zgadza się. I co?

– Samolot odpada. Pierwszy lot do Leningradu jest o 7.45, czyli o wiele za późno, żeby zdążyć na ósmą.

– Fakt. Samochód?

– Nie może. Oto prognoza pogody: mróz do 11 stopni, gołoledź, mgła... Sam jesteś kierowcą i doskonale wiesz, że przy takiej pogodzie nie da się jechać szybciej niż siedemdziesiątką. A więc co najmniej dziesięć godzin jazdy, czyli samochodem na ósmą też nie mógł dojechać.

– A pociągi?

– Też nie pasują. O pierwszej pięć wychodzi z Moskwy ekspres „Arktyka”, który jednak do Leningradu przychodzi dopiero o wpół do dziesiątej. Jest jeszcze kilka innych pociągów, ale wszystkie one albo wyjeżdżają z Moskwy wcześniej, niż Bielasz mógłby się tam znaleźć, albo przyjeżdżają do Leningradu po ósmej.

– No cóż – rozłożyłem ręce – wygląda na to, że Bielasz tylko nadał robotę w mieszkaniu Polakowa, a jego wyjazd do Leningradu miał na celu uzyskanie twardego alibi. Teraz druga sprawa, Nikodimow...

– Tu jest lepiej – powiedział Leonidow z zadowoleniem.

– Dotarłem do pewnego człowieka...

– Cóż to za człowiek?

– Podczas wojny służył w wydziale do walki ze spekulacją.

Fiodor Pietrowicz Dołgow, potężny, majestatyczny starzec, mówił niskim dudniącym głosem, a kiedy patrzył człowiekowi w twarz swoimi przenikliwymi szarozielonymi oczami, odnosiło się wrażenie, że hipnotyzuje swego rozmówcę.

– ... Znaczą tak. Zaczęło się to wszystko od Nikodimowa i jego kumpla Parszyna. Główny tam był, jasna sprawa, Parszyn, a Nikodimow był u niego za pomagiera. Jednym

słowem, Nikodimow poznał pewną dziewczynę, która pracowała w drukarni wytwórni papierów wartościowych. Chłop był z niego przystojny, służył jako gryzipiórek w Radzie Miejskiej, paradował w chromowych oficerkach, był wygadany i wesoły, no i zawrócił dziewczynie w głowie. Zwabił do siebie do domu i upił. A pijana dziewczyna, wiadomo! Zepsuł ją, a potem poniewierał jak psa. No i namówił ją, żeby ukradła w drukarni czcionki, którymi drukowano kartki żywnościowe. Potem wciągnęli jeszcze przyjaciółkę tej dziewczyny. Ta pracowała w intrologatorni i zaczęła im znosić ścinki specjalnego papieru...

– Ale przecież na ścinkach nie da się wydrukować kartki żywnościowej – powiedziałem.

– A oni wcale kartek nie drukowali, bo na nich było łatwiej wpaść. Drukowali tylko poszczególne taloniki. Prawie rok tak kombinowali...

– A czy w sklepach przyjmowali takie taloniki luzem? – zapytał Leonidow.

– Poczekaj! – warknął Dołgow. – Kiedy już nadrukowali tych taloników, to zaczęli wciągać do interesu kierowników sklepów spożywczych, rozmaitych chciwych łobuzów. Dawali takiemu draniowi na przykład taloniki na dwie skrzynki wódki, a on brał jedną sobie, a drugą im. Butelka wódki kosztowała tysiąc rubli, bochenek chleba trzysta, a kilo masła dziewięćset. Co tam zresztą mówić! Codziennie marło z głodu po tysiąc ludzi, człowiek gotów był oddać za kawałek chleba ostatnią koszulę, a te hieny cmentarne bogaciły się na ludzkim nieszczęściu i tarzały się w złocie!

Dołgow zamilkł i jego szkliste oczy pociemniały.

– Kiedy szedłem do mieszkania Nikodimowa, żeby go zdjąć, akurat tego dnia rano umarła córeczka sąsiadów. Mnie samemu ciemno było w oczach od ciągłego niedojadania, w głowie huczało od choroby i słabości. Wszedłem

do niego, rozejrzałem się, a tam muzeum pół na pół z kramem. Kryształ i czekolada, pod ścianą sterta obrazów i beczułka kawioru, w szafie obrączki, pierścionki, bransoletki i – nie uwierzysz – złote zęby w pudełku... Poza tym białe bułki, słonina i konserwy mięsne. W skrzynce z masłem trzysta złotych monet. Usiadłem na taborecie i rozplakałem się. „Ty przeklęty faszysto – mówię mu – przecież strzelasz nam wszystkim w plecy”. A on stoi i trzęsie się jak galareta: „Pozwólcie wszystko oddać, tylko nie zabijajcie...”

– A dlaczego go nie rozstrzelali? – zdziwił się Leonidow.

– Nie wiem. Trybunał sześciu z tej sprawy skazał na rozstrzelanie. Pięciu prośbę o ułaskawienie odrzucili, a Nikodimowa wysłali z karnym batalionem na front. Nie wiem, może wzięli pod uwagę jego młody wiek, liczyli, że pod ogniem wyjdzie jeszcze z niego człowiek. Widocznie jednak takiego garbatego tylko mogiła wyprostuje.

Dzień był słoneczny i mroźny. Drzewa oblepione były grubą warstwą szronu.

– Do komendy? – zapytał Leonidow.

– Nie. Do hotelu „Europejskiego”.

– Po co? – zdziwił się Leonidow.

– Chcę zobaczyć, jak się tam mieszkało memu przyjacielowi Biełasowi.

– Przecież chyba ustaliliśmy, że on dowiódł swojego alibi?

– Nie – powiedziałem z uporem. – Nie ustaliliśmy. Po prostu nie chciałem się z tobą kłócić, a w alibi nadal wątpię.

– Mógłbyś mi w takim razie przynajmniej wytłumaczyć – powiedział Leonidow obrażonym tonem.

– Nie mam nic do tłumaczenia. Ja tylko myślę, że gdyby

chciał dowieść swojego alibi, to nie kładłby się tak wcześnie spać...

– Po pierwsze, wcale nie było tak wcześnie. Akurat odpowiednia pora, żeby iść do łóżka.

– Odpowiednia dla ciebie – powiedziałem złośliwie. – Dla człowieka, który zmęczył się uczciwą pracą i wcale nie troszczy się o zorganizowanie sobie alibi...

– Jeśli już o to chodzi, to tego dnia Biełasz zmęczył się nie mniej niż ja. A poza tym, co on właściwie miał w tym celu zrobić? – roześmiał się Leonidow. – Zameldować się na milicji?

– Chociażby – odpowiedziałem z całą powagą. – Ty przecież nie znasz tego faceta, a ja sędzę, że jeśli potrzebowaliby stuprocentowego alibi, to najprawdopodobniej trochę by narozrabiał, żeby trafić na milicję, żeby potem na moje pytanie z zażenowaniem i wstydem przedstawić odpowiednie zaświadczenie. Tak właśnie by zrobił!

– A mówiąc poważnie? – powiedział Leonidow.

– Mówiąc poważnie, to Biełasza od wieczora do ósmej rano nikt nie widział i potwierdzić jego alibi nie może. To właśnie dla mnie jest najpoważniejsze.

Wychodziłem z hotelu święcie przekonany, że Biełasz mógł się wymknąć z pokoju nie zwracając uwagi dyżurnej. Jego pokój znajdował się w połowie bardzo długiego korytarza z dwoma załamaniami, przy czym za drugim zakretem znajdowały się schody prowadzące do restauracji na parterze. Ale niestety moje przekonanie nie stanowiło najmniejszego dowodu, co przesądzało całą resztę i sprawiało, że moja podróż do Leningradu w gruncie rzeczy nie dała żadnego rezultatu. Poprosiłem Leonidowa, żeby zamówił mi bilet na wieczorny pociąg do Moskwy, a sam siadłem przy biurku, otworzyłem teczkę z przygotowanymi przez niego materiałami i zacząłem je kartkować. Znalazłem protokół przesłuchania artysty ludowego Eu-

geniusza Konstantynowicza Preobrażeńskiego: „G.P. Biełasza znam z najlepszej strony... Niewątpliwie uczciwy... rzetelny... wyjątkowo utalentowany fachowiec... Tak, cały ten dzień od obiadu do późnego wieczoru spędził u nas... Zamówił taksówkę i pojechał do hotelu... Za kwadrans jedenasta zatelefonował ze swego pokoju i podziękował za gościnę... wyjątkowo dobrze wychowany młodzieniec... Dokładny czas zapamiętałem dlatego, że za parę minut miała się rozpocząć transmisja radiowa VII Symfonii Szostakowicza pod moją dyрекcją... Tak, Biełasza o tym właśnie mówił... Powiedział mniej więcej tak: «Za moment kładę się do łóżka, żeby rozkoszować się muzyką z wszelkimi możliwymi wygodami...»”

Za kwadrans jedenasta Biełasza zatelefonował z hotelu do Preobrażeńskiego. To znaczy, że na ostatni samolot o 22.50 w żaden sposób nie mógł zdążyć. Chwileczkę!... A czy to przypadkiem nie jest superalibi?

Do pokoju wszedł wiecznie roześmiany Leonidow i powiedział:

– Twój pociąg odchodzi za pięć dwunasta w nocy. Bilet w kasie wojskowej.

– Dziękuję ci, stary. Słuchaj, nie interesowałeś się przypadkiem listą pasażerów samolotu o 22.50?

Leonidow uśmiechnął się jeszcze szerzej:

– Wyobraź sobie, że tak. Pasażer nazwiskiem Biełasza na niej nie figuruje.

– Może wobec tego wyważam otwarte drzwi? Masz telefon dyspozytorni taksówek?

– Mam, a po co ci on?

– Chcę sprawdzić, o której dokładnie Biełasza wyjechał od Preobrażeńskiego. Oni tam w rejestrze zamówień notują czas podstawienia samochodu.

– Proszę cię bardzo. – Leonidow wykręcił numer i powiedział dziarsko: – Halo, dyspozytornia taksówek? Tu

wydział kryminalny Komendy Miejskiej Milicji. Dzień dobry. Zależy nam na pewnej informacji. Oddaję słuchawkę koledze, który powie dokładnie, o co chodzi.

Wzięłem słuchawkę i usłyszałem miękki dziewczęcy głos z ukraińskim akcentem:

– Słucham, towarzyszu...

– Zechce pani przejrzeć rejestr zamówień z piętnastego października...

– Chwileczkę – powiedziała i po chwili: – Otworzyłam na piętnastym.

– Zamówienie zostało złożone około dwudziestej z telefonu numer A1-26-75.

– Zaraz zobaczymy – powiedziała dziewczyna i zaszeleściła kartkami. – Znalazłam...

– Proszę więc czytać – powiedziałem niecierpliwie.

– Zamówienie przyjęto z telefonu A1-26-75 o dwudziestej trzydziści sześć. Samochód numer 66-52 wysłano o 21.45. Klient został o podstawieniu wozu zawiadomiony...

Zapisywałem to na kartce papieru i nagle spostrzegłem, że piszę na odwrocie protokołu przesłuchania Preobrażeńskiego i że tuż pod moją notatką w części informacyjnej protokołu widnieje adres przesłuchiwanego wpisany kaligraficznie przez Leonidowa: „Prospekt Litiejny 18 m. 45”.

Dyspozytorka zdziwiona moim milczeniem powiedziała do mikrofonu:

– Halo, halo!

– Tak, tak! – krzyknąłem. – Panienko, kto jeździł tego dnia samochodem 66-52?

– Kola Sawuszkin...

– ... Detektyw – to dla mnie ideał człowieka – powiedział taksówkarz Kola Sawuszkin, zdecydowanie odrzu-

cając moje próby przekonywania go, że niezupełnie ma rację. – Jak tylko stanę na własnych nogach, od razu zdaję na prawo. Ubóstwiam tę robotę: przyjeżdża człowiek na miejsce przestępstwa, a tam dokoła martwe trupy, tłum gapiów, kordony i tak dalej. Wtedy zaczyna się dniami i nocami, bez snu i jedzenia...

– Bez snu i jedzenia nie da rady – zauważyłem ostrożnie.

– To nie ma żadnego znaczenia – uciął Kola. – Kiedy razem z chłopakami z drużyny wychodzimy na miasto, milicja może spokojnie...

– A jak tam było piętnastego? – przerwałem mu.

Sawuszkin popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a potem w tym samym przyspieszonym tempie, chociaż w innym kierunku, zatrajkotał:

– Niezwykłe wręcz! Tego dnia kłopotów miałem pod dostatkiem! Najpierw siadła mi guma, potem skończyła mi się benzyna, potem koło dworca zarobiłem ostrzeżenie od kontrolera... Tak. A potem ta cała historia. Od razu miałem przeczucie, że to się zwyczajnie nie skończy...

– Sawuszkin, o czym pan mówi? Co to znowu za przeczucie? – z trudem przerwałem jego paplaninę.

– Jak to o czym?! Już mi powiedzieli w zajezdni, że pytał pan o kurs na Litiejny numer 18. Od razu pomyślałem sobie, że sprawa nie jest czysta...

– No, no – powiedziałem zachęcająco.

– Pasażer był bardzo podejrzany. To znaczy z początku nie, sympatyczny raczej, młody i rozmowny, a ja takich lubię, bo można sobie z nimi pogadać. W dodatku, jak dziś pamiętam, poczęstował mnie papierosem marki „Ryga”, z filtrem...

– A jak on wyglądał? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Tego akurat nie umiem powiedzieć – wymamrotał zmieszany Sawuszkin. – Nie, kłamał nie będę, żadnych

znaków szczególnych nie zapamiętałem, on mi dopiero potem wydał się podejrzany! No więc zapaliliśmy, rozgadaliśmy się, porozmawialiśmy o tym, że jeździć jest coraz trudniej, a będzie jeszcze gorzej, jak na ulicach pojawią się tłumy żyguli... O sobie powiedział, że jest muzykiem i przyjechał z Moskwy w sprawach służbowych... Rozmaici klienci nam się trafiają...

Sawuszkin znów się rozpędził, więc żeby nie tracić czasu na pustą gadaninę, zapytałem:

– A co jeszcze mówił ten pasażer?

Sawuszkin wyteżył pamięć, zmarszczył czoło, nadał się i wreszcie wykrzyknął z ulgą:

– Mówił! Mówił. „Zmęczyłem się, powiada, jak pies. Zaraz, powiada, pójdę do pokoju i rąbnę się na wyko”...

– To wszystko? – zapytałem.

– Wszystko – powiedział dumnie Sawuszkin.

– A co z tymi przeczuciami?

– Z przeczuciami? – zdumiał się Sawuszkin, chwilę pomyślał i wreszcie powiedział, pełen współczucia dla mojej tępoty: – Przecież coś się stało! Inaczej nie wypytywałby mnie pan o tamtego faceta, prawda?

Popatrzyłem na niego przenikliwym wzrokiem i powiedziałem życzliwie:

– Nie, Sawuszkin, lepiej nie zdawaj na prawo, nie będzie z ciebie dobry detektyw...

W drodze do dyspozytorni taksówek Leonidow po wysłuchaniu mego planu bąknął niepewnie:

– To bardzo dowolna hipoteza...

– Słusznie, ale przecież to tylko hipoteza. Niczego nie twierdzę, ale mam obowiązek przypuszczać.

Leonidow uśmiechnął się:

– Zeznania Sawuszkina jedynie wzmocniły alibi Biełasza. W twoich kalkulacjach musi być jakiś błąd.

– Możliwe, ale jeśli mam rację i skrzypce ukradł Biełasza, to do Moskwy mógł dotrzeć jedynie samolotem.

– W jaki sposób?

– Ja bym na jego miejscu zamówił dwie taksówki...

– Zamieniam się w słuch!

– Nie zauważyłeś, gdzie w mieszkaniu Preobrażeńskiego stoi telefon? W przedpokoju?

– W takich lokalach to się nazywa hall. Bo co?

– Myślę, że kiedy on zamawiał sobie taksówkę i podawał adres, to raczej gospodarze nie podsłuchiwali jego rozmowy. Kiedy natomiast dyspozytorka zadzwoniła, że samochód wyjechał, z pewnością wszyscy to zauważyli. W ten sposób Biełasza zapewnił sobie tę część alibi. Przecież nawet taksówkarz potwierdził, że zawiózł do „Europejskiego” muzyka z Moskwy, któremu okropnie chciało się spać.

– Założmy.

– Musiał jeszcze zapewnić sobie taksówkę spod hotelu. To jest śródmieście, dookoła mnóstwo teatrów i filharmonia, skąd o tej porze wychodzi masa ludzi pragnących skorzystać z taksówek, a on miał czas wyliczony co do minuty. Dlatego, tak mi się przynajmniej wydaje, już wcześniej zamówił sobie taksówkę pod hotel. Miał bardzo mało czasu: piętnaście minut na przyjazd wozu pod mieszkanie Preobrażeńskiego i jakieś piętnaście minut, dopóki nie zacznie denerwować się kierowca taksówki pod hotelem. Przez ten czas dojechał do „Europejskiego”, powiedział Sawuszkiniowi, że idzie spać, a sam przez restaurację wyszedł na ulicę, wsiadł do zamówionej taksówki i popędził na lotnisko. Logiczne?

– Niezupełnie. Telefon do Preobrażeńskiego nie pasuje do twojego schematu.

– Pasuje, całkowicie pasuje! Bilet na samolot był kupiony zawczasu i dlatego przed samym startem zadzwonił z automatu i zameldował Preobrażeńskiemu, że właśnie się kładzie i będzie słuchał koncertu pod jego batutą. Potem wsiadł do samolotu i do Moskwy.

– Pięknie. A z Moskwy? Nie zapominaj, że Biełasza wrócił przed ósmą rano!

– Do tego też dojdziemy. Potrzebny mi jest rejestr zamówień na taksówki...

Z rejestru zamówień wynikało, że między dziewiątą a dziesiątą z okolic hotelu „Europejskiego” były trzy kursy: na aleję Moskiewską, na Ochotę i na aleję Kirowa. Dwóch kierowców, którzy akurat byli w bazie, zeznało, że na Ochotę jechał jakiś staruszek z wnukiem, a na aleję Kirowa dwie kobiety. Trzeci taksówkarz, Sergiusz Iwanowicz Mogilewski, był na urlopie, więc nie mogliśmy go przesłuchać. Jednak w rejestrze obok jego nazwiska widniał czerwony ptaszek.

– Co znaczy ten ptaszek? – zapytałem dyspozytorkę.

– Zguba – odparła dziewczyna.

– Jaka zguba? – zainteresowałem się.

– Tutaj akurat znalezisko – wyjaśniła dyspozytorka.

– Nic nie rozumiem!

– To bardzo proste! Pasażer jadący od hotelu „Europejskiego” do alei Moskiewskiej zgubił swoją własność w samochodzie Sergiusza Iwanowicza... To był metalowy przedmiot, coś w rodzaju widełek z ładną rączką...

Wyszliśmy na ulicę.

– Słuchaj, Leonidow, jednak nie udało mu się nas oszukać! – powiedziałem.

- Nie rozumiem...
- Zaraz zrozumiesz. Przecież aleja Moskiewska jest po drodze na lotnisko, prawda? A więc wystarczy poprosić taksówkarza, żeby odrobinę przedłużył trasę i już. Tak... W porządku... A teraz pójdziemy do biura rzeczy znalezionych i obejrzymy sobie „znalezisko”. Chyba wiem, co to za przedmiot...

## Rozdział siedemnasty

### Sto procent alibi

Co może się wydarzyć w ciągu piętnastu lat? Wiele? Mało?

Paolo Stradivari stał się człowiekiem niezwykle bogatym i niezmiernie nieszczęśliwym, gdyż neapolitańska korona odmówiła mu szlachectwa z powodu niegodnego zajęcia jego ojca.

Giuseppe Stradivari został koadiutorem świętego Zakonu Jezusowego.

Francesco i Omobono Stradivariowie nadal robili części do skrzypiec swojego ojca i naprawiali stare instrumenty.

Antonio Stradivari budował nowe skrzypce.

Wesoły Francuz Duvernois, kupiec i pośrednik, umarł na serce.

Stary Guarneri pomagał synowi.

A syn jego – del Gesù – zyskał wolność.

Przez piętnaście lat robił skrzypce, poszukiwał ich nowego kształtu i formy, zmieniał sposoby suszenia i nasycania drewna, walczył z nieposłusznymi lakierami. Zdążył zepsuć dwadzieścia trzy instrumenty, zanim uznał, że

odkrył wreszcie sekret skrzypiec Stradivariususa. Zaczął warzyć drewno w oleju lnianym, co z początku nadawało instrumentom wspaniały wygląd, ale wkrótce dźwięk ich mętniał i gasł. Wreszcie znalazł receptę własnego lakieru, do którego dodawał sok brazylijskich figusów.

Swoje skrzypce del Gesù suszył bardzo długo, następnie nasypywał do ich wnętrza gorący owies i starannie, pieczołowicie czyścił, po czym grał na nich przez długie godziny, gdyż był przekonany, że skrzypce muszą dojrzeć i okrzepnąć.

A kiedy skrzypce były już całkiem gotowe, przychodził mnich i zabierał je.

Zajęty pracą del Gesù nie ożenił się, bo najpierw nie miał czasu na konkury, a potem było już za późno. Zresztą kremoańskie panny nie uważały, by chudy potworek z ogromną głową sterczący od świtu do nocy w warsztacie nadawał się na męża...

I oto nadszedł dzień wolności. Skończyła się jezuicka niewola.

Giuseppe Stradivari, koadiutor świętego zakonu, roześmiał się sucho i zgrzytliwie.

– Nie, del Gesù, będziesz z nami aż do śmierci...

Del Gesù szarpnął się za rozwichrzoną brodę i powiedział:

– Nie będę. I nazywam się teraz tylko Guarneri. Od dziś nie ma żadnego del Gesù. Jestem wolny.

– Del Gesù umrze wraz z Giuseppe Guarnerim – pokręcił głową mnich. – Stałeś się pyszny i nieposłuszny. Moi ludzie powiedzieli, że oddałeś wczoraj skrzypce włóczędze. To prawda?

– Tak – kiwnął ogromną głową Guarneri.

– I napisałeś w nich słowa hołdu dla Antonia Stradivarięgo, którego nazwałeś swoim nauczycielem. To prawda?

– Prawda.

- Zostaniesz ukarany.
- Nie możecie mnie ukarać – uśmiechnął się smutno Guarneri. – Galernikowi można zabrać tylko kajdany.
- Poza tym dach nad głową i jadło – wyrzekł spokojnie mnich.
- Nic wam już nie jestem winien – powiedział Guarneri zmęczonym głosem.
- Mylisz się. Nie dotrzymałeś umowy, bo twoich skrzypiec nikt nie kupuje. Sędzia wysiedli cię z domu.
- Komu potrzebna jest taka lepianka? – zapytał Guarneri.
- Tylko tobie i dlatego ci ją odbierzemy...

Przedmiot znaleziony w taksówce Sergiusza Iwanowicza Mogilewskiego, który, według określenia dyspozytor-ki, był czymś w rodzaju metalowych widełek z drewnianą rączką, okazał się kamertonem. To był piękny, zabytkowy kamerton: czarnoniebieskie widełki z inwaru, drewniana, wypolerowana od długiego używania rączka z ledwie widocznymi inicjałami „P.I.”. Jechałem z dworca Lenin-gradzkiego do mieszkania Raisy Nikonowny Fiłonowej i trzymałem w ręku kamerton. Kiedy leciutko trącałem go palcem, wydawał długi śpiewny dźwięk. Zbliżałem śpiewający kamerton do ucha i słuchałem, jak dźwięczy...

– ... Tak, znam ten przedmiot – powiedziała Raisa Nikonowna. – Paweł Pietrowicz przed kilkoma laty podarował ten kamerton Griszy Biłasowi.

W ciągu tych paru tygodni, kiedy jej nie widziałem, stała się zupełnie starą kobietą. Trzęsąca się głowa, twarz po-ciemniała i opuchnięta i starcze, nieustannie załzawione oczy.

W pokoju było bardzo czysto, ale jakiś nieuchwytny bałagan świadczył o tym, że sprzątała go nie sama właści-

cielka. Ostro pachniały krople nasercowe, amoniak i ocet. Na malutkim niemieckim żyrandolu czarna krepa, żałob-  
na wstęga zwisa z portretu Ikonnikowa. Z portretu spoglą-  
da żywy jeszcze Ikonnikow, silny i władczy, niemal  
wszechpotężny.

- A Grigorij Pietrowicz pani nie odwiedza?
- Nie – Fiłonowa pokręciła głową. – Boi się.
- Czego?
- Boi się, że będę go zanudzać rozmową o Pawle Pietro-  
wiczu.
- Dlaczego pani tak sądzi?
- Nie wiem... Paweł Pietrowicz miał przyjaciela, arcymistrza szachowego, z którym czasem grał. I Paweł Pietro-  
wicz dość często z nim wygrywał.

Nie zrozumiałem, o co jej chodzi, i zapytałem:

– I co? Jaki to ma związek?

Fiłonowa zerknęła na mnie przelotnie i opuściła oczy.

– Nie, nic... Chodzi po prostu o to, że Paweł Pietrowicz dość słabo grał w szachy i mógł z nim wygrać nawet przeciętny gracz. Ale z arcymistrzem wygrywał.

Nadal nie rozumiałem, co ma na myśli, a bardzo mi na tym zależało. Powiedziałem więc ostrożnie:

– Raiso Nikonowna, proszę mi łaskawie wytłumaczyć, co pani chciała przez to powiedzieć. Dlaczego on wygrywał z arcymistrzem?

Łza spłynęła jej na policzek. Bez pośpiechu wytarła ją chusteczką.

– Paweł Pietrowicz bardzo dobrze znał swego przyja-  
ciela i zawsze precyzyjnie odgadywał bieg jego myśli, więc arcymistrz często nie potrafił go przechytrzyć. A przecięt-  
ny gracz, którego Paweł Pietrowicz nie znał, mógł to zrobić.

– Chce pani powiedzieć, że Paweł Pietrowicz nie potra-  
fił ograć Biłasza?



– Nie. Miałam na myśli siebie. Zupełnie nie znam się na ludziach, a jest to sztuka znacznie trudniejsza niż gra w szachy. Jednak przez wiele lat tak dobrze poznałam Biełasza, że on, arcymistrz, nie zdołał mnie przechytrzyć. Chociaż mnie może oszukać nawet dziecko. Przecież pan również...

– Raiso Nikonowna, przecież już mi pani wybaczyła. Ja naprawdę chciałem jak najlepiej...

– Nie mam do pana pretensji. To wszystko zresztą nie ma żadnego znaczenia. O Griszy też przecież powiedziałam bez żadnego szczególnego powodu, po prostu tak wyszło z rozmowy...

– A w jakiej sprawie on chciał panią przechytrzyć?

– Grisza chciał wszystkim dowieść, że jest dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Mnie natomiast uważał za głupią i nieważną, więc nawet nie usiłował robić na mnie dobrego wrażenia. Dlatego stopniowo zrozumiałam, że jest zły, bardzo zmęczony i niemal stale czymś przerażony.

– Rozmawiała pani o nim z Pawłem Pietrowiczem?

– Ależ skąd! Jak można? Paweł Pietrowicz go kochał, więc go tolerowałam. Paweł Pietrowicz tak na niego liczył! Marzył, że zrobi z niego wielkiego muzyka. Większego niż Lew Osipowicz Polakow.

– Niż Polakow?! – zdumiałem się.

– Tak – powiedziała Filonowa cicho i spokojnie. – Niektórzy myśleli, że Pasza zazdrości Polakowowi. A było zupełnie inaczej. Marzył o wychowaniu muzyka jeszcze większego niż Polakow, bo uważał Lwa Osipowicza za miernik talentu i pracowitości. Liczył, że w ten sposób odkupi swoją winę wobec sztuki. Umarł wcale nie ze strachu przed skandalem...

– A dlaczego?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że zabiło go coś, co przekreśliło całe jego życie. A coś takiego mogło mieć

związek jedynie z Biełaszem, bo Paweł Pietrowicz nie miał w życiu większej miłości... Jak długo go znałam, raz tylko był w identycznym stanie, jak na krótko przed śmiercią.

– A co wywołało ten stan?

– Pewnie pan wie, że nasi wybitni muzycy grają na wspaniałych zabytkowych instrumentach, starych i bezcennych. Otrzymują je na podstawie specjalnych decyzji rządowych. Kiedy więc Paweł Pietrowicz postanowił raz na zawsze skończyć z muzyką, to sam, rozumie pan, sam, bo nikt go do tego nie skłaniał, poszedł i oddał instrument. Miał cudownego guarneriego. I on ten instrument oddał. A dla skrzypka to... Nie potrafię znaleźć właściwego porównania...

– No tak – powiedział komisarz. – Każda zagadka ma rozwiązanie, ale do prawdy jest siedem wiorst i to w dodatku lasem...

Komisarz uniósł kamerton, pstryknął w niego palcem, posłuchał niskiego dźwięku i gwałtownie odłożył na biurko. Kamerton brzęknął i ucichł.

– Słuchaj, a jak to się stało, że on nie brzęknął na podłodze samochodu?

– Kamerton wcale nie upadł na podłogę. Wysunął się Biełaszewi z kieszeni na tylne siedzenie, gdzie taksówkarz znalazł go po zjeździe do bazy.

– Widocznie Biełasz bardzo się spieszył. A jak tam było z powrotnym pociągiem do Leningradu?

– Pociągiem? Bardzo prosto. Do Leningradu jeździ się z dworca Leningradzkiego, prawda?

– Prawda.

– Właśnie. My też stale zakładaliśmy, że będzie wracał pociągiem z dworca Leningradzkiego, bo to było samo przez się zrozumiałe. A oni rozwiązali to o wiele sprytniej...

– Tak się cieszysz z ich sprytu, jakby ci to sprawiało prawdziwą przyjemność – uśmiechnął się komisarz.

– Ja się cieszę ze swojego sprytu, bo przecież w końcu ich rozszyfrowałem. Mam chyba do tego prawo?

– Nie widzę powodu do radości – mruknął komisarz. – Sprytny powinienes być z urzędu... Cóż więc oni takiego dowcipnego wymyślili?

– O godzinie 1.12 na dworcu Kurskim zatrzymuje się pospieszny relacji Erewan–Murmańsk przez Leningrad. Wiedzieli o tym i bilet dla Biełasza wykupili zawczasu. O pierwszej dwadzieścia Biełasz już ruszył na północ, o 7.35 znalazł się w Leningradzie, a po piętnastu minutach siedział już w pokoju i czekał na telefon dyżurnej. Poza czasem odejścia pociąg miał tę jeszcze zaletę, że był przelotowy, wszyscy jego pasażerowie o tej porze spali i nikt nie mógł Biełasza w nim zauważyć.

– Ładnie to sobie wykalkulowali – pokręcił głową komisarz. – Sam po niego pojedziesz?

– Nie. Wezwałem go telefonicznie.

– Telefonicznie? – zdziwił się komisarz. – A jeśli domyśli się i ucieknie?

– Nie ucieknie. Gdzie on może uciec! – powiedziałem, wziąłem kamerton z biurka i poszedłem do siebie.

Pod drzwiami mego gabinetu czekał Biełasz. Przywitaliśmy się. Biełasz nie podał mi ręki, więc natychmiast poczułem, że wie, po co go wezwałem.

Weszliśmy do gabinetu, siedliśmy przy biurku. Biełasz wyjął paczkę papierosów i zapalił. Zaciągał się gwałtownie, patrzył obok mnie w okno i w jego oczach nie było ani rozpacz, ani strachu, ani złości... Nie było niczego. Milczeliśmy długo i jemu łatwiej było znieść to milczenie, bo miał przecież jakieś zajęcie, palił. A ja po prostu milczałem i patrzyłem na niego, a kiedy wreszcie odezwałem się, głos mój brzmiał ochryple i niepewnie.

– Grigoriju Pietrowiczu, nie chce mi pan nic powiedzieć?

Biełasz wciąż gapiąc się w okno i nie odwracając głowy powiedział:

– Nie. Nie chcę. Zresztą nie mam nic do powiedzenia.

Chciałem przełożyć kamerton z kieszeni do szuflady biurka i niechcący zaczepiłem nim o krawędź teczki. Kamerton zadźwięczał przeciągle. Biełasz odwrócił się gwałtownie i zobaczył kamerton w moich rękach.

– Jednak się znalazł – powiedział takim tonem, jakby zgubił go u mnie w domu, a ja po bezowocnych poszukiwaniach odnalazłem go i odniosłem.

Ten jego spokój sprawił, że opanowałem się i przyszedłem do siebie.

– Skoro nie ma mi pan nic do powiedzenia, oskarżam pana o kradzież skrzypiec stradivarius z mieszkania profesora Polakowa. Przyznaje się pan do winy?

Biełasz oderwał wreszcie wzrok od kamertonu, popatrzył na mnie absolutnie przezroczyście, pustymi oczami i patrzył tak na mnie długo, jakby zbierał myśli albo usiłował wypatrzeć mnie na szarym tle ściany. Potem powiedział zmęczonym głosem:

– Tak, przyznaję się.

Nastąpiła cisza, męcząca i pusta. Nie było w tej ciszy walki, wściekłości ni strachu. Byłem pewien, że Biełasz rzuci się do walki, że będzie bronił się przed każdym pytaniem, będzie bił się o każde słowo. A on zwyczajnie przyznał się do winy...

– Proszę mi powiedzieć, jak to się stało – powiedziałem.

Biełasz pokręcił głową.

– Nie, teraz nie mogę. Jestem bardzo zmęczony. Jestem nieludzko zmęczony. Od wielu miesięcy, noc po nocy, dzień po dniu zupełnie nie śpię. Czasami, jeśli zdarzy mi się na krótko zdrzemnąć, natychmiast śni mi się pańska twarz.

Nie Krest, nie Ikonnikow i nie Polakow. Śni mi się pan i tak pana wtedy nienawidzę, że doznaję zawrotu głowy...

Zawisła między nami długa cisza, a potem powiedziałem:

– To znaczy, że jednak niczego pan z całej tej historii nie zrozumiał. A było się nad czym zastanowić...

– Możliwe – powiedział Biełasz i przysłonił oczy opuchniętymi, niebieskawymi powiekami z długimi rzęsami. – W tej samej chwili, kiedy pana po raz pierwszy zobaczyłem, zrozumiałem, że pan, szary przeciętniak, jest moją zgubą. Gdzie bym tylko nie spróbował się ruszyć, ukryć, pan już tam był, pogadał, wszystko wyjaśnił, wyniuchał i codziennie czułem, jak zaciąga pan pętlę na mojej szyi. Dziś może się pan cieszyć: poddałem się, bo już dłużej nie mogę walczyć. Za bardzo jestem zmęczony. Wpędził mnie pan w pułapkę, jak dzikiego zwierza. Niech się pan cieszy! Czemu pan siedzi z taką ponurą gębą?

Człowiek wypalił się od środka ze strachu i nieustannego napięcia, niczym czołg trafiony pociskiem zapalającym. To okropne. W tej chwili nie ma sensu z nim rozmawiać. Biełasz otworzył oczy, popatrzył na mnie uważnie i powiedział:

– Przypomina pan kontrolera autobusowego. Stoi taki razem ze wszystkimi na przystanku, marznie, moknie, a potem razem ze wszystkimi pcha się do środka, rozpycha się, wciska do autobusu... A kiedy ludzie się już trochę uspokoją, wyciąga znaczek i pyta o bilety...

– Przecież wiadomo, że trzeba płacić za przejazd – skrzywiłem się. – Jeśli ktoś wykupił bilet, to kontroler mu nie straszny, prawda?

– A jeśli ktoś nie ma na bilet, a chce jechać? To co wtedy? – krzyknął histerycznie Biełasz.

– Wtedy sięga pan do kieszeni sąsiada i podaje kontro-

lerowi jego bilet, a jego pokazuje palcem: proszę go sprawdzić, to on jedzie na gapę!

– Ale ja przecież też chciałem jechać autobusem! Ja też mam do tego prawo!

– Nie, pan chciał jechać nie autobusem, tylko wytworną limuzyną, i gdyby w tym celu trzeba było kogoś wyrzucić w biegu, to też by to pana nie powstrzymało.

– Może pan sobie myśleć, co się panu żywnie podoba – powiedział Biełasz. – Mnie jest to obojętne. Kiedyś w rozmowie wspomniał pan o Minotaurze, chociaż nie wiedział pan, że to właśnie ja jestem Minotaurem. I tym samym mnie pan usprawiedliwił. Minotaur nie jest winien, że urodził się jako potwór. On pożerał ludzi tylko dlatego, że chciał jeść. A teraz nie będę z panem rozmawiał. Proszę odesłać mnie do celi. Jestem bardzo zmęczony i chcę spać...

– Dobrze. Tylko jeszcze jedno pytanie: gdzie są skrzypce?

Biełasz patrzył na mnie pustymi przeźroczytymi oczami, patrzył tak, jakbyśmy rozstawali się na całe życie, a on chciałby zapamiętać na zawsze moją twarz. Potem roześmiał się cicho, wykrzywił się histerycznie, a w oczach pojawiły się iskielki szaleństwa. Śmiał się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie wydusił z siebie przez ten szaleńczy śmiech:

– Skrzypce?... Przecież... mówiłem panu, że stradivariususa kradnie się po to, żeby nie wpadać... Nie!... Nie mam skrzypiec!... I nigdy nie miałem...

## Charakter i los człowieka

Szóstka białych koni ciągnęła karawan do kaplicy kościoła Świętego Dominika. Za nim maszerowała kompania gwardzistów. Wyschnięty, łysy, prosty jak kij szedł za trumną ojca monsignore Giuseppe Stradivari, szepcząc suchymi wargami modlitwę i przebierając paciorki różańca. Szli też gorzko płaczący ze złości Francesco i Omobono: w pracowni ojca znaleźli tylko rachunki za skrzypce i ani słowa o jego sekretach... Ostatnie ich nadzieje zburzyła ogromna sterta popiołu i zwęglonych papierów w pale-nisku.

Wszyscy zacni i szacowni mieszczenie szacownego miasta Cremony szli w żałobnym kondukcie, nad którym w południowej ciszy płynął głos dzwónów.

Synowie zmarłego mistrza mieli głowy zajęte podziałem spadku, żołnierze myśleli o tym, że pewnie dziś dostaną dużo dobrego wina, mieszczenie zaś rozglądali się ukradkiem na boki, czy aby nie wyglądają gorzej od innych. I tylko zgarbiony wielkogłowy nędzarz w łachmanach, wypchnięty na sam koniec konduktu, płakał szczerze, z głębi serca żałując tego człowieka, który spocznie dziś pod marmurową płytą z napisem: „Szlachetny Antonio Stradivarius, zmarły w 94 roku zacnego życia”.

– ... Del Gesù, skąd tu się wzięłeś, przecież siedzisz w więzieniu?! – zapytał któryś z mieszczan pogardliwie.

– Nigdy nie zrobiłem nic złego i nigdy też nie siedziałem w więzieniu.

– Nie kłam, wszyscy wiedzą, że siedziałeś za kradzież w więzieniu i zarzuciłeś całą Cremonę skrzypcami ciosanymi toporem...

– Nigdy nie byłem złodziejem i w Cremonie nie ma

moich skrzypiec. Żli ludzie wybijają na okropnych instrumentach mój znak, żeby zhańbić mnie i na mojej hańbie się wzbogacić...

– No to dlaczego Kościół ostrzega wszystkich przed tobą, zabrania się przyjaźnić?

– Mszczą się na mnie.

– Nie bluźnij, del Gesù! Czyń pokutę, a będzie ci przebaczone.

– Nie mam za co pokutować, bo czynię dobro. Dobro i piękno.

– No to pokaż nam swoje piękno!

Guarneri wyjął spod poły skrzypce i smyczek, przeciągnął nim po strunach i stał się cud. Skrzypce ożyły, zaśpiewały. Ten silny, bogaty dźwięk, promienny jak światło słoneczne, zabrzmiał tak, że wszyscy przycichli.

I Guarneri, grając na skrzypcach, ruszył drogą przed siebie, i nikt go nie zatrzymywał, nikt się z niego nie naigrawał...

– Doskonale cię rozumiem – powiedział komisarz – ale on jest złodziejem i chociaż tamta stara sprawa uległa przedawnieniu, nadal jest przestępcą.

– Wiem.

Komisarz zerknął na mnie znad okularów.

– Żal ci go?

– Trudno powiedzieć, ale wychowaliśmy się na sąsiednich ulicach i mogliśmy być kolegami.

– Gdybyście zostali kolegami, z pewnością by cię przy najbliższej okazji sprzedał.

– A może wszystko ułożyłoby się inaczej?

Komisarz pokręcił głową.

– O zachowaniu człowieka decydują jego uprzednie postęпки. To przecież nie demon, tylko zwyczajny czło-

wiek. Od wielu lat nosił w sobie ciężar nieodkupionej winy i dlatego w każdej konfliktowej sytuacji jego instynkt samozachowawczy odzywał się coraz silniej, a sumienie słabło...

Chciałem powiedzieć, że do więzienia idzie człowiek bardzo mądry i utalentowany, co jest okropnie niesprawiedliwe... Nie to, że idzie do więzienia, tylko to, co zrobił i za co spędzi w zamknięciu wiele lat z gwałcicielami, bandytami i mordercami. W tym momencie jednak wszedł dyżurny i zameldował:

– Doprowadzono aresztowanego...

– Dajcie go tu – powiedział komisarz.

Otworzyły się drzwi i dwaj milicjanci wprowadzili Biełasza.

– Jesteście wolni – powiedział komisarz do konwojentów. – A wy, obywatelu Biełasz, siadajcie. Będziemy rozmawiać...

– Jest pan o tym przekonany? – zapytał wyzywająco Biełasz.

– Nie wątpię w to ani przez chwilę. Teraz uważacie się za istotę dumną i niesłusznie skrzywdzoną, niczym Frankenstein, ale niebawem będziecie walczyć o każdy miesiąc wyroku... Zresztą uważam to za rzecz prawidłową – nieoczekiwanie podsumował komisarz. – Dlatego że miejsce człowieka jest na wolności, a nie w więzieniu, zwłaszcza jeśli wszystko zrozumiał i wie, jak powinien dalej żyć...

Biełasz opuścił głowę i powiedział:

– Jest w tym trochę racji. Co pana interesuje?

– Interesuje nas wszystko. A zaczniemy od tego, jak po zatelefonowaniu z lotniska do profesora Preobrażeńskiego udaliście się do Moskwy.

– Proszę bardzo. – Biełasz zerknął na mnie przelotnie i zaczął opowiadać: – Samolot wylądował zgodnie z roz-

kładem, wsiadłem do taksówki i dwadzieścia po dwunastej byłem na placu Majakowskiego, gdzie czekał już na mnie Krest i ten facet, którego spotkałem na przesłuchaniu u naszego przyjaciela Tichonowa...

– Co to za człowiek? Co możecie o nim powiedzieć?

– Nigdy go przedtem nie widziałem.

– I nie zapytaliście Kresta, co to za jeden?

– Pytałem. Ale pan nie zna Kresta: nie spotkałem w życiu równie sprytnego i ostrożnego drania.

– Nie rozumiem?

– Sądząc z tego, że ten facet mnie nie rozpoznał, on też o mnie nic nie wie. Krest powiedział: „Wszystko zostało zorganizowane tak, że nie możemy wpaść. Ale wszystko może się zdarzyć, więc lepiej dla ciebie będzie, żebyś go nie znał... Człowiek jest słaby duchem i gdyby ci nagle przyszło do głowy popłakać mentom w kamizelkę, to i tak nic z tego nie wyjdzie, bo nie będziesz im miał nic do powiedzenia”.

– Rozumiem – powiedział komisarz. – A więc spotkaliście się...

– Podszedł do mnie Krest i powiedział, że wszystko jest gotowe: w mieszkaniu nikogo nie ma, człowiek z kluczami czeka na nas. Ostrzegł, żebym pod żadnym pozorem nie wdawał się z nim w żadne rozmowy. Postawiłem kołnierz, nasunąłem czapkę na oczy i ruszyłem do bramy, gdzie ten facet mnie dopędził.

– Dlaczego kazaliście mu jechać windą, a sami poszliście pieszo? – zapytałem.

– W bramie było ciemnowo, a winda jest jasno oświetlona i ten facet mógłby mi się dokładnie przyjrzeć. Poza tym pomyślałem, że zanim dojdę na górę, on już otworzy drzwi. Tak zresztą się stało...

– Zapaliliście światło w mieszkaniu? – zadał pytanie komisarz.

– Niech mnie Pan Bóg broni! – przeraził się Biełas. – Zresztą nie musiałem, bo bywałem tam wiele razy i doskonale orientowałem się w rozkładzie mieszkania. Od razu poszedłem do gabinetu i łomem, który dał mi Krest, bez trudu otworzyłem sekreterę...

– Jak to się stało, że zostawiliście łom w mieszkaniu? – zapytałem.

– Musiałem wyjąć skrzypce z futerału i przełożyć je do worka, który miałem zawieszony pod płaszczem. Dlatego położyłem łom na fotelu i nie zauważyłem w ciemności, jak ześlizgnął się za siedzenie. A zapalać światła Krest mi kategorycznie zabronił... Bałem się szukać go w ciemności, bo by to zajęło zbyt wiele czasu. Po prostu przymknąłem drzwi sekretery i wyszedłem z mieszkania...

– Ile czasu zajęła cała ta procedura? – zapytał komisarz.

– W mieszkaniu byłem najwyżej dwie lub trzy minuty, nie więcej. Wyszedłem na ulicę, wsiadłem do samochodu, Krest zwolnił tego faceta i pojechaliśmy na dworzec Kurski. Do nadejścia pociągu erewańskiego zostało jeszcze parę minut. Na placu przed dworcem oddałem Krestowi worek ze skrzypcami, a on zapytał mnie jeszcze: „Nie pomyliłeś instrumentów?” Nic na to nie odpowiedziałem, wysiadłem z samochodu, Krest podał mi bilet i paczkę zawiniętą w gazetę. To był plik pieniędzy. Powiedział, że znajdzie mnie, dodał gazu i odjechał. A ja pojechałem do Leningradu. To wszystko...

– To wszystko... – powtórzył komisarz i zapytał: – Krest mówił wam, co się stało z Knurem-Łopakowem?

– Powiedział, że Knur niedługo wyjdzie na wolność i że wysłał go, żeby zorganizował parę groszy na początek. Że niby przyszedł czas na spłacenie starego długu.

– No tak – mruknął komisarz. – Nabrał was kumpel...

– W jaki sposób nabrał? – uniósł głowę Biełas.

– Knur umarł około czterech lat temu.

– Umarł? – powtórzył Biełas zbielełymi wargami. – Umarł? To znaczy, że prześladowała mnie zjawa?

– Tak to wygląda – powiedziałem. – Ale i tu się mylicie, Grigoriju Pietrowiczu. To nie była zjawa Knura, tylko duch zamordowanej staruszki Siemyninej.

Biełas popatrzył na mnie, przeniósł wzrok na komisarza i wymamrotał bezradnie:

– I wszystkie te cierpienia... całe to miotanie się bez celu... Zupełnie jak kogut z uciętą głową!

– Tak, właśnie tak – powiedział komisarz i podrapał się po głowie. – Dlatego cała sprawa między wami, Biełas, a Ikonnikowem potoczyła się jak w modlitwie: schwytany był za grzechy wasze i dręczony za bezprawie wasze.

Biełas jeszcze przez krótką chwilę patrzył na nas zbielełymi z nienawiści oczami, a potem powiedział wolno, ciężko skandując każde słowo:

– Bądźcie przekłęci!...

Komisarz uśmiechnął się krzywo i powiedział:

– Niestuszenie nas przeklinacie, Biełas. Taką już mamy pracę, że oddajemy, co cesarskie, cesarzowi, a co ślusarskie, ślusarzowi. Nic na to nie poradzimy, że taki z was osobnik, z którego egoizm wyłazi wszystkimi porami. Wedle was wszyscy są winni: i Knur, i Krest, i Tichonow, i ja. A sami jak się czujecie? Uważacie się pewnie za niewinnego baranka, prawda? Skoro tak, to nie macie racji, to nie jest właściwe i słuszne...

– A co jest słuszne? – zapytał Biełas wściekłym głosem.

– Trzeba być porządnym człowiekiem. To właśnie jest słuszne – powiedział cicho komisarz. – A to jest czasami trudniejsze niż ukrywanie się przez siedemnaście lat przed wymiarem sprawiedliwości. To pewnie wy podsunęliście Krestowi pomysł ze skrzypcami, prawda?

Biełasz przytaknął bez słowa.

– Tichonow myśli, że was poznał na wylot, a ja uważam, że on się myli.

Biełasz i ja popatrzyliśmy jednocześnie na komisarza, który uśmiechnął się pogodnie.

– Widzicie, Biełasz, on jest co najmniej tak samo zdumiony, jak wy. Ale to dlatego, że w żaden sposób nie potrafi przekroczyć bariery sympatii dla was. A mnie już od bardzo dawna się nie podobacie, bo zrozumiałem sedno waszej natury...

– Cóż takiego pan zrozumiał? – zapytał Biełasz z bolesnym grymasem na twarzy.

– To, że jesteście zawistnikiem, nie jakimś tam zwyczajnym zazdrośnikiem, tylko zawistnikiem-tytanem, Zawistnikiem z dużej litery. Słuszność mojego osądu potwierdza charakter waszego przestępstwa.

– Teraz ma pan prawo powiedzieć wszystko – wzruszył ramionami Biełasz.

– Nie próbujcie tylko udawać skrzywdzonej niewinności, bo to po prostu wstyd – powiedział komisarz i zapalił papierosa. – Zbliżyliście się do najgorszej, ostatniej rubieży swojego życia, więc spróbujcie zmobilizować odwagę i przejść przez nią jak człowiek, a nie jak tchórzliwe bydlę.

– A co mnie czeka? – zapytał Biełasz.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Nie jestem sądem i nie określam kary. Sądzę jednak, że czeka was wiele lat więzienia lub kolonii karnej i że tylko od was zależy, czy zdołacie wrócić jeszcze do normalnego życia, czy też wasze życie skończyło się wczoraj w chwili aresztowania.

– Ale dlaczego uważa pan, że jestem zawistnikiem?

– A wy tego nie wiecie? – zdziwił się komisarz. – Krest to zrozumiał od razu, jak tylko trochę z wami porozmawiał. Przecież to wy opowiedzieliście mu o stradivariusie...

– Załóżmy...

– Tu nawet nie ma co zakładać. Jestem przekonany, że opowiedzieliście mu o skrzypcach, kiedy jeszcze nawet nie myśleliście o ich kradzieży...

Na dźwięk słowa „kradzież” Biełasz aż się skrzywił, ale komisarz spokojnie kontynuował:

– Tak, tak, kradzieży. Po prostu skarżyliście mu się: niektórzy to sobie żyją! Mają talent, powodzenie w życiu, a w dodatku taki instrument... Dopiero potem Krest przycisnął was właśnie z tymi skrzypcami. Zresztą nie bardzo się nawet opieraliście, bo cieszyła was myśl zrobienia świństwa Polakowowi, który waszym zdaniem miał za wiele szczęścia w życiu. Postanowiliście więc odegrać rolę przeznaczenia i w niewielkim przynajmniej stopniu wyrównać szanse Polakowa, Ikonnikowa i swoje własne. Prawdę mówię?

– To łgarstwo! – wykrzyknął Biełasz. – Obrzydliwe, okrutne łgarstwo! Ludożerstwo!

– Słusznie – zgodził się komisarz. – Ale w grze z Ikonnikowem przeszliście od ludożerstwa moralnego do fizycznego. Który wpadł na pomysł obciążenia Ikonnikowa, co?

Biełasz przełknął z trudem ślinę, odetchnął głębiej, opuścił oczy i powiedział prawie szeptem:

– Krest.

– To znaczy, że Krest strzelał, a wy korygowaliście ogień? Dobrze zrozumiałem?

Biełasz kiwnął głową.

– Bardzo ładnie – mruknął komisarz.

Biełasz uniósł głowę. W oczach miał łzy.

– Ja tego nie chciałem. Ja tego tak nie chciałem! Nie wierzyłem, że to się może tak strasznie skończyć – wyszeptał.

– To dobrze, że nie chcieliście – powiedział komisarz – ale jednak robiliście, prawda?

Biełasz nie odnowiadał przez chwilę, a potem wyduślił z siebie:

– To, co pan teraz ze mną robi... jest nieludzkie.

Komisarz założył okulary i przyjrzał mu się uważnie.

– No tak, pytania zadajemy wam niezbyt przyjemne. – Pobełbnął palcami o blat biurka. – Dość trudno opowiedzieć głośno o tym, że się okradło, zdradziło, zhańbiło i zabiło nauczyciela. Okazuje się, że trudniej niż to wszystko zrobić. No dobrze, dajmy temu spokój. Powiedzcie, jak możemy znaleźć Kresta?

– Nie wiem – powiedział Biełasz i nagle zaczął mówić coraz szybciej, obawiając się, że mu nie uwierzymy: – Słowo daję, że nie wiem. Ja w ogóle nic o nim nie wiem. Kiedy mu byłem potrzebny, zawsze telefonował do mnie albo przychodził. A gdzie mieszka, nie mam najmniejszego pojęcia...

– Co on zamierzał zrobić ze skrzypcami? Nic na ten temat nie mówił?

– Nie, ale wydaje mi się... myślę, że chciał sprzedać je jakimiś swoimi kanałami...

– Kiedy go ostatni raz widzieliście?

– Przedwczoraj.

Komisarz zerknął na mnie z ukosa i zapytał:

– Gdzie?

– U mnie w domu.

– Macie nerwy – roześmiał się komisarz. – Ja bym na waszym miejscu zwariował ze strachu, a wy nic... I po co przyszedł?

– Interesował się, o co mnie Tichonow pytał na przesłuchaniu.

– To znaczy, że szanuje Tichonowa! – uśmiechnął się komisarz. – Liczy się z jego interesami?

Biełasz nie odezwał się, a mnie nagle coś wpadło do

głowy. Nie zdążyłem jednak o to zapytać, bo komisarz i tym razem był szybszy. Pochylił się w stronę Biełasza i zapytał półgłosem, jakby nawet serdecznie:

– No i co, Grigoriju Pietrowiczu, pokazaliście Tichonowa Krestowi?

Biełasz drgnął i odsunął się z przestraszeniem od komisarza, jakby dostał od niego w twarz, poszarzał i wymamrotał pospiesznie:

– W jakim sensie? To znaczy jak?

Komisarz uderzył krótko dłonią w stół i równie cicho powiedział:

– Przestańcie udawać głupiego! Krest widział Tichonowa, zna go?

Biełasz, patrząc jak zahipnotyzowany na komisarza, powiedział:

– Zna.

– Gdzie pokazaliście Tichonowa Krestowi?

– W „Araracie”. Siedział o dwa stoliki od nas.

– Krest ma broń?

– Pistolet...

Komisarz pokręcił głową:

– Potraficie ryzykować, Biełasz. Tyle tylko, że z nami na pewno nie wygracie. No dobra, zrobimy u was rewizję...

Kawalerka Biełasza była zaśmiecona i brudna, jakby właściciel wyszedł z niej nie dobę temu, lecz przed wieloma dniami. Wszystko było zapuszczone, zabałaganione i pokryte grubą warstwą kurzu.

Rewizję przeprowadzała Ławrowa. Biełasz patrzył na nią z twarzą pociemniałą z wściekłości. Powiedziałem mu:

– Po skończeniu rewizji możecie się przebrać, wziąć ciepłe rzeczy i papierosy.



– Dziękuję.

I znów w pokoju zapadła cisza, zakłócana tylko odgłosami kroków Ławrowej i sapaniem świadków przeszukania.

Biełasz długo wpatrywał się w brudny parkiet pod nogami, a potem odezwał się do mnie:

– Moje nieszczęście polega na tym, że przypominam piłkarza, który jeśli nawet poda komuś piłkę, to zawsze stara się tę piłkę dopędzić i strzelić samemu gola...

Wzruszyłem ramionami. Biełasz przysunął się do mnie:

– Nie wierzy pan? Przecież, daję na to słowo honoru, nie mogłem wyobrazić sobie, że to wszystko się tak dramatycznie skończy. Wszystkiemu winien jest Krest.

Popatrzyłem na niego z bliska, myśląc ze smutkiem, że strach zabija człowieka gorzej niż kula. Biełasz gorąco, ze szczerym zapalem tłumaczył:

– Nigdy nie widział pan „pierścienia czarownicy”? To jest taka okrągła łysa polana, wokół której rosną całe łany grzybów. Te grzyby swoimi korzeniami dławią i zabijają wszystko dokoła...

Przekonywał sam siebie i było to tak żalosne, że nie mogłem na niego patrzeć.

– Z kim tak tutaj ucztowaliście? – zapytała Ławrowa, wskazując brudny, zaśmiecony resztkami jedzenia, pustymi butelkami i puszkami po konserwach stolik.

– Z Krestem – powiedział Biełasz.

Zapytałem:

– To znaczy, że nie macie kontaktu na Kresta?

– Nie. Krest zawsze pojawia się nieoczekiwanie i bez zapowiedzenia.

– Nie mówił, kiedy będzie u was następnym razem?

– Nigdy tego nie mówił.

– Czy dałoby się ustalić jakąś periodyczność jego wizyt?

Biełasz pokręcił głową.

– Jak sądzicie, Krest mieszka w Moskwie?

– Raczej nie. Właściwie nigdy o tym nie mówiliśmy, ale pewnego razu powiedział: „Ty za pół godziny będziesz w łóżku, a ja muszę się jeszcze pięć godzin tłuc do domu”.

– Nie pamiętacie numeru jego samochodu?

– Nie, ale gdybym nawet go pamiętał, to i tak nic by to nie dało.

– Dlaczego?

– Nie znacie jeszcze Kresta. On bierze pod uwagę absolutnie wszystko i dlatego najprawdopodobniej jego samochód opatrzony jest fałszywym numerem... Przynajmniej wtedy, kiedy przyjeżdża do Moskwy.

– Nie zauważyliście niczego szczególnego w samochodzie i jego wyposażeniu?

Biełasz zastanawiał się przez chwilę, a potem rozłożył ręce:

– Zwyczajny łazik... Tyle tylko, że ma niklowane dekle na kołach, a zazwyczaj wozy terenowe takich dekli nie miewają...

– W jaki sposób Krest się zachowuje?

– Jak drań – powiedział Biełasz. – Brat łata. Dziwkarz typu słodki brutal...

– To coś nowego – mruknąłem. Ta charakterystyka mnie zainteresowała, bo do takich facetów można czasem dotrzeć przez wianuszek porzuconych i nieutulonych w żalu dam.

– Nic nowego – powiedział Biełasz pogardliwie. – Dziwkarz maruder... Powiedział mi kiedyś, że jeździ na urlop do Anapy: „Pełno tam mamuś z małymi dziećmi, smutnych, skrzywdzonych przez los, potrzebujących pomocy i współczucia”.

– No tak, dobrego kumpla sobie dobraliście.

– Wcale go nie wybierałem, tak samo jak pana...

– Co prawda, to prawda. Rzeczywiście sami was znaleź-

liśmy. Tyle że dotarliśmy z różnych stron. Szkoda tylko, że Krestowi opieraliście się o wiele słabiej niż mnie...

Biełasz wzruszył ramionami i roześmiał się zjadliwie.

– A co w tym dziwnego? Krest zabrał mi tylko sumienie, a pan chciał zabrać wszystko. Zresztą w końcu wszystko pan mi zabrał...

– Tak – powiedziałem ze zmęczeniem w głosie. – Ale zapomniał pan, że przyszedłem, kiedy sumienia już nie było.

Jakoś przestałem mu współczuć, gdyż podczas ostatniej, najcięższej próby Biełasz zachował się jak szmata. I to, że udało mi się zatrzymać bieg jego życia i puścić do tyłu niczym taśmę filmową, też nie cieszyło, bo przyniosło jedynie rozczarowanie i żadnej korzyści dla śledztwa... Skrzypiec, dla których musiałem podjąć wędrówkę po cudzych losach, powrócić do wydarzeń sprzed siedemnas-tu lat, przebrnąć przez kłamstwo, podłość i oszustwo, tych skrzypiec nie było. Znajdowały się nadal w żyłastych łapach człowieka, który swoje złodziejskie operacje opra-cowywał w najmniejszych szczegółach i gwarantował współnikom, że nigdy nie wpadną.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie i jak szukać Nikodimowa. Urządzić zasadzkę w mieszkaniu Biełasza? Ale nie wiadomo, kiedy Nikodimow znów się pojawi, a Biełasza trzeba będzie wciąż trzymać w domu, żeby mógł odebrać telefon Kresta. To bardzo skomplikowana opera-cja, bo może przecież upłynąć nawet miesiąc, nim ponow-nie się zjawi. Spróbować pojechać do Anapy i tam zasię-gnąć języka? Śledztwo długie i niepewne. Co robić? I jak długo on zamierza trzymać skrzypce u siebie? Może już je opchnął? Aż mi się zrobiło słabo na tę myśl... Gdybym nawet schwytał Nikodimowa – teraz, kiedy miałem jego fotografię, było to zupełnie realne – a skrzypiec już nie

będzie, to dokona się tylko zemsta... A mnie potrzebne są skrzypce!...

Ławrowa zapytała Biełasza:

– Jedzenie i wódka pochodzą z pańskich zapasów, czy też Krest je przyniósł?

– Krest przyniósł – powiedział Biełasz jakby z ociąga-niem. – Bo co?

Ja również nie zrozumiałem, dlaczego dziewczyna o to pyta.

– Nic – powiedziała Ławrowa i zwróciła się do mnie. – Wydaje mi się, że taką puszkę widziałam w kuchni u Miel-nika...

„Maślaki marynowane”... Zwyczajne konserwy. Nawet nie przyszło mi do głowy, że normalne marynowane grzy-by, nadające się tylko na zakąskę, mogą zdecydować o losach zabytkowych skrzypiec i wskazać kryjówkę Mi-notaura. Minotaura, który przewidywał wszystko w naj-drobniejszych szczegółach, a o takim głupstwie, jak pusta puszka po marynowanych grzybach, nie pomyślał...

Zadzwońłem do swojego kumpla Gusiewa z drogówki.

– Sierioża, mam ciekawą zagadkę z twojej dziedziny. Może cię zainteresuje?

– Nie sądzę – powiedział Gusiew. – Własnych zagadek mam pod dostatkiem.

– Tamte musisz rozwiązywać z obowiązku, co jest nud-ne. Moja będzie dla ciebie czymś w rodzaju krzyżówki rozwiązywanej dla przyjemności...

– Nie wygłupiaj się, tylko gadaj, o co ci chodzi, i że-gnaj!

– Sierioża, trzeba obliczyć, jak daleko mógł zajechać samochód w ciągu pięciu godzin.

– Jaki samochód?

– „GAZ-69”. Wyjechał ze śródmieścia Moskwy około północy 12 października. Wedle komunikatu meteorologicznego tego dnia w Moskwie i obwodzie moskiewskim była mżawka i mgła. Dwunastego października to był dzień powszedni, poniedziałek... Samochód przyjechał do Moskwy prawdopodobnie tą samą trasą, cały dzień jeździł po mieście, więc nie jest wykluczone, że w drodze powrotnej brał benzynę...

– Poczekaj – powiedział Gusiew. – Zastanowię się...

Najwidoczniej sprawdzał coś na mapie, mruczał coś pod nosem, aż wreszcie powiedział:

– Myślę, że gdzieś w promieniu obwodu kalinińskiego, włodzimierskiego, riazańskiego, tulskiego, kałuskiego, smoleńskiego. Najwyżej dwieście pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę.

– Wyszło ci zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę?

– Maksimum. Spróbuj usiąść w nocy za kółkiem łazika i w deszczu, przy ciągnących z przeciwka ciężarówkach przejechać więcej.

– Spróbuję...

– Czy pamięta pan, jak wygląda puszka konserw? – zapytała mnie Ławrowa surowym tonem.

– Czyżbym wyglądał na takiego, który już nawet o takich rzeczach nie ma pojęcia? – zapytałem z niepokojem w głosie.

– Aż tak źle nie jest i dlatego pytam. Proszę mi zatem odpowiedzieć.

– Dobrze – zgodziłem się pokornie. – Wiem, jak wygląda puszka konserw. Jest to cylinder z metalowej blachy, hermetycznie zamknięty i wypełniony produktami żywnościami.

– A co jest na owym cylindrze? Co znajduje się zawsze na puszcze konserw?

– Etykietka – powiedziałem ze złością. – Nie ma pani trudniejszych pytań?

– Do odpowiedzi na trudniejsze pytania nie jest pan jeszcze w pełni przygotowany – odpowiedziała spokojnie Ławrowa. – A co poza etykietą?

– Często bywa jeszcze brud, smar antykorozyjny, odciski palców i nalepka z ceną oraz uwagą: „Na Dalekiej Północy o 5 kopiejek drożej”. To wszystko, nic tam więcej nie ma...

– Myli się pan – powiedziała Ławrowa. – Każda puszka konserw oznaczona jest na denku lub wieczku odpowiednimi cyframi i literami...

– Cyframi? – zapytałem ze zdziwieniem i przypomniałem sobie, że istotnie na każdej puszcze zawsze wytłoczone są jakieś litery i cyfry.

– Tak, cyfry. Ja również, podobnie jak pan, nigdy nie zwracałam na nie uwagi. Skoro jednak umieszcza się je tam, to muszą przecież coś znaczyć... Gdy tylko doszłam do tego wniosku, natychmiast postanowiłam zbadać dokładnie całą sprawę.

Zrozumiałem, o co jej chodzi, ale zaproponowałem ostrożnie:

– Wydaje mi się, że każda seria puszek liczy setki tysięcy sztuk...

– Całkiem możliwe – zgodziła się spokojnie Ławrowa – ale nie mamy przecież innego punktu zaczepienia. Proszę spojrzeć, czego się dowiedziałam...

Rozwinęła kartkę papieru z wypisanym wołami szeregiem cyfr i liter: „K2630/211I349”.

– Ka dwa tysiące sześćset trzydzieści łamane przez dwieście jedenaście I trzysta czterdzieści dziewięć – przeczytałem na głos. – A cóż to za abrakadabra?

– Nic dziwnego, że pan nie rozumie – uśmiechnęła się Ławrowa. – To jest wybite na denku oznaczenie puszek po marynowanych maślakach, które zjadł Bielasz do spółki z Krestem. A Bielasz zeznał, że puszkę przyniósł Nikodimow.

– A jak to można rozszyfrować?

– O to właśnie zapytałam dziś w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego.

– No i czego się pani dowiedziała? – zapytałem z ciekawością.

– Okazało się, że litera „K” oznacza grupę zakładów, do którego zalicza się wytwórca tej marynaty. Poza tym występują oznaczenia literami „M” i „R”, którymi posługują się odpowiednio przetwórnice mięsa i zakłady mleczarskie oraz wytwórnie konserw rybnych. Do grupy „K” należą wszystkie pozostałe zakłady przemysłu spożywczego, w tym również wytwórnie konserw warzywnych.

– To niesłychanie odkrywcze! – powiedziałem. – Nigdy bym się nie domyślił, że fabryki konserw rybnych nie produkują marynowanych maślaków! – dodałem zjadliwie i zaraz się zawstydzilem, bo powiedziałem to wszystko z zawiści, że to nie ja, tylko Ławrowa wpadła na ten trop.

Ławrowa machnęła na mnie ręką i kontynuowała:

– Odrzucamy ostatnią cyfrę z pierwszej grupy, bo to jest rok produkcji...

– Zero to jest rok produkcji?

– Nie zero, tylko siedemdziesiąt – wytłumaczyła mi cierpliwie Ławrowa. – Te grzyby zostały wyprodukowane w roku siedemdziesiątym, to znaczy bieżącym. Siódmkę się opuszcza i wytłacza na denku tylko zero.

– A może w sześćdziesiątym? Też będzie zero.

– Przez dziesięć lat maślaki z pewnością by się zepsuły. To są konserwy nietrwałe. Pozostaje liczba „263”, czyli numer wytwórni. Cóż to za fabryka? Międzykołchozowa

przetwórnica w obwodzie włodzimierskim. Wieś Kotielniki, rejon sasowski. Jej wyroby niemal w całości rozprowadzane są przez miejscową sieć sklepów spółdzielni spóżywców. Te informacje coś panu mówią?

– Obwód włodzimierski, powiada pani? – mruknąłem. – Hm, doskonale się zgadza! Leno, czy mogę panią ucałować?

– Może pan! – powiedziała skwapliwie Ławrowa i roześmiała się. – A nie krępuje pana, że... znajdujemy się w pomieszczeniu służbowym?

Pokręciłem głową i cmoknąłem dziewczynę w policzek. Lena popatrzyła na mnie uważnie i zapytała ze szczerym zainteresowaniem:

– Słuchajcie, Tichonow, skąd ta pewność, że wasz pocałunek może być dla mnie nagrodą?

– To oczywiste! Przecież już dawno słyszałem, że jestem człowiekiem złym i sentymentalnym – skorzystałem z możliwości odegrania się – a wszyscy źli i sentymentalni faceci zawsze tak uważają. Jednak niezależnie od tego pani informacja dwudziestokrotnie zmniejsza nam zakres roboty.

– Może nawet czterdziestokrotnie, ale nie spierajmy się o drobiazgi... – powiedziała łaskawie Ławrowa. – Przecież zostało nam jeszcze parę cyfr i litera. Oznaczają one, co następuje: pierwsza cyfra to numer zmiany, dwie następne dzień miesiąca, litera „I” sierpień, a ostatnie cyfry to symbol konserw. To nas zresztą nie interesuje, bo i tak wiadomo, jakie to konserwy.

– A dlaczego „I” znaczy sierpień?

– Skąd mam wiedzieć? Może miesiące oznaczają się kolejnymi literami alfabetu? „A” styczeń, „B” luty i tak dalej...

– Możliwe, a zresztą to już nie jest ważne.

– Pojedzie pan ze mną do Kotielnik?

Ławrowa wpatrywała się we mnie długo i uważnie,

jakby chciała powiedzieć coś bardzo ważnego, ale zrezygnowała, i po dłuższej chwili powiedziała tylko obojętnym tonem:

– Proszę zamówić samochód.

– Interesuje was jedenasty sierpnia? – zapytał kierownik działu. – Zaraz sprawdzimy w rejestrze produkcji...

Przysunął sobie opasły, postrzępiony brulion i zaczął szukać odpowiedniej notatki. Okulary zsunął przy tym na czoło i tak nisko pochylił się nad rejestrem, że sprawiał wrażenie, jakby wywąchiwał potrzebny mu gatunek konserw.

– Mamy jedenastego – powiedział. – No tak, tego dnia zaczęliśmy produkcję maślaków. W nocy z czternastego na piętnastego wygasiliśmy kocioł warzelny, przepłukaliśmy go i na pierwszej zmianie piętnastego ruszyliśmy z syrojadkami. Razem w tej serii zrobiliśmy 1674 puszki konserw...

– A jak było ze zbytem? – zapytałem.

– Zaraz sprawdzimy w odpowiednim rejestrze. – Kierownik przysunął sobie inny brulion i powtórzył operację wygniuchiwania właściwej notatki. – Mam. Szesnastego sierpnia spółdzielnia w Kołotowie odebrała 1674 puszki maślaków, 965 puszek syrojadek...

– Lubimy tylko maślaki – powiedziała Ławrowa. – A gdzie jest to Kołotowo?

Kierownik z taką energią szarpnął sumiastego wąsa, że omal go nie urwał.

– Że też się ludziom chce tłuc taki świat drogi po głupie grzyby! – powiedział ze zdziwieniem. – A Kołotowo to jest miasteczko o jakieś szesnaście kilometrów stąd.

– Nawet o takiej miejscowości nie słyszałem – powiedziałem. – Dużo tam ludzi mieszka?

– Skąd! – kierownik puścił wąż i machnął ręką. – Najwyżej półtora tysiąca... No, może dwa...

Dyrektor kołotowskiej spółdzielni trochę się z początku na nasz widok spłoszył, bo myślał, że jesteśmy z wydziału ścigania przestępstw gospodarczych, ale gdy tylko mu się przedstawiliśmy, uspokoił się i nabrał wigoru, po czym zaczął wykladać swoją filozofię handlową.

– Współczesny rolnik – mówił – to już nie jest ciemny chłop. To przodujący kołchoźnik, wymagający od nas troskliwych zabiegów o jakość i różnorodność jego stołu. My ze swej strony staramy się sprostać tym oczekiwaniom i coraz lepiej zaspokajać rosnące potrzeby kulturalne i materialne ludu pracującego wsi. Jesteśmy wszak przedsiębiorstwem spółdzielczości spożywczej, a zatem...

Nie wytrzymałem i przerwałem jego wystąpienie:

– Szesnastego sierpnia pobraliście konserwy z wytwórni w Kotielnikach. Proszę pokazać mi odpowiednie dokumenty.

Dyrektor znów lekko się spłoszył.

– Proszę bardzo, już daję. Ja przecież, że tak powiem, jestem tu weteranem. Pracuję tu prawie dwadzieścia lat i dlatego, przepraszam za wyrażenie, zna mnie tu każdy pies. Jestem na widoku. U nas nic się nie da ukryć, bo każdy każdego widzi...

– Ile wam jeszcze zostało marynowanych maślaków?

– Zaraz sprawdzę na półkach, ale pewnie mało. Ten towar cieszy się wielkim powodzeniem. – Kierownik wybiegł z kantorka.

Podszedłem do Ławrowej, która paliła papierosa przy uchylonym lufciku.

– On rzeczywiście powinien tu wszystkich znać. Jeśli

nie pomyliliśmy się, co do zasady, to powinien nam wskazać Kresta.

– Raczej nie popełniliśmy pomyłki – powiedziała Lena. Twarz miała zmęczoną, pod oczami widniały niebieskie kręgi. – Pod wieczór obwodowa drogówka poinformuje nas o wszystkich łazikach z niklowanymi deklami.

Wszedł kierownik i oświadczył radośnie:

– Zostało jeszcze sześć skrzynek. Usilnie doradzam, żebyście je wzięli. Znawcy utrzymują, że jest to marynata o wyjątkowych walorach smakowych. Muszę jeszcze dodać, że jutro rano, przepraszam za wyrażenie, rzucimy na rynek gęsi. Akurat na Nowy Rok. Nie macie ochoty?

– Może innym razem – powiedziałem. – Może zerknie pan na tę fotografię. Zna pan tego człowieka?

Kierownik założył okulary i uważnie przyjrzał się zdjęciu.

– Boże drogi, to przecież Piotr Siemionycz! Trudno od razu poznać, bo chudy i ostrzyżony!

– Nic dziwnego, tyle lat minęło! – powiedziałem. – A co teraz Piotr Siemionycz porabia? Pewnie poszedł w dyrektury?

– Nie, jest naszym agentem skupu. Doskonały pracownik. Inteligentny. Za co się nie weźmie, z pewnością wykona na „bardzo dobrze”, przepraszam za wyrażenie...

– A gdzie on teraz jest?

– Pojechał do Sasowa po bilety, niedługo powinien być. Potrzebny?

– O tyle, o ile... Chciałoby się pogadać ze starym znajomym. A gdzie się wybiera?

– Ma nie wykorzystany urlop, który musi rozpocząć przed trzydziestym pierwszym. Postanowił więc wyskoczyć na tydzień do siostry w Jelcach, a szóstego odwołamy go z urlopu, bo jest mnóstwo roboty.

– No tak, do Jelców.

– Do Jelców, powiada pan, na tydzień? – powiedziałem. Wedle wszelkich naszych danych Nikodimow nigdy nie miał żadnej siostry. Nawet prezenty przygotował. – Kierownik pokazał nam obwiązaną sznurkiem walizkę i dwie niewielkie skrzynki stojące w kącie.

– A czemu to Piotr Siemionycz trzyma tutaj swoje prezenty, a nie w domu? – nieoczekiwanie wtrąciła się Ławrowa.

– Wynajmuje pokój u Stiepana Kuzmiczewa, w kompletnej ruderze pełnej szczurów... Dlatego bał się, żeby mu te szczury nie zezarły żywności.

Popatrzyłem na grube kraty w oknach, ciężką stalową zasuwę, ale nie zdążyłem nic powiedzieć, bo Ławrowa powiedziała ostrym, wysokim głosem:

– Stanisławie Pawłowiczu!!!

Zerknąłem na nią ze zdziwieniem, Ławrowa cofnęła się od okna, twarz jej jeszcze bardziej zbladła i jakby się wydłużyła... Dziewczyna wyrzuciła z siebie ochryplym szeptem:

– Chciał pan kupić nowe dekle do samochodu...

Wyskoczyłem zza biurka i jednym susem dopadłem okna. Z zielonego łazika z błyszczącymi deklami na kołach wysiadł mężczyzna. Mężczyzna był krępy i tęgi, ubrany w brązową bekieszę, szare walonki i sztywną futrzaną czapkę. Ogromnym sakwojazem trzymanym w prawej ręce wymachiwał lekko, jakby to była teczuszka. Okno było pokryte nalotem szronu, więc nie mogłem dojrzeć wyraźnie jego twarzy.

Kierownik sklepu, który zdążył już stanąć za moimi plecami, powiedział wysokim przestraszonym głosem:

– To właśnie on, Piotr Siemionycz Połozow. Bardzo przyzwoity człowiek...

Odwróciłem się do niego i powiedziałem szybko:

– Niech pan wraca na swoje miejsce i siedzi tam spokojnie...

– Ale dlaczego?...

Zobaczył w ręce Ławrowej pistolet i zamilkł.

– Powiedziałem, na miejsce! Leno, stań za drzwiami!

Kierownik usiadł za biurkiem, oniemiały z przerażenia i zdumienia, a ja zrozumiałem, że jeśli tam na podwórku jest Krest, to natychmiast we wszystkim się zorientuje. Nie było na co czekać. Ja też wyjąłem pistolet, wprowadziłem pocisk do lufy, rozluźniłem przegub, żeby ręka mi nie drżała, i wsunąłem pistolet do kieszeni tak, żebym w razie konieczności mógł strzelać przez marynarkę.

Rozległy się ciężkie kroki, drzwi otworzyły się i do kantorka wszedł mężczyzna. Miał zaskakująco małą głowę, zadarty nosek, wesołe bezbarwne ślepka, policzki zaczerwienione na mrozie i białawe brwi. Takich twarzy są tysiące. Nie rzucają się w oczy i nie dają się zapamiętać. Ale ja tej twarzy nie mogłem zapomnieć, bo to była twarz Nikodimowa, Kresta, twarz mojego Minotaura. Zupełnie nie postarzał się w porównaniu z archiwalnymi zdjęciami, może jedynie nieco spowaźniał. Może koszmary się nie starzeją?

Oto nareszcie spotkałem się z potworem z labiryntu, który uczynił moje życie nieznośnym, bo przez niego nie mogłem spełnić moich obowiązków.

Powiedział:

– Dzień... – i w tym momencie zobaczył mnie, oczy mu się rozszerzyły i poznał mnie. W prawej ręce trzymał sakwojaż, więc nie mógł momentalnie wsunąć ręki do kieszeni. Musiał najpierw rzucić sakwojaż, na co potrzebował całej sekundy, a tej sekundy już nie miał.

Nikodimow z rozpędu zrobił jeszcze krok do przodu i Ławrowa, która wyszła zza drzwi, szturchnęła go lufą pistoletu w szyję.

– Ręce za głowę!

– Szybciej! – powiedziałem i pokazałem pistoletem, że trzeba będzie jednak podnieść ręce.

Nikodimow upuścił swój sakwojaż i wolno, jakoś sennie zaczął unosić ręce. Wsunąłem rękę do bocznej kieszeni jego bekieszy i kiedy wyciągałem rozgrzany ciężki pistolet, wyczułem dłoń, jak wściekle, gorączkowo łomocze mu serce i w tym histerycznym przeraźliwym kołataniu wyczułem nieludzki strach... W tym momencie Nikodimow stał się dla mnie wstrętny jak wściekły wilk.

– Ręce do przodu! – Zatrzasnąłem na jego przegubach kajdanki i z ciężkim westchnieniem otarłem z czoła krople potu. – Teraz w porządku...

Nikodimow ciężko zwałił się na krzesło.

– Dlaczego to, Daniło Spirydonowiczu, interesowaliście się moją osobą? Dlaczego oglądaliście mnie w „Araracie”, co? – zapytałem. – No dobra, zawieziemy was do Moskwy, bo wasi pomocnicy będą się czuli samotni w Nowy Rok. Gdzie są skrzypce?

Nikodimow w milczeniu gapił się przed siebie. Wstałem, podniosłem z podłogi i rozpiąłem sakwojaż. Kilka par bielizny, ręcznik, mydelniczka, elektryczna maszynka do golenia.

– Gdzie są skrzypce? – powtórzyłem.

Nikodimow odetchnął głęboko, jakby zamierzał nurkować, i zdławionym głosem powiedział szybko:

– Towarzysze, obywatele, to jest jakaś pomyłka... Żadnych skrzypiec na oczy nie widziałem... Wybieram się na urlop... Chcę odpocząć tydzień u siostry... Możecie cały dom przewrócić do góry nogami i niczego nie znajdziecie. To okropna pomyłka, obywatele... Przecież już bilet sobie kupiłem... Chciałem się tylko pożegnać i na pociąg... Przecież się spóźnię, towarzysze-obywatele... Nieładnie będzie... Dzieci zostaną bez prezentów...

W żaden sposób nie potrafił zebrać myśli i wciąż marmotał jakieś brednie, starając się zyskać na czasie i zastanowić się, co ma robić. Otworzyłem jedną ze skrzynek i zacząłem wyciągać z niej półcie słoniny, puszki konserw, miód. Rozciąłem sznurek obwiązujący walizkę. W walizce był worek. Rozwiązałem go i zanurzyłem rękę w chłodnej, śnieżnobiałej mące.

– Gdzie są skrzypce?

– Rany boskie, co to się dzieje! – pisnął cienko Nikodimow. – Nie mam pojęcia, o czym mówicie! Szukajcie, bardzo proszę, sami się przekonacie, że bierzecie mnie za kogoś innego... Jestem uczciwym człowiekiem, który postanowił zawieźć dzieciom trochę jedzenia, żeby sieroty nie głodowały... A tu taka historia...

– Uczciwy człowiek z pistoletem... – powiedziałem i zdjąłem słuchawkę, żeby wezwać z Sasowa konwojentów.

– Mąka krupczatka dla sierot... – powiedziała Ławrowa dziwnym tonem. – Stanisławie Pawłowiczu, worek...

Odłożyłem słuchawkę, zawinałem rękawy i zacząłem garściami wysypywać mąkę z worka wprost na podłogę. Biała górka wyrastała coraz wyżej, aż wreszcie palce natknęły się na coś twardego. Z pewnością archeologowie równie pieczołowicie omiatają pył ze swych znalezisk, jak ja, rozdygotany z niecierpliwości, ostrożnie i wolno odgarniałem mąkę z podłużnego, płaskiego zawiniątka. Potem wolniutko pociągnąłem zawiniątko do góry i wysunąłem je z mąki. Potrząsnąłem nim, wzbijając kłęb białego pyłu. Potem ściągnąłem plastikową torbę, w której znajdował się owinięty flanelą przedmiot. Przez tkaninę wyczułem wygięty kształt skrzypiec. Palce zdrętwiały i zeszywniały, stały się nieposłuszne i nie mogły rozwiązać opasującej flanelę tasiemki. Wtedy szarpnąłem ją zębami i tkanina rozdarła się z trzaskiem.

Zamierające światło późnego popołudnia zaigrało na ciemnoczerwonej powierzchni deki, w piecu strzeliło polarno i natychmiast na ten trzask odezwała się cichutko struna, palce wyczuły piękny kształt rzeźbionego gryfu... Przez otwór efu dojrzałem na dnie skrzypiec napis: „Santa Maria, Antonius Stradivarius. Faciebat Anno 1722” a obok niego szeroki maltański krzyż.

Przycisnąłem skrzypce do piersi i powiedziałem do Ławrowej:

– Ech, Lenoczka, szkoda, że nie ma smyczka!

Dziewczyna roześmiała się:

– Bo by pan zagrał?

– A co? Słowo daję, że teraz bym potrafił! Polakow by mi pozazdrościł!

Ławrowa wyjęła mi z rąk skrzypce, przeczytała napis i pogładziła górną dekę delikatnie i czule, jak gładzi się dziecko po głowie, potem znów się roześmiała i powiedziała:

– Lepiej niech pan tego nie robi. Niechaj każdy zajmuje się swoimi sprawami.

Komisarz przekręcił gałkę i świeżutki głos odezwał się z głośnika:

– „... Jest godzina trzecia minut sześć czasu moskiewskiego. Nadajemy muzykę...”

I zaraz potem zwawy chórek zaśpiewał: „Dokąd to, Odyseuszu, uciekasz od żony i dzieci?...”

Komisarz potrząsnął głową, roześmiał się i zapytał:

– Słuchaj, a dokąd to Krest ze skrzypcami tuż przed Nowym Rokiem uciekał od żony i dzieci?

– On nie ma ani żony, ani dzieci – powiedziałem. – On woli pocieszać nieszczęśliwe mamusie... A wybierał się do



Leningradu. Trzeciego stycznia miał się tam spotkać ze Szwajcarem nazwiskiem Maurice Kozłow...

– Szwajcar Kozłow? – zdziwił się komisarz.

– Tak jest, to obywatel szwajcarski. A tak w ogóle, to pewnie potomek jakichś emigrantów.

– I czego chce ten białogwardzista?

– Myślę, że to nie białogwardzista, tylko raczej spekulant albo pośrednik. Kozłow miał skontaktować Kresta z jakimś przyjezdnym biznesmenem, który wyznaczy cenę za instrument. Krest nie ma pojęcia, jak oni zamierzali przemyścić skrzypce za granicę.

– I co, rozczarujesz Szwajcara Kozłowa? – spytał z zaciekawieniem komisarz.

– Chyba tak. Trzeba będzie jutro pojechać do Leningradu i przyjrzeć się z bliska amatorom zabytkowych skrzypiec. Ale to już drobiazg, kwestia techniki, jak to się mówi.

– Dobra – powiedział komisarz. – Zawieziesz jutro skrzypce Polakowowi?

– Tak. Myślę jednak, że może warto byłoby go zaprosić do nas, żeby było bardziej uroczyście.

Komisarz uśmiechnął się pod wąsem i mruknął:

– Uroczyście, powiadasz? A ty co, dajesz mu te skrzypce w nagrodę? To są przecież jego skrzypce, a nie twoje Polakow po prostu poprosił nas o pomoc w ich odszukaniu, no to mu pomogliśmy...

– Też racja! – powiedziałem.

– Natomiast my, Ławrową i ciebie, nagrodzimy za tę sprawę cennymi podarkami. Mamy takie malutkie odbiorniczki po trzydzieści rubli. Znakomicie odbierają program nocny. Właśnie te radyjka uroczyście wam wręczymy.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Nie dziękuj, bo to jeszcze nie jest pewne. Muszę to przedtem uzgodnić z działem kadr, a nie wiadomo, co oni na to powiedzą, zaczekaj więc z podziękowaniami.

– Dobra, poczekam

Komisarz gestem głowy wskazał głośnik, z którego rozlegała się pieśń o niestrudzonym Odyseuszu.

– Przecież ten chłopak nie liczył na cenny podarek, prawda? – Wstał, obszedł swoje ogromne biurko, położył mi rękę na ramieniu i powiedział półgłosem: – Dziękuję ci, synku...

# Spis treści

## **Księga pierwsza. Wejście do labiryntu**

- Rozdział pierwszy. Uśmiech królowej* 5  
*Rozdział drugi. Geniusz* 22  
*Rozdział trzeci. Kwaśna woda kłamstwa* 40  
*Rozdział czwarty. Każdy ma swego Minotaura* 60  
*Rozdział piąty. Kain* 78  
*Rozdział szósty. Spopielenie* 102  
*Rozdział siódmy. Genialny jak Rode i równie nieszczęsny* 124  
*Rozdział ósmy. Do cnoty można przywieść siłą* 139  
*Rozdział dziewiąty. Gorzki dym strachu* 159  
*Rozdział dziesiąty. Szukaj złodzieja* 180  
*Rozdział jedenasty. Wejście do labiryntu* 197

## **Księga druga. Prawdy szuka się rozumem...**

- Rozdział dwunasty. Wypchany Minotaur* 225  
*Rozdział trzynasty. Głupota jest zbrodnią* 254  
*Rozdział czternasty. „...Żywy zstępuje do grobu...”* 277  
*Rozdział piętnasty. Ludzie mają długą pamięć* 305  
*Rozdział szesnasty. Babcia Trumana* 328  
*Rozdział siedemnasty. Sto procent alibi* 362  
*Rozdział osiemnasty. Charakter i los człowieka* 372

zł 100,-

ISBN 83-07-00700-3